

STAR WARS

The background of the cover features a dramatic illustration of two Sith Lords in black robes and hoods, facing each other in profile. A bright red lightsaber is positioned between them, its blade glowing and casting a strong red light across the scene. The overall atmosphere is dark and menacing.

DARTH BANE

ZASADA DWÓCH

DREW KARPYSHYN

STAR WARS®



DARTH BANE

ZASADA DWÓCH

DREW KARPYSHYN

Tytuł oryginału
Darth Bane: Rule of Two

Copyright © 2007 by Lucasfilm, Ltd. & ™.
All Rights Reserved. Used Under Authorization.
For the Polish translation
Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład
Andrzej Syrzycki

Redaktor serii
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Jolanta Kucharska
Katarzyna Pietruszka

Ilustracja na okładce
John Van Fleet

ISBN 978-83-241-3634-6

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl



*Moim rodzicom Ronowi i Viv,
a także mojej młodszej siostrze Dawn*

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Darth Bane - Ciemny Lord Sithów (mężczyzna)

Zannah - uczennica Sith (kobieta)

Johun Othone - Jedi który przeżył Ruusan, obrońca Kanclerza
(mężczyzna)

Valenthyne Farfalla - Mistrz Jedi (mężczyzna)

Worrer Dowmat - Mistrz Jedi (Ithorianin, mężczyzna)

Raskta Lsu - Mistrzyni Jedi (Echani, kobieta)

Darovit - były uczeń Jedi oraz Sithów, kuzyn Zannah (mężczyzna)

Tarsus Valorum - Kanclerz Republiki (mężczyzna)

Caleb - ambriański uzdrowiciel (mężczyzna)

PROLOG

Darovit przeskakiwał nad trupami zaścielającymi pole bitwy, odrętwiały od smutku i przerażenia. Wielu zabitych znał osobiście. Niektórzy byli sprzymierzeńcami Jedi, sługami Jasnej Strony, inni zaś zwolennikami Ciemnej Strony, pachołkami Sithów. Mimo odrętwienia Darovit cały czas się zastanawiał, po której stronie sam się opowiada.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej wszyscy znali go pod dzieciennym imieniem Tomcat. Był wówczas szczupłym, ciemnowłosym trzynastoletnim chłopcem; mieszkał z kuzynami, Rain i Bugiem, na małej planecie, zwanej Somov Rit. Docierały tam echa niekończącej się wojny między Sithami a Jedi, ale nikt się nie spodziewał, że wojna wpłynie w jakikolwiek sposób na ich codzienne, zwykłe życie... dopóki na planecie nie wylądował zwiadowca Jedi, żeby spotkać się z Rootem, ich wyznaczonym strażnikiem.

Zwiadowca wyjaśnił, że generał Hoth, dowódca wojsk Jedi, zwanych Armią Światła, rozpaczliwie potrzebuje wszystkich, którzy mogliby zostać Jedi. Podobno od tego miał zależeć los całej galaktyki. A dzieci pod opieką Roota wykazywały wrażliwość na oddziaływanie Mocy.

Z początku Root odmówił. Upierał się, że jego podopieczni są zbyt młodzi, aby brać udział w wojnie. Zwiadowca jednak nie rezygnował i w końcu do Roota dotarło, że jeżeli dzieci nie wezmą udziału w wojnie po stronie Jedi, odnajdą ich Sithowie i zmuszą do walczenia po swojej stronie. Root ustąpił. Darovit i jego kuzyni opuścili Somov Rit w towarzystwie zwiadowcy Jedi i udali się na Ruusana. W tamtym okresie dzieci uważały to za początek wspaniałej przygody.

Obecnie Darovit był mądrzejszy.

Odkąd wylądowali na Ruusanie, wydarzyło się po prostu zbyt dużo. Wszystko się zmieniło. A młodzieniec – bo w ciągu ostatnich kilku tygodni przeżył zbyt wiele, żeby można go było nazywać chłopcem – nic z tego nie rozumiał.

Przyleciał na Ruusana pełny nadziei i ambicji. Marzył o sławie, jaka stanie się jego udziałem, kiedy pomoże generałowi Hothowi i Armii Światła pokonać Sithów z Bractwa Ciemności Lorda Kaana. Okazało się jednak, że

na Ruusanie nie można się okryć sławą. Nie dokonał tego ani Darovit, ani dwoje jego kuzynów.

Rain zginęła, zanim jeszcze ich statek wylądował na Ruusanie. Zaledwie klika sekund po wejściu w górne warstwy atmosfery zaatakowała ich zniecałkująca eskadra buzzardów Sithów. Podczas ataku oderwał się fragment skrzydła ich transportowca. Darovit obserwował z przerażeniem, jak Rain zostaje wyssana na zewnątrz... dosłownie wyrwana z jego objęć. Nie widział wprawdzie śmierci kuzynki, ale jaki inny los mógł ją spotkać po upadku na powierzchnię planety z wysokości co najmniej kilkuset metrów?

Kilka minut później zginął jego kuzyn Bug. Padł ofiarą bomby myśli; jego ducha pochłonęła straszliwa potęga ostatecznej, samobójczej broni Lorda Kaana. Bug nie żył, podobnie jak wszyscy Jedi i wszyscy Sithowie. Bomba myśli unicestwiła wszystkie żywe istoty, na tyle silne, żeby władać potęgą Mocy. Zabiła wszystkich z wyjątkiem Darovita, czego on sam nie potrafił zrozumieć.

Prawdę mówiąc, nie rozumiał niczego, co wydarzyło się na Ruusanie. Niczego! Spodziewał się, że ujrzy legendarną Armię Światła, którą znał z historii, wierszy i poematów: bohaterskich Jedi, broniących galaktyki przed Ciemną Stroną Mocy. Zamiast tego zobaczył mężczyzn, kobiety i inne istoty; wszyscy oni walczyli i ginęli jak zwyczajni żołnierze, wgniatani w przesiąknięte krwią błoto na polu bitwy.

Poczuł się oszukany, zdradzony. Wszystko, co słyszał o Jedi, okazało się kłamstwem. Jedi wcale nie byli nieskazitelnymi bohaterami. Mieli ubrania pokryte błotem, a w ich obozie unosił się fetor potu i strachu. Najważniejsze jednak, że Jedi przegrywali! Jedi, na których Darovit natknął się na Ruusanie, byli sponiewierani i pokonani, zmęczeni niekończącymi się bitwami z wojskami Sithów Lorda Kaana. Mimo to nie zamierzali się poddawać, chociaż przecież było oczywiste, że nie dadzą wrogowi rady. Cała potęga Mocy nie mogłaby z nich zrobić promiennych bohaterów z jego naiwnej wyobraźni.

Nagle na przeciwległym skraju pola bitwy coś się poruszyło. Mrużąc oczy przed blaskiem słońca, Darovit zauważył, że przez pobojuwisko przedziera się powoli sześć osób. Wszyscy zbierali ciała zabitych zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Oznaczało to, że Darovit nie jest sam... że inni także przeżyli eksplozję bomby myśli.

Młody żołnierz zaczął biec w ich stronę. Kiedy jednak zbliżył się na tyle, żeby rozpoznać sprzętających pole bitwy, jego podniecenie opadło. To byli ochotnicy z Armii Światła. Nie Jedi, ale mężczyźni i kobiety – zwyczajni

ludzie, którzy złożyli przysięgę na wierność Lordowi Hothowi. Bomba myśli zabiła tylko tych, którzy mogli utrzymywać kontakt z Mocą. Pozostałym, którzy tego nie potrafili, jak ci ludzie, los oszczędził jej niszczycielskiego wpływu. Ale przecież Darovit wykazywał wrażliwość na oddziaływanie Mocy. Miał dar. Od najwcześniejszych lat posługiwał się Mocą, żeby unosić w powietrze zabawki ku uciechu młodszej kuzynki Rain, kiedy oboje byli jeszcze dziećmi. Ci ludzie przeżyli, bo nie różnili się niczym od pozostałych. Nie mieli daru jak on. Ocalenie Darovita było zagadką... jeszcze jedną tajemnicą, podobną do wielu, których nie rozumiał.

Kiedy się zbliżył do grupki ludzi, jeden z nich, wyraźnie zmęczony zbieraniem trupów, usiadł na kamieniu. Był to starszy, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna o twarzy ściągniętej i wychudzonej, jakby ponure zadanie wyczerpało rezerwy jego sił fizycznych i psychicznych. Darovit go znał, chociaż przez tych kilka tygodni, jakie obaj spędzili w obozie Jedi, nigdy nie zadał sobie trudu poznania jego imienia ani nazwiska.

I nagle stanął jak wryty. Pomyślał, że jeżeli on rozpoznał mężczyznę, mężczyzna może także rozpoznać jego. Może przypomnieć sobie Darovita i to, że młodzieniec jest zdrajcą.

To, na co się natknął na wojnie, wzbudziło w nim odrazę. Jego marzenia i złudzenia przygniótł ciężar ponurej rzeczywistości. A wtedy Darovit zachował się jak rozkapryszone dziecko i obrócił się przeciwko Jedi. Zwiedziony przez łatwe obietnice potęgi Ciemnej Mocy, przeszedł na jej stronę i przyłączył się do Bractwa Ciemności. Dopiero teraz zrozumiał, jak wielki popełnił błąd.

Uświadomił to sobie, będąc świadkiem śmierci Buga... śmierci, za którą po części odpowiadał. Zbyt późno poznał prawdziwą cenę Ciemnej Strony. Zbyt późno zrozumiał, że wywołując eksplozję bomby myśli, szalony Lord Kaan doprowadził do śmierci wszystkich wrażliwych na Moc osób.

Darovit nie był już zwolennikiem Sithów. Nie pragnął poznać tajników Ciemnej Strony. Czy jednak ten starszy mężczyzna, zagorzały zwolennik generała Hotha, o tym wiedział? Jeżeli zapamiętał Darovita, na pewno uważa go za przeciwnika.

W pierwszej chwili młody człowiek chciał odwrócić się i czmychnąć z pola bitwy, zanim starszy mężczyzna odpocznie i zdoła go powstrzymać. Do tej pory Darovit cały czas tak postępował, ale tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Może z powodu poczucia winy, przyływu rozsądku, a może ze zwykłej chęci obejrzenia wszystkiego do końca, Darovit nie uciekł. Postanowił zaczekać i stawić czoło losowi.

Ruszył powoli, ale stanowczo naprzód. Podszedł do skały, na której siedział pogrążony w zadumie mężczyzna. Kiedy dzieliło ich zaledwie kilka metrów, nieznajomy uniósł głowę i go powitał.

W jego oczach nie pojawił się jednak błysk rozpoznania. Wyzierała z nich pustka. Człowiek wyglądał jak nawiedzony.

– Wszyscy, po prostu wszyscy – wymamrotał, chociaż nie wiadomo, czy do siebie, czy też do Darovita. – Wszyscy Jedi i wszyscy Sithowie... żaden nie ocalał.

Mężczyzna odwrócił głowę i skierował puste spojrzenie na mroczne wejście do pobliskiej jaskini. Darovit zadrżał, kiedy uświadomił sobie, o czym mówi nieznajomy. Wejście wiodło w dół. Wijącymi się tunelami można było dotrzeć do ukrytej głęboko pod ziemią jaskini, w której Kaan i jego Sithowie zebrali się, żeby wywołać eksplozję bomby myśli.

Mężczyzna pokręcił głową, jakby chciał pozbyć się ponurego nastroju. Ciężko westchnął i wstał, żeby powrócić do smutnego obowiązku. Kiwnął Darovitowi głową, ale nie poświęcał mu już uwagi. Zajął się zawijaniem trupów w płachty; teraz trzeba było pozbierać zwłoki z pola bitwy i pochować.

Darovit odwrócił się i spojrzał na wlot jaskini. Znowu poczuł impuls, żeby wycofać się i uciec. Czarna paszcza tunelu jakoś go jednak przyciągała. Darovit uznał, że może w środku znajdzie odpowiedź... cokolwiek, co nada sens śmierci tylu osób i przemocy, a jemu pomoże dostrzec powody niekończącej się wojny i przelewu krwi. Może odkryje tam coś, czego do tej pory nie zauważył.

Im głębiej się zapuszczał, tym powietrze w tunelu stawało się chłodniejsze. Darovit wyczuwał dziwne świerzbienie; prawdopodobnie ze strachu. Nie miał pojęcia, na co się natknie, kiedy dotrze do jaskini na końcu tunelu. Prawdopodobnie zobaczy tylko więcej martwych ciał. Postanowił jednak nie zawracać.

Znalazł się teraz w zupełnej ciemności; w duchu przeklął się za to, że nie zabrał pręta jarzeniowego. Miał wprawdzie u pasa świetlny miecz, bo możliwość zdobycia tej sławnej broni Jedi była jedną z pokus, które zwabiły go na stronę Sithów. Zdradził więc Jedi, żeby zdobyć świetlny miecz, ale mimo ciemności tunelu nie chciał zapalać energetycznej klingi, żeby jej blask wskazywał mu drogę. Kiedy zapalił ją ostatni raz, spowodował śmierć Buga, i to wspomnienie kalało wszystko, co poświęcił dla zdobycia broni.

Wiedział, że jeżeli zawróci, może już nigdy nie zdobędzie się na odwagę, żeby ponownie wyruszyć, szedł więc dalej, nie zwracając uwagi na

ciemność. Idąc powoli, wysyłał przed siebie myśli. Próbował korzystać z potęgi Mocy, żeby poprowadziła go mrocznym szlakiem. Raz po raz się potykał na nierównym podłożu, aż w końcu przekonał się, że łatwiej mu będzie iść, wodząc dłonią po chropowatej skalnej ścianie.

Szedł coraz wolniej, bo dno tunelu pod jego stopami opadało coraz bardziej stromo. W końcu zaczął pokonywać w ciemności niemal pionową ścianę. Dopiero po jakichś trzydziestu minutach zauważył, że w odległym końcu promieniuje słaby blask. Przyspieszył, ale potknął się o wystający z dna tunelu kamień. Upadł na twarz z okrzykiem przerażenia i potoczył się w dół stromego zbocza. Posiniaczony i pokaleczony, znieruchomiał dopiero na końcu tunelu.

Tunel kończył się w przestronnej, wysokiej jaskini. Słaby blask, który przedtem widział, pochodził z kryształów osadzonych w kamiennych ścianach. Oświetlały jaskinię, dzięki czemu Darovit wszystko dobrze widział. Ze sklepienia zwisało jeszcze kilka stalaktytów, ale setki innych leżały, strzaskane, na dnie jaskini. Pewnie odpadły, kiedy Kaan spowodował eksplozję bomby myśli.

Sama bomba, a raczej to, co z niej pozostało, unosiła się jakiś metr nad dnem pośrodku jaskini. To właśnie ona była głównym źródłem światła. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak metalowe jajo o średnicy w najszerszym miejscu jakichś trzech metrów i wysokości czterech. Jajo miało gładką, matową, srebrzystą powierzchnię, z której promieniowała blada poświata, ale zarazem pochłaniało cały blask, odbity przez kryształy w ścianach.

Darovit podniósł się na nogi i zadrżał. W jaskini było zaskakująco zimno, jakby kula wyssała z powietrza całe ciepło. Postąpił krok w jej stronę. Pył i gruz pod jego stopami cicho zaskrzypiały, jakby bomba myśli pochłaniała nie tylko ciepło, ale także dźwięki.

Darovit zamarł, wsłuchany w nienaturalną ciszę. Nie słyszał niczego, ale coś wyczuł: słabe, pulsujące drżenie przenikało przez dno do jego ciała. Czuł w regularnych odstępach czasu impulsy przesyłane z niezwykłego jaja.

Nieświadomie wstrzymał oddech i zrobił ostrożny krok naprzód. Nic się nie wydarzyło. Wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem. Zebrał całą odwagę i ruszył dalej. Wyciągnął rękę w stronę zdeformowanej kuli.

Znalazł się tak blisko, że widział pod połyskującą powierzchnią mroczne pasma i cienie, powoli się obracające. Wyglądały jak uwięzione pasma czarnego dymu. Po dwóch następnych krokach Darovit dotarł tak blisko, że mógł dotknąć powierzchni jaja. Jego wyciągnięta ręka lekko drżała, ale Darovit pochylił się i przycisnął dłoń do powierzchni.

W jego umyśle eksplodował jęk czystej udreki. Z wnętrza jaja wydobyła się kakofonia przeraźliwych głosów wszystkich ofiar bomby myśli.

Darovit cofnął rękę, zachwiał się i osunął na kolana.

Oni wszyscy żyli! Ciała Jedi i Sithów pochłonęła eksplozja bomby myśli, która zmiażdżyła ich na proch, ale duchy przeżyły, wessane przez wirującą trąbę powietrzną. Zostały uwięzione na zawsze w sercu bomby!

Darovit tylko na ułamek sekundy dotknął powierzchni jaja, ale zawarte w nim duchy o mało nie doprowadziły go do szaleństwa. Uwięzione w twardej skorupie, zostały skazane na wiekiiste, nieznośne cierpienia. Spotkał je los straszliwy; umysł młodego człowieka wzdragał się przed uświadomieniem sobie ogromu ich cierpienia.

Darovit kucnął obok jaja na dnie jaskini i w geście rozpaczony ujął głowę w dłonie. Przyleciał tu w poszukiwaniu odpowiedzi, a trafił na sprzeczną z samą naturą ohydę. Na myśl o tym przeniknął go dreszcz odrazy.

– Nie rozumiem... nie rozumiem... nie rozumiem...

Mamrotał te słowa bez końca, skulony na dnie jaskini. Kołysał się powoli w przód i w tył, cały czas trzymając głowę w dłoniach.

ROZDZIAŁ 1

Spokój to kłamstwo. Jest tylko pasja.

Dzięki pasji osiągam siłę.

Dzięki sile osiągam potęgę.

Dzięki potędze osiągam zwycięstwo.

Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.

Kodeks Sithów

Darth Bane – jedyny Sith, który uniknął śmierci po eksplozji bomby myśli Lorda Kaana, szedł szybko, oświetlony bladożółtymi promieniami słońca Ruusana. Poruszał się pewnie po spustoszonej przez wojnę krainie. Miał dwa metry wzrostu, stawiał więc długie kroki. Jego czarne buty pokonywały odległość w potężnych susach. Wyglądał, jakby zdążał do siebie tylko wiadomego celu. Otaczała go aura grozy, wzmocniona przez ogoloną czaszkę, wysunięte łuki brwiowe i mroczną stanowczość w oczach. Jeszcze bardziej ponuro wyglądał jego czarny pancerz i złowieszczo zakrzywiona rękojeść świetlnego miecza u pasa. Wszystko to podkreślało jego oszałamiającą potęgę: oto nadchodził orędownik Ciemnej Strony Mocy.

Zaciśnięta szczęka świadczyła o ponurej determinacji, by pokonać ból, który co kilka minut eksplodował w jego łysej potylicy. Kiedy doszło do eksplozji bomby myśli, Darth Bane znajdował się wiele kilometrów od miejsca eksplozji, ale nawet z tak daleka odczuł jej potęgę, wybuchającą w tkance Mocy. Skutki tej eksplozji jeszcze nie zdążyły przeminąć i przejawiały się w sporadycznych ukłuciach bólu w jego mózgu. Bane odczuwał to tak, jakby w zakamarki jego umysłu wbijał się milion małych ostrzy. Liczył na to, że z czasem te ataki osłabną albo miną, ale na razie ich częstotliwość i intensywność cały czas się zwiększały.

Bane mógłby wezwać Moc, żeby zwalczyć ból i otoczyć się aurą leczącej energii. Do takich sztuczek uciekali się jednak tylko Jedi, Bane zaś był Ciemnym Lordem Sithów. Kroczył inną ścieżką, dzięki czemu gloryfikował cierpienie i czerpał z niego siłę. Przekształcił ból w gniew i nienawiść, żeby podsycały płomień Ciemnej Strony. Jego twarz niemal promieniowała furją, nad którą ledwo mógł zapanować.

Straszliwa postać Bane'a kontrastowała z wyglądem małej dziewczynki, która starała się dotrzymać mu kroku. Zannah miała zaledwie dziesięć lat i krótkie, kręcone blond włosy, z którymi wyglądała dość nieporządnie. W luźnej białej bluzce i spłowiałym błękitnym kombinezonie przypominała wieśniaczkę. Ubranie było podarte i poplamione, najwyraźniej długo niezmieniane. Nikt, kto by zobaczył małą, jak stara się nadażyć za atletycznie zbudowanym, czarno ubranym mężczyzną, nigdy by nie uwierzył, że dziewczynka jest wybraną uczennicą Mistrza Sithów. Wygląd bywa czasem mylący.

Dziewczynka była silna. Bane zauważył to już podczas ich pierwszego spotkania, od którego upłynęła niespełna godzina. Bądź co bądź, zabiła dwóch Jedi. Bane nie znał wszystkich szczegółów ich śmierci, bo pojawił się, kiedy obaj Jedi już nie żyli. Zastał Zannah płaczącą nad ciałkiem inteligentnego skoczka – te stworzonka, porośnięte zieloną sierścią i posługujące się telepatią, żyły na Ruusanie. Obok dziewczynki leżały jeszcze ciepłe ciała dwóch młodych Jedi. Obaj mieli szyje wykręcone pod nienaturalnym kątem do reszty ciała, co dowodziło, że dziewczynka skręciła im karki.

Skoczek był pewnie przyjaciółką i towarzyszką zabaw dziewczynki. Bane doszedł do wniosku, że Jedi musieli niechcący go zabić – a potem spotkał ich taki sam los, kiedy Zannah postanowiła się zemścić. Nieświadomi jej potencjału, musieli być zaskoczeni, kiedy dziecko – działając pod wpływem bólu i czystej, lodowatej nienawiści – uwolniło wściekłość Ciemnej Strony Mocy i użyło jej, aby zniszczyć mężczyzn, którzy zabili jej przyjaciółkę.

To naprawdę okrutne zrzędzenie losu: znaleźć się w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze. Trudno byłoby jednak nazwać ich śmierć daremną, skoro pozwoliła Bane'owi dostrzec potencjał tego dziecka. Czyżby nieszczęsnych Jedi spotkał ponury koniec tylko po to, żeby Bane mógł spotkać małą Zannah? Cóż, niektórzy mogliby sądzić, że los i Ciemna Strona Mocy zawiązały spisek, żeby Mistrz Sithów mógł znaleźć odpowiednią uczennicę. Bane jednak się do nich nie zaliczał.

Wierzył w potęgę Mocy, ale wierzył także w siebie. Był kimś więcej niż tylko sługą proroctwa czy pionkiem Ciemnej Strony, poddającym się zachciankom nieuniknionego przeznaczenia. Moc była narzędziem, którym się posługiwał, żeby dzięki sile i sprytowi wykuwać własny los. Tylko on jeden spośród Sithów naprawdę zasłużył na miano Ciemnego Lorda i właśnie dlatego tylko on nadal żył. Jeżeli Zannah miała się okazać godna tytułu jego uczennicy, ona także będzie musiała kiedyś udowodnić, że na to zasługuje.

Bane usłyszał za plecami ciche stęknienie. Odwrócił się i zobaczył, że dziewczynka, usiłując dotrzymać mu kroku, upadła i potoczyła się po nierównym gruncie. Spiorunowała go spojrzeniem, a jej twarz wykrzywiła się gniewnie.

– Zwolnij! – warknęła. – Idziesz za szybko!

Bane zacisnął zęby, bo jego czaszkę przeszył następny sztych bólu.

– To nie ja idę za szybko! – odparł spokojnie, lecz stanowczo. – To ty idziesz za wolno. Musisz przyspieszyć.

Dziewczynka zerwała się na nogi i niedbale otrzepała spodnie z kurzu.

– Nie mam tak długich nóg jak ty – odparła z urazą, nie zamierzając się poddawać. – Jakim cudem mam dotrzymywać ci kroku?

Mała rzeczywiście była odważna. Bane zrozumiał to już w pierwszej chwili ich spotkania. Ona także od razu się zorientowała, kim on jest: jednym z Sithów, nieprzejednanym wrogiem Jedi i sługą Ciemnej Strony. Mimo to nie okazała strachu. Bane dostrzegł w niej kandydata na następcę, którego potrzebował, ale zorientował się, że i Zannah czegoś od niego chce. A kiedy zaproponował, żeby została jego uczennicą, żeby uczyła się i poznawała tajniki Ciemnej Strony, ani chwili się nie wahała.

Nie bardzo rozumiał, dlaczego tak jej zależało na sprzymierzeniu się z Lordem Sithów. To mógł być zwykły akt desperacji. Dziewczynka była sama i nie miała się do kogo zwrócić o pomoc. A może dostrzegła w Ciemnej Stronie sposób zemścić się na wszystkich Jedi, za śmierć jej latającej przyjaciółki? Istniała też możliwość, że po prostu wyczuła potęgę Bane'a i chciała przynajmniej jej częśćkę wykorzystać dla siebie.

Niezależnie od swoich motywów, Zannah nadzwyczaj chętnie złożyła przysięgę posłuszeństwa Sithom i swojemu nowemu Mistrzowi. A jednak to nie dzięki hartowi ducha ani ochoczej zgodzie stała się godna, by zostać uczennicą Bane'a. Ciemny Lord wybrał ją wyłącznie z jednego powodu.

– Jesteś silna Mocą – wyjaśnił, nie zdradzając emocji ani dręczącego go bólu. – Musisz nauczyć się nią władać, przyzywać jej potęgę. Powinnaś umieć naginać ją do swojej woli, tak jak wówczas, kiedy zabiłaś tamtych Jedi.

Zobaczył w jej oczach cień zwątpienia.

– Kiedy ja nie wiem, jak to zrobiłam – mruknęła dziewczynka. – Wcale tego nie chciałam – dodała niepewnie. – To po prostu się... wydarzyło.

Bane wychwycił w jej głosie nutkę poczucia winy. Był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Dziewczynka była jeszcze młoda, a do tego dezorientowana. Nie mogła do końca rozumieć, co się stało. Jeszcze nie.

– Nic się nie dzieje samo z siebie – zapewnił. – Wezwałaś potęgę Mocy. Przypomnij sobie, jak to było. Pamiętasz, co się wydarzyło?

Zannah z wahaniem pokręciła głową.

– Nie chcę o tym mówić – szepnęła.

Odkąd znalazła się na Ruusanie, przeżyła wielkie cierpienia, nic więc dziwnego, że nie chciała sobie przypominać tamtych okropnych doświadczeń. Bane to rozumiał, a nawet jej współczuł. On także wycierpiał sporo w czasach dzieciństwa. Pamiętał, ile razy katował go Hurst, jego okrutny i bezlitosny ojciec. Nauczył się jednak obracać te wspomnienia na swoją korzyść. Jeżeli Zannah ma się stać dziedziczką spuścizny Ciemnej Strony, musi stawić czoło przeszłości. Musi się nauczyć, jak czerpać siłę z najboleśniejszych nawet wspomnień. Powinna je przekształcać i ukierunkowywać, żeby dały jej władzę nad potęgą Ciemnej Strony.

– Masz teraz wyrzuty sumienia z powodu tamtych Jedi – rzucił Bane od niechcena. – Czujesz żal, skruchę. Może nawet uzalasz się nad sobą. – Zrezygnował z obojętnego tonu; mówił teraz głośniej i z większym naciskiem. – Musisz jednak pamiętać, że to bezwartościowe emocje. Nic nie znaczą. Powinnaś odczuwać gniew!

Zbliżył się do niej i wyciągnął przed siebie pięści, żeby przydać większego znaczenia swoim słowom. Zaskoczona Zannah zamrugła, ale się nie cofnęła.

– Ich śmierć nie była przypadkowa! – warknął Bane, podchodząc jeszcze krok bliżej. – To, co się wydarzyło, nie było pomyłką!

Wreszcie stanął tak blisko dziewczynki, że jego cień otoczył ją mroczną aurą. Zannah skuliła się lekko, ale nie cofnęła. Bane zablokował ból w potylicy, hamując wściekłość. Kucnął obok niej i rozluźnił zaciśnięte dotąd pięści. Powoli wyciągnął rękę i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

– Wróć myślami do tamtej chwili – powiedział. – Zastanów się, co poczułaś, kiedy uwolniłaś swoją potęgę. – Zniżył głos do łagodnego, uwodzicielskiego szeptu. – Co poczułaś, kiedy tamci Jedi zabili twoją przyjaciółkę?

Zannah spuściła głowę i zamknęła oczy. Stała bez słowa i bez ruchu, zmuszając się do przeżycia na nowo tamtej chwili. Bane zauważył na jej twarzy grę emocji: żalu, smutku i straty. Poczuł, że ramię dziecka pod jego ogromną dłońią lekko drży; uświadomił sobie po chwili, że w dziewczynce zaczyna narastać gniew, a wraz z nim potęga Ciemnej Strony.

Kiedy mała uniosła głowę, miała szeroko otwarte, intensywnie płonące oczy.

– Zabili Laa – wybuchnęła. – Zasłużyli na to, co ich spotkało.

– Masz rację. – Bane zabrał dłoń z jej ramienia i lekko się cofnął, a na jego ustach pojawił się uśmiech satysfakcji. – Poczuj gniew. Powitaj go. Obejmij jak kogoś bliskiego. Dzięki pasji osiągam siłę – ciągnął, recytując fragment kodeksu Sithów. – Dzięki sile osiągam potęgę.

– Dzięki pasji osiągam siłę – powtórzyła dziewczynka. – Dzięki sile osiągam potęgę. – Bane wyczuł, że Ciemna Moc w niej narasta, staje się coraz potężniejsza. Prawie odczuwał jej żar.

– Tamci Jedi zginęli, bo byli słabi – powiedział, cofając się jeszcze krok. – Przeżywają tylko silni, a Moc daje ci siłę. – Już miał się odwrócić, ale dodał: – Posłuż się nią, żebyś mogła za mną nadążyć. Jeżeli znów zostaniesz z tyłu, zostawię cię tu, na tej planecie.

– Przecież jeszcze mi nie powiedziałeś, co mam robić! – zawołała Zannah, kiedy Bane zaczął się oddalać.

Mistrz Sithów zachował milczenie. Udzielił jej przecież odpowiedzi, chociaż mała jeszcze tego nie wiedziała. Jeżeli jednak ma się okazać godna zostania jego uczennicą, powinna sama to odgadnąć.

Wyczuł nagle, że w jego stronę zmierza nagły impuls Mocy, skierowany w jego lewą stopę. Od razu zrozumiał, że to Zannah usiłuje sprawić, aby się potknął, w nadziei, że zwolni. Bane był przygotowany na jakąś reakcję z jej strony od chwili, kiedy odwrócił się do niej tyłem. Doprowadził ją przed chwilą do ostateczności, więc byłby rozczarowany, gdyby dziewczynka niczego nie zrobiła. Spodziewał się jednak czegoś mniej wyrafinowanego, na przykład pchnięcia falą energii Ciemnej Strony, która mogłaby go przewrócić. Atak na stopę był o wiele bardziej subtelny. Dowodził inteligencji i sprytu, i chociaż Bane był na to przygotowany, zaskoczyła go siła tego ataku.

Zannah miała wprawdzie spory potencjał, ale nie mogła się równać z Ciemnym Lordem Sithów. Bane wykorzystał potęgę Mocy, żeby wchłonąć impet jej ataku, a potem wzmocnił go i pchnął z powrotem w kierunku uczennicy. Zaskakujący cios uderzył Zannah prosto w pierś i przewrócił. Kiedy lądowała twardo na plecach, z jej ust wydobyło się ciche stęknienie.

Nie była ranna, bo Bane nie zamierzał wyrzucić jej krzywdy. Dzięki nieustannemu biciu, jakie fundował mu ojciec w czasach dzieciństwa, stał się tym, kim był obecnie, ale dzięki temu znenawidził ojca i zaczął nim gardzić. Jeżeli ta dziewczynka miała być jego uczennicą, musi go szanować i podziwiać. Nie mógłby jej nauczyć tajników Ciemnej Strony, gdyby nie była chętna uczyć się gorliwie od niego. Przemoc Hursta nauczyła Bane'a tylko

tęgo, jak nienawidzić, ale Zannah przyswoiła już sobie tę lekcję.

Bane odwrócił się i obrzucił lodowatym spojrzeniem dziewczynkę, siedzącą na twardym, nagim kawałku gruntu. Zannah miotła z oczu błyskawice, wściekła, że tak ją poniżył.

– Sith powinien wiedzieć, kiedy może uwalniać wściekłość Ciemnej Strony, a kiedy lepiej się od tego powstrzymać – odezwał się Bane. – Cierpliwość może być bronią, jeżeli zrozumiesz, jak się nią posługiwać, a twój gniew może podsycać Ciemną Stronę, jeżeli się nauczysz nad nim panować.

Zannah wciąż jeszcze emanowała wściekłością, ale Bane zobaczył w jej twarzy także coś innego: ostrożną ciekawość. W końcu dziewczynka zrozumiała znaczenie jego słów. Pokiwała głową, a jej rysy złagodniały. Bane wciąż jeszcze wyczuwał w niej potęgę Ciemnej Strony, bo gniew nie ustąpił; Zannah ukryła go tylko pod powierzchnią. Hołubiła ten gniew i podsycała do czasu, kiedy będzie mogła go znów uwolnić.

Właśnie przyswoiła sobie pierwszą lekcję o metodach Sithów. Miała się przed nim na baczności... ale się go nie bała. Dokładnie tak, jak chciał. Jedyną rzeczą, której miała się odtąd obawiać, była porażka.

Odwrócił się znów tyłem do dziecka i ruszył w dalszą drogę. Siłą woli powstrzymał dreszcz, kiedy do jego głowy przedarła się fala małych ukłuc. Wyczuł, że idąca za nim Zannah znów zbiera energię Mocy. Tym razem jednak skierowała ją do wewnątrz, żeby odświeżyć wyczerpane nogi.

Zerwała się i pobięła za nim. Poruszała się szybko, niemal bez wysiłku. Kiedy go dogoniła, Bane przyspieszył. Teraz, kiedy korzystała ze zdumiewającej potęgi Mocy, bez trudu dotrzymywała mu kroku.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

– Do obozowiska Sithów – odparł Bane. – Musimy zdobyć zapasy na podróż.

– Czy zastaniemy tam innych Sithów? – zainteresowała się Zannah. – Tych, z którymi walczyli Jedi?

Bane uświadomił sobie, że jeszcze jej nie powiedział, co stało się z Kaanem i Bractwem.

– Nie będzie tam innych Sithów – wyjaśnił. – Oprócz nas nie przeżył nikt. Jeden Mistrz i jeden jego uczeń. Pierwszy, by przyjąć potęgę, a drugi, by jej pożądać.

– Co stało się z pozostałymi? – Nie dawała za wygraną dziewczynka.

– Zabiłem ich – odparł Bane.

Zannah chyba zastanowiła się chwilę nad tym, co usłyszała, a w końcu

obojętnie wzruszyła ramionami.

– To znaczy, że byli słabi – podsumowała z głębokim przekonaniem. –
Zasługiwali na śmierć.

Bane już wiedział, że dobrze wybrał swoją uczennicę.

ROZDZIAŁ 2

Wielki okręt Lorda Valenthyny'a Farfalli – dowódcy Armii Światła Jedi po śmierci generała Hotha – unosił się majestatycznie na orbicie wysoko nad powierzchnią Ruusana. Na zewnątrz wyglądał jak starożytna barka żaglowa i odznaczał się nieco archaiczną elegancją, a nawet pewnym przepychem, który – zdaniem niektórych – zupełnie nie licował z godnością Jedi.

Johun Othone, młody padawan w Armii Światła, kiedyś także podzielał tę opinię. Podobnie jak wielu zwolenników Hotha, początkowo uważał Lorda Valenthyny'a za rozkapryszonego głupca, którego interesują tylko barwne, błyszczojedwabne koszule, czesanie długich, złocistych loków i tajniki krzykliwej mody. Mimo to podczas bitwy przeciwko Bractwu Ciemności Farfalla i jego zwolennicy udowodnili, ile są naprawdę wari. Powoli i niezbyt chętnie Johun i pozostali żołnierze Hotha zaczęli podziwiać, a nawet darzyć szacunkiem mężczyznę, z którego niedawno stroili sobie żarty.

Po śmierci generała Hotha, który zginął razem z Sithami w ostatecznej konfrontacji, dowódcą Armii Światła został Lord Valenthyny. Według wskazówek swojego poprzednika, zorganizował masową ewakuację wojsk z Ruusana jeszcze przed eksplozją bomby myśli. Ocalił przed jej niszczycielskim wpływem tysiące wrażliwych na Moc Rycerzy Jedi i padawanów, upychając ich na pokładach okrętów swojej orbitalnej floty.

Przez czysty przypadek Johun wylądował na pokładzie „Łagodnego Wietrzyka”, flagowego okrętu floty Valenthyny'a. Jednostka mogła pomieścić trzystu członków załogi, tymczasem w ładowniach stłoczono prawie pięciuset uciekinierów z Ruusana, więc młodemu mężczyźnie nie było zbyt wygodnie. Uchodźcy praktycznie nie mogli się poruszyć. Mistrzowie, Rycerze i padawani Jedi musieli stać jeden obok drugiego.

Pozostałe okręty były tak samo zatłoczone. Oprócz Jedi zabrano na pokłady także większość niewrażliwych na oddziaływanie Mocy żołnierzy, którzy przyłączyli się do wojsk Hotha. W ładowni jednego z okrętów znalazło się nawet miejsce dla kilkuset niebędących Sithami więźniów, zwolenników Lorda Kaana, który szybko się poddał Horthowi, kiedy

mroczny dowódca opuścił swoją armię i zaczął realizować swój ostateczny, szalony plan unicestwienia wszystkich Jedi. Niewrażliwym na Moc żołnierzom nie groziło właściwie żadne niebezpieczeństwo, skoro bomba myśli niszczyła tylko najbardziej wrażliwe na Moc osoby, ale podczas pospiesznej ewakuacji o wiele prościej było zabrać po prostu wszystkich, nie tylko Jedi.

Tu, na pokładzie osobistego galeonu Valenthyne'a, Johun znał niemal wszystkich. Wiele miesięcy walczył obok nich, przeżył wiele zasadzek, stoczył wiele bitew i wiele razy patrzył na płynącą krew. Zaznał chwalebnych triumfów i druzgocących klęsk. Wszyscy żołnierze oglądali śmierć wielu nieprzyjaciół – a także zbyt wielu przyjaciół – ginących podczas niekończących się zmagania z wojskami Ciemnej Strony.

Teraz jednak, stłoczeni w ładowni wielkiego okrętu, byli pewni, że wojna dobiegła końca. W końcu zwyciężyli. Mimo to każdy miał ponurą minę. Za zagładę wszystkich Sithów zapłacono straszliwą cenę. Nie było wątpliwości, co się wydarzyło, ani nadziei, że pozostali na planecie Jedi przeżyli. Unosząc się na orbicie wysoko nad Ruusanem, wszyscy Jedi znaleźli się poza zasięgiem eksplozji bomby myśli. Ale dzięki Mocy słyszeli agonalne krzyki innych Jedi, kiedy ich duchy rozrywało i pochłaniało wirujące tornado energii Ciemnej Strony. Wielu z tych, którzy przeżyli, otwarcie płakało. Większość jednak cierpiała w milczeniu, rozpamiętując poświęcenie pozostałych.

Johun – podobnie zresztą jak sam Farfalla i każdy inny członek Armii Światła – zgłosił się na ochotnika, żeby dalej walczyć na Ruusanie pod rozkazami generała Hotha. Dowódca Armii Światła jednak się na to nie zgodził. Dobrze wiedział, że ci, którzy z nim zostaną, skazują się na pewną śmierć. Rozkazał wszystkim z wyjątkiem setki najbliższych Jedi odlecieć z planety. Nie zgodził się, żeby pozostał choćby jeden padawan. Johun wykonał rozkaz dowódcy, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że opuszczając planetę, zdradza swojego generała.

Stojąc w tłumie innych Jedi w ładowni, dobrze widział Farfallę, bo jego jaskrawoczerwona bluza przyciągała wzrok niczym boja w morzu przeważnie brązowych ubrań. Farfalla organizował ekspedycje ratunkowe, których uczestnicy mieli wrócić na Ruusana, żeby radzić sobie ze skutkami bomby myśli. Johun postanowił, że i on weźmie udział w takiej wyprawie. Z trudem przedzierał się przez tłum Jedi. Ten dziesięcioletni miał szczupłą budowę ciała, bladą skórę i opadające do ramion jasne włosy – zwyczajem padawanów ciasno zaplecione w warkoczyk, dzięki czemu wyglądał o jakies

dwa lata młodziej. Denerwował się, ilekroć brano go za dziecko, ale teraz, kiedy przepychał się przez tłum, był wdzięczny losowi za to, że jest drobny i zwinny.

– Lordzie Valentyne! – wykrzyknął, kiedy znalazł się blisko. Podniósł głos, żeby przekrzyczeć zgiełk w ładowni. – Lordzie Valentyne!

Farfalla odwrócił się i omiół tłum spojrzeniem, żeby znaleźć właściciela głosu. Kiedy w końcu zobaczył młodego Jedi, skinął głową na znak, że go rozpoznał.

– Padawan Johun – powiedział.

– Chciałbym dołączyć do którejś z ekip ratunkowych – oznajmił Johun. – Proszę mnie wysłać z powrotem na Ruusana.

– Obawiam się, że nie mogę spełnić twojej prośby – odparł Mistrz Jedi ze współczuciem.

– Dlaczego? – zachnął się padawan. – Uważa pan, że jestem za młody?

– Nie o to chodzi... – zaczął Farfalla, ale Johun nie dał mu dojść do słowa.

– Nie jestem dzieckiem! – wybuchnął. – Mam dziewiętnaście lat... na pewno więcej niż ci tutaj. – Machnął ręką w kierunku najbliższej ekipy ratunkowej, składającej się z mężczyzny w średnim wieku z krótką brodą, dwudziestokilkuletniej kobiety i dwóch kilkunastoletnich chłopców.

– Uważaj na swój gniew – ostrzegł surowo Farfalla.

Johun chciał coś dodać, ale ugryzł się w język i tylko pokiwał głową. Nie powinien się tak irytować; to mu nie pomoże przekonać Lorda Valentyne'a, żeby zgodził się spełnić jego prośbę.

– Twój wiek nie ma nic wspólnego z moją decyzją – wyjaśnił starszy Jedi, kiedy się upewnił, że Johun już panuje nad emocjami. – Co trzeci nasz żołnierz jest młodszy niż ty.

Johun uświadomił sobie, że to prawda. Rosnąca liczba ofiar kampanii na Ruusanie zmusiła Armię Światła do wcielania w swoje szeregi coraz młodszych rekrutów. Jeżeli więc nie chodziło o jego wiek, musiało istnieć inne wyjaśnienie. Johun jednak nie zapytał otwarcie, dlaczego nie może lecieć. Wiedział, że cierpliwość zyska mu w oczach następcy generała Hotha większe uznanie niż seria bezmyślnych pytań.

– Przyjrzyj się uważnie tym, których wysyłam – odezwał się Farfalla. – To dzielni ochotnicy, cenni sprzymierzeńcy w naszej walce przeciwko Sithom. Żaden z nich nie jest jednak wrażliwy na oddziaływanie Mocy.

Zaskoczony Johun przyjrzał się uważniej członkom ekipy ratunkowej, którzy czynili ostatnie przygotowania do odlotu. Kobieta miała ciemną skórę

i krótkie, czarne włosy. Padawan przypomniał sobie, że już ją kiedyś widział. Służyła w siłach zbrojnych Republiki i nazywała się Irtanna. Zaciągnęła się do armii niewiele ponad standardowy rok wcześniej. Dopiero po chwili Johun zorientował się, kim są pozostali. Pomogło mu w tym podobieństwo między brodatym mężczyzną a dwójką nastolatków. Wszyscy pochodzili z Ruusana. Mężczyzna nazywał się Bordon i był farmerem, który uciekł przed wojskami Lorda Kaana podczas ostatniej ofensywy Sithów. Obaj chłopcy byli jego synami, ale Johun nie zapamiętał ich imion.

– Nie znamy pełnego zasięgu wpływu bomby myśli – ciągnął Farfalla. – Wstrząsy mogą się powtórzyć, a zatem zranić czy nawet zabić Rycerza Jedi albo padawana. To właśnie dlatego nie możesz tam polecieć.

Johun pokiwał głową. Słowa Mistrza Jedi miały sens; Valenthyne był po prostu przezorny. Padawan podejrzewał jednak, że wódz przesadza.

– Na powierzchni planety istnieją różne inne zagrożenia – stwierdził. – Nie wiemy, czy zginęli wszyscy Sithowie. Niektórzy mogli przeżyć.

Farfalla pokręcił głową.

– Kaan wywierał hipnotyzujący wpływ na swoich zwolenników – powiedział. – Wszyscy dobrowolnie poddawali się jego woli. Kiedy poprowadził ich w głąb jaskini, podążyli za nim z własnej woli. Przekonał ich, że jeżeli zjednoczą swoje wewnętrzne siły, mogą przeżyć eksplozję bomby myśli... Problem w tym, że nie miał racji.

– A co ze sługusami Sithów? – zainteresował się Johun, nieskłony do rezygnacji z dalszych pytań. Podobnie jak się działo w Armii Światła, Sithowie mieli swoich zwolenników, niewrażliwych na oddziaływanie Mocy: żołnierzy i najemników, którzy opowiedzieli się po stronie Bractwa Ciemności. – Nie wszystkich udało się nam schwytać. Niektórzy zwiali z pola bitwy. Wciąż jeszcze mogą tam być.

– To dlatego nosimy te zabawki – zapewniła kobieta, poklepując kolbę blastera na biodrze. Posłała mu drapieżny uśmiech; jej błyszczące białe zęby ostro kontrastowały z ciemną karnacją.

– Irtanna wie, jak się zatroszczyć o siebie – zgodził się z nią Farfalla. – Przeżyła więcej bitew niż ty i ja razem wzięci.

– Błagam, Lordzie Valenthyne. – Młody padawan nie dawał za wygraną i przyklęknął na jedno kolano. Był świadom, że to daremny i śmieszny gest, ale kierowała nim desperacja. Wiedział, że Farfalla ma rację, nic go to jednak nie obchodziło. Nie dbał o logikę, rozsądek czy nawet bezpieczeństwo. Nie zważał na zagrożenia, jakie wciąż jeszcze mogła stanowić eksplozja bomby myśli. Po prostu nie potrafił siedzieć z

założonymi rękami. – Proszę! Lord Hoth był moim Mistrzem!

Farfalla łagodnie położył dłoń na czole Johuna.

– Hoth uprzedzał mnie, że nie spodoba ci się decyzja, żeby cię odesłać na orbitę – powiedział cicho. – Twój Mistrz był mądrym człowiekiem. Podobnie jak ja wiedział, co jest dla ciebie najlepsze. W tej sprawie musisz zaufać mojemu osądowi, nawet jeżeli nie wszystko do końca rozumiesz.

Nowy dowódca Armii Światła zdjął dłoń z czoła młodego padawana, wziął chłopca za rękę i pomógł mu wstać.

– Twój Mistrz oddał życie, żeby nas wszystkich ocalić – przypomniał. – Jeżeli teraz ulegniemy emocjom, wystawimy się na niepotrzebne zagrożenie, lekceważąc to, co dla nas zrobił. Rozumiesz?

Johun pokiwał głową jak przykładowy padawan, który uznaje mądrość Mistrza Jedi.

– To dobrze – podsumował Farfalla. Odwrócił się i zajął obserwowaniem jednej z ekip ratunkowych. – Jeżeli chcesz się na coś przydać, pomóż Irtannie łądować zapasy.

Johun kiwnął głową jeszcze raz, chociaż Farfalla nie mógł go już widzieć. Zajął się wykonywaniem obowiązków, jakie nakładała na niego nowa rola.

Pracując w milczeniu, pomógł załadować ostatnie zapasy na pokład wahadłowca: polowe zestawy racji żywnościowych i pojemniki z wodą. Były tam także pakiety medyczne na wypadek, gdyby ktoś został ranny, a także elektrolornetki i zestaw sensorów do zwiadu i rozpoznania. Johun zauważył też pręty jarzeniowe do rozjaśniania ciemności nocy. Naturalnie nie mogło zabraknąć rezerwowych ogniw zasilania do blasterów, w które byli uzbrojeni wszyscy członkowie ekipy, na wypadek, gdyby naprawdę spotkali pozostałych przy życiu maruderów z armii Kaana.

– Dziękuję ci – powiedziała Irtanna, kiedy załadunek dobiegł końca.

Udając odprężonego, Johun rozejrzał się po hangarze. Nigdzie nie zobaczył Farfalli. Odwrócił się do Irtanny.

– Ty będziesz pilotować wahadłowiec podczas lotu w dół, czy wolisz, żebym ja się tym zajął? – zapytał.

Odpowiedź na pytanie powinna być prosta, ale Johun, zadając je, posłużył się Mocą, żeby dotknąć umysłu kobiety. Zrobił to łagodnie i ostrożnie, żeby nie wyrządzić jej krzywdy. Po prostu chciał jej coś zasugerować.

Jej oczy na chwilę zmatowiały, a na twarzy pojawiła się dezorientacja.

– Uhm... chyba sama będę pilotować – odparła Irtanna. – Ty możesz zająć miejsce na fotelu drugiego pilota.

– Lecisz z nami? – zdziwił się Bordon, mężczyzna w średnim wieku, ojciec obu chłopców. W jego głosie był cień wątpliwości.

– Oczywiście – odparł przyjaznym tonem Johun. – Wszyscy słyszeliście, jak Mistrz Farfalla powiedział, że powinienem wam pomóc załadować zapasy. Chybaby tego nie mówił, gdybym nie miał lecieć z wami.

Podobnie jak w rozmowie z Irtanna lekko napał Mocą na umysł Bordona, żeby wzmocnić tę półprawdę. W normalnych okolicznościach brzydziłby się manipulowaniem umysłami przyjaciół i sojuszników, ale doszedł do wniosku, że ekipa ratunkowa poradzi sobie lepiej, jeżeli będzie jej towarzyszył.

– Ta-a, racja – przyznał po chwili Bordon. – Dobrze, że lecisz z nami.

– To ma sens. Jedi powinien nam towarzyszyć – dodała Irtanna. – Na wszelki wypadek.

Johun zauważył, że przekonywanie przy użyciu Mocy zawsze jest łatwiejsze, kiedy ktoś pragnie zostać przekonany. Mimo to, wspinając się do kabiny niewielkiego wahadłowca, poczuł lekkie ukłucie wyrzutów sumienia.

To dlatego, że sprzeciwiłeś się poleceniu Farfalli, zapewnił się w duchu. Postępujesz słusznie.

– Uwaga, wszyscy! Proszę się przypiąć! – rozkazała Irtanna. Jej głos zagłuszył syk uszczelnianej śluzy.

Silniki wahadłowca obudziły się do życia i stateczek wzniósł się nad platformę lądowniczą.

– Wracamy na Ruusana, do domu albo do tego, co z niego pozostało – mruknął ponuro Bordon. Wahadłowiec przeleciał przez wrota ładowni okrętu i pogрузił się w górnych warstwach atmosfery planety.

ROZDZIAŁ 3

Darth Bane wyczuł ich o wiele wcześniej, niż zobaczył.

Ignoranci w sposobach władania Mocą widzieli w niej tylko broń albo narzędzie. Posługując się tym narzędziem, mogli zadawać ciosy przeciwnikom podczas bitwy, unosić w powietrze różne przedmioty i przyciągać je do czekającej dłoni. Mogli także posyłać je w przeciwną stronę pokoju. Dla kogoś, kto rozumiał prawdziwą potęgę i potencjał Mocy, wszystko to były tylko kuglarskie sztuczki.

Moc była częścią wszystkiego, co żyje, a każdy żywy organizm był częścią Mocy. Moc przepływała przez zwierzęta i istoty, drzewa i rośliny.

Posyłane przez nią fale elementarnej energii życia i śmierci tworzyły zmarszczki na powierzchni samej tkanki istnienia.

Mimo parkosyzmów bólu wbijających się w jego czaszkę, Bane zachował wrażliwość na te zmarszczki Mocy. Uświadamiały mu sfery wykraczające poza przestrzeń i nawet poza czas. Dawały mu ulotny wgląd w zmieniające się ciągle wizje przyszłości. To właśnie dlatego, chociaż znajdował się dwa kilometry od miejsca, w którym Kaan i jego armia rozbili ostatni obóz, poznał, że są w nim także inne osoby.

Przebywało tam ośmioro ludzi, sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Bane rozpoznał w nich najemników, którzy zgodzili się służyć Bractwu za kredyty i okazję do zadania ciosu znieprawdzonej Republice. Przeżyli ostateczną bitwę z oddziałami Hotha, bo byli niewrażliwi na oddziaływanie Mocy. Kiedy Kaan zniknął w wejściu do podziemnej jaskini, żeby zastawić pułapkę na Jedi, najprawdopodobniej uciekli w obawie przed ostateczną konfrontacją. Jak większość najemników, nie grzeszyli lojalnością, a obecnie zachowywali się jak chruszczące ścierwojady, żywiące się gnijącym mięsem zabitego bantha. Wrócili do opuszczonego obozu Sithów, żeby ukraść co wartościowsze przedmioty, jakie mieli nadzieję tu znaleźć.

– Przed nami ktoś jest – szepnęła po mniej więcej minucie Zannah. Słabiej dostrojona do subtelnych niuansów Mocy niż jej Mistrz, wyczuła niebezpieczeństwo trochę później niż on. Zważywszy jednak na to, że nigdy nie była szkolona, sam fakt, że w ogóle coś wykryła, najlepiej świadczył o jej

potencjale.

– Zaczekaj tu – rozkazał Bane. Wyciągnął rękę, każąc dziewczynce zostać tam, gdzie stała. Zannah usłuchała posłusznie.

Nie oglądając się za siebie, Bane puścił się biegiem naprzód. Posługiwał się Mocą, żeby wydłużyć krok. Ból w jego głowie zniknął, zmyty przez oczekiwanie walki i ekscytację jego uczennicy.

Po sześćdziesięciu sekundach takiego biegu zobaczył obóz Sithów. Dostrzegł sylwetki najemników, których los i tak był przesądzony. Kłócili się zajadle o to, które przedmioty są wystarczająco wartościowe, żeby zasługiwały na zabranie. Szóstka stała pośrodku obozu na niewielkiej polanie, dzieląc znalezione łupy. Pozostali dwaj czuwali na warcie poza kręgiem rozstawionych namiotów. Pewnie mieli zaalarmować pozostałych, gdyby zbliżało się niebezpieczeństwo. Darth Bane zgadywał, że wystawienie strażników było czystą formalnością. Powinni byli się ustawić na przeciwległych krańcach obozu, żeby skutecznie ostrzegać przed intruzami, którzy mogli się przecież pojawić z każdej strony. Tymczasem stali niespełna dwadzieścia metrów od siebie, bardziej zainteresowani zabijaniem czasu niż wypatrywaniem możliwych niebezpieczeństw.

Bane jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę i skrzywił się pogardliwie, zanim przystąpił do ataku. Moc pozwoliła mu od razu dostrzec wszystkie szczegóły. Mężczyźni na czatach nie wiedzieli, że ktoś zbliża się do obozu; ich uwagę zaprzętały gniewne okrzyki stojących na polanie sześciorga pozostałych najemników, kłócących się zawzięcie o bezprawnie zdobyte łupy.

Darth Bane zmienił lekko wektor biegu, żeby namiot zaopatrzenia przesłaniał go jak najdłużej przed wzrokiem strażników. Dopiero w ostatniej chwili przyspieszył i spadł na obóz jak anioł zagłady. Jednym płynnym ruchem wyciągnął świetlny miecz i zapalił energetyczną klingę. Pomruk szkarłatnego ostrza dał strażnikom kilka cennych sekund na zorientowanie się w sytuacji. Stojący bliżej mężczyzna wyciągnął blaster, ale nie na tyle szybko, żeby uniknąć nadciągającej śmierci.

Bane wyskoczył zza rogu namiotu zaopatrzenia cicho jak duch i spadł na pierwszą ofiarę niczym mroczny wichur. Przeciął strażnika na ukos od ramienia do biodra. Mężczyzna był zakuty w bojowy pancerz z zachodzących na siebie kompozytowych płytek, luźno złączonych, żeby nie ograniczały swobody ruchów. Osłaniająca jego pierś kamizelka mogła pochłonąć energię kilku blasterowych strzałów, oddanych z odległości nie mniejszej niż trzydzieści metrów, jednak ostrze Bane'a przecięło bez trudu

ochronne warstwy, pokonując pancerz, ciało i kości.

Kiedy pierwszy najemnik runął, Bane wyskoczył wysoko w powietrze, kierując się na następnego strażnika. Stromym łukiem pokonał dzielące ich kilkanaście metrów, unikając wystrzelonej przez żołnierza blasterowej błyskawicy. Wylądował niemal na jego głowie i wymierzył oburącz śmiertelny sztych w dół – klasyczny manewr stylu Djem So, piątej i najbardziej agresywnej formy walki na świetlne miecze. Silny cios rozplątał hełm nieszczęśnika i wbił się głęboko w jego czaszkę.

Nagła śmierć obu strażników dała pozostałym najemnikom dość czasu na zorientowanie się w sytuacji. Wyciągnęli broń i posłali ulewę blasterowych strzałów w stronę Bane'a, który odwrócił się, popatrzył na nich, a potem chwycił oburącz rękojeść świetlnego miecza i płynnie przeszedł od atakującego stylu Formy V do bardziej defensywnej Formy III. Z pogardliwą łatwością odbił nadlatujące błyskawice blasterowych strzałów. Trzymając miecz w prawej dłoni, zakręcił energetyczną klingą młynka. Na chwilę znieruchomiał, napawając się bezradnością i przerażeniem, jakie wyczuwał od strony sześciorga pozostałych przy życiu najemników, pewnych nieuniknionej śmierci. Zebrani na polanie między namiotami rabusie zastosowali jedyną metodę dającą im przynajmniej szansę przeżycia: odwrócili się i uciekli.

Rozbiegli się we wszystkie strony. Jedna z kobiet pognała w lewo, a dwaj mężczyźni w prawo. Pozostali pędzili prosto przed siebie, byle jak najdalej od przerażającego intruza. Cały czas kręcąc młynka klingą świetlnego miecza, Bane wyciągnął przed siebie lewą rękę, wyprostował palce i posługując się Mocą, wypuścił falę energii udarowej w kierunku kobiety po lewej stronie. Fala podziałała niszczycielsko. Wyrywała paliki rozstawionych namiotów, rozdzierała tkaninę i rozbijała na kawałki wszystkie przedmioty. Drewniane skrzynie z zaopatrzeniem stawały w ogniu albo eksplodowały, a ich zawartość sypała się we wszystkie strony jak grad okruchów.

W końcu fala Mocy uderzyła kobietę w plecy, połamała jej kręgosłup, skrzyła kark i wbiła ją twarzą w zakrwawioną glebę. Kobieta zadrzała tylko raz, zanim na zawsze znieruchomiła.

Darth Bane zwinął palce w pięść, odwrócił się w kierunku dwóch mężczyzn po prawej stronie i podniósł rękę wysoko. Nad jego głową zalśniły dziesiątki błękitnych błyskawic, które pomknęły w stronę uciekających najemników. Doścignęły ich i usmażyły żywcem. Kilka sekund krzyczeli w agonii, dygocząc jak marionetki na naelektryzowanych strunach. W końcu ich dymiące zwłoki runęły na glebę.

Przez tych kilka sekund trójka pozostałych rabusiów dotarła do odległego skraju obozu Sithów. Kilka metrów dalej, za linią namiotów, rósł gęsty ruusański las. Zwisające nisko gałęzie drzew kusily najemników perspektywą bezpiecznego schronienia, więc ogarnięci paniką zbiegowie jeszcze bardziej przyspieszyli. Bane obserwował ich ucieczkę z obojętnym wyrazem twarzy; napawał się ich strachem.

Kiedy od bezpiecznego leśnego azylu dzieliło ich zaledwie kilka kroków, jeden z mężczyzn popełnił fatalny błąd: obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy prześladowca wciąż ich goni. Dla kaprysu Bane posłał w jego stronę świetlny miecz. Wirująca klinga przecięła powietrze, w ciągu ułamka sekundy pokonała odległość do uciekiniera, po czym wróciła prosto do prawej dłoni Mistrza.

Dwójka pozostałych przy życiu najemników dotarła do lasu i teraz z trzaskiem przedzierała się przez poszycie. Trzeci – ten, który się obejrzał – stał jak skamieniały. Dopiero po sekundzie jego odcięta od szyi głowa spadła z ramion, odbiła się od gruntu i potoczyła, zanim spoczęła nieruchomo. Jakby to było sygnałem, sztywne kończyny zabitego zwiotczały i mężczyzna osunął się na bok.

Bane wyłączył szkarłatną klingę świetlnego miecza, a ostrze zniknęło z głośnym sykiem. Przez chwilę Sith cieszył się z odniesionego zwycięstwa; napawał się emocjami swoich ofiar, czerpał potęgę z ich strachu i cierpienia. Potem te uczucia zniknęły, podobnie jak tamtych dwoje, którzy uniknęli jego gniewu. Bane mógłby ich ścigać, rozkoszując się wyczuwalną paniką, ale rozumiał, że lepiej darować im życie.

– Pozwoliłeś im uciec.

Odwrócił się i z zaskoczeniem zobaczył, że za nim, na końcu obozu, stoi Zannah. Zaabsorbowany zabijaniem, nie wyczuł, kiedy się zbliżała. Może zresztą mała uczennica zadała sobie sporo trudu, żeby zataić przed nim swoją obecność.

Nie lekcewał jej, upomniał się w duchu Bane. Ma wystarczającą potęgę, żeby któregoś dnia cię prześcignąć.

– Pozwoliłeś im uciec – powtórzyła dziewczynka. W jej głosie nie było gniewu, rozczarowania ani zadowolenia. Zannah wyglądała na zdezorientowaną.

– Powiedziałem ci, żebyś na mnie zaczekała – skarcił ją Bane. – Dlaczego nie posłuchałaś?

Zannah nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się nad doborem słów, które by udobruchały jej Mistrza.

– Chciałam zobaczyć prawdziwą potęgę Ciemnej Strony – wyznała w końcu. – Czy możesz mnie nauczyć... – Urwała, nie znajdując słów na określenie tego, czego właśnie była świadkiem. Po prostu zatoczyła ręką koło, jakby obejmując nim całą tę masakrę.

– Nauczysz się – zapewnił ją Bane i przypiął do pasa zakrzywioną rękojeść świetlnego miecza.

Zannah się nie uśmiechnęła. W jej spojrzeniu kryło się pragnienie, które Mistrz aż za dobrze znał i rozumiał. Widywał tę samą nagą ambicję w oczach Githany, swojej byłej kochanki, jednej ze skazanych na zagładę zwolenniczek Kaana. Wiedział, że jeżeli Zannah nie nauczy się panować nad ambicją, doprowadzi ją to do śmierci, podobnie jak Githany.

– Fizyczna eliminacja to najprostszy przejaw potęgi Ciemnej Strony – uświadomił ją Mistrz. – Brutalna i szybka, służy określonej celowi. Mimo to często bywa mniej skuteczna niż subtelna przebiegłość. W ostatecznym rozrachunku darowanie życia tym dwojgu najemnikom może okazać się korzystniejsze niż ich zlikwidowanie.

– Ale oni byli słabi – sprzeciwiła się uczennica, wykorzystując jego własny argument. – Zasłużyli na śmierć!

– Niewiele istot w galaktyce spotyka to, na co naprawdę zasługują – stwierdził Bane, starannie dobierając słowa. Niełatwo było zrozumieć Ciemną Stronę. Nawet on wciąż jeszcze się uczył sztuki przedzierania się przez jej zawiłości i sprzeczności. Musiał być ostrożny, żeby nie zawstydzić swojej młodej uczennicy. Musiał jednak także zadbać o to, żeby zrozumiała istotę tego, co właśnie zrobił. – Nasze zadanie nie polega na tym, żeby uśmiercić wszystkich, którzy nie zasługują na dalsze życie. Mamy przed sobą większe wyzwanie. Wszystko, czego dokonałem na Ruusanie, i wszystko, co odtąd zrobimy oboje, musi służyć najpoważniejszemu celowi: zachowaniu naszego Zakonu i przetrwaniu Sithów.

Zannah przemyślała to, co usłyszała, i w końcu pokręciła głową.

– Przykro mi, Mistrzu – oznajmiła. – Nadal nie rozumiem, dlaczego tamtych dwojga także nie zabiłeś.

– Jako słudzy Ciemnej Strony powinniśmy zabijać naszych przeciwników – przyznał Darth Bane. – Czerpiemy potęgę z ich cierpienia, ale musimy porównywać tę satysfakcję z możliwością osiągnięcia większych celów. Powinniśmy zrozumieć, że tylko głupcy zabijają dla sadystycznej przyjemności, bez powodu, potrzeby czy celu.

Dziewczynka wyglądała na zdezorientowaną.

– Jaki jest cel pozostawiania przy życiu takich szumowin? – zapytała.

– Jedi uważają, że tu, na Ruusanie, zginęli wszyscy członkowie Zakonu Sithów – wyjaśniał cierpliwie Bane. – To prawda, na wielu innych planetach żyją zwolennicy Ciemnej Strony: Maruderzy na Honoghrze i na Gamorrze, a także Mroczni Skrytobójcy na Rylothu i na Umbarze. Największą potęgą dysponują jednak osobnicy, którzy potrafiliby stać się prawdziwymi Mistrzami Sithów, a oni zgromadzili się tu, w Bractwie Kaana. Wszyscy wzięli udział w tej wojnie i wszyscy podążyli za Kaanem ścieżką ku śmierci. Znajdą się jednak tacy, którzy nie uwierzą w to, że na Ruusanie zginęli wszyscy Sithowie. Będzie się szeptać tu i tam, że Sithowie przeżyli... rozejdą się plotki, że gdzieś w galaktyce przeżył Ciemny Lord. A jeżeli Jedi natkną się kiedykolwiek na dowód naszego istnienia, nie spoczną, dopóki nas wszystkich nie zabiją.

Przerwał na chwilę, żeby do Zannah dotarło pełne znaczenie jego słów.

– Nie możemy żyć w izolacji, kuląc się ze strachu, odcięci od reszty galaktyki – podjął w końcu. – Musimy próbować powiększać naszą potęgę. W tym celu trzeba będzie utrzymywać kontakty z osobnikami wielu ras na wielu planetach. Niektórzy spośród nich pewnie się zorientują, kim jesteśmy... choćbyśmy się nie wiem jak dobrze maskowali. W końcu do uszu Jedi dotrze informacja o naszym istnieniu.

Zannah patrzyła na niego uważnie. Chłoneła każde jego słowo, usiłując zrozumieć pokrętną logikę Ciemnej Strony.

– A skoro nie damy rady ukryć tego, że żyjemy – ciągnął Bane – musimy ten fakt zamaskować. Powinniśmy zachęcać kogo się da do szerzenia coraz to nowych plotek. Powinno ich być tyle, żeby zmyliły naszych nieprzyjaciół, aż przestaną odróżniać fikcję od rzeczywistości.

W oczach Zannah pojawił się błysk zrozumienia.

– A plotka jest tylko na tyle wiarygodna, co jej źródło! – wykrzyknęła.

Zadowolony Bane pokiwał głową.

– Ci, którym darowałem życie, rozgadają, że mnie spotkali, ale kto by tam dawał wiarę takim szumowinom – powiedział. – Wszyscy wiedzą, że to samolubni najemnicy, którzy czmychnęli z pola ostatecznej bitwy, żeby ocalić życie, a potem wrócili do obozu swoich sojuszników, by go obrabować. Uzna się ich za złodziei i zdrajców. Nikt nie uwierzy w ich historyjkę, dzięki czemu prawda zostanie potraktowana jak bezwartościowa plotka. A jeżeli potem pojawią się inni świadkowie naszej obecności na Ruusanie – ciągnął Bane, snując nić skomplikowanej tkaniny oszustwa – tym bardziej nikt nie uwierzy w ich opowieści. Będzie zbyt podobna do rzekomych kłamstw, wygłaszanych przez tchórzliwych szabrowników.

– Czyli ich śmierć na nic by się nam nie przydała – mruknęła Zannah na wpuł do siebie. Nie powiedziała nic więcej, pogrążona w zadumie; chyba wciąż jeszcze rozważała znaczenie usłyszanych słów.

Bane przestał zwracać uwagę na uczennicę i przeniósł spojrzenie na stos przedmiotów, zgromadzonych pośrodku obozu przez szabrowników. Był ostatnim żywym Sithem, więc jeżeli w tym stosie znajdzie się coś cennego, zgodnie z prawem powinno należeć do niego.

Większość rzeczy na stosie w ogóle go nie zainteresowała. Niektórzy członkowie Bractwa Kaana zgromadzili skarby o ogromnej wartości. Prawdopodobnie przypuszczali, że zachłanność i zazdrość, jakie wzbudzały u pozostałych, podsyci potęgę Ciemnej Strony. Najemnicy zgromadzili teraz te świecidełka – ozdobne pierścienie i naszyjniki ze szlachetnych metali, a także wysadzane drogimi kamieniami ceremonialne noże i sztylety o rękojeściach inkrustowanych klejnotami. Leżały tam także kunsztownie rzeźbione maski i niewielkie posążki z rzadkich i cennych materiałów. Wszystko to rzucono beztrąsko na stos.

Dla Bane'a i jego misji oglądanie bezcennych skarbów nie miało absolutnie żadnego znaczenia. Nie zamierzał poświęcać na to ani chwili. Poczł znowu ból w tylnej części głowy; w tym samym momencie zauważył kątem oka jakąś postać, która od razu zniknęła z pola jego widzenia.

Błyskawicznie odwrócił głowę w kierunku miejsca, w którym coś się poruszyło, ale niczego już nie zobaczył. To nie była Zannah, bo intruz był o wiele wyższy. Bane wysłał myśli do Mocy, ale nadal wyczuwał tylko siebie i swoją uczennicę.

– O co chodzi? – zapytała Zannah, widząc jego niepokój. – Czy ktoś się zbliża?

– Nie, nie – odparł Bane. Czyżby to naprawdę nie było nic ważnego? – zadał sobie pytanie. A może to po prostu skutek uboczny bomby myśli?

Zannah podeszła do niego, przyciągnięta błyskami słońca odbitego od rozrzuconych wszędzie szlachetnych kamieni.

– Co to jest? – zapytała. Pochyliła się i wyciągnęła jakiś przedmiot z samego spodu stosu.

Był to cienki, obłożony w skórę manuskrypt. Obróciła go ostrożnie w dłoniach, oglądając z każdej strony. Kiedy Bane wyciągnął rękę, posłusznie podeszła i podała mu znalezisko.

Lord Sithów od razu rozpoznał styl manuskryptu. W bibliotece Akademii Bractwa na Korribanie znajdowało się wiele podobnych tomów, ale tego akurat Bane nigdy przedtem nie widział. Książka była cienka, mogła mieć

najwyżej kilkadziesiąt stron, a na okładce widniały tajemnicze słowa, wypisane krwistoczerwonym atramentem. Bane znał ten język. Zapoznał się z mową pradawnych Sithów podczas studiów w Akademii, kiedy zwracał większą uwagę na mądrość dawno zmarłych Mistrzów niż na nauki głupców, którzy pragnęli go nauczyć wyblakłej filozofii „nowych Sithów” Bractwa.

Otworzył księgę. Tym samym czerwonym atramentem i drobnym pismem zapisano stronicę, a także sporządzono kunsztowne ilustracje. Autor manuskryptu używał języka pradawnych Sithów, na marginesach stron widniały jednak odręczne notatki w języku basic. Bane rozpoznał pismo Qordisa, byłego naczelnika Akademii na Korribanie i jednego z wielu tak zwanych Lordów Sithów, służących pod rozkazami Kaana. W przeciwieństwie do pozostałych członków Bractwa Ciemności Qordis nie zginął podczas eksplozji bomby myśli. Umarł kilka godzin wcześniej, kiedy Bane posłużył się Mocą, żeby odebrać życie byłemu nauczycielowi.

Dlaczego Qordis zabrał ze sobą ten manuskrypt z Korribana? – zastanowił się Bane. Qordis zawsze interesował się raczej gromadzeniem skarbów niż badaniem prastarych woluminów. Ubierał się w najdelikatniejsze jedwabie i nosił najkosztowniejsze klejnoty. Długie, drapieżne palce obu jego rąk zdobiły pierścienie o ogromnej wartości. Nawet swój namiot na Korribanie ozdobił rzadkimi, cennymi gobelinami i kilimami. Jeżeli więc nie rozstawał się z tym manuskrytem przez cały okres podróży z Akademii na Ruusana, księga musiała zawierać niezwykle cenną wiedzę.

– Co jest w tej książce? – zainteresowała się Zannah, ale Bane nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

Przerzucił szybko strony manuskryptu, nie zagłębiając się ani w oryginalny tekst, ani w uwagi Qordisa. Wyglądało na to, że ma przed sobą historię życia i nauk Freedona Nadda, wielkiego Mistrza Sithów, który żył ponad trzy tysiące standardowych lat wcześniej. Bane czytał poprzednie biografie Nadda, ale w tej księdze znalazł coś, na co nie natknął się w innych wersjach: informacje o miejscu jego ostatecznego spoczynku.

Od wielu wieków miejsce pochówku Freedona Nadda było okryte tajemnicą. Postarali się o to Jedi; nie chcieli, żeby zwolennicy Ciemnej Strony szukali wskazówek i potęgi płynącej z ukrytych w grobowcu Nadda artefaktów Sithów. Na ostatniej stronie manuskryptu Qordis pozostawił jednak notatkę, podkreśloną dla nadania jej jeszcze większego znaczenia. Brzmiała ona: „Szukajcie grobowca na Dxunie”.

Sposób, w jaki Qordis uzyskał tę informację, nie miał dla Bane'a

znaczenia. Liczyło się tylko to, że obecnie i on zna to miejsce. Wojna na Ruusanie uniemożliwiła Qordisowi podjęcie próby odnalezienia grobowca Nadda na Dxunie, ale wraz z zakończeniem walk zniknęły wszystkie przeszkody, które mogłyby powstrzymać Bane'a przed wyruszeniem na poszukiwania i przed przywłaszczeniem sobie dziedzictwa Nadda. Najpierw jednak Lord Sithów musiał znaleźć sposób opuszczenia Ruusana.

Przez jego czaszkę przeniknął aż nazbyt znajomy ból. Tym razem Bane dostrzegł kątem oka czyjąś sylwetkę. Mógł ją widzieć prawie całą sekundę, więc zauważył, że jest to ubrany w strój Sithów wysoki, barczysty mężczyzna. Bane rozpoznał go od razu: Lord Kaan! Po chwili, podobnie jak poprzednio, sylwetka po prostu rozplynęła się w powietrzu.

Czyżbym naprawdę to widział? – zadał sobie pytanie Lord Sithów. Czy to możliwe, żeby przywódca Bractwa Ciemności przeżył w jakiejś postaci eksplozję bomby myśli? Czy jego duch mógł nawiedzać świat po jego śmierci?

Bane zamknął manuskrypt i spojrzał na Zannah. Dziewczynka nie zdradzała niczym, że cokolwiek zobaczyła albo wyczuła. To tylko umysłowa sztuczka, pomyślał Bane. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Z tak niewielkiej odległości Zannah wyczułaby obecność ducha Ciemnej Strony, a jednak zachowywała się jakby nigdy nic.

Wzbudziło w nim to dziwną mieszankę niepokoju i ulgi. Kiedy ujrzał tak blisko postać Kaana, pomyślał przez chwilę – tylko przez chwilę – że jego plan unicestwienia Bractwa nie zakończył się pełnym powodzeniem. Sukces przedsięwzięcia umniejszał też fakt, że bomba myśli wyrządziła więcej szkód niż początkowo się wydawało. Bane miał nadzieję, że optyczne złudzenia i dręczący ból w czaszce wkrótce miną.

Zannah nie spuszczała z niego oczu. Najwyraźniej miała wielką ochotę, żeby go wypytać, co odkrył na stronicach znalezionej przez nią księgi. Kiedy Bane wsunął manuskrypt między fałdy płaszcza i nie przedstawił żadnego wyjaśnienia, wyraz oczekiwania i ciekawości na jej buzi zmienił się w rozczarowanie. Lord Sithów miał zamiar w swoim czasie podzielić się z nią całą swoją wiedzą, obecną i przyszłą. Dopóki jednak nie zdobędzie okazji osobistego zbadania grobowca Nadda, o jego istnieniu nie chciał mówić nikomu – nawet swojej uczennicy.

– Czy jesteś gotowa odlecieć z tej planety? – zapytał.

– Ta planeta przyprawia mnie o mdłości – odparła z goryczą Zannah. – Odkąd tu przyleciałam, wszystko idzie źle.

– A twoi kuzyni? – zagadnął Bane, przypominając sobie jej słowa o

dwóch chłopcach, z którymi tu przyleciała. – Tęsknisz za nimi?

– A jakie to może mieć znaczenie? – odparła Zannah, wzruszając ramionami. – Tomcat i Bug nie żyją. Dlaczego miałabym tracić czas na myślenie o nich?

Jej słowa dowodziły chłodnej obojętności, ale Bane zorientował się, że cała ta gruboskórność to tylko mechanizm obronny. Wyczuwał pod powierzchnią płonące emocje. Po śmierci kuzynów dziewczynka czuła gniew i pretensje. Winiła Jedi za to, co się stało, i miała im tego nigdy nie wybaczyć. Kipiąca w niej wściekłość miała być odtąd stałą cechą charakteru. W ciągu najbliższych lat powinna jej dobrze służyć.

– Chodź ze mną – polecił Bane, podejmując nagłą decyzję.

Poprowadził ją do porzuconego skutera grawitacyjnego, zostawionego w pobliżu jednego z namiotów. Wspiął się na siodełko, a mała zajęła miejsce za jego plecami. Objęła go szczupłymi rączkami z całej siły, a Bane uruchomił silnik i wzniósł maszynę w powietrze.

– Dlaczego zabieramy ten grawicykl? – zagadnęła dziewczynka; musiała krzyczeć mu prosto do ucha, żeby jej głos się przebił przez warkot silnika.

– Bo dzięki temu będziemy podróżować szybciej. Czasu mamy coraz mniej – odkrzyknął Bane, odwracając głowę. – Wkrótce wrócą tu Jedi, żeby zabrać swoich poległych i rozpocząć poszukiwania tych z armii Kaana, którzy przeżyli. Zanim jednak odlecimy, musisz przyswoić sobie jeszcze jedną lekcję.

Nie powiedział nic więcej, bo niektórych rzeczy nie można wyjaśnić słowami. Trzeba było je zobaczyć, zrozumieć. Zannah musiała ujrzeć na własne oczy szczątki bomby myśli. Musiała poznać wszystkie skutki szaleństwa Kaana. Musiała pojąć wagę tego, co Bane tu osiągnął. A on musiał się upewnić, że postać, którą widział, była tylko spóźnionym rezultatem oddziaływania bomby myśli. Musiał zobaczyć na własne oczy niezaprzeczalny dowód, że Kaan naprawdę zginął.

ROZDZIAŁ 4

Darovit leżał skulony na zimnym dnie, skąpany w blasku promieniującym z wnętrza srebrzystego jaja, które unosiło się pośrodku jaskini. Nie poruszył się od prawie dwóch godzin, sparaliżowany przez zachwyty i przerażenie. Wydawało mu się, że tu, w epicentrum bomby myśli, czas przestał odgrywać jakąkolwiek rolę, a on sam trwa zawieszony między życiem a śmiercią... uwięziony jak udreżone duchy zwolenników Kaana i Jedi, którzy ośmielili się im stawić czoło.

W końcu jednak wstrząs zaczął mijać. Powoli wracała świadomość, ciągnąc za sobą rzeczywistość fizycznego świata. Powietrze w jaskini było wilgotne i bardzo zimne, więc ciałem Darovita wstrząsały dreszcze, nad którymi nie potrafił zapanować. Z nosa mu ciekło, a kiedy uniósł rękę, żeby otrzeć niemłą wilgoć drżącą dłonią, przekonał się, że zdrętwiałe z zimna palce nie chcą się zginać.

– Weź się w garść, Tomcat – nakazał sobie. – Czas ruszać w drogę powrotną.

Wstał z wielkim trudem, ale zaraz znów upadł, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ból pomógł mu jednak otrząsnąć się z czaru, pod którego wpływem dotąd się znajdował. Darovit powrócił do rzeczywistości. Mógł się teraz skoncentrować na chwili obecnej.

Gorączkowo zaczął masować nogi, żeby przywrócić w nich krążenie krwi. Chciał jak najszybciej oddalić się od tego miejsca, od mrocznych istnień w bezgłośnie pulsujących szczątkach bomby myśli. Na sam ich widok przechodził go dreszcz. Pozostałości bomby wzbudzały w nim obrzydzenie, ale zarazem dziwnie go kusily.

– Nie patrz w tamtą stronę – nakazał sobie chrapliwym szeptem i zdwoił wysiłki, żeby zmniejszyć ból w nogach. Po jakiejś minucie zaryzykował i wstał. Stopy przeszyły mu igły bólu, a kolana lekko się zachwiały, ale tym razem zdołał ustać prosto.

Rozejrzał się po jaskini w padającym ze srebrzystego jaja blasku. Odchodziło od niej przynajmniej sześć tuneli. Darovit zaklął, bo uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, którym wydostać się na wolność.

– Nie możesz tu zostać – mruknął do siebie.

Wybrał pierwszy lepszy wlot i powoli, niepewnie zaczął oddalać się od jaskini. Niemal od razu znalazł się w nieprzeniknionej ciemności, więc wyciągnął świetlny miecz, który dostał od Sitha. Dzięki słabemu blaskowi rubinowej klingi widział przed sobą kawałek nierównego dna tunelu.

Szybko uświadomił sobie, że dokonał niewłaściwego wyboru. Pamiętał stromiznę, po której się stoczył do samej jaskini, ale dno tego tunelu biegło jednak prawie poziomo. Mógł wprawdzie zawrócić i wybrać inny tunel, ale pomyślał o powrocie do głównej jaskini – i do jaja z uwięzionymi w nim duchami – i postanowił iść dalej.

– Ten tunel musi gdzieś wychodzić na powierzchnię – powiedział do siebie. – Podążaj nim, dopóki nie wyjdiesz na wolność.

Plan wydawał się prosty, dopóki Darovit nie dotarł do rozwidlenia. Długo się wahał, którą wybrać odnogę. Uważnie zaglądał w głąb jednej, a potem drugiej. Nie znalazł jednak wskazówek, które mogłyby mu pomóc w wydostaniu się z podziemnego labiryntu. Westchnął z rezygnacją, pokręcił głową i zdecydował się na tunel odchodzący w lewo.

Czterdzieści minut i trzy następne rozwidlenia później pożałował podjętej decyzji. Teraz już nie mógłby wrócić do jaskini, nawet gdyby bardzo tego chciał. Zrozumiał, że zabłądził na dobre. W brzuchu mu zaburczało, a do głowy przyszła myśl, że może już nigdy się stąd nie wydostanie.

Szedł dalej – coraz szybciej, poganiany przez panikę. W końcu zaczął biec. Uważnie patrzył na ściany, w nadziei, że w słabym blasku klingi świetlnego miecza coś zobaczy – cokolwiek, co pomoże mu odnaleźć drogę. Skręcił w boczny tunel, ale w pośpiechu potknął się i upadł.

Wyciągnął przed siebie ręce, żeby zamortyzować upadek, i przy okazji wypuścił z dłoni świetlny miecz. Płonąca klinga wyryła bruzdę w kamiennej ścianie i zgasła. Rękojeść potoczyła się z brzękiem po nierównym dnie tunelu i wszystko wokół pogrążyło się w całkowitej ciemności.

Darovit leżał twarzą w dół na twardym, nierównym dnie tunelu i poddawał się desperacji. Nie było sensu iść dalej; w ten sposób nigdy nie odnajdzie drogi na powierzchnię. Lepiej umrzeć tutaj, w samotności i zapomnieniu.

Odwrócił się w końcu na plecy i wbił wzrok w sklepienie. Wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk, słaby, ale prawdziwy. To nie było złudzenie. Odgłos napływał z przodu, gdzieś z daleka, jakby z trudem przedzierał się przez śmiertelną ciszę.

Wydaje ci się tylko, że coś słyszysz, Tomcat, pomyślał Darovit. Po chwili jednak dźwięk powrócił. To był męski głos. Dobiegał z dużej odległości, odbity od nierównych ścian tunelu. Ktoś tam był!

Darovit zastanawiał się, czy to Jedi, który wrócił, żeby się przekonać, jaki los spotkał jego poległych towarzyszy. Mógł to być także pachołek Sithów, który uciekł krótko przed ostateczną bitwą, albo ktoś nieznany, sprzymierzony z kimś zupełnie innym. Młodzieniec nie miał pojęcia, czy nieznajomy powita go z radością, weźmie do niewoli czy też może od razu zabije, ale tym się nie przejmował. Nawet strach przed powrotem do jaskini i do nienaturalnego, piekielnego, srebrzystego jaja nie mógł go w tej chwili powstrzymać. Wszystko jest lepsze niż śmierć z zimna albo z głodu w tych mrocznych tunelach pod powierzchnią Ruusana.

Ruszył w ciemności na czworakach, macając wokół siebie, aż w końcu jego palce zacisnęły się na rękojeści świetlnego miecza. Darovit uniósł go triumfująco w powietrze i zapalił energetyczną klingę. Teraz znowu mógł coś widzieć.

Nie potrafił określić, jak daleko od niego znajduje się nieznajomy, którego głos usłyszał. Nie znał akustyki tego tunelu. Odbite od nierównych powierzchni kamiennych ścian podziemnego labiryntu dźwięki mogły być zniekształcone.

Młodzieniec wiedział tylko, że głos napływa z przodu, z kierunku, w którym cały czas podążał.

Korzystając z blasku klingi świetlnego miecza, posuwał się do przodu, coraz bardziej pewny siebie. Spodziewał się, że lada chwila usłyszy następny urywek rozmowy; do tej pory zdążył się zorientować, że muszą tam być dwie osoby, bo każda miała charakterystyczny głos. Jeden brzmiał basowo, drugi był o wiele wyższy. Głosy dobiegały z coraz mniejszej odległości, więc Darovit był pewny, że podąża w dobrym kierunku.

Zauważył, że w tunelu robi się coraz widniej. Nie musiał już korzystać ze świetlnego miecza, żeby coś widzieć. Jasność nie była jednak złotym blaskiem wpadających do tunelu promieni słońca, tylko chłodną, srebrzystą poświatą. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że zatoczył koło i znowu zbliża się do jaskini ze szczątkami bomby myśli. Nieważne, do kogo należały głosy – do przyjaciół czy do wrogów, miał nadzieję ich tam znaleźć.

Jaskinia była już tak blisko, że można było zrozumieć słowa rozmowy.

– Od tej pory Sithów będzie tylko dwóch. Jeden Mistrz i jeden uczeń – mówił mężczyzna o basowym głosie. – Nie będzie innych Sithów.

– A co się stanie, jeżeli zawiodę? – zapytała druga osoba.

To chyba kobieta, pomyślał Darovit, zbyt skoncentrowany na marszu w stronę źródła dźwięków, żeby zwracać uwagę na znaczenie usłyszanych słów. Nie, nie kobieta, poprawił się w myśli. To dziewczynka.

– Czy mnie także zabijesz? – zapytała.

Darovit przeżył wstrząs, bo uświadomił sobie, że zna ten głos. Nie rozumiał, jak to możliwe, ale nie miał cienia wątpliwości.

– Rain! – wykrzyknął i puścił się biegiem w kierunku kuzynki, którą dotąd uważał za martwą. – Rain, ty żyjesz!

Podróż do jaskini trwała krótko, a po drodze nie wydarzyło się nic szczególnego. Bane zauważył kilka oszołomionych osób; to ci, co przeżyli ostateczną bitwę na Ruusanie. Niedobitki, obserwowali ich, kiedy przelatowali grawicyklem, ale Darth Bane nie zwracał na nich uwagi. Wątpił, żeby ktokolwiek z przechodzących rozpoznał w nim Sitha. Zresztą nawet gdyby ktoś go poznał, opowieść o Lordzie Sithów podróżującym w towarzystwie dziewczynki pewnie się wyda równie absurdalna i niewiarygodna jak historia dwojga najemników, którym pozwolił uciec z obozu Kaana.

Zastopował maszynę przed wlotem do mrocznego, posępnego tunelu, którym zamierzali dotrzeć do jaskini ze szczątkami bomby myśli. Zrobił parę kroków, słysząc głośny chrzęst rozgniatanych pod jego ciężkimi, czarnymi butami kamyków. Zannah była tak lekka, że bez chwili wahania czy strachu sfrunęła ze swojego siodełka i zręcznie wylądowała obok niego.

Zapuscili się bez słowa w głąb tunelu. Ciemności rozjaśniał tylko blask jednego z jarzeniowych prętów, które Bane znalazł w obozie Sithów. Stopniowo powietrze stawało się coraz chłodniejsze, aż idąca obok niego Zannah zaczęła się trząść z zimna. Mimo to nie narzekała. Poruszali się szybko wyciosanym w kamieniu tunelem o chropowatych ścianach. Tunel był długi; dotarcie do jaskini zajęło im prawie dwadzieścia minut. Dopiero wówczas Darth Bane pierwszy raz mógł ocenić rezultaty postępu Kaana.

Srebrzyste, podświetlone jajo, unoszące się nad dnem jaskini, miało wysokość niemal trzech metrów. Pulsowało surową potęgą, od której Bane dostawał gęsiej skórki. Pod lśniąca metalową powierzchnią wirowały mroczne cienie w powolnym, hipnotyzującym rytmie. Wyglądało to groteskowo, ale mimo to zniewalająco. W samej kuli było coś fascynującego, a zarazem odpychającego.

Stojąca z tyłu Zannah wciągnęła przerażona powietrze i powoli je wypuściła. Bane odwrócił się, by popatrzeć na nią, ale dziewczynka nie odwzajemniła jego spojrzenia. Szeroko otwarte oczy wlepiła w pozostałości

bomby myśli. Bane zerknął jeszcze raz na jajo i ruszył naprzód. Zannah zrobiła krok, jakby chciała za nim pójść, ale w końcu została z tyłu.

Darth Bane podszedł do jaja, wyciągnął ręce i przycisnął dłonie do powierzchni. Pod palcami poczuł zimny ogień. Nie zwracając uwagi na ból, poddał się zachwytowi, jaki wzbudzało w nim hipnotyzujące jajo. Pod dotykiem jego dłoni czarne, wirujące cienie skupiły się w jednolitą masę myśli uwięzionych w środku osób i podążyły na spotkanie z jego myślami. Mroczne zakamarki umysłu Bane'a napełniły ciche szepty; niezrozumiałe słowa ociekały rozpaczą i nienawiścią.

Bane wzdrygnął się mimo woli i cofnął. Chociaż miał ochotę, nie oderwał dłoni od jaja. Teraz wysłał przed siebie świadomość, która mogła przebić powierzchnię i pogrążyć się w niezbadane głębiny czarnego serca jaja. Nienawistne szepty przeszły w udęczone krzyki. Brzmiały jak wycie bestii ogarniętych bezrozumną, pierwotną wściekłością. Psychika pochłoniętych przez bombę myśli osób – Lorda Kaana, generała Hotha i wszystkich zwolenników Sithów i Jedi – została zniszczona, rozerwana na strzępy w wyniku eksplozji bomby myśli. Zostały tylko szczątki, poszarpane strzępy ich osobowości, niezdolne do świadomego myślenia. Mogły zawodzić we wspólnym cierpieniu ostatecznego szaleństwa.

Te strzępy wtargnęły do świadomości Bane'a i opanowały ją niczym pasożyty nowego żywiciela. Lord Sithów poczuł, że otaczają go gorliwe duchy, że szarpią jego psychikę, starając się go wciągnąć w dół, w głąb mrocznej otchłani.

Oderwał się od tych bytów z pogardliwą łatwością. Rozszarpał ulotne strzępy duchów i odrzucił je na bok. Pozwolił własnemu umysłowi wypłynąć na powierzchnię. Chwilę później był już wolny. Wydostał się z więzienia, z którego pozostali nie mieli nigdy uciec.

Oderwał lewą dłoń od powierzchni zdeformowanej sfery. Cofnął się o krok, zadowolony z rezultatu. Nie było żadnych duchów, które mogłyby go prześladować. Kaan nie istniał, a przynajmniej nie w rzeczywistym sensie. Sylwetka, którą dostrzegł przez moment w obozie Sithów, była tylko optycznym złudzeniem, wytworem jego przeciążonej psychiki.

– Oni wszyscy zostali uwięzieni w tym jaju? – zagadnęła Zannah, patrząc na Bane'a ze zdumieniem i przerażeniem.

– Uwięzieni, martwi... Co to za różnica? – odparł Mistrz Sithów, wzruszając ramionami. – Kaan i Bractwo już nie istnieją. Dostali to, na co zasłużyli.

– Więc byli słabi?

Bane nie odpowiedział od razu. Kaan miał wiele wad – był ambitny, charyzmatyczny i uparty, a w końcu okazał się głupcem – ale nikt mu nie zarzucał słabości.

– Kaan był zdrajcą – odezwał się w końcu Bane. – Odwiódł Bractwo od nauk pradawnych Sithów. Pogardził samą esencją Ciemnej Strony.

Zannah nie odpowiedziała; wpatrywała się w niego z oczekującą miną. Bane doszedł do wniosku, że jeszcze się nie przyzwyczaił do roli nauczyciela. Był człowiekiem czynu, nie słów. Nie potrafił na razie dzielić się swoją mądrością z osobą, która rozpaczliwie chciała się jej nauczyć. Rozumiał jednak, że lekcje będą o wiele bardziej skuteczne, jeżeli jego uczennica będzie musiała sama domyślać się niektórych odpowiedzi.

– Dlaczego wybrałem cię na moją uczennicę? – zapytał, rzucając jej wyzwanie. – Dlaczego sama postanowiłaś kroczyć szlakiem Ciemnej Strony?

– Ze względu na potęgę – odparła zwięźle Zannah.

– Potęga to tylko środek do celu – skarcił ją Bane. – Nie jest celem samym w sobie. Do czego ci potrzebna potęga?

Dziewczynka zmarszczyła brwi. Jej Mistrz poznał ją już na tyle dobrze, aby się zorientować, że uczennica poszukuje właściwej odpowiedzi.

– Dzięki potędze osiągam zwycięstwo – odezwała się w końcu, recytując przedostatnią linijkę Kodeksu Sithów, którego nauczyła się zaledwie kilka godzin wcześniej. Było oczywiste, że mała wykorzystuje swoje ograniczone zrozumienie Ciemnej Strony, aby udzielić odpowiedzi, jakiej Bane się po niej spodziewał.

– Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy... – ciągnęła, poszukując właściwych słów, które pozostawały tuż poza jej zasięgiem. Sekundę później wykrzyknęła: – Wolność! Ciemna Strona czyni nas wolnymi!

Bane pokiwał aprobowująco głową. Jedi byli skrepowani łańcuchami posłuszeństwa: względem Rady Jedi, względem swoich Mistrzów i względem Republiki. Ci, którzy kroczyli ścieżką Jasnej Strony, wierzyli, że muszą się podporządkować woli Mocy. Byli tylko narzędziami jej woli, niewolnikami większego dobra.

– Ci, którzy krocą szlakiem Ciemnej Strony, dostrzegają prawdę zniewolenia – wyjaśnił Bane. – Widzimy łańcuchy, które krępują nas i powstrzymują. Wierzymy w potęgę indywidualności, potrzebną, żeby zerwać te łańcuchy. To właśnie jest ścieżka do wielkości. Tylko będąc wolnymi, osiągniemy swój pełny potencjał. Największą siłą Ciemnej Strony jest wiara, że jej wyznawca nie może się kłaniać nikomu ani niczemu – ciągnął Mistrz Sithów. – Na tym także polega nasza ostateczna słabość. Jeśli chcesz się

wznieść ponad otoczenie, musisz walczyć. W przeszłości Sithowie nieustannie rzucali się jedni drugim do gardła.

– Czy to nie jest dobre? – wtrąciła Zannah. – Silni przetrwają, a słabi zginą.

– Słaby nie znaczy głupi – sprzeciwił się Bane. – Słabi osobnicy mogą mieć mniejszą potęgę, ale więcej sprytu. Kilku uczniów może sprzymierzyć się dla obalenia potężnego Mistrza, w nadziei, że odniesione zwycięstwo umocni ich pozycję pośród Sithów. W końcu jednak obracają się jedni przeciwko drugim. Zawierają i łamią sojusze, dopóki nie pozostanie tylko jeden – nowy Mistrz, słabszy niż poprzedni. Ten, który ostatecznie przeżyje, zostanie wkrótce obalony przez grupę jeszcze słabszych Sithów, co znowu osłabi nasz Zakon. Kaan znał tę prawdę, ale rozwiązanie, które wymyślił, było o wiele gorsze niż sam problem. Kaan zadeklarował, że wszyscy zwolennicy Ciemnej Strony – a więc wszyscy członkowie Zakonu Sithów – są sobie równi w Bractwie Ciemności. Postępując tak, zdradził nas wszystkich.

– Ciebie także? – zapytała dziewczynka.

– Równość to kłamstwo – odparł Bane. – To mit przeznaczony dla ciemnych mas. Spójrz wokół siebie, a sama się przekonasz, że to nieprawda. Istnieją osoby obdarzone potęgą, które mają dość siły woli, żeby zajmować najważniejsze stanowiska. Przeznaczeniem innych jest posłuszeństwo... oni nie są zdolni do niczego oprócz służby i ubogiej, bezwartościowej egzystencji. Równość to wypaczenie naturalnego porządku! – ciągnął Bane, podnosząc głos. Musiał podzielić się z uczennicą fundamentalną prawdą, która leżała u podstaw jego wiary. – Wiąże silnych ze słabymi. Słabi działają jak kotwice – ciągną tych wyjątkowych w dół, ku mierności, przeciętności. A wtedy ci, którzy zasługują na wielkość, przekonują się, że zostali jej pozbawieni. Cierpią w imię zachowywania poziomu przeciętniaków. Równość to łańcuch, tak samo zresztą jak posłuszeństwo, strach, niepewność czy zwątpienie w siebie. Ciemna Strona kruszy te łańcuchy. Kaan nie potrafił jednak tego zrozumieć. Nie pojmował pełnej potęgi Ciemnej Strony. Bractwo Ciemności stało się tylko pokrętnym odzwierciedleniem Zakonu Jedi... mroczną parodią wszystkiego, czemu się sprzeciwiamy. Pod rządami Kaana Sithowie stali się bluźnierstwem.

– I dlatego go zabiłeś – podsumowała Zannah, uznając, że lekcja dobiegła końca.

– To dlatego go nakłoniłem, żeby sam się zabił – poprawił ją Bane. – Pamiętaj: sama potęga nie wystarczy. Konieczne są także cierpliwość, spryt i dyskrecja. Tymi narzędziami się posłużymy, żeby obalić Jedi. W tej chwili

żyje tylko dwoje Sithów: jeden Mistrz i jedna uczennica. Nigdy nie będzie ich więcej niż dwóch.

Zannah pokiwała głową, chociaż najwyraźniej coś jeszcze nie dawało jej spokoju.

– A co się stanie, jeżeli zawiodę? – zapytała, wpatrując się w bombę myśli. – Czy mnie także zabijesz?

Bane chciał odpowiedzieć, ale z ciemności jednego z tuneli dobiegł nagle okrzyk:

– Rain! Rain, ty żyjesz!

Z wylotu tunelu wyskoczył chłopak, najwyżej o dwa lata starszy od Zannah. Miał ciemne włosy i nosił czarny pancerz Sitha. W prawej dłoni ścisnął kurczowo rękojeść świetlnego miecza. Wyglądał wprawdzie jak wojownik, ale Bane od razu zrozumiał, że z jego strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Moc ledwo się w nim tliła. Potęga, która płonęła tak jaskrawo w Mistrzu Sithów, u chłopca była tylko gasnącym żarem wśród szarego popiołu.

– Tomcat! – wykrzyknęła radośnie Zannah. Zrobiła krok w stronę chłopca i wyciągnęła ręce, jakby chciała go objąć. Nagle przypomniała sobie o obecności Mistrza Sithów, stanęła i skrzyżowała ręce na piersiach.

Nie zwracając na nic uwagi, chłopak szedł przed siebie. Chyba nie zauważył niespodziewanej zmiany nastroju kuzynki ani nie dostrzegł dwumetrowego mężczyzny w mroku za jej plecami. Przybysz sprawiał żalostne wrażenie. Miał wyraz rozpaczliwej samotności w głosie i w oczach. Na ten widok Bane poczuł mdłości.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, Rain – wykrztusił młodzieniec i znieruchomiał o krok przed Zannah. Wyciągnął ręce, żeby ją uściskać. – To wspaniale, że jesteś...

Dziewczynka cofnęła się i pokręciła głową. Na ten widok dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Wyraz zadowolenia zniknął z twarzy chłopca, pojawił się za to żal i oszołomienie.

– Ja... nie jestem Rain – odezwała się uczennica Bane'a. Odrzucając swoje dziecinne przydomki, pozbywała się wszystkiego, co symbolizowało. – Nazywam się Zannah.

– Zannah? – Na twarzy chłopca odmalowało się zmieszanie. – To twoje nowe imię? Ale... dlaczego?

Czekając na odpowiedź, chłopak oderwał spojrzenie od twarzy dziewczynki i wreszcie zauważył Bane'a stojącego nieruchomo w ciemności za nią. W oczach Darovita pojawił się błysk, który zaraz zmienił się w

prawdziwą wściekłość.

– Ty! – wykrzyknął, kierując w stronę Bane'a oskarżycielski palec. Zaraz przypomniał sobie o broni i wysunął klingę świetlnego miecza. – Trzymaj się od niej z daleka! – wybuchnął. – Walcz ze mną!

Chłopak wiedział, że nie dorówna takiemu olbrzymowi, że nie ma szans na zwycięzenie Ciemnego Lorda Sithów. Mimo to zdecydował się stoczyć z nim walkę. Zachował się jak kompletny głupiec.

Darth Bane spojrzał z pogardliwą obojętnością na mizernego przeciwnika. Ten chłopak nic dla niego nie znaczył... był śmieciem bez znaczenia. Jeżeli zamierzał zginąć bezsensowną, chociaż pozornie chwalebłą śmiercią, Bane nie miał nic przeciwko temu.

Opuścił od niechcenia rękę na rękojeść świetlnego miecza, ale zanim zdążył go odpiąć i włączyć energetyczną klingę, zareagowała Zannah. Podobnie jak wówczas, kiedy skrzyła karki nieszczęsnym Jedi, którzy przypadkiem zabili jej przyjaciółkę, uwolniła falę niepokonanej energii Ciemnej Strony. Zareagowała odruchowo, instynktownie wykorzystując wrodzoną zdolność do nawiązywania kontaktu z Mocą. Nie myślała, nie przygotowywała się ani nawet nie szkoliła.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Bane nawet nie miał okazji przyjęcia postawy obronnej... Zannah jednak go nie zaatakowała. Prawa dłoń chłopca, którego nazwała Tomcatem – jej kuzyna i przyjaciela z czasów dzieciństwa – po prostu zniknęła. Dziewczynka siłą myśli unicestwiła wszystko poniżej nadgarstka: kości i mięśnie zniknęły w krwawej eksplozji. Pozostał po nich tylko poszarpany kikut.

Rękojeść świetlnego miecza kuzyna potoczyła się z brzękiem po nierównym dnie jaskini, a klinga zgasła sama. Krzycząc z bólu, chłopak osunął się na kolana i przycisnął okaleczoną rękę do piersi. Z rany ciekła krew, rozpryskując się na dnie jaskini.

Mistrz skarcił spojrzeniem swoją uczennicę.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zażądał wyjaśnienia motywów jej działania.

– Bo jego śmierć nie miałaby żadnego sensu ani celu – odparła dziewczynka, powtarzając jego własne niedawne wyjaśnienie.

Bane od razu zrozumiał, o co tu chodzi. Zannah postanowiła ocalić życie kuzyna. Wiedział, że targające nią emocje – sentyment i uczucie przyjaźni – to słabości, których dziewczynka musi się kiedyś pozbyć. Nie mógł jednak liczyć na to, że jego uczennica pozna w ciągu jednego dnia wszystkie tajniki Ciemnej Strony.

Spojrzał w dół, na skulone ciało ранego młodzieńca. Krew powoli

przestawała płynąć z kikuta, bo eksplozja energii Ciemnej Strony, która kosztowała go dłoń, częściowo przyżegła postrzępioną ranę. Pomogło też błoto z dna jaskini, które częściowo zasklepiło kikut, kiedy chłopak potoczył się do stóp Zannah. Z jego oczu płynęły łzy, z nosa ciekło tak mocno, że prawie nie mógł mówić. Z jego ust wydobywało się tylko stłumione skomlenie. Udając brak zainteresowania, dziewczynka zmierzyła kuzyna zimnym spojrzeniem.

Bane doszedł do wniosku, że może bez ryzyka pozwolić, aby to nędzne stworzenie nadal żyło. I tak nikt mu nie uwierzy, że przeżył spotkanie z Mistrzem Sithów. Bane zrozumiał zresztą, że Zannah chce, aby chłopak przeżył, chociaż nie błagała go ani nie targowała się o życie kuzyna. Przejęła sama inicjatywę i uwolniła energię Ciemnej Strony, a następnie usprawiedliwiła swoje działanie słowami samego Bane'a. Wykazała się nie tylko potęgą, ale także inteligencją i sprytem. Lord Sithów doszedł do wniosku, że musi ją za to nagrodzić, by zachęcić do robienia użytku ze swoich talentów, które może jej kiedyś pozwolą prześcignąć Ciemnego Lorda. To było o wiele ważniejsze niż odebranie życia nędznemu, nic nieznaczącemu chłopakowi.

– Zostawmy go – zdecydował Bane, obracając się na pięcie. – W niczym nam nie zagraża.

Zannah podbiegła i szła obok niego, kiedy opuścili jaskinię i zaczęli się powoli wspinać tunelem na powierzchnię Ruusana. Bane zauważył z satysfakcją, że chociaż zza ich pleców dobiegało żałosne szlochanie Tomcata, Zannah ani razu się nie odwróciła i nie zaszczyciła kuzyna spojrzeniem.

ROZDZIAŁ 5

– Przygotować się na turbulencje podczas wnikania w atmosferę – ostrzegła Irtanna z fotela pilota wahadłowca. Cała załoga liczyła tylko pięć osób, więc nie musiała korzystać z pokładowego interkomu. Mówiła na tyle głośno, że wszyscy ją słyszeli.

Wahadłowiec klasy Envoy miał na pokładzie tylko garstkę pasażerów, ale bez trudu mogło nim podróżować przynajmniej czterokrotnie więcej osób. Statek wcielono do floty Jedi w ciągu kilku ostatnich tygodni kampanii na Ruusanie. Podarował go anonimowy dobroczyńca z Coruscant, który wziął sobie do serca gorący apel Farfalli o wsparcie wysiłku wojennego. Przemianowany na „Gwiezdny Nurt” wahadłowiec, wyprodukowany w Stoczniach Tallaana, był klasycznym transportowcem, zdolnym do lotów na orbitę. Dzięki hipernapędowi klasy dwunastej mógł także służyć do odbywania międzygwiazdnych podróży.

Fakt wcielenia wahadłowca do służby najlepiej dowodził, jak rozpaczliwa sytuacja panowała w Armii Światła. Wahadłowce klasy Envoy były praktyczne i niezbyt kosztowne, dzięki czemu stanowiły ulubiony środek transportu niezależnych handlarzy i latających na wakacje bogatych turystów. Wyróżniały się łatwym do opanowania systemem nawigacji i automatycznym pilotem. Zwykłym naciśnięciem guzika użytkownicy mogli łatwo wybierać nadprzestrzenne szlaki do setek znanych planet w różnych zakątkach Republiki. Niestety statki nie miały grubego pancerza ani porządnego uzbrojenia; nie służyły także z dużej szybkości ani ze zdolności manewrowania.

Johun wolałby lecieć czymś, co by bardziej przypominało jednostkę wojskową. Wątpił, żeby automatyczny pilot na wiele im się przydał, gdyby na horyzoncie pojawił się nagle buzzard Sithów. Co prawda po zakończeniu działań zbrojnych przeliczono wszystkie buzzardy z floty Kaana. Jedne zostały zestrzelone, inne trafiły w ręce pilotów Armii Światła, a pozostałe widziano, jak odlatywały z systemu po zakończeniu ostatecznej bitwy. Zanim jednak odniesiono zwycięstwo, wielu pilotów natknęło się na buzzardy w opanowanych przez nieprzyjaciół przestworzach, więc Johun

nateżył uwagę, zbliżając się do powierzchni planety. Widząc, jak Irtanna zaciska kciuki tak mocno, że aż zbielały, Johun pomyślał, że nie tylko on żywi irracjonalne obawy.

Kiedy statek przeniknął z lodowatej próżni w najwyższe warstwy atmosfery Ruusana i zaczął opadać, wszyscy poczuli lekki wstrząs. Irtanna pilotowała wahadłowiec znakomicie. Dokonywała subtelnych zmian kursu, a Johun, wypatrując oznak życia, obserwował wskazania skanerów omiatających promieniami grunt w dole. Na ekranach monitorów wahadłowca widać było także cztery inne jednostki. Podobnie jak „Gwiezdnym Nurtem”, na pokładzie każdej jednostki leciało od czterech do sześciu osób, wysłanych przez Farfallę, żeby zajęły się uprzątnięciem powojennego bałaganu.

– Na powierzchni coś się porusza! – wykrzyknął nagle Johun, widząc na ekranie niezidentyfikowane plamy. – Przekazuję współrzędne.

– Podaj mi więcej szczegółów – zażądała Irtanna, zataczając wahadłowcem łagodny łuk, żeby znaleźć się na tym samym kursie co ludzie w dole.

– Dwóch piechurów – poinformował ją Johun. – Z takiej wysokości nie potrafię powiedzieć, czy to wrogowie, czy nasi.

– Obniżam pułap lotu – oznajmiła pilotka.

Najważniejszym zadaniem ekipy ratunkowej było zlokalizowanie rannych i udzielenie im pomocy. Dopiero na drugim miejscu figurowało złożenie raportu Dowództwu Floty, a na odległym trzecim – przyjęcie na pokład nieprzyjacielskich żołnierzy, którzy zechcą się poddać.

Irtanna zaczęła obniżać pułap lotu, żeby lepiej się przyjrzeć nieznanym osobom. Wahadłowiec zanurkował, a przyspieszenie docisnęło plecy Johuna do oparcia fotela. Irtanna wykonała statkiem wojskowy manewr, chociaż cywilny statek mógł przy czymś takim ulec uszkodzeniu albo nawet zniszczeniu.

– Widzę ich – zameldował Johun, wpatrując się przez iluminator sterowni w parę rozmytych sylwetek.

Bordon wstał i nachylił się nad oparciem fotela młodego padawana, żeby się przyjrzeć szybko powiększającym się sylwetkom. Teraz już zobaczyli mężczyznę i kobietę w lekkich pancerzach, biegnących szybko, jakby przed czymś uciekali.

Słyszając ryk silników gwałtownie opadającego statku, oboje stanęli i unieśli głowy. Zaraz padli twarzą na grunt, bo wahadłowiec przeleciał niespełna dziesięć metrów nad nimi.

Klnąc w duchu i zmagając się z niezgrabną aparaturą sterującą, Irtanna zatoczyła ciasny łuk i wylądowała jakieś pięćdziesiąt metrów od ludzi. Johun zobaczył przez iluminator, że oboje powoli wstają. Pilotka wyłączyła jednostki napędowe wahadłowca. Kobieta powiedziała coś do mężczyzny, który na dowód zgody pokiwał głową. Jednocześnie unieśli ręce nad głowę i powoli pomaszerowali w kierunku statku.

Byli ubrani jak członkowie Bractwa Kaana, ale Johun nie wyczuł od nich emanacji energii Ciemnej Strony.

– Pachołkowie Sithów – ocenił. – Prawdopodobnie najemnicy.

– To może być zasadzka – ostrzegł Bordon. – Parszywi najemnicy nie mają honoru.

– Wcale tak nie uważam – sprzeciwił się Johun. – Gdyby groziło nam z ich strony jakieś niebezpieczeństwo, wyczułbym zakłócenie w Mocy. Moim zdaniem chcą się po prostu poddać.

– To zwykle szumowiny. – Bordon splunął. – Włącz silniki i skieruj na nich ogień z dysz wylotowych!

– Mowy nie ma! – wrzasnął Johun, kiedy zobaczył, że Irtanna sięga do włącznika zapłonu. – Musimy ich przesłuchać – przypomniał surowo. – Dowiedzieć się, co mają do powiedzenia.

– A co potem? – zapytał ponurym głosem Bordon.

– Potem zabierzemy ich do Farfalli i zamkniemy razem z resztą więźniów.

Bordon wyrznął pięścią w ścianę sterowni.

– Te diabelskie pomioty wylądowały na mojej planecie, w moim domu, żeby mordować ludzi dla pieniędzy! – warknął.

– Poderżnęliby nam gardła bez wahania, gdyby tylko mieli nad nami przewagę – zgodziła się z nim Irtanna.

– Nie jesteśmy tacy jak oni – przypomniał Johun. – Nie mordujemy jeńców.

– Moja żona zginęła, walcząc z takimi bydlakami! – zawołał Bordon. – Naprawdę chcecie okazać im litość?

– Nienawiść wiedzie prosto na Ciemną Stronę – stwierdził Johun, recytując jedną z mądrości Jedi. Takie słowa w ustach zaledwie dziewiętnastoletniego padawana nie miały jednak siły przekonywania i nawet sam Johun to zrozumiał.

Bordon z rezygnacją uniósł ręce i nie kryjąc gniewu, opadł na swój fotel.

– Naprawdę po to tu jesteś? – burknął z niesmakiem. – Żebyśmy postępowali zgodnie z twoim kodeksem? Chcesz się upewnić, że nie

zbozcymy ze ścieżki twojej cennej Jasnej Strony? Czy właśnie po to Farfalla kazał ci lecieć z nami?

Wcale mi nie kazał lecieć... sam podjąłem taką decyzję, pomyślał Johun. Odwrócił się na fotelu i spojrzał na mężczyznę; Bordon wpatrywał się w pokład i nie odwzajemnił jego spojrzenia. Za to jego dwaj synowie obrzucili wściekłym wzrokiem młodego padawana. Johun rozumiał ich gniew. Sithowie wszczęli na Ruusanie wojnę, która zabrała im wszystko, co znali i co im było drogie: dom, życie... i, naturalnie, matkę. Bordon i jego synowie nie rozumieli jednak, że ci bezimienni żołnierze nie są odpowiedzialni za wszystkie okrucieństwa i tragedie, które zwały się na Ruusana. Obojętne, w czym przewinili, nie zasługiwali na to, żeby mścić się na nich za postęпки Kaana i jego Bractwa. Za to wszystko odpowiadali Mistrzowie Sithów, zwolennicy Ciemnej Strony. Młody padawan wytrzymał siłę nienawistnych spojrzeń obu chłopców. Dobrze wiedział, że i tak nie da rady ich przekonać. Zbyt świeżo mieli w pamięci wszystko, co wycierpieli i przeżyli.

Johun przyleciał na Ruusana, żeby wytropić członków Bractwa, którzy przeżyli eksplozję bomby myśli. Zamierzał kontynuować zadanie, jakie wyznaczył sobie jego Mistrz i mentor, generał Hoth: wyeliminować Lordów Sithów i na zawsze położyć kres zagrożeniu, jakie stanowiła Ciemna Strona. Obecnie jednak uświadomił sobie, że czeka go większe wyzwanie.

Musiał ocalić Bordona i jego synów przed nimi samymi.

Byli przyzwoitymi, uczciwymi ludźmi, a jednak pod wpływem gniewu i nienawiści chcieli zamordować z zimną krwią bezradnych wrogów. I zrobiliby to, gdyby Johun nie dał rady ich powstrzymać. Młody padawan wiedział, że kiedy gniew minie, wyrzuty sumienia będą już zawsze ich dręczyć, aż ich w końcu zniszczą. Całe życie będzie ich prześladowało wspomnienie tej krwawej zemsty. Johun nie zamierzał do tego dopuścić.

Zwrócił teraz uwagę na Irtannę. W jej oczach także dostrzegł nienawiść, była to jednak raczej chłodna emocja doświadczonej wojowniczkii, która ocenia nieprzyjaciół. Zrozumiał, że kobieta nie zabiłaby jeńców sama, ale nie kiwnęłaby palcem, żeby kogoś przed tym powstrzymać. Już wiedział, co musi zrobić.

– Nie po to cię wysłał Farfalla – powiedział półgłosem pilotce. – Miałas udzielać pomocy tym, którzy przeżyli.

Irtanna spojrzała na niego podejrzliwie, ale się nie odezwała. Johun posłużył się jeszcze raz Mocą – chociaż niechętnie – żeby nagiąć jej wolę. Gdyby tym razem była bardziej świadoma jego wpływu, mogłaby stawić mu większy opór. A poza tym powinna naprawdę uwierzyć w to, co chce jej

przekazać. Wymuszanie posłuszeństwa było w najlepszym razie rozwiązaniem doraźnym. Mogło spowodować, że od tej pory Irtanna będzie reagować nieufnością na wszystko, co on albo inni Jedi jej powiedzą.

– Wypuść mnie na powierzchnię, żebym mógł zatrzymać tych najemników – zaproponował Johun. – Nawiąż łączność z flotą, żeby wysłali inny statek i zabrali na pokład mnie i tych dwoje.

Niełatwo było mu wypowiedzieć te słowa. Johun sprzeciwił się przecież woli Farfalli – Mistrza Jedi – i przyleciał na Ruusana. Nie uśmiechało mu się, że musi opuścić planetę tuż po lądowaniu. Mimo to był gotów się poświęcić, jeżeli dzięki temu uniemożliwi Bordonowi i jego synom poddanie się szkodliwym emocjom. Jego obowiązkiem jako Jedi było czuwanie nad ich życiem, nawet gdyby to miało oznaczać porzucenie myśli o osobistej krucjacie.

– Powinniście polecieć razem z innymi na południe, na pole bitwy – ciągnął. – Pomóc rannym. Właśnie po to tu przylecieliśmy.

Irtanna się zawahała, ale w końcu ledwo zauważalnie kiwnęła głową na znak zgody. Traktowała Johuna jak chłopca; jego długi, cienki warkoczyk dobitnie dowodził, że jeszcze nie ukończył szkolenia padawana. Mimo to był członkiem Zakonu Jedi, a to znaczyło bardzo dużo dla żołnierzy Republiki. Johun spodziewał się, że ten fakt umocni mądrość jego słów.

Przekonany, że Irtanna da radę utrzymać na wodzy emocje Bordona i jego synów, wstał z fotela i udał się na rufę „Gwiezdnego Nurtu”. Ignorując oskarżycielskie spojrzenia obu rozgniewanych młodych mężczyzn, czekał cierpliwie, aż kłapa wjazdu wahadłowca się otworzy. Kiedy droga na powierzchnię stanęła otworem, wyskoczył, wylądował zręcznie na nierównym gruncie i podszedł szybko do obojga najemników, czekających cierpliwie z rękami nad głową. Kiedy tylko zeskoczył z pokładu wahadłowca, silniki statku obudziły się z rykiem do życia. „Gwiezdny Nurt” wzniósł się w powietrze i odleciał... ku przerażeniu pary najemników.

– Dokąd polecieci? – zapytała młoda kobieta, a w jej piskliwym głosie dźwięczała nuta paniki. – Nie mogą nas tu zostawić!

Opuściła ręce, a za nią jej towarzysze. W pierwszej chwili Johun pomyślał, że chcą sięgnąć po broń, ale uświadomił sobie, że są zbyt rozczarowani odlotem wahadłowca, żeby chociaż pomyśleć o ataku.

– Nie pozwól im odlecieć! – wykrzyknął mężczyzna. Odwrócił się tyłem do Johuna, wpatrzony w znikający wahadłowiec. Po chwili zaczął błagać padawana: – Powiedz im, żeby zawrócili! Powiedz im, żeby wylądowali! – W kółko powtarzał swoje rozpaczliwe naleganie.

– Nie możemy tu zostać – tłumaczyła Johunowi kobieta. – Nie ma czasu. Znajdą nas. Na pewno nas tu znajdą.

– Nie martwcie się – pocieszył ich Johun. – Wkrótce przybędzie inny statek.

– Nie możemy tu zostać – powtórzyła kobieta. – Nie ma czasu. On nas znajdzie. Na pewno nas tu znajdzie!

– Wszystko będzie w porządku – zapewnił młody padawan, uspokajającym gestem wyciągając rękę w ich stronę. – Potrafię was ochronić. Jestem Jedi.

Kobieta uniosła brwi i obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem. Szczupły młodzieniec rozstawił nogi, ujął się pod boki i wypiął pierś. Miał nadzieję, że w takiej pozie wygląda szlachetnie i okazale, że emanuje aurą pewności siebie, którą często podziwiał u Hotha i pozostałych Mistrzów Jedi.

Mężczyzna chwycił go za rękę i szarpnął niczym dziecko, które ciągnie za matczyne fartuch.

– Musimy odlecieć z tej planety – wyszeptał z przerażeniem. – Natychmiast!

Johun bez trudu uwolnił się z uścisku jego palców. W całym tym spotkaniu z najemnikami było coś niepokojącego. Sądząc z wyglądu, oboje byli doświadczonymi wojownikami. Johun podejrzewał, że ma do czynienia z dezertkami z pola ostatniej bitwy – pachołkami Sithów, którzy uciekli, kiedy w ich szeregi wdarła się Armia Światła. Prawdopodobnie zrobili to nie z tchórzostwa, tylko postanowili wykorzystać okazję ocalenia życia. A teraz ci weterani wielu bitew, przyzwyczajeni do stawiania czoła śmierci i do krwawych walk, zachowywali się jak przerażeni wieśniacy po rajdzie łowców niewolników.

– Nawet jeżeli jesteś Jedi, nie dasz rady nas ocalić – mruknęła kobieta, kręcąc powoli głową. – Nie zdołasz obronić nas przed nim.

– Przed kim? – zainteresował się Johun. – O kim mówicie?

Mężczyzna rozejrzał się ukradkiem, jakby w obawie, że ktoś może go usłyszeć.

– Przed Ciemnym Lordem Sithów – syknął.

– Jednym z Bractwa? – zapytał Johun, z trudem ukrywając zainteresowanie. – Chcecie powiedzieć, że eksplozję bomby myśli przeżył jakiś Mistrz Sithów?

Mężczyzna skinął głową.

– Zabił Lergana i Hansha – dodał. – Usmażył ich błyskawicami, które wypuścił ze swoich palców.

Wiedziałem! – pomyślał triumfująco Johun. Wiedziałem!

– Miał także świetlny miecz – dodała kobieta. – Rozciął nim na pół Pada i Derrina. – Aż się wzdrygnęła na wspomnienie tamtych chwil. – A potem odciął głowę Rellowi.

Johun chciał już zapytać o więcej szczegółów, ale przeszkodził mu w tym coraz głośniejszy warkot silników zbliżającego się statku. Spojrzał w tamtą stronę i zauważył, że do lądowania przygotowuje się transportowiec wojska klasy Bivouac. Jak tylko osiadł na miejscu, z pokładu zeskoczyli trzej żołnierze Republiki z bronią gotową do strzału. Johun rozpoznał wśród nich znajomego oficera. Był to major Orten Ledes, jeden z najwyższych stopniem, niebędących Jedi oficerów z Drugiego Legionu Armii Świata.

– To są ci więźniowie? – zapytał opryskliwie Ledes, wskazując lufą blasterowego karabinu parę najemników.

Johun potwierdził. Ledes dał znak głową i jego podwładni pospieszyli założyć kajdanki nieprzyjacielskim żołnierzom. Ani mężczyzna, ani kobieta nie usiłowali się opierać. Kiedy żołnierze Republiki ich skuli i pozbawili broni, kazali im iść w kierunku statku. Wszystko przebiegło bardzo sprawnie i szybko, ze skutecznością i kompetencją, z których słynęli wszyscy żołnierze pod dowództwem majora Ledesa.

– Odebrał pan wiadomość od Irtanny? – zapytał go Johun, obserwując oddalających się pachółków Sithów.

– Byliśmy w pobliżu – odparł oficer. – Farfalla mnie wysłał, żebym pana stąd zabrał.

Coś w jego głosie zwróciło uwagę młodego padawana.

– Będę miał kłopoty? – zapytał.

Ledes wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć – mruknął. – Wy, Jedi, staracie się panować nad emocjami. Idę jednak o zakład, że generał nie był zachwycony, kiedy się dowiedział, że zlekceważył pan jego wyraźny rozkaz i poleciał na Ruusana.

– Proszę się nie martwić – odparł Johun z udawaną pewnością siebie. – Zmieni zdanie, kiedy usłyszy, co mają mu do powiedzenia ci więźniowie.

Bane zmniejszył obroty silnika grawitacyjnego skutera, bo zbliżali się do niewielkiej polany, na której stał zaparkowany „Valcyn”. Statek podarowano kiedyś Lordowi Qordisowi, ale dowództwo nad jednostką przejął Bane, kiedy opuścił Akademię na Korribanie w poszukiwaniu wiedzy pradawnych Sithów. Qordis nigdy się nie ośmielił odebrać mu statku, a tchórzostwo Lorda Sithów upewniło Bane'a, że – podejmując decyzję o przerwaniu studiów i odwróceniu się plecami do Bractwa – postąpił słusznie.

Zaparkował grawicykl dwadzieścia metrów od statku. Zannah rozluźniła uścisk ramion, którymi obejmowała go w pasie, zeskoczyła. Stała teraz wpatrzona w statek.

Bane nie zwracał na nią uwagi. Przez ostatnie dziesięć minut nie mógł skupiać się na niczym poza bólem potylicy. Miał nadzieję, że to, co połyskujące jajo bomby myśli pozostawiło w jego głowie, uśmierzy ból, ale od czasu wizyty w jaskini cierpienie nie tylko nie ustąpiło, ale nawet się nasiliło.

Cóż, przynajmniej się upewnił, że Kaan naprawdę nie żyje. Teraz mógł przestać zwracać uwagę na widmowe postacie, które pojawiały się od czasu do czasu w jego polu widzenia. Wyglądały tak blado w promieniach popołudniowego słońca, że niewątpliwie pochodziły z Bractwa Ciemności. Tak samo jak zjawa, którą właśnie ujrzał.

Bane wiedział, że to tylko złudzenie, jednak w tej postaci było coś zniewalającego; zatrzymał się o metr od kadłuba statku. Zjawa odwróciła się, zmierzyła go spokojnym spojrzeniem i wyciągnęła rękę, jakby go przyzywała.

– Jest piękny – jęknęła Zannah. Zaskoczony Darth Bane odwrócił głowę, ale jego zauroczona uczennica patrzyła tylko na „Valcyna”. Kiedy Bane spojrział w miejsce, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał Kaan, nie zobaczył już zjawy.

– Nie przypuszczałam, że odleczę z Ruusana na pokładzie takiego statku – stwierdziła Zannah.

– Ty nie odlatujesz – odezwał się Bane, ześlizgując się z siodełka grawicykla, Nie mógł nic zrobić w sprawie zjaw, musiał udawać, że w ogóle się nie pojawiały.

Zdezorientowana dziewczynka odwróciła głowę i spojrzała na Mistrza.

– Nie lecimy twoim statkiem? – zapytała.

– Ja lecę – wyjaśnił Darth Bane. – Ty musisz sama znaleźć sposób opuszczenia tej planety.

Dopiero po chwili Zannah zrozumiała znaczenie jego słów. W jej oczach pojawiło się przerażenie.

– Nie mogę lecieć z tobą? – zapytała cicho.

Mężczyzna pokręcił głową. Zainspirowany odkryciem przez uczennicę starodawnego manuskryptu w obozie Sithów, opracował pewien plan. Zamierzał polecieć na Dxuna – duży księżyc Onderona – żeby odszukać zaginiony grobowiec Freedona Nadda. Dla swojej uczennicy miał jednak inne plany.

– Ale... dlaczego nie mogę? Co takiego zrobiłam? – wykrztusiła dziewczynka. Bane uznał, że mała zaraz się rozplacze. – Dlaczego mnie zostawiasz?

– To część twojego szkolenia – wyjaśnił Mistrz Sithów. – Jeżeli naprawdę chcesz zrozumieć Ciemną Stronę, musisz wycierpieć trudności i pokonać przeszkody.

– Ale ja nie chcę cierpieć – sprzeciwiła się Zannah. – Zabierz mnie z sobą.

– Siła Ciemnej Strony zależy od twojej indywidualności – przypomniał jej Bane. – Moc płynie z wewnątrz. Musisz sama nauczyć się z niej korzystać. Nie zawsze będę z tobą, żeby cię tego uczyć.

– Ale powiedziałaś, że zawsze będzie dwóch Sithów – nie dawała za wygraną Zannah. – Jeden, żeby przyjąć potęgę, a drugi, żeby jej pożądać.

Szybko się uczyła. Bane przekonał się z zadowoleniem, że zapamiętała wiele z jego lekcji. Samo recytowanie słów nic jednak nie znaczyło, jeżeli dziewczynka nie rozumiała ukrytej za nimi prawdy.

– Dlaczego za mną idziesz? – zapytał, żeby pomóc jej znaleźć ścieżkę ku mądrości.

Zannah zastanowiła się nad odpowiedzią, przypominając sobie wszystko, czego zdążył ją nauczyć.

– Żeby uwolnić mój pełny potencjał – odparła w końcu. – Żeby nauczyć się sposobów Ciemnej Strony.

Bane skinął głową.

– A kiedy nie będzie mnie już przy tobie, żeby cię nadal szkolić? – zapytał. – Co się wtedy stanie?

Dziewczynka zmarszczyła brwi w skupieniu, ale tym razem nie od razu odpowiedziała.

– Nie wiem – przyznała w końcu.

– Nadejdzie taki czas, kiedy twoje szkolenie dobiegnie końca – pouczył ją Lord Sithów. – Nadejdzie dzień, kiedy nauczysz się wszystkiego... kiedy przejmiesz całą moją wiedzę o Ciemnej Stronie. Tego dnia rzucisz mi wyzwanie, żeby zdobyć tytuł Mistrzyni. Naszą walkę przeżyje tylko jedno z nas.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy. Intensywnie skoncentrowała się na znaczeniu jego słów.

– Masz potencjał, żeby mnie prześcignąć – ciągnął Bane. – Jeżeli osiągniesz szczyt, przestanę ci być potrzebny. Będziesz musiała znaleźć inne źródła wiedzy. A wtedy wyszukasz swojego ucznia albo uczennicę, żebyś mogła mu przekazać tajemnice Zakonu Sithów. Kiedy twoja potęga zaćmi

moją, będziesz mogła się mnie pozbyć. To właśnie na tym polega zasada Dwóch: jeden Mistrz i jeden uczeń. Kiedy będziesz gotowa sięgnąć po tytuł Ciemnej Lady, będziesz musiała mnie wyeliminować. Konfrontacja jest nieunikniona – zakończył Bane. – To jedyny sposób, żeby Sithowie mogli przetrwać. To ścieżka Ciemnej Strony.

Zannah milczała. Z wyrazu jej twarzy Bane domyślił się, że jego uczennica usiłuje zrozumieć, dlaczego jej Mistrz ją szkoli, skoro wie, że wcześniej czy później i tak go zdradzi. Bane wiedział, że ona nie musi nic rozumieć. Jeszcze nie. Na razie musi tylko być mu posłuszna.

– Znajdź własny sposób dostania się na Onderona – poinstruował ją Bane. – Spotkam się tam z tobą za dziesięć standardowych dni. – Kiedy już znajdę grobowiec Nadda na Dxunie, dokończył w myśli.

– Ale jak mam się tam dostać? – zaprotestowała dziewczynka.

– Jeżeli jesteś wybranką, namaszczone spadkobierczynią dziedzictwa naszego Zakonu, wymyślisz jakiś sposób – odparł Bane.

– A jeżeli nie wymyślę?

– Wówczas okażesz się niegodna zostania moją następczynią, a ja znajdę innego ucznia – oznajmił Lord Sithów.

Nic więcej nie było do powiedzenia. Bane odwrócił się do niej tyłem i poszedł na pokład statku. Zannah w milczeniu przyglądała się, jak odchodzi. Kiedy Bane wchodził do sterowni, wyczuwał, że wzbierający w jej sercu gniew przeradza się w dziką nienawiść. Żar tej furii wywołał ponury uśmiech na jego ustach. W końcu Bane przesłał energię do jednostek napędowych.

„Valcyn” wzniósł się w powietrze, a Zannah została na planecie. Drobną postać patrzyła w ślad za odlatującym statkiem. Stała bez ruchu, jak posązek z zimnego, twardego kamienia.

ROZDZIAŁ 6

– To po prostu jakieś nieporozumienie – upierał się mężczyzna w swojej celi.

– Popęlniacie błąd – wtórowała mu młoda kobieta.

Johun nabrał powietrza i powoli je wypuścił. Przyleciał ponad godzinę wcześniej z więźniami na pokładzie „Łagodnego Wietrzyka”. Farfalla odrzucił jego prośbę o natychmiastową audiencję, bo był zbyt zajęty nadzorowaniem sprzątanego pola bitwy na Ruusanie. Johun zabrał więc więźniów na jeden z niższych pokładów okrętu flagowego i umieścił ich w osobnych celach, żeby tam czekali na decyzję o swoim losie. Nie mając nic lepszego do roboty, postanowił usiąść na korytarzu i czekać razem z nimi.

Ale młody Jedi szybko pożałował tej decyzji.

– Nigdy nie byliśmy członkami armii Kaana! – zawołała do niego kobieta zza prętów celi. – Jesteśmy zwykłymi farmerami.

– Farmerzy nie noszą pancerzy ani broni – stwierdził Johun, wskazując na kąć pokoju, gdzie na niewielkim stole leżał stosik ubrań i skonfiskowanego najemnikom sprzętu.

– Te rzeczy nie są nasze – wyjaśnił mężczyzna. – My... po prostu je znaleźliśmy. Tego ranka poszliśmy na spacer i natknęliśmy się na opuszczony obóz. Zobaczyliśmy porzucony sprzęt i, uhm, pomyśleliśmy, że zabawnie będzie ubrać się jak żołnierze.

Słyszając to żalosne kłamstwo, nadzorujący więźniów strażnik Republiki i Johun wybuchnęli gromkim śmiechem. Młody padawan zamknął oczy i potarł skronie. Kiedy więźniowie byli jeszcze na Ruusanie, aż nazbyt ochoczo palili się do wyznania swoich win. Świeżo po spotkaniu z nieznanym Lordem Sithów byli nie na żarty przerażeni. Obecnie jednak, kiedy znaleźli się bezpiecznie z daleka od Ruusana, trzeźwiąca perspektywa pięcio- czy dziesięcioletniej odsiadki w więzieniu Republiki skłoniła ich do odwołania wcześniejszych zeznań.

– A co z pozostałymi? – zapytał Johun, mając nadzieję, że więźniowie uwikłają się w sieć własnych kłamstw. – Co z waszymi przyjaciółmi, którzy rzekomo zginęli z ręki tamtego Sitha? Czy oni także byli farmerami?

– Tak – odparł mężczyzna, a kobieta powiedziała: – Prawdę mówiąc, nie znaleźliśmy ich.

– No cóż – odezwał się lodowatym tonem młody Jedi. – To czyje oświadczenie jest prawdziwe?

Najemnicy popatrzyli na siebie wrogo, ale odpowiedziała kobieta:

– Po prostu spotkaliśmy ich tego ranka w obozie Sithów – oznajmiła. – Powiedzieli, że są farmerami jak my, ale mogli skłamać.

– Skłamać? Czyżby? – zapytał sarkastycznym tonem Johun. – Trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby wam mówić nieprawdę.

Kolejny raz strażnik parsknął krótkim śmiechem.

– Wy dwoje powinniście występować na estradzie – powiedział. – Naturalnie jeżeli przeżyjecie więzienie.

Mężczyzna w celi już chciał rzucić w odpowiedzi gorzką uwagę, ale ugryzł się w język, kiedy jego towarzyszka szturchnęła go z całej siły łokciem pod żebro. W tej samej chwili do pokoju weszła jedna z adiutantek Farfalli.

– Pan generał może pana teraz przyjąć – oznajmiła Johunowi.

Młody padawan zerwał się z krzesła i ruszył w jej stronę.

– Hej, powiedz mu, żeby nas stąd wypuścił! – zawołał za nim mężczyzna z celi. – Nie zapomnij o nas!

Ani mi się śni, pomyślał Johun. Przeniósł spojrzenie na strażnika.

– Miej na nich oko – polecił. – I nie wierz w nic, co opowiadają.

Adiutantka powiodła go labiryntami korytarzy po różnych pokładach „Łagodnego Wietrzyka”. Więzienne cele znajdowały się na najniższych poziomach ogromnego okrętu, a Johun miał się spotkać z Farfallą na najwyższym pokładzie, zwanym pokładem dowodzenia. Po drodze mijali setki znajomych osób – kolegów Jedi i żołnierzy, którzy podczas ostatniej kampanii na Ruusanie walczyli z nimi ramię w ramię. Większość witała go skinieniem głowy albo uniesieniem ręki. Byli zbyt zajęci obowiązkami, żeby wdawać się z nim w rozmowę.

Wielu mijanych osób Johun w ogóle nie znał. Byli to uchodźcy z Ruusana. Przetransportowano ich tu w szalonym pośpiechu, żeby uniknęli skutków oddziaływania eksplozji bomby myśli. Obecnie przygotowywali się do powrotu na Ruusana, żeby rozpocząć tam życie na nowo. Pośród uciekinierów byli tacy, których domy i rodziny zostały kompletnie zniszczone. Jeżeli nie liczyć bolesnych wspomnień tego, co stracili, nieszczęśnicy nie mieli do czego ani do kogo wracać. Farfalla postanowił wysłać tych, którzy nie chcieli wrócić, na opanowane przez Republikę

planety Jądra, w nadziei, że uchodźcy będą tam mogli rozpocząć nowe życie, z dala od horroru wojny i śmierci.

Tyle osób, rozmyślał Johun, w milczeniu podążając za przewodniczką. Tyle cierpień. A wszystkie okażą się daremne, jeżeli eksplozję bomby myśli przeżył chociaż jeden Sith.

Kiedy w końcu dotarli na pokład dowodzenia, adiutantka zaprowadziła go do osobistej kwatery Farfalli. Stała przed zamkniętymi drzwiami, zapukała i zaczęła, aż usłyszy polecenie:

– Wejść.

Położyła dłoń na kontrolnym panelu i skrzydła drzwi się rozsunęły. Spojrzała na Johuna i ruchem głowy zaprosiła go do środka. Młody padawan wszedł do gabinetu i usłyszał dobiegający zza pleców syk zamykanych drzwi.

Pomieszczenie było większe, niż się spodziewał, i urządzone z przepychem, z którego sływał Mistrz Jedi Valentyne Farfalla. Na płytach pokładu leżał gruby, czerwono-złocisty dywan, a na ścianach wisiały dzieła sztuki, które świetnie by pasowały do najlepszych galerii Alderaana. W kącie pomieszczenia stało olbrzymie łóżko z baldachimem. Wykonano je z wroshyrowego drewna, bo stanowiło dar od wodzów plemion istot rasy Wookie z Kashyyyka. Narzuta i poduszki były z połyskującego, złotego i czerwonego jedwabiu, a każdą z czterech kolumn ozdobiono ręcznie malowanymi freskami przedstawiającymi ważne szczegóły z życia samego Farfalli: jego przyjście na świat w królewskiej rodzinie, przyjęcie do Zakonu Jedi, uroczyste nadanie tytułu Mistrza i słynny triumf nad wojskami Sithów na Kashyyyku.

Generał siedział w drugim kącie pokoju za przesadnie wielkim biurkiem i zapoznawał się z raportami na ekranie wbudowanego w blat monitora.

– Rozczarowałeś mnie, młody padawanie – powiedział, wyłączył monitor i spojrzał na Johuna.

– Przykro mi, że nie byłem ci posłuszny, Mistrzu Valentyne – odparł chłopak.

Farfalla wstał zza biurka i podszedł do Johuna, krocząc bezgłośnie po grubym dywanie.

– To akurat najmniej mnie niepokoi – powiedział, kładąc ciężką dłoń na ramieniu padawana. Mistrz Jedi miał zapadnięte oczy, a jego normalna wesołość skryła się pod maską zmartwienia i zmęczenia.

– Chodzi o Irtannę – domyślił się Johun, spuszczać głowę ze wstydem na wspomnienie tego, jak posłużył się Mocą, żeby nakłonić pilotkę do

zabrania go na pokład wahadłowca.

– Jedi nie posługują się swoją potęgą do manipulowania umysłami przyjaciół – ciągnął Farfalla. – Nawet jeżeli motywy twojego postępowania były czyste, nadużyłeś swojej pozycji i zdradziłeś czyjeś zaufanie.

– Wiem, że postąpiłem źle – przyznał Johun. – Przyjmę z pokorą każdą karę, jaką mi wyznacysz, żebym mógł odkupić swoje winy. Jest jednak coś ważniejszego, o czym musimy porozmawiać.

Farfalla spojrzał przenikliwie w oczy padawana i zdjął rękę z jego ramienia. Johun zobaczył na twarzy Mistrza przelotny błysk rozczarowania.

– Tak, naturalnie – zgodził się Farfalla. Odwrócił się, podszedł do biurka i włączył monitor. – Chodzi o raport tych więźniów, których schwytałeś na Ruusanie.

– Zapoznał się pan z nim? – zapytał zaskoczony młodzieniec.

– Zapoznaję się ze wszystkimi raportami – odparł Mistrz Jedi. – Dowódca musi wiedzieć, co robią jego podwładni, żeby mógł ich powstrzymać przed podejmowaniem pochopnych czy źle umotywowanych decyzji.

– Nadal pan nie wierzy, że eksplozję bomby myśli przeżyli jacyś Sithowie? – domyślił się Johun.

– Nie wierzę w wiarygodność źródeł tej informacji – odparł Valenthynne. – Ci najemnicy są, mówiąc bez ogródek, szumowinami galaktyki. Skąd wiesz, czy nie mówili ci tylko tego, co chciałeś usłyszeć?

– Dlaczego mieliby to robić?

Farfalla wzruszył ramionami.

– Może się łudzą, że wstawisz się za nimi – powiedział. – Pewnie liczą na to, że dzięki tobie będą traktowani lepiej w więzieniu albo dostaną mniejszy wyrok. Ci ludzie to oportuniści. Skorzystają z każdej nadarzającej się okazji. Kłamanie przychodzi im równie łatwo jak tobie wypicie szklanki wody.

– Moim zdaniem nie kłamali, Mistrzu – odparł Johun, kręcąc głową. – Gdybyś ich widział na Ruusanie... Byli przerażeni. Musiało ich tam spotkać coś strasznego.

– Cóż, to jest wojna – odparł Farfalla. – Podczas wojny cały czas dzieją się okropne rzeczy.

– A co ze szczegółami ich relacji? – nie dawał za wygraną młody Jedi. – Szkarłatna klinga świetlnego miecza, błyskawice Mocy... Taką bronią posługują się władcy Ciemnej Strony!

– Jeżeli ci dwoje byli w armii Kaana, są dobrze obeznani z narzędziami walki, stosowanymi przez Sithów – odparł Mistrz Jedi. – Nietrudno by im było dodać te szczegóły do każdej historii, jaką opowiedzą.

Z narastającą frustracją młody padawan zacisnął szczęki i zdecydował się wypowiedzieć surowe oskarżenie:

– Chcesz wierzyć, że Sithowie na zawsze zniknęli! To właśnie dlatego wolisz nie dostrzegać tego, co masz przed oczami!

– A ty wolisz wierzyć, że Sithowie nadal istnieją – odgryzł się Farfalla, ale bez specjalnej złości. – Chcesz zemścić się na tych, którzy zabili twojego Mistrza, i to pragnienie cię zaślepia. Gdybyś trzeźwo myślał, sam byś się zorientował, że pewien fragment opowieści tych najemników podaje w wątpliwość całą ich relację.

Zaskoczony Johun zamrugął.

– Masz dowód na to, że kłamię, Mistrzu? – zapytał.

– Sam go umieściłeś w swoim raporcie – przypominał Farfalla. – Twierdzą, że Ciemny Lord Sithów zabił wszystkich ich przyjaciół, oni jednak przeżyli. Jak to możliwe?

– Oni... uciekli do lasu – zająknął się Johun, rozumiejąc, jak niepoważnie brzmią jego słowa.

– Jesteś Jedi – przypomniał mu Mistrz Valentyne. – Dobrze znasz potęgę Mocy. Naprawdę wierzysz, że ta para zdołałaby uniknąć gniewu Mistrza Sithów, po prostu kryjąc się między drzewami?

Mistrz Sithów bez trudu by ich wytropił i zarznął jak prosiaki *zucca*, przyznał w duchu Johun.

– Może z jakiegoś powodu chciał, żeby przeżyli? – zasugerował, nie dając za wygraną.

– Niby dlaczego? – zapytał Farfalla. – Jeżeli jakiś Lord Sithów rzeczywiście przeżył eksplozję bomby myśli, chyba by nie chciał pozostawiać świadków, którzy mogliby go wydać w ręce wrogów.

Johun nie miał na to odpowiedzi. To rzeczywiście nie miało sensu. Jakimś cudem jednak wiedział – po prostu wiedział – że najemnicy mówią prawdę.

– Johunie – odezwał się generał, wyczuwając, że młody padawan toczy wewnętrzną walkę. – Musisz być wobec siebie zupełnie szczery. Naprawdę uważasz, że możesz dać wiarę tym najemnikom?

Johun powrócił myślami do więźniów w celi i ich nieustannych kłamstw. Przypomniał sobie, że sam polecił pilnującemu ich strażnikowi, aby nie wierzył w nic, co mu powiedzą. Cóż, chyba naprawdę zrobił z siebie głupca.

– Nie, Mistrzu Valentyne – powiedział. – Masz rację. Nie można im wierzyć. – Urwał na chwilę, żeby się zastanowić. – Ja... ja chciałbym porozmawiać z Irtanną i Bordonem, kiedy wrócą. Muszę ich przeprosić za

krzywdę, jaką im wyrządziłem.

– Cieszę się, że to mówisz, Johunie – pochwalił go Farfalla z lekkim uśmiechem. – My, Jedi, nie jesteśmy nieomylni. Musimy mieć jednak dość pokory, żeby przyznać się do błędu. Niestety, nie będziesz mógł ich przeprosić. Wezwano mnie na Coruscant na spotkanie z Kanclerzem Tarsusem Valorumem. Nie mogę ci ufać, że podczas mojej nieobecności będziesz przestrzegał wszystkich wskazówek, więc polecisz tam ze mną jako mój doradca.

Farfalla powiedział to karcącym tonem, jakby zamierzał ukarać młodego padawana, ale serce w piersi Johuna aż podskoczyło z radości. Zrozumiał, że Mistrz Valentyne chce, aby Johun został jego uczniem. A więc sam Farfalla będzie jego mentorem!

– Ja... dziękuję ci, Mistrzu – bąknął niepewnie. Nie wiedział, co jeszcze powinien zrobić, więc tylko lekko się uklonił.

– Tego właśnie chciałby dla ciebie Hoth – dodał cicho Farfalla. – Wyruszymy, jak skończę wydawać polecenia tym, którzy przejmą dowództwo nad flotą na czas mojej nieobecności – oznajmił głośno.

– Dlaczego Kanclerz tak nagle zapragnął się spotkać z tobą? – zagadnął zaintrygowany Johun.

– Teraz, kiedy Bractwo Ciemności zostało pokonane, Galaktyczny Senat chce ogłosić oficjalnie koniec wojny – odparł Mistrz Jedi. – Na moim biurku leży ważny dokument, który może zmienić na zawsze oblicze Republiki. Valorum chce go ze mną omówić, zanim senatorowie przystąpią do głosowania.

– Czy ten akt prawny dotyczy także Jedi? – zaciekawiał się młody padawan.

– Owszem – powiedział ponuro Farfalla. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Zannah okropnie bolały nogi, od stóp aż po uda. Dziewczynka jednak ignorowała ból i cały czas parła naprzód.

Szła przed siebie, odkąd statek Dartha Bane'a zniknął za horyzontem. Miała jasno określony cel: polecieć na Onderona. Przedtem jednak musiała znaleźć statek, którego pilot zabierze ją z Ruusana, a to oznaczało, że musi trafić na jakichś ludzi. Kłopot w tym, że Zannah nie miała pojęcia, gdzie ich szukać, więc po prostu wybrała pierwszy lepszy kierunek i ruszyła w drogę.

Była za mała, żeby pilotować grawitacyjny skuter, który Bane wykorzystał, żeby dotrzeć do swojego statku. Z początku się tym nie

przejmowała. Wykorzystując swój świeżo odkryty talent w Mocy, biegła tak szybko, że krajobraz po bokach zmieniał się w niewyraźne smugi; jej włosy rozwiewał wiatr. Moc była wprawdzie niewyczerpana, ale Zannah nie potrafiła jeszcze zrobić z niej użytku. Na razie dopiero doskonaliła swoje umiejętności; wkrótce zaczęło jej doskwierać zmęczenie. Musiała zwolnić i chociaż wzywała na pomoc potęgę Ciemnej Strony, czerpiąc z głębokich zasobów swojego gniewu i nienawiści, była tak wyczerpana, że nie doczekała się odpowiedzi.

Wyglądała teraz jak zwykła, zmęczona mała dziewczynka na tle zniszczonego przez wojnę krajobrazu Ruusana. Postanowiła jednak, że się nie podda. Skupiała się tylko na tym, żeby stawiać jedną stopę przed drugą. Trudno powiedzieć, jak długo zmuszała się do takiego marszu ani ile kilometrów pokonała, ale w końcu zobaczyła to, czego szukała: majaczący w oddali wahadłowiec.

Nadzieja przydała jej nowych sił; dziewczynka zaczęła niezgrabnie biec w kierunku statku. Kręciło się wokół niego kilka osób: młoda kobieta, starszy mężczyzna i dwóch kilkunastoletnich chłopców. Kiedy dotarła na niewielką odległość, kobieta ją zauważyła i zawołała do jednego ze swoich towarzyszy:

– Bordon! Powiedz chłopcom, że mamy tu kogoś, kto potrzebuje pomocy.

Kilka minut później Zannah siedziała na skrzyni z zaopatrzeniem w ładowni statku. Chciwie połykała odżywcze batony z racji żywnościowej, popijając gorącym płynem. Jeden z chłopców okrył jej plecy ciepłym kocem, a wszyscy otaczali ją troskliwą opieką.

– Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby taka mała osóbka tyle jadła – odezwała się kobieta i parsknęła śmiechem.

Nie wyglądała jak rodowita Ruusanka. Miała ciemną, karnację i krótkie czarne włosy, a pod kurtką nosiła grubą kamizelkę. Zannah zauważyła przypiętą na biodrze kaburę z blasterowym pistoletem i doszła do wniosku, że kobieta służy w wojsku.

– A czego innego się spodziewałaś, Irtanno? – zapytał starszy mężczyzna. W przeciwieństwie do swojej towarzyszki wyglądał jak rodowity Ruusanin. Był szeroki w barkach, miał pomarszczoną twarz i krótką, brązową brodę. Przypominał dziewczynce Root – kuzynkę, która wychowywała ją na rodzinnej planecie Somov Rit, kiedy Zannah była jeszcze małym dzieckiem. – Biedactwo... sama skóra i kości. – Odwrócił się do Zannah. – Pamiętasz, kiedy ostatnio jadłaś przyzwoity posiłek? – zapytał.

Zannah pokręciła głową.

– Tak dawno, że nie pamiętam – odparła, przetykając ostami kęs.

Najpierw przyjęła propozycję zjedzenia posiłku tylko z grzeczności. Odkąd wylądowała na Ruusanie, żywiła się korzonkami i jagodami. Trwało to tak długo, że właściwie się przyzwyczaiła do ustawicznych skurczów żołądka, który domagał się pożywienia. Przestała zwracać na to uwagę i właściwie nie uświadamiała sobie dręczącego ją głodu. Kiedy jednak poczuła na języku smak prawdziwego jedzenia, odzyskała apetyt, a jej organizm najwyraźniej chciał sobie powetować tygodnie postu.

– Gdzie są twoi rodzice? – zapytała Irtanna.

– Nie żyją – odparła Zannah po krótkim namyśle. Odłożyła na bok to, co pozostało z racji żywnościowej. Batony były wspaniałe i dobrze było znów czuć zwykłą fizyczną radość z jedzenia. Nie mogła jednak pozwolić sobie na dekoncentrację. Musiała być czujna i uważać, co mówi tym ludziom.

Mężczyzna kucnął obok niej, a jego oczy znalazły się na wysokości jej twarzy. Miał łagodny, współczujący głos.

– Masz innych członków rodziny? – zapytał. – Braci? Siostry? Kogokolwiek?

Zannah pokręciła głową.

– Sierota wojenna – mruknęła ze smutkiem Irtanna.

– Nazywam się Bordon – oznajmił mężczyzna. – To jest Irtanna, a to moi synowie, Talio i Wend. A ty jak masz na imię?

Zannah nie zamierzała zdradzać im prawdziwego imienia. Wahala się sekundę, zanim odpowiedziała.

– Mam na imię... Rain – mruknęła w końcu, decydując się podać przezwisko z okresu dzieciństwa.

– Rain? To zabawne imię – odezwał się starszy chłopiec, Tallo. Wyglądał na szesnaście lat. – Nigdy jeszcze takiego nie słyszałem.

– Wielu imion jeszcze nie słyszałeś – skarcił go ostro ojciec. Odwrócił się do Zannah i dodał łagodniejszym tonem: – Czy jesteś ranna, Rain? – zapytał. – A może chora? Mamy lekarstwa, jeżeli ich potrzebujesz.

– Nie, nic mi nie jest – odparła szybko dziewczynka. Była po prostu wycieńczona i bardzo, bardzo głodna.

– Czy powinniśmy ją zabrać ze sobą? – zastanowiła się Irtanna.

Bordon nie odrywał spojrzenia od Zannah.

– Dlaczego nie mielibyśmy jej o to zapytać? – zaproponował. – Rain, czy chcesz lecieć z nami?

– Muszę się dostać na Onderona – odparła bez chwili zastanowienia Zannah, ale już po chwili pożałowała, że to powiedziała.

– Onderona? Na tej skale nie znajdziesz nic oprócz potworów i tubylców dosiadających bestii – wtrącił Talio. – Chyba ci odbiło, że chcesz tam lecieć!

– Bądź cicho, chłopcze! – warknął Bordon. – Cały czas żyłeś na Ruusanie, więc skąd możesz to wiedzieć?

– Słyszałem od ludzi – odparł starszy syn Bordona. – Mówili o tym w obozach przy ogniskach i nie tylko.

– Nie należy wierzyć w każdą historię, jaką się usłyszy przy obozowym ognisku – przestrzegł go Bordon. – A teraz zabierz swojego brata i zaczekajcie na dziobie statku.

– Tato, daj spokój – burknął Talio, ale wziął za rękę młodszego chłopca.

– To niesprawiedliwe – sprzeciwił się ciągnięty przez starszego brata Wend. – Nie zrobiłem nic złego.

– Dlaczego chcesz lecieć na Onderona? – zapytała Irtanna, kiedy chłopcy zniknęli. – To bardzo niebezpieczna planeta. Mała dziewczynka nie powinna tam mieszkać sama.

– Nie będę sama – zapewniła Zannah. – Ja... mam tam rodzinę – skłamała. – Muszę ją tylko odnaleźć.

Bordon potarł dłonią podbródek i pociągnął się za brodę.

– Na planecie w rodzaju Onderona może ci być trudno ich znaleźć – powiedział. – Czy jest ktoś, z kim moglibyśmy się skontaktować w twoim imieniu? Na przykład jakiś przyjaciel rodziny tu, na Ruusanie?

– Muszę lecieć na Onderona – powtórzyła z uporem dziewczynka.

– Rozumiem. – Mężczyzna wyprostował się i odwrócił do Irtanny. – Wygląda na to, że nasz młody gość jest zdecydowany odlecieć z tej planety – zauważył.

– Nie możemy cię zabrać na Onderona – wyjaśniła Irtanna. – Możesz jednak lecieć z nami, kiedy będziemy opuszczać Ruusana.

– Dokąd mnie zabierzecie? – zapytała podejrzliwie Zannah.

– Na orbicie nad planetą mamy całą flotę okrętów, Rain – odparła kobieta. – Będiesz tam bezpieczna. Na pewno znajdziesz kogoś, kto się o ciebie zatroszczy.

– Potrafię sama zadbać się o siebie – oburzyła się Zannah.

– Tak, widzę – wtrącił Bordon. – Ale musisz się czuć bardzo samotna. – Urwał, bezskutecznie czekając na jej odpowiedź. – Wiesz, co ci powiem? – podjął po chwili. – Na dworze zaczyna się robić ciemno. Dlaczego nie miałabyś polecieć z nami na orbitę? Jutro zdecydujemy, co dalej. Jeżeli nadal będziesz chciała udać się na Onderona, postaramy się ci pomóc – dodał. – Jeżeli jednak zmienisz zdanie, może zechcesz zostać jakiś czas ze

mną i z moimi synami tu, na Ruusanie... przynajmniej dopóki nie znajdziemy kogoś z twojej rodziny.

Zannah aż otworzyła buzię, wyraźnie zaskoczona jego propozycją.

Bordon wyciągnął rękę i łagodnie poklepał dziewczynkę po ramieniu.

– O nic się nie martw – powiedział. – Nie musisz od razu odpowiadać. Spróbuj się jednak nad tym zastanowić.

Zannah kiwnęła głową i powróciła do posiłku. Myśli w jej głowie krążyły jak szalone.

– Przygotuję statek do startu – oznajmiła Irtanna i poszła na dziób wahadłowca.

Bordon mruknął coś i znowu zwrócił się do Zannah.

– Pójdę na dziób pomóc Irtannie – powiedział. – Zostań tu i skończ jeść, dobrze?

Zannah znów pokiwała głową. W sposobie, w jaki odnosił się do niej Bordon, było coś kojącego. Coś, co sprawiało, że czuła się bezpieczna, a zarazem doceniana. Patrzyła, jak starszy człowiek wychodzi przez właz oddzielający ładownię towarową od sterowni.

– Po prostu zawołaj, jeżeli będziesz czegoś potrzebować – usłyszała jeszcze jego głos.

Wreszcie silniki wahadłowca obudziły się z rykiem do życia i statek wzniósł się w powietrze, ale Zannah prawie nie zwróciła na to uwagi. Szalały w niej różne emocje, podpowiadając, że nie może tak po prostu siedzieć... musi coś zrobić, i to natychmiast! Nie mogła dopuścić, żeby ci ludzie zabrali ją na pokład jednego z okrętów ich floty. Spotka tam zbyt wiele osób, zbyt wielu Jedi. Któryś z nich może zauważyć jej specjalny dar i zacząć zadawać pytania. Obawiała się, że Jedi wyciągną z niej prawdę o Darthu Banie, a wówczas wszystko, co jej obiecał – cała wiedza i potęga Ciemnej Strony – zostanie na zawsze stracone. Jednak część jej umysłu namawiała ją, żeby zgodziła się na propozycję Bordona. Bane ostrzegwał, że okres jej szkolenia będzie długą i trudną walką. Zannah miała jednak dość walki, a Bane ją opuścił. Z drugiej strony... Bordon zaprosił ją do swojego domu, a to tak, jakby zaproponował, żeby została członkiem jego rodziny. Co mogło być złego w przyjęciu jego propozycji? Bane dowodził, że Zannah jest wybraną dziedziczką dorobku prastarych Sithów, ale czy ona sama właśnie tego naprawdę pragnęła?

Zanim znalazła odpowiedź, usłyszała jakiś hałas. Uniosła głowę i zobaczyła młodszego syna Bordona, Wenda, wychodzącego ze sterowni, chyba po to, żeby z nią porozmawiać. Zannah oceniała, że Wend może mieć

najwyżej trzynaście lat... a więc niewiele więcej niż ona.

– Tatuś powiedział, że nie masz żadnej rodziny – powiedział prosto z mostu.

Zannah nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więc tylko kiwnęła głową.

– Czy zginęli podczas wojny? – dociekał Wend. – Zabili ich Sithowie?

Zannah wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat; bała się ujawnić jakiś szczegół, który pomoże chłopcu odkryć, kim jest naprawdę jego rozmówcy.

– Moja mama służyła w wojsku – pochwalił się Wend. – Była bardzo odważna. Poszła walczyć z Sithami, kiedy pierwszy raz przylecieli na Ruusana.

– Co się z nią stało? – zapytała Zannah, widząc, że chłopiec tego się po niej spodziewał. Nie chciała niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

– Zginęła podczas czwartej bitwy na Ruusanie – odparł chłopiec. – Zabił ją Sith. Tatuś twierdzi...

– Wend! – rozległ się nagle głos Bordona ze sterowni. – Wracaj tu! Daj Rain trochę odpocząć!

Chłopiec posłał jej nieśmiały uśmiech, odwrócił się i poszedł, zostawiając ją samą ze swoimi myślami. Jego słowa pomogły jej podjąć decyzję.

Bordon zaproponował, że przygarnie ją do własnej rodziny. Zannah kusilo, żeby zacząć takie proste, ale szczęśliwe życie. Ale co będzie, jeżeli te słowa okażą się tylko pustą obietnicą? Pokój to kłamstwo, przypomniała sobie.

Na co komu potrzebna rodzina czy przyjaciele, jeżeli nie potrafią ochronić siebie nawzajem? Bordon stracił żonę, a Talio i Wend matkę. Kiedy pojawili się Sithowie, nie zdołali ocalić osoby, którą najbardziej kochali.

Zannah wiedziała, jak to jest czuć się bezbronnym. Poznała uczucia osoby, której zabiera się coś, co najbardziej ceni. Przysięgła, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

Bordon i jego rodzina byli niewolnikami, skrępowanymi przez łańcuchy własnej słabości. Zannah nie chciała już być nigdy więcej ofiarą. Bane obiecał jej, że zapozna ją z tajnikami Ciemnej Strony; mówił, że jej pokaże, jak wyzwalać wewnętrzną potęgę i uwalniać się z więzów tego świata.

Dzięki potędze osiągam zwycięstwo. Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy! – powtarzała w myślach. Świadomość tego, kim naprawdę jest – akceptacja własnego przeznaczenia – przynagliła ją do działania. Spróbowała wezwać Moc, żeby dała jej więcej siły, ale była wciąż jeszcze zanadto wyczerpana po długim biegu, żeby zrobić użytek ze swoich

talentów. Wpadła na pomysł, żeby przeszukać okratowane skrzynie z zaopatrzeniem. Może znajdzie coś, co posłuży do powstrzymania wahadłowca i jego załogi przed dotarciem do zgromadzonej na orbicie floty.

Trafiła na to, czego szukała, w tej samej chwili, kiedy do ładowni wszedł Talio. Starszy syn Bordona przyłapał ją na gorącym uczynku.

– Tatuś chciał, żebym sprawdził, czy... Hej! Co ty wyprawiasz?

Zannah chwyciła kolbę blastera, zanim Talio zaatakował ją i powalił na płyty pokładu.

– Ty parszywa mała złodziejko! – warknął chłopiec, usiłując wyrwać z jej dłoni broń. Był dużo cięższy od niej, ale dziewczynka walczyła z tak dziką desperacją, że nie dawał sobie rady.

Do ładowni wbiegł zwabiony odgłosami walki Bordon.

– Co, na wszystkie czarne dziury, się tu dzieje?! – wrzasnął.

W tej samej chwili blaster wypalił. Trudno byłoby stwierdzić, czyj palec spoczywał akurat na spuście, bo Talio i Zannah wyrwali broń sobie nawzajem. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w momencie strzału lufa była skierowana prosto w pierś chłopca. Strzał wypalił pośrodku jego piersi dymiącą dziurę.

Chłopiec zwiotczał i puścił blaster. Padając, przygniótł nogi Zannah. Stojący we włączniku Bordon krzyknął przerażony i rzucił się na pomoc synowi.

Na widok biegnącego w jej stronę ojca chłopca, którego właśnie zabiła, Zannah zareagowała odruchowo i wystrzeliła znowu. Błyskawica trafiła Bordona w brzuch, stłumiła jego krzyk i zmusiła do osunięcia się na kolana. Mężczyzna jęknął z bólu, przycisnął dłońmi dymiącą dziurę w brzuchu, a po chwili wyciągnął zakrwawioną rękę w kierunku Zannah. Dziewczynka zadrżała ze strachu, ale bardziej z obrzydzenia, i dobiła Bordona następnym strzałem.

Z głośnika pokładowego interkomu dobiegł głos Irtanny:

– Bordon! Słyszałam odgłosy strzałów. Co się tam dzieje?

Zannah zwinnie i szybko wygrzebała się spod zwłok Talia i pobiegła do sterowni. Wend wciąż siedział w ochronnej uprząży na fotelu pasażera; spróbował się odwrócić, żeby zobaczyć, co się dzieje. Irtanna właśnie wstawała z fotela; chciała sprawdzić co z Bordonem. Musiała najpierw włączyć automatycznego pilota, a to dało Zannah kilka cennych sekund i pozwoliło zyskać przewagę.

– Siadaj i nie rób głupstw – rozkazała pilotce, kierując ku niej lufę blastera. W ciasnym pomieszczeniu jej głos zabrzmiał piskliwie... niczym głosik ogarniętego paniką dziecka.

Irtanna zawahała się, ale posłuchała.

– Co się stało? – zapytała pozornie obojętnym tonem. – Czy komuś się stała krzywda?

– Obierz kurs na Onderona – poleciła Zannah, nie odpowiadając na jej pytanie. Musiała mówić głośno, bo ledwo słyszała własny głos przez ogłuszający huk oszalałego serca.

– W porządku – odparła spokojnie kobieta i zabrała się do wpisywania współrzędnych na konsolce nawigacyjnego komputera statku. – Zrobię, co zechcesz, ale zachowaj spokój. – Na potwierdzenie przyjęcia współrzędnych nowego punktu docelowego z głośnika systemu automatycznego pilota wahadłowca rozległ się melodyjny kurant. Irtanna odwróciła się na fotelu i spojrzała w oczy trzymającej ją cały czas na muszce dziewczynki. – Rain, odłóż blaster. – W jej głosie brzmiała pewność siebie, a na twarzy malowała się desperacja.

– Nie jestem Rain – wycedziła dziewczynka przez zaciśnięte zęby. – Naprawdę nazywam się Zannah!

– Kimkolwiek jesteś – powiedziała Irtanna, powoli wstając z fotela – powinnaś mi oddać ten blaster.

– Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę – ostrzegła piskliwym tonem Zannah. Jak ona może być tak spokojna? – pomyślała, usiłując powoli, miarowo oddychać. To ona miała blaster, tymczasem wyglądało na to, że powoli traci panowanie nad sytuacją.

– Nie zrobisz tego – odparła spokojnie młoda kobieta, robiąc krok w jej stronę. – Nie zabijesz mnie. Nie jesteś morderczynią.

Przez głowę Zannah przemknęło wspomnienie dwóch zabitych Jedi na Ruusanie, a zaraz po tym obraz Bordona i jego syna, leżących bez życia w ładowni towarowej.

– Owszem, jestem – szepnęła i przycisnęła spust broni.

Zaskoczona Irtanna stęknęła cicho i osunęła się na pokład.

Zginęła szybką i czystą śmiercią. Zannah odczekała chwilę, aby nabrać pewności, że kobieta nie żyje, odwróciła się i wymierzyła lufę w Wenda. Chłopiec obserwował to, co się stało, jak sparaliżowany. Nie zadał sobie nawet trudu rozpięcia pasów ochronnej uprząży.

– Nie zabijaj mnie! – jęknął, bezradnie obracając się na fotelu.

Zannah wyczuła emanujący od niego strach. Emocje ofiary obudziły w jej sercu znajomy żar Ciemnej Strony, który sycił się przerażeniem chłopca. Przeplątał przez nią jak fala płynnego ognia, pozbawił ją niepewności i wyrzutów sumienia i wzmocnił decyzję.

W głowie dziewczynki rozbłysnęła nagle jedna prawda: strach i ból są nieuniknionymi elementami egzystencji. Lepiej jednak, żeby to przeżywały inne osoby.

– Proszę, nie strzelaj – zaskomlał Wend, ostatni raz błagając ją o darowanie życia. – Jestem tylko dzieckiem. Jak ty.

– Ale ja nie jestem dzieckiem – odparła Zannah, przyciskając spust broni.
– Jestem Sithem.

ROZDZIAŁ 7

„Valcyn” przedzierał się przez górne warstwy atmosfery Dxuna. Bane słyszał skowyt jednostek napędowych statku, protestujących, że muszą pracować na granicy bezpieczeństwa. W normalnych warunkach podróż z Ruusana na nieproporcjonalnie duży księżyc Onderona zajęłaby krążownikowi klasy T w rodzaju „Valcyna” od czterech do pięciu dni, ale Bane pokonał tę odległość w niespełna trzy.

Już kilka godzin po odlocie z Ruusana i pozostawieniu tam Zannah powróciły nieznośne bóle głowy, a wraz z nimi ukazała się niepożądana i równie nieznośna towarzyszka podróży: upiorna zjawa Lorda Kaana. Przez cały pierwszy dzień podróży unosiła się za nim w sterowni. Świadczyła o obrażeniach, jakie umysł Bane'a odniósł w wyniku eksplozji bomby myśli. Zjawa ani razu się nie odezwała. Tkwiła na obrzeżach jego pola widzenia, cały czas kierując na Bane'a oskarżycielskie spojrzenie.

To właśnie pod wpływem tej zjawy Bane zdecydował się na tak nieodpowiedzialne, wręcz niebezpieczne tempo podróży. Przekroczył wszystkie górne wartości parametrów lotu „Valcyna”, jakby jakaś część jego umysłu usiłowała wykorzystać statek do prześcignięcia szaleństwa jego właściciela. Bane rozpaczliwie chciał wylądować na Dxunie; liczył na to, że odnajdując grobowiec Freedona Nadda, zdoła odkryć jakiś sposób pozbycia się dręczących halucynacji.

Pod koniec pierwszego dnia podróży Kaan zniknął, ale pojawiła się jeszcze gorsza zjawa. Od tej pory unosił się obok niego nie założyciel Bractwa Ciemności, tylko Qordis – były naczelnik Akademii Sithów na Korribanie. Błada i półprzezroczysta postać wyglądała prawie identycznie jak Lord Sithów, kiedy ostatni raz się spotkali i kiedy Bane go zabił. Wysoki i wychudzony Qordis przypominał szkielet; może czuł się lepiej jako zjawa niż kiedykolwiek przedtem jako istota z krwi i kości. W przeciwieństwie do milczącego Kaana Qordis mówił. Recytował litanie rzekomych błędów Bane'a i potępiał wszystko, co ten kiedykolwiek osiągnął.

– Zdradziłeś nas – mówiła zjawa, wyciągając ku niemu długi, chudy palec, zakończony szponiastym paznokciem. Bane nie musiał nawet patrzeć,

żeby wiedzieć, że zjawa ma na palcu ciężkie, zdobione klejnotami pierścienie, które Qordis nosił za życia. – Zniszczyłeś Bractwo. Umożliwiłeś Jedi odniesienie zwycięstwa, a teraz uciekasz z pola bitwy jak tchórzliwy złodziej.

Nie jestem tchórzem! – pomyślał Bane. Zrobiłem tylko to, co i tak musiało się dokonać. Bractwo było bluźnierstwem. Musiało zostać zniszczone!

Nie było sensu mówienia tych słów na głos, bo upiorna zjawa pojawiała się tylko w jego umyśle. Rozmawianie z nią byłoby oznaką dalszego pogorszenia stanu umysłu Bane'a.

– Bractwo dysponowało wiedzą Ciemnej Strony – ciągnęła zjawa Qordisa. – Mądrością, która z twojego powodu została na zawsze stracona!

Bane zaczął mieć dosyć tego nazbyt znajomego refrenu. Podobnie dyskutował sam ze sobą, zanim postanowił zabić Kaana i jego zwolenników. Teraz musiał przeżywać to wszystko na nowo, raz po razie, dzięki halucynacjom swojego zranionego umysłu. Nie pozwolił jednak, żeby wątpliwości osłabiły jego zdecydowanie. Zrobił tylko to, co było konieczne.

Bractwo naprawdę pobłądziło, pomyślał. Zeszło z prawdziwej ścieżki Ciemnej Strony. Wszystkie nauki i szkolenia, jakim Qordis poddawał potencjalnych studentów w Akademii, nie miały żadnej wartości.

– Gdyby to było prawdą – odezwała się zjawa, odpowiadając na jego niewypowiedziane oskarżenia – jak wyjaśnisz swoją obecną wyprawę? Twierdzisz, że odrzuciłeś moje nauki, ale to właśnie ja odkryłem dawno zaginione miejsce pochówku Freedona Nadda.

Niczego nie odkryłeś, sprzeciwił się w myśli Bane. Jesteś tylko złudzeniem. Qordis prawdopodobnie przez przypadek natknął się na tę informację, a potem nie miał pojęcia, co z nią zrobić. Prawdziwy Mistrz Sithów wyruszyłby z Ruusana, żeby odnaleźć ten grobowiec. A ty postanowiłeś zostać i pomóc Kaanowi bawić się w wojenkę z Jedi.

– To tylko wykręty i usprawiedliwienia – warknęła zjawa. – Kaan był wojownikiem, ty zaś wolałeś się ukryć przed swoimi wrogami, niż stoczyć z nimi walkę.

Bane zgrzytnął zębami, kiedy „Valcynem” zatrzęsły turbulencje w ciężkich chmurach atmosfery Dxuna. Statek leciał za szybko, więc Bane musiał z całej siły ścisnąć rękojeść drążka sterowniczego, żeby utrzymać go na kursie. Słyszał trzaski i jęki przeciążonego kadłuba, który przedzierał się przez gęstą atmosferę.

– Zdradziłeś nas! – przemówiła znów zjawa Qordisa.

Bane zaklął pod nosem i spróbował zignorować gadaninę zjawy, która istniała tylko w jego myśli. Ileż to razy w ciągu ostatniego dnia słyszał dokładnie ten sam tekst? Pięćdziesiąt? Sto? Zupełnie, jakby słuchał uszkodzonego holoprojektora, powtarzającego w kółko tę samą wiadomość.

– Zniszczyłeś Bractwo. Umożliwiłeś Jedi zwycięstwo, a teraz uciekasz z pola bitwy jak tchórzliwy złodziej.

– Zamknij się! – wrzasnął Darth Bane, niezdolny zapanować nad wściekłością. – Nie jesteś nawet rzeczywisty!

Postanowił potraktować zjawę Mocą, więc wyzwolił w sterowni eksplozję energii Ciemnej Strony. Był zdecydowany usunąć nieproszonego gościa w nicość. Qordis rzeczywiście zniknął, ale zwycięstwo Bane'a nie na wiele się przydało. Na pokładzie statku zaczęły błyskać światła awaryjne, którym towarzyszyło przenikliwe wycie alarmów informujących o poważnym uszkodzeniu.

Okazało się, że podmuch wyzwolonej przez niego energii usmażył konsolę statku. Przeklinając Qordisa i bezmyślny pokaz własnych emocji, Bane rozpoczął rozpaczliwą walkę o bezpieczne lądowanie. Zewsząd słyszał upiorny, sarkastyczny śmiech Qordisa.

„Valcyn” swobodnie opadał w kierunku porośniętej gęstymi lasami powierzchni Dxuna. Bane szarpnął dźwignię drążka sterowniczego z całej siły i w końcu statek zmniejszył kąt lądowania. Bane wiedział jednak, że jeżeli nie wymyśli sposobu zmniejszenia prędkości, nic nie będzie miało znaczenia.

Grzmotnął pięścią w pulpity z urządzeniami kontrolnymi, żeby przesłać energię do silniczków manewrowych; drugą ręką zmagął się z dźwignią drążka. Nic to nie pomogło, więc zamknął oczy i posługując się Mocą, uwolnił myśli. Posłał je w głąb spalonych obwodów i stopionych wiązek przewodów statku.

Jego myśli przebiegły labiryntem elektronicznych urządzeń, które sprawowały władzę nad wszystkimi systemami „Valcyna”. Przekierunkowywały je i przełączały, żeby znaleźć konfigurację, która pozwoli na przesłanie energii do unieruchomionego włącznika zapłonu. Po pierwszej próbie z kontrolnej konsoli wystrzeliła fontanna iskier, ale w końcu Bane usłyszał ryk budzących się do życia silniczków manewrowych.

Zdążył je uruchomić i nakazał pracować pełną mocą wstecz. Zaledwie kilkaset metrów nad powierzchnią Dxuna statek zwolnił tempo opadania, ale nie zastopował. Jeszcze zanim wyrznął w korony drzew, Bane otoczył się ochronnym kokonem Mocy. Miał nadzieję, że bąbel okaże się wystarczająco

mocny, żeby pomóc Mistrzowi Sithów przeżyć nieuniknioną katastrofę.

„Valcyn” zderzył się z drzewami pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Pod wpływem impetu kolizji z ogłuszającym trzaskiem oderwały się łapy lądownicze. W burtach statku pojawiły się szerokie wyrwy; kadłub zderzył się z konarami z taką siłą, że gałęzie pokonały grube płyty metalu i oderwały je z zamocowań na kadłubie.

Kiedy statek przedzierał się przez las, Bane w sterowni obijał się bezwładnie o ściany i o sufit. Nawet Moc nie dała rady ochronić go całkowicie przed kontuzjami. „Valcyn” wyrył wśród drzew kilometrowej długości pas, zanim zderzył się z miękkim, bagnistym gruntem i w końcu znieruchomiał.

Bane jakiś czas się nie ruszał. Jego statek stał się dymiącym wrakiem, a on sam cudem przeżył, ocalony przez otaczającą go energię Ciemnej Strony. Mimo to nie uniknął obrażeń. Całe ciało miał pokryte bolesnymi sińcami, a twarz i dłonie pokaleczone kawałkami szkła, które przebiły się przez ochronny kokon Mocy. Na prawym bicepsie widniała pięciocentymetrowa, głęboka rana, lewe ramię okazało się wybite ze stawu, a dwa żebra złamane. Na szczęście żadne nie przebiło płuc. Prawe kolano szybko puchło, ale chyba nie uległo cięższemu uszkodzeniu. Bane poczuł w ustach krew; okazało się, że stracił dwa zęby. Na szczęście żadna z ran nie zagrażała jego życiu.

Oszczędzając kontuzjowane kolano, Bane wstał powoli. Szczątki „Valcyna” spoczęły na burcie, więc wszystko w sterowni było teraz odwrócone pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Bane ostrożnie pokuśtykał do awaryjnego włazu.

Zauważył, że jego lewa ręka bezwładnie zwisa wzdłuż boku. Awaryjny właz znajdował się obecnie nad nim, skierowany ku niebu.

Bane był zawsze bardzo silny, ale nie mógł nawet marzyć, by podciągnąć się i otworzyć jedną ręką klapę włazu. Gdyby był Jedi, pewnie mógłby posłużyć się Mocą, żeby uleczyć rany, ale był tylko uczniem Ciemnej Strony. Nawet gdyby jego zdolność przywoływania Mocy nie wyczerpała się podczas katastrofy, Sithowie i tak nie znali sztuki uzdrawiania. Na szczęście Bane, zanim został Mistrzem Sithów, służył w wojsku, więc znał się trochę na opatrywaniu ran.

„Valcyn” miał w wyposażeniu awaryjny pakiet medyczny, który znajdował się pod siedzeniem fotela pilota. W pakiecie były środki stymulujące, którymi mógł się posłużyć, żeby opatrzyć najgorsze obrażenia. Kiedy jednak zajrzał pod siedzenie, przekonał się, że pakiet zniknął.

Doszedł do wniosku, że pakiet musiał się wysunąć podczas awaryjnego

ładowania, więc zaczął przeszukiwać sterownię i w końcu go znalazł. Zewnętrzne pudełko okazało się wgięte i lekko odkształcone, ale zawartość była chyba nieuszkodzona. Dopiero po trzech próbach Bane otworzył wieczko zdrową ręką. Z ulgą stwierdził, że kilka strzykawkę ze środkami stymulującymi przetrwało katastrofę.

Wyjął jedną i wbił igłę w udo. Po kilku sekundach poczuł, że naturalne właściwości samouzdrawiające ciała zaczynają działać w przyspieszonym tempie. Krew płynąca ze skaleczeń już krzepła; najważniejsze jednak, że zastrzyk stępił ból w opuchniętym kolanie i w złamanych żebrach. Bane mógł wreszcie chodzić i bez wysiłku oddychać.

Wybita ze stawu ręka wymagała jednak bardziej bezpośredniego potraktowania. Bane chwycił prawą dłoń nadgarstek lewej i aż zgrzytnął zębami z bólu. Pociągnął rękę z całej siły, w nadziei, że wybita panewka wskoczy we właściwe miejsce. Podczas służby w wojsku pomagał kilka razy lekarzom polowym w nastawianiu wybitych rąk kolegów żołnierzy. Procedura była stosunkowo nieskomplikowana, ale wymagała odpowiedniego chwytu, żeby mogła okazać się skuteczna. Bane szybko się przekonał, że nie jest łatwo znaleźć odpowiedni punkt podparcia, żeby wykonać ten zabieg na sobie.

Pomrukując i pocąc się z wysiłku, zrozumiał, że musi podjąć bardziej drastyczne kroki. Ostrożnie usiadł na pokładzie, pochylił się, zgiął nogi i ścisnął nadgarstek rannej ręki między kolanami. Zaczerpnął powietrza i raptownie wyprostował nogi, równocześnie odchylając się do tyłu.

Jęknął, kiedy główka kości z głośnym trzaskiem wskoczyła do panewki stawu. Przenikliwy ból pozbawił go resztek sił. Blady i drżący z wysiłku, leżał na plecach na pokładzie. Kilka sekund później jego starania zostały nagrodzone: ukłucia powracającego krążenia szybko obejmowały palce lewej dłoni.

Po kilku minutach i kolejnym zastrzyku środka stymulującego mógł się już posługiwać obiema rękami. Pozwoliło mu to podciągnąć się do awaryjnego wjazdu, otworzyć klapę, wyjść na zewnątrz, ześlizgnąć się po burcie wraku „Valcyna” i stanąć na powierzchni Dxuna. Był poobijany, ale nie uległ.

Nie był zaskoczony, że na księżycu czeka już na niego Qordis.

– Dałeś się złapać w pułapkę, Bane – zadrwiła zjawa. – Twój statek jest zniszczony i wiesz, że nawet nie masz co marzyć o naprawie. Nie znajdziesz tu innego statku, bo na Dxunie nie żyją inteligentne ani cywilizowane istoty. Nie możesz także liczyć na ekipę ratunkową. Nikt przecież nie wie, że tu

jesteś. Nie powiedziałaś tego nawet swojej uczennicy.

Bane nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć. Ostatni raz sprawdził swój sprzęt. Zabrał z pokładu plecak z racjami żywnościowymi i wodą, prętami jarzeniowymi i garścią strzykawek ze środkiem stymulującym. Wziął także prosty myśliwski nóż, który wsunął do buta. Zarzucił plecak i upewnił się, że ma u pasa rękojeść świetlnego miecza. Uznał, że tylko to warto było zabrać z pokładu wraku.

– W dżunglach Dxuna roi się od śmiertelnie niebezpiecznych drapieżników – straszyla zjawa Qordisa. – Będą cię tropić w dzień i w nocy, a zaatakują w chwili, kiedy przestaniesz zachowywać ostrożność. A jeżeli nawet przeżyjesz wycieczkę po dżungli, jakim cudem stąd odleczisz? Możesz porzucić marzenia o ucieczce – ciągnęła upiorna postać. – Zginiesz tu, Bane.

– Dla ciebie jestem Darth Bane i tak masz mnie tytułować – warknęła z ponurą determinacją rosły mężczyzna. – W przeciwieństwie do ciebie jeszcze nie jestem martwy.

Odpowiedź chyba dotarła do tej części jego podświadomości, która wytwarzała zjawę, bo Qordis natychmiast się rozplynął.

Kiedy zniknęła zjawa, która odwracała jego uwagę, Bane zajął się dokładnym badaniem okolicy. Korony gęsto rosnących drzew zasłaniały światło. Było dopiero południe, ale Bane czuł się, jakby zapadał zmierzch. Mimo to nie potrzebował oczu, żeby wszystko wyraźnie widzieć.

Posługując się Mocą, uwolnił myśli i zbadał nimi otoczenie. Znajdował się w samym sercu lasu; drzewa ciągnęły się setki kilometrów w każdą stronę. Szukając w pobliżu siebie oznak życia, zorientował się, że przynajmniej pod tym względem zjawa miała rację. W porastających Dxuna lasach roiło się od śmiertelnie niebezpiecznych drapieżników. Bane zastanowił się, kiedy jeden z mieszkańców dżungli postanowi sprawdzić, czy Lord Sithów nie figuruje w jego jadłospisie.

Mimo to nie odczuwał strachu. Jeszcze zanim Nadd postanowił właśnie tu umieścić swój grobowiec, Dxun wabił pradawnych Sithów. Jedi przekleli to miejsce jako skażone, ale Bane od razu się zorientował, czym naprawdę jest wielki księżyc Onderona: ciałem niebieskim, przesyconym potęgą Ciemnej Strony. Czuł się tu silny, odmłodzony... chociaż doskonale rozumiał, że ukryte w leśnej głuszy stworzenia mogą czerpać siłę z tej samej potęgi.

W końcu znalazł to, czego szukał. W odległości wielu kilometrów wyczuł skupisko potęgi. Zlokalizował źródło energii Ciemnej Strony, która przenikała przez otaczającą go dżunglę. Promieniowała jak nadajnik sygnału namiarowego.

To musiał być grobowiec Freedona Nadda; teraz, kiedy Darth Bane tu trafił, to miejsce go przyzywało. Porzucił wrak „Valcyna” i ruszył w stronę źródła potęgi. Zmierzając najprostsza drogą do swojego przeznaczenia, posługiwał się świetlnym mieczem, którym wycinał ścieżkę w gąszczu krzaków zagradzających mu drogę.

Koncentrując się na odnajdywaniu drogi do grobowca Nadda, część uwagi poświęcał zachowaniu ostrożności. Podobnie jak w większości ekosystemów leśnych, stworzenia na Dxunie rządziły swoim środowiskiem. Niektóre potrafiły świetnie się kamuflować; nie tylko trudno je było odróżnić od gałęzi czy krzewów, ale także nie dawało się ich wykryć w unoszącej się nad lasem energii Ciemnej Strony.

Chociaż Bane starał się zachować czujność, niespodziewany atak o mało go nie zaskoczył. Z góry zeskoczyło prosto na niego ogromne kotowate zwierzę; Bane usłyszał cichy świst przecinanego przez przednie łapy powietrza w miejscu, w którym zaledwie sekundę wcześniej znajdowało się jego gardło.

Wyczuł to stworzenie w ostatniej chwili; dzięki świadomości Mocy uniknął śmiercionośnych pazurów. Mimo to ciężkie cielsko bestii zderzyło się z nim z takim impetem, że Darth Bane potoczył się po ziemi.

Ciemny Lord Sithów zginąłby niewątpliwie, gdyby nie to, że kocur wydawał się oszołomiony nieoczekiwanym niepowodzeniem swojego ataku. Dezorientacja zwierzęcia dała Bane'owi sekundę, której potrzebował, żeby odtoczyć się na bok od wielkiego kota i przyjąć pozycję do walki.

Teraz, na tle zieleni lasu, Bane mógł się lepiej przyjrzeć napastnikowi. Zwierzę taksowało go płonącymi, zielonymi, zdecydowanie kocimi ślepiami. Miało ciemnoszarą sierść, usianą drobnymi brązowymi plamkami mieniącymi się na potężnych, drgających mięśniach. Zwierzę mogło mieć półtora metra w kłębie i ważyło przynajmniej trzysta kilogramów. Miało cztery grube, silnie umięśnione łapy, zakończone ostrymi jak brzytwy, wciągany pazurami. Bane zwrócił uwagę na dwa węzowate ogony, z których każdy kończył się śmiertelnie niebezpiecznym, jadowitym kolcem.

Bane wycofywał się powoli, aż oparł się plecami o powykręcany pień wysokiego drzewa. Bezimienna bestia ruszyła w jego stronę; wreszcie z głuchym pomrukiem, od którego Bane dostał gęsiej skórki, znów na niego skoczyła, wymachując oboma ogonami. Bane odskoczył w bok – chciał poznać taktykę przeciwnika, zanim przystąpi do walki. Przednie łapy przecięły pustkę, a ogony zakrzywiły się jak łuki nad grzbietem bestii; ich kolce przecięły miejsce, w którym jeszcze chwilę wcześniej znajdował się

Bane. Kolce wbiły się w pień drzewa, o które się opierał, z taką siłą, że aż rozszczepiły drewno, a trujący jad pozostawił dwa dymiące czarne kręgi.

Stworzenie wylądowało na wszystkich czterech łapach i odwróciło się w stronę Bane'a, zanim Mistrz Sithów zdążył zaatakować jego odsłonięty bok. Znowu zaczęło się powoli zbliżać. Tym razem jednak, kiedy zdecydowało się zaatakować, Bane był gotów.

Bestia reagowała instynktownie; bezmyślne stworzenie pokładało nadzieję w szybkości i sile, napadając na potencjalną zdobycz. Od wielu pokoleń jego metody ataku ulegały ewolucji, dopóki nie stały się drugą naturą. Bane był pewny, że i tym razem zwierzę zachowa się tak samo.

Wyskoczyło wysoko w powietrze i, tak jak Mistrz Sithów się spodziewał, zaatakowało go przednimi łapami. Naturalnym odruchem większości ofiar było odskoczyć do tyłu przed pazurami... ale wtedy ginęła od jadowitych kolców śmiertelnych ogonów. Bane jednak zanurkował pod przednimi łapami i natychmiast się wyprostował, żeby odpowiedzieć na atak. Uniósł świetlny miecz wysoko nad głowę i zapalił klingę.

Energetyczne ostrze przecięło podbrzusze zwierzęcia, przecinając mięśnie i kości. Bane obrócił klingę w ranie i skierował ją w bok, żeby zniszczyć ważne organy wewnętrzne. Ruch był prosty, szybki i śmiertelnie skuteczny.

Impet skoku spowodował, że zwierzę przeleciało nad głową Mistrza Sithów i wylądowało ciężko za jego plecami. Wielkie cielsko było rozplątane od przednich łap do wciąż jeszcze drgających ogonów. Zadrzało tylko raz, a ogony znieruchomiały. Jarzące się ślepia zmętniały.

Serce Bane'a waliło mocno od bitewnego podniecenia. Nawet gdy oddalił się od pokonanej martwej bestii, czuł, że adrenalina wciąż jeszcze krąży w jego żyłach. Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął triumfalnym śmiechem.

– Czy to wszystko, na co cię stać, Qordis?! – krzyknął. – Nie masz w zanadru niczego więcej?

Rozejrzał się po okolicy w nadziei, że zmaterializuje się upiorna zjawa jego byłego Mistrza. Tym razem jednak nie pojawił się Qordis.

– To znów ty – przemówił Bane do widmowego Lorda Kaana. – Czego sobie życzysz?

Jak zwykle, Kaan się nie odezwał. Odwrócił się tylko i ruszył w głąb lasu. Bezcielesna zjawa przeciskała się bez wysiłku przez krzaki. Dopiero po chwili Bane zrozumiał, że Kaan podąża w kierunku grobowca Nadda.

– Niech ci będzie – mruknął i zaczął ciąć gąszczę klingą świetlnego miecza, żeby nadążyć za upiorną zjawą.

Jego nierzeczywisty przewodnik towarzyszył przez resztę drogi...

trzymając się w takiej odległości przed nim, że Bane musiał się bardzo starać, by nie stracić go z oczu. Dotarcie do celu – niewielkiej, nagiej polany – zajęło mu niemal cztery godziny. Teraz dopiero zobaczył nieregularną piramidę z szarego metalu, wysoką na dwadzieścia metrów, która wznosiła się pośrodku polany.

Bane stanął na linii drzew. Polany przed nim nie porastała nawet trawa, bo w cieniu krypty Nadda nie mogły wegetować żadne formy życia. Nawet krzaki i drzewa na obrzeżach były karłowate i zdeformowane, skażone przez potęgę Ciemnej Strony, która po śmierci Wielkiego Mistrza Sithów otaczała jego szczątki. Sam grobowiec miał oryginalny kształt – ściany piramidy schodziły się u wierzchołka pod dziwnym kątem, a w ciągu wielu wieków kamienie krypty wyszczerbiły się i pozapadały.

Do wnętrza piramidy wiodło tylko jedno wejście. Wrota były kiedyś zamknięte, ale najwyraźniej wiele wieków wcześniej roztrzaskał je ktoś, kto poszukiwał tajemnic ostatecznego miejsca spoczynku Nadda. Upiorna zjawa Kaana podeszła do piramidy i ruchem ręki zaprosiła Bane'a do środka, po czym sama zniknęła w wejściu.

Bane ruszył powoli naprzód, wyczulony na możliwe pułapki. Powrócił myślami do prastarych grobowców w Dolinie Sithów na Korribanie. Zanim opuścił Akademię, zapuszczał się w głąb mrocznych i niebezpiecznych krypt w poszukiwaniu wskazówek. Czytał opowiadania o duchach Sithów, które dzieliły się tajnikami Ciemnej Strony z najzdolniejszymi uczniami, pragnącymi je poznać. Na Korribanie Bane znalazł jednak tylko prochy i kości.

Zdjął plecak, żeby mu nie przeszkadzał podczas poszukiwań. Wyjął z niego sześć prętów jarzeniowych i wsunął je za pas, a sam plecak zostawił na ziemi w pobliżu wejścia do krypty.

Drzwi były niskie i Bane musiał się pochylić, wchodząc. W blasku jarzeniowego pręta, stwierdził, że stoi w niewielkim przedsionku, z którego wiedzie troje drzwi w trzy strony. Wybrał te po lewej i rozpoczął penetrację. Pomieszczenie po pomieszczeniu przeszukiwał piramidę, ale nie znalazł tu niczego, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. W kilku miejscach trafił na dowody, że ktoś już tam wcześniej był. Bane przypomniał sobie opowiadania Exara Kuna, Ciemnego Jedi z dawno zapomnianych czasów. Krążyły plotki, że on także odszukał miejsce ostatecznego spoczynku Nadda. Podobno znalazł w piramidzie niewyobrażalną potęgę. Bane, chociaż nie ustawał w poszukiwaniach, zaczynał wątpić, czy znajdzie tu coś wartościowego. Czy to możliwe, że i ta krypta – podobnie jak inne, które

przeszukiwał na Korribanie – jest tylko pustym, bezwartościowym grobowcem?

Zaglądał do kolejnych pomieszczeń z narastającą frustracją. W końcu doszedł do niepozornej komnaty, prawie w sercu piramidy. Czekali już tam na niego Kaan i Qordis.

Stali po obu stronach niewielkiego prostokątnego otworu drzwiowego, wykutego w tylnej ścianie. Otwór miał tylko metr wysokości i zablokowano go ściśle dopasowanym blokiem z czarnego kamienia. Na jego widok w sercu Bane'a pojawiła się nowa nadzieja. Prawdopodobnie ten, kto odwiedził to miejsce przed nim, nie dotarł do tej komnaty albo nie dał rady usunąć kamienia. Mogło tak być, bo znajdowała się na samym końcu skomplikowanego labiryntu ukrytych przejść. Niewielki otwór drzwiowy mógł kiedyś zostać ukryty dzięki dawno zapomnianej magii Sithów, ale w ciągu wielu wieków chroniący otwór czar pewnie stracił moc i otwór stał się widoczny.

Bane obrzucił spojrzeniem zjawy po obu stronach niewielkiego wejścia i kucnął, żeby lepiej się przyjrzeć kamiennej płycie. Miała gładką powierzchnię i wystawała z otworu drzwiowego zaledwie na kilka centymetrów, więc trudno było ją uchwycić. Naturalnie istniały inne sposoby, żeby usunąć ten kamień.

Przywołując całą swoją siłę, Bane posłużył się Mocą, uwolnił myśli i spróbował pociągnąć płytę ku sobie. Ta jednak ledwo drgnęła. Kamień był ciężki, ale w tym miejscu trzymało go coś więcej niż tylko sama masa. Coś innego zmagало się z potęgą Mistrza, coś mu się opierało. Bane zaczerpnął powietrza i pokręcił głową, aż usłyszał trzask chrząstek kręgosłupa. Przygotował się do następnej próby.

Tym razem wysłał myśli głębiej, do studni potęgi, drzemiącej gdzieś za płytą. Zapukał do przeszłości, żeby wyciągnąć na powierzchnię wspomnienia pograżone głęboko w jego podświadomości: przypomniał sobie, jak mocno bił go ojciec i jak go za to znienawidził. Poczuł, że jego potęga rośnie. Zaczęło się, jak zawsze, od pojedynczej iskry żaru. Iskra szybko przerodziła się w płomień, a płomień w ogniste piekło. Bane zadrzał z wysiłku, jaki musiał włożyć, aby podtrzymać potęgę i pozwolić, żeby energia Ciemnej Strony osiągnęła ilość krytyczną. Wytrzymał nieznośny żar tak długo jak mógł, a wreszcie wyciągnął przed siebie rękę, zacisnął palce w pięść i ukierunkował siłę, która kryła się w jego ciele, na kamień, który uniemożliwiał mu poznanie jego przeznaczenia.

Ciężka kamienna płyta przeleciała przez komnatę i z donośnym hukiem

zderzyła się z przeciwległą ścianą. W murze pojawiła się długa pionowa szczelina, chociaż tafla czarnego kamienia nie została nawet uszkodzona. Bane uklęknął, ciężko dysząc z wysiłku. Uniósł głowę i spojrzał na upiornych obserwatorów, którzy nadal czuwali po obu stronach przejścia. Pokręcił głową, przeczołgał się przez otwór i zajrzał do następnej komnaty.

Panowała tam ciemność, więc Bane wyjął z pasa jeden z prętów jarzeniowych, zapalił go i rzucił przed siebie. Pręt wylądował na posadzce i oświetlił wnętrze. Z tego, co Bane zobaczył, mógł się zorientować, że ma przed sobą okrągłe pomieszczenie o średnicy mniej więcej pięciu metrów i wysokim sklepieniu. Dokładnie pośrodku komnaty stał kamienny piedestał. Spoczywała na nim niewielka kryształowa piramida, w której Bane od razu rozpoznał holocron Sithów.

Pradawni Mistrzowie Ciemnej Strony posługiwali się holocronami, przechowując w nich mądrość, wiedzę i tajemnice. Holocron mógł zawierać prastare rytuały o niszczycielskiej potędze albo klucz do odkrycia tajemnic pradawnych czarowników Sithów. Mógł nawet kryć awatary, które symulowały osobowości twórcy holocronu. Zawarta w nim wiedza była tak cenna, że w ciągu wielu wieków holocrony były najważniejszymi przedmiotami służącymi do przekazywania przyszłym pokoleniom dziedzictwa wielkich Lordów Sithów.

Niestety już od wielu tysięcy lat sztuka konstruowania holocronów Sithów została zapomniana. Przez ten czas Jedi przemierzali galaktykę, żeby odnaleźć wszystkie znane holocrony swoich przeciwników, a następnie ukryć je w bibliotece na Coruscant, aby nikt nie mógł się zapoznać z zakazaną wiedzą. Odnalezienie holocronu takiego jak ten, który mógł zawierać nauki samego Freedona Nadda, było prawdziwym zrzędzeniem losu, przekraczającym wszystkie nadzieje Bane'a.

Mistrz Sithów precyzyjnie przeszedł przez ciasne przejście. Nie zdziwił się, że w środku czekają już na niego zjawy Kaana i Qordisa. Ominął ich spojrzeniem i popatrzył w górę, na sklepienie. W blasku jarzeniowego pręta zauważył, że coś się tam porusza, jakby kopułę nad jego głowę pokrywał dywan z żywych stworzeń.

Stał bez ruchu i wsłuchiwał się w napływające z góry dziwne odgłosy. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, zauważył, że sklepienie opanowała duża kolonia dziwnych stworzeń. Ich owalne, płaskie skorupy kończyły się spiczasto z obu końców. Jedne były wielkości pięści, a niektóre nawet dużego talerza. Gama kolorów sięgała od brązowego do czerwonożółtego. Wydawały mlaszczący odgłos, poruszając się po sklepieniu i włącząc

na siebie. Wszędzie zostawiały smugi błyszczącego śluzu.

Kiedy Bane tak na nie patrzył, jedno ze stworzeń oderwało się od pozostałych i zaczęło opadać prosto na niego. Bane pogardliwie pacnął je ręką, aż twarda skorupa odbiła się od ściany i potoczyła po dnie komnaty.

Chwilę później zaczął spadać na niego drugi skorupiak. Bane zapalił klingę świetlnego miecza i smagnął nią stworzenie. Skorupiak poszybował w bok i znieruchomiał dopiero w odległym kącie pomieszczenia. Bane przyjrzał mu się ze zdumieniem. Klinga świetlnego miecza powinna była przeciąć go na pół, tymczasem nie pozostawiła nawet rysy na błyszczącej, twardej skorupie.

Bane zrozumiał, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, i od razu skoczył w kierunku holocronu. Zdążył zacisnąć na nim palce, kiedy duża część kolonii skorupiaków oderwała się od sklepienia i kaskadą posypała się na niego niczym stos twardych orzechów. Nie puszczając holocronu, Mistrz Sithów usiłował siec te paskudztwa klingą świetlnego miecza albo odbijając potęgą Mocy. Stworzeń było jednak tak wiele, że nie dało się ich trzymać na przyzwoitą odległość. To tak, jakby chciało się odbić na bok wszystkie krople deszczu podczas ulewy.

Jeden skorupiak uderzył go w ramię i natychmiast się przyczepił. Przepalił pancerz i ubranie kwaśną, żrącą wydzieliną, a potem przylgnął do skóry. Bane poczuł w plecach ukłucia tysiąca mikroskopijnych igieł, a następnie dojmujący ból, kiedy kwas zaczął zżerać mu ciało.

Wrzasnął i zderzył się plecami ze ścianą, w nadziei, że oderwie stworzenie, ale przywarło na dobre. Próbując je odczepić, poczuł, że drugi pasożyt uderza go prosto w pierś. Znowu wrzasnął, kiedy żrący kwas i mikroskopijne igielki przebiły jego ubranie i skórę, a potem mięśnie na piersi, żeby przywrzeć bezpośrednio do kości mostka.

Zachwiał się od dojmującego bólu, ale zdołał jeszcze zadać cios energią Mocy. Wszystkie pozostałe stworzenia rozleciały się jak liście od gwałtownego podmuchu wiatru. Uderzyły o ściany komnaty, odbiły się z grzechotem i spadły na kamienne dno. Bane wykorzystał krótką przerwę, żeby na kolanach przeczołgać się przez ciasne przejście z powrotem do niewielkiego pomieszczenia, z którego rozpoczął swoją wędrówkę.

Ignorując potworny ból, jaki sprawiały mu oba przyczepione pasożyty, posłużył się Mocą, żeby unieść kamienną płytę w powietrze. Jego potęgę wzmacniało cierpienie i rozpaczliwa sytuacja. Tym razem blok dał się unieść bez oporu, przeleciał przez komnatę i zaczopował ciasne przejście, zanim za Bane'em puściły się w pogoń pozostałe skorupiaki.

Leżał jeszcze chwilę, ciężko dysząc i ściskając mocno holocron. Próbował nie zwracać uwagi na ból, jaki sprawiały mu pasożytujące na nim paskudztwa. Słyszał dobiegające zza ściany odgłosy wydawane przez resztę kolonii – mlaskanie głodnych żuchw, zmieszane z chrrobotem twardych skorup – i domyślił się, że zwierzęta wślazą po ścianach do swoich grzęd na suficie.

Wydało mu się, że usłyszał także inny dźwięk: chrapliwy, drwiący chichot Qordisa i Kaana, odbijający się od ścian grobowca Freedona Nadda.

ROZDZIAŁ 8

– Kanclerz Valorum może teraz panów przyjąć – oznajmiła zza swojego biurka twi'lekańska asystentka dostojnika.

Widząc, że Farfalla wstaje, Johun poszedł w jego ślady. Niezgrabnie wygładził fałdy ceremonialnego płaszcza, który jego Mistrz nakazał mu włożyć na tę wizytę. Młody padawan zaprotestował, twierdząc, że równie dobrze może wystąpić we własnym ubraniu, ale Farfalla odpowiedział:

– Tu, na Coruscant, wygląd ma duże znaczenie.

Johun jeszcze nigdy nie był na Coruscant – ani, skoro już o tym mowa, na żadnej innej planecie Jądra galaktyki. Urodził się i dorastał na Sermerii, rolniczej planecie w Rejonie Ekspansji, usytuowanym między Środkowymi a Zewnętrznymi Rubieżami galaktyki. Jego rodzina pracowała na farmie oddalonej kilka kilometrów od Addolis, niewielkiej osady w ogromnym sermeriańskim kompleksie rolniczym. Produkowano tam tyle żywności, że nadmiar można było sprzedawać innym, bardziej rozwiniętym planetom, które nie miały dość gruntów ornych, żeby wyżywić własną ludność.

Opuścił Sermerię w wieku dziesięciu lat, żeby rozpocząć szkolenie Jedi. W ciągu następnej dekady towarzyszył generałowi Hothowi w podróżach na dziesiątki planet, chociaż jego były Mistrz wolałby rezydować w rejonie Zewnętrznych Rubieży, z dala od polityków i miejskiego krajobrazu stolicy Republiki. Odwiedzali głównie mniej rozwinięte światy rolnicze, podobne do samej Sermerii. Johun zatem nie miał okazji widzieć czegoś takiego jak metropolia, którą było Galactic City.

Kiedy zbliżali się do Coruscant, Farfalla usiłował pokazywać mu ważniejsze budowle w rodzaju Wielkiej Rotundy Senatu czy Świątyni Jedi. Dla niedoświadczonych oczu młodego padawana wszystko to wyglądało jednak jak niekończący się ocean permabetonu, durastali i różnokolorowych, błyskających świateł. Po wylądowaniu obaj Jedi zeszli z pokładu i wsiedli do powietrznego śmigacza, którym dotarli na spotkanie z Kanclerzem Valorumem. Kiedy lecieli napowietrznym szlakiem, Johun siedział jak urzeczony i gapił się na krajobraz. Ich śmigacz przemykał między drapaczami chmur tak wysokimi, że z poziomu ich iglic nawet nie było

widać gruntu. Od czasu do czasu przelatywali nad pomostami dla pieszych, pod latającymi planszami reklam albo omijali inne pojazdy, musieli więc nurkować albo równie raptownie się wznosić.

Pod koniec podróży Johun był kompletnie oszołomiony strumieniami napowietrznych pojazdów i niewiarygodnym tłumem istot, które mieszkały i pracowały na Coruscant. Po całej wycieczce pozostała mu w pamięci tylko szalona jazda i ogłuszająca kakofonia dźwięków... prostemu chłopcu z farmy trudno się było z tym uporać.

W przeciwieństwie do niego Farfalla czuł się tu jak ryba w wodzie. Młody padawan zauważył, że po wylądowaniu jego nowy mentor wyraźnie się ożywił, jakby wchłonął energię ogromnej metropolii. Gorączkowy rytm życia i przyprawiające o zawrót głowy rzesze mieszkańców wyraźnie pobudziły Mistrza Jedi, a widok miasta zmył napięcie długiej kampanii wojennej, prowadzonej na obskurnej, małej planecie pogranicza. Farfalla nawet wyglądał tutaj inaczej niż na Ruusanie. Na tle tętniącej życiem stolicy galaktyki jego ubrania, które na Ruusanie mogły być uważane za dowód ekstrawagancji i rozrzutności, wydawały się po prostu modne i gustowne.

Nawet w samym centrum władzy Farfalla wyglądał na całkowicie odprężonego. Skłonił się łaskawie asystentce Kanclerza, na co młoda Twi'lekanka odpowiedziała zalotnym uśmiechem. Potem Mistrz Jedi ruszył śmiało do drzwi wiodących do wewnętrznego sanktuarium Valoruma. Johun także się skłonił, chociaż trochę niezręcznie i sztywno, przed urodziwą asystentką i podreptał za Farfallą.

Gabinet Kanclerza był urządzony z mniejszym przepychem i bardziej funkcjonalnie niż Johun się spodziewał. Ściany, dywan i meble miały głęboki, ciemnobrązowy kolor, co przydawało pomieszczeniu powagi. W jednej ścianie widniało ogromne okno, ale ku wielkiej uldze młodego Jedi zaciągnięto na nim zasłony. Pośrodku pokoju stał okrągły stół konferencyjny, a wokół niego sześć wygodnych foteli. Na ścianach wisiały monitory, a na nich migotały wiadomości z różnych programów informacyjnych HoloNetu.

Tarsus Valorum siedział za ogromnym biurkiem, zwrócony twarzą do drzwi. Na widok wchodzących gości wstał, żeby ich powitać. Był wysokim, pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną, ale wyglądał o dziesięć lat młodziej. Miał ciemne włosy, żywe, przenikliwe oczy, prosty, odrobinę spiczasty nos i kwadratową szczękę. Taką twarz wielu ludzi nazwałoby stanowczą i uczciwą. To właśnie dzięki tym cechom, a także wyjątkowym osiągnięciom w służbie publicznej Valorum został pierwszym niebędącym Jedi

Kanclerzem od ponad czterech wieków.

Johun słyszał plotki, jakoby to stanowisko należało się Farfalli, który odmówił przyjęcia tego zaszczytu, żeby dołączyć do Armii Światła na Ruusanie. Młodzieniec zastanowił się, czy jego byłemu Mistrzowi spodobałby się człowiek, który zajął po nim miejsce.

– Witaj, Mistrzu Valentyne – odezwał się Valorum, ściskając dłoń Farfalli serdecznym, doskonale wyćwiczonym gestem. – Dziękuję, że tak szybko przyleciałeś.

– Wasza Ekscelencja nie pozostawił mi wyboru – odparł Farfalla.

– Bardzo przepraszam – usprawiedliwił się Kanclerz, odwracając się i wyciągając rękę do Johuna. – A to pewnie twój uczeń – powiedział na widok długiego warkoczyka, który oznaczał, że młodzieniec jeszcze nie ukończył wstępnego szkolenia Jedi.

– Jestem padawanem i nazywam się Johun Othone, Wasza Ekscelencjo – przedstawił się młodzieniec.

Uścisk dłoni Valoruma był silny, ale nie miazdzący... idealny jak na polityka. Kanclerz potrząsnął ręką Johuna dwukrotnie, po czym wskazał gościom krzesła przy konferencyjnym stole.

– Proszę, szlachetni Jedi – powiedział, – Czujcie się tu jak w domu.

Farfalla zajął jedno z dalszych miejsc, w pobliżu ściany. Johun siadł dokładnie naprzeciwko niego, a Kanclerz na samotnym fotelu u szczytu stołu, pomiędzy obydwojma Jedi. Dyskusję zaczął Farfalla, który siedział bokiem do swojego ucznia, a twarzą do Valoruma.

– Wiadomość, jaką mi pan wysłał, była zupełnie nieoczekiwana, Wasza Ekscelencjo – zaczął. – W dodatku pojawiła się w niezbyt odpowiedniej chwili. Wciąż jeszcze borykamy się na Ruusanie z usuwaniem skutków eksplozji bomby myśli.

– Rozumiem twoją sytuację, Mistrzu Valentyne, ale musisz także zrozumieć moją – stwierdził Kanclerz. – Wiadomość o porażce Bractwa dotarła w końcu do HoloNetu. Dla opinii publicznej wojna jest skończona, a Senat aż się pali, żeby proklamować oficjalny koniec tego niemiłego okresu.

– Jedi także – odparł Farfalla. – Ale to, co zamierza pan wcielić w życie – tak zwana Ruusańska Reformacja – wymaga podjęcia nadzwyczajnych środków.

– I właśnie dlatego zaprosiłem was na Coruscant. Chciałbym usłyszeć wasze uwagi, zanim senatorowie nad tym zagłosują – wyjaśnił Valorum. – Powinniście zrozumieć, dlaczego musimy przedsięwziąć takie kroki.

Johun nie znał szczegółów wiadomości, jaką Farfalla dostał na Ruusanie;

jego mentor nie zdradził mu także nic podczas lotu na Coruscant. Młody padawan niewiele rozumiał z politycznej nowomowy obu dostojników. Na szczęście Farfalla zdecydował się zrezygnować z dyplomatycznej uprzejmości i przejść od razu do sedna sprawy.

– Czy uświadamiasz sobie wszystkie skutki tego, o co nas prosisz, Tarsusie? – zapytał. – Twoja propozycja wymaga, żeby Jedi zrezygnowali ze stopni wojskowych i całkowicie rozwiązali wszystkie swoje siły zbrojne! Prosisz nas, żebyśmy zlikwidowali Armię Światła!

– Armia Światła została powołana do życia w reakcji na istnienie Bractwa Ciemności – przypomniał Valorum. – Teraz, kiedy Bractwo zniknęło, Armia Światła nie służy żadnemu celowi.

Johun nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Jej celem jest ochrona Republiki! – wybuchnął, niezdolny do zapanowania nad emocjami.

– Przed kim? – podchwycił wyzywającym tonem Kanclerz, odwracając głowę w stronę młodego padawana. – Sithowie nie istnieją.

– Wiem, że Sithowie nadal żyją – zaprotestował Johun.

– I właśnie w tym cały problem – stwierdził Valorum. – W ciągu ostatnich czterech wieków Jedi wielokrotnie wszczynali wojny w celu zlikwidowania agentów Ciemnej Strony. Te zmagania nigdy się nie skończą, a z każdym następnym konfliktem w sieć wojny wpada coraz więcej cywilów. Kiedy siły zbrojne przystępują do akcji, giną niewinne istoty. Planety dochowujące lojalności Republice wycofują się, co powoduje rozłam w zjednoczonej niegdyś galaktyce. Najwyższy czas położyć kres temu kręgowi szaleństwa.

Farfalla uniósł dłoń, żeby powstrzymać Johuna, bo młody Jedi najwyraźniej miał ochotę się sprzeciwić. Zaczekał, aż Valorum znów spojrzy na niego, i zapytał:

– Tarsusie, czy ty naprawdę wierzysz, że proponowane przez ciebie zmiany temu zaradzą?

– Wierzę, Mistrzu Valenthyne. – W głosie Kanclerza brzmiało niezachwiane przekonanie. – Wielu zacnych ludzi obawia się Jedi i tego, do czego są zdolni. Uważa, że Jedi to podżegacze wojenni. Twierdzisz wprawdzie, że twoimi poczynaniami kieruje Moc, ale ci, którzy nie wyczuwają jej obecności, uważają, że twój Zakon nie jest odpowiedzialny przed nikim i przed niczym.

– A ty chcesz, żeby Jedi odpowiadali przed tobą? – Farfalla ciężko westchnął. – Przed Kanclerzem i przed Senatem?

– Chcę, żebyście byli odpowiedzialni przed wybranymi osobami, które reprezentują ogół obywateli Republiki – stwierdził Valorum. – Nie chodzi mi o zagarnięcie władzy – dodał po chwili. – Naczelną władzą Zakonu nadal pozostanie Rada Jedi. Będzie jednak sprawować tę władzę pod nadzorem senackiego Departamentu Sprawiedliwości. Tylko w taki sposób zbliznią się rany po waszej wojnie przeciwko Sithom. Republika się rozpada – kontynuował, – Dzieje się tak od tysiąca lat. Jedynym sposobem odwrócenia tego procesu są nowe narodziny. Wiele metod zaproponowanych w Ruusańskiej Reformacji ma znaczenie jedynie symboliczne, ale w tej symbolice tkwi siła. To może być początek nowej ery w dziejach Republiki. Rozpoczniemy wiek dobrobytu i pokoju. Chciałbym, żeby Jedi okazali poparcie dla tych metod. Żeby odrzucili wojenne ciągoty i zajęli należne im miejsce jako doradcy i mediatorzy. Zamiast toczyć niekończące się bitwy w nadziei pokrzyżowania niecznych planów Ciemnej Strony, powinniście pomóc prowadzić Republikę w stronę światłości.

Valorum zakończył przemówienie i spojrzał wyczekująco na Farfallę. Johun wstrzymał oddech, czekając na wybuch słusznego oburzenia Mistrza Jedi. Chciał usłyszeć, jak Farfalla w dobitny i rzeczowy sposób zbija argumenty Kanclerza Valoruma. Czekał na pozbawioną emocji obronę wszystkiego, o co Jedi walczyli i w co wierzyli; liczył na to, że Farfalla usprawiedliwi wszystkie poczynania generała Hotha.

– Porozmawiam z członkami Rady Jedi i przekonam się, czy nasz Zakon zechce spełnić twoje żądania, Wasza Ekscelencjo – odezwał się w końcu Farfalla. – Wydam także rozkaz rozwiązania Armii Światła, kiedy tylko Senat przegłosuje twoją propozycję.

Oszupiały Johun otworzył usta z wrażenia, ale był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Będę ci bardzo wdzięczny za współpracę, Mistrzu Valentyne – odparł Valorum i wstał. – A teraz wybaczenie, ale muszę zwołać zgromadzenie senatorów.

W pierwszej chwili zamierzał ich odprowadzić do drzwi, ale spojrzał na Johuna i wyczuł, że młodzieniec nie jest gotów zrezygnować ze swojego zdania. Kanclerz zawahał się i zatrzymał, chcąc dać młodemu padawanowi okazję do zabrania głosu.

Johun zachował jednak milczenie. Valorum wymienił przelotne spojrzenie z Farfallą i z szacunkiem skinął głową Mistrzowi Jedi.

– Możecie wyjść, kiedy tylko będziecie gotowi – powiedział, uśmiechnął się ciepło i opuścił swój gabinet, pozostawiając ich samych.

– Jak pan mógł! – wybuchnął gniewnie Johun, kiedy Valorum zniknął. Młody Jedi nachylił się nad blatem stołu w stronę Farfalli.

Starszy mężczyzna westchnął i wyciągnął się na fotelu. Złączył palce dłoni i utworzył z nich namiocik pod brodą.

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć, Johunie – zaczęła. – Ja jednak uważam, że Kanclerz ma rację. Wszystko, co powiedział, to szczerą prawdą.

– Generał Hoth nigdy by się na to nie zgodził! – oburzył się młody padawan.

– To prawda – przyznał Mistrz Jedi. – Nigdy nie potrafił zrozumieć wartości kompromisu. Właśnie to było jego największą wadą.

– A jaka jest pańska wada? – podchwycił Johun, grzmotnął pięścią w blat stołu i wstał tak szybko, że aż przewrócił fotel. – Zdrada pamięci przyjaciół?

– Uważaj na swój gniew – skarcił go łagodnie Farfalla.

Na policzkach Johuna pojawił się rumieniec zakłopotania i wstydu. Kilka razy głęboko odetchnął – zgodnie z rytuałem Jedi, który pozwalał się skupić i oczyścić umysł z niepożądanych emocji. Kiedy nad nimi zapanował, odwrócił się, podniósł fotel i usiadł na nim.

– Bardzo przepraszam, Mistrzu Valentyne – powiedział spokojnie i wyraźnie. – Wydaje mi się jednak, że hańbimy tę przyjaźń.

– Twój Mistrz był człowiekiem wielkiej siły i nieugiętych przekonań – zapewnił go Farfalla, opierając podbródek na złączonych palcach. – Nikt inny nie potrafiłby nas poprowadzić w czasach takiego kryzysu. Problem w tym, że galaktyka nie trwa w stanie permanentnego kryzysu. Jedi są zaprzysięzonymi sługami Republiki – ciągnął. – Stajemy do walki w jej obronie podczas wojny, ale kiedy wojna dobiegnie końca, powinniśmy odkładać broń i stawać się ambasadorami pokoju.

Młodszy mężczyzna pokręcił głową.

– Nadal uważam, że nie postępujemy słusznie – powiedział.

– Od najwcześniejszych dni twojego szkolenia nie znałeś niczego oprócz wojny – przypomniał mu Farfalla. – Może ci być trudno zrozumieć, że przemoc można stosować tylko wówczas, kiedy zawiodą wszystkie inne metody. Musisz zawsze pamiętać, że Jedi cenią ponad wszystko mądrość i oświecenie. Poszukujemy wielkich prawd, a nie zawsze łatwo je znaleźć. Czasami łatwiej znaleźć wroga i stoczyć z nim walkę... zwłaszcza jeżeli pragniemy pomścić naszych poległych. W ten sposób nawet porządni ludzie mogą zostać zakładnikami Ciemnej Strony.

– Przepraszam, Mistrzu – wykrztusił z trudem Johun, chociaż były to szczerze przeprosiny.

- Jesteś jeszcze młody – pocieszył go Farfalla. – Nikt nie spodziewa się po padawanie, że będzie dysponował mądrością Mistrza. Właśnie dlatego postanowiłem, że będziesz mi towarzyszyć... żebyś się czegoś nauczył.
- Spiszę się najlepiej jak potrafię – obiecał Johun.
- To wszystko, o co mam prawo cię prosić – zakończył Mistrz Jedi.



Dzięki znalezionemu w grobowcu Nadda holocronowi Bane dowiedział się, że dziwne skorupiaki, które się do niego przyczepiły, nazywają się orbaliski. Metodą prób i licznych błędów odkrył także, że już nigdy nie da rady ich oderwać.

Po ucieczce z komnaty z orbaliskami spróbował za pomocą myśliwskiego noża oderwać pasożyta, który przyczepił się do jego piersi, ale nadaremnie. Postanowił więc wykroić go razem z ciałem i wyciął sobie na klatce piersiowej nieregularny prostokąt. Zabieg był wyjątkowo bolesny, a w dodatku rany po nożu natychmiast się zabiłżyły. Bane zrozumiał, że stworzenie w jakiś sposób przyspiesza tempo procesu gojenia się przeciętych tkanek.

Spróbował zatem posłużyć się Mocą. Zapуścił myśli w głąb siebie, żeby lepiej zrozumieć, co się z nim dzieje. Wyczuł, że orbalisk żywi się jego potęgą, że wchłania przenikającą wszystkie komórki jego ciała energię Ciemnej Strony. Zrozumiał, że orbaliski są pasożytami, ale w zamian dają mu coś od siebie. Żywiąc się jego ciałem, wsączały do jego krwiobiegu nieprzerwany strumień związków chemicznych, żrących jak kwas. Bane nie czuł się z tym dobrze, ale korzyści były zbyt duże, żeby je zignorować. Nie zdobył umiejętności cudownego uzdrawiania, czuł się jednak potężniejszy niż kiedykolwiek do tej pory. Miał wyostrzone zmysły i szybsze odruchy. Uznał także, że na piersi i plecach, gdzie przyczepiły się orbaliski, ich twarde skorupy mogą pełnić rolę superwytrzymałego pancerza, zdolnego do zatrzymania nawet bezpośredniego ciosu klingą świetlnego miecza.

Bane doszedł do wniosku, że ich wzajemny związek będzie symbiotyczny, przynajmniej dopóki zdoła znieść dotkliwy ból, powodowany przez obce substancje w jego krwi. Zdecydował, że to niewielka cena, i zwrócił znów uwagę na holocron. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na

twardej podłodze przedsionka krypty Nadda, przywołał Ciemną Stronę i zaczął ostrożnie muskać palcami ścianki niewielkiej kryształowej piramidy. W odpowiedzi na tę pieszczotę holocron rozjarzył się od wewnątrz.

Bane spędził cztery dni i cztery noce, odkrywając tajemnice prastarego artefaktu. Jak się spodziewał, jego konstruktorem był rzeczywiście Freedom Nadd. Bane zagłębiał się w tajniki holocronu za pomocą strażnika – miniaturowego hologramu dawno zmarłego Mistrza Sithów, który zamknął w nim swoją mądrość i wiedzę. Strażnik kierował dociekaniem Bane'a; miał służyć jako wirtualny mentor tym, którzy poszukiwali dawno zapomnianych tajemnic wielkiego Mistrza Sithów, ukrytych w złowieszczej piramidzie.

Sam Nadd był krzepkim człowiekiem, lecz jego awatar wyglądał jak wizerunek mężczyzny przedwcześnie postarzałego od zanurzania się zbyt głęboko w potęgę Ciemnej Strony. Strażnik miał pomarszczoną, bladą skórę i zwiotczone ciało, a jego oczy wyglądały jak pozbawione źrenic i tęczówek, jarzące się gałki. Na pozór jednak awatar miał wygląd niezwyciężonego wojownika; o szerokich barach, zakutego w ciężki bojowy pancerz i hełm, który mógł łatwo zmienić się w koronę, kiedy Nadd proklamuje się królem pobliskiej planety – Onderona.

Dzięki strażnikowi Bane dowiedział się, że Mroczny Mistrz dokonywał z orbaliskami eksperymentów, z których większość zakończyła się niepowodzeniem. Chodziło o przejęcie ich potęgi. Bane dowiedział się nie tylko tego, jak stworzenia się nazywają; poznał także ich obyczaje. Niektóre informacje tylko potwierdziły to, co już i tak wiedział. Kiedy orbalisk przyczepił się do ciała żywiciela, nikt ani nic nie mogło go stamtąd usunąć. Dowiedział się także, że potęgowały siły fizyczne żywiciela, żywiąc się energią Ciemnej Strony, zwiększały zakres swojej władzy nad Mocą.

Poszukiwania Nadda odkryły także niebezpieczne strony takiej symbiozy, jak na przykład nieustanny, przenikliwy ból. Kiedy takie stworzenie nagle ginęło, przed śmiercią uwalniało dużą porcję toksyn, które w ciągu kilku dni zabijały jego żywiciela. Co więcej, w miarę upływu czasu orbaliski się rozrastały i rozmnażały, aż w końcu pokrywały nosiciela całkowicie, od stóp do głów. Na szczęście oprócz tej niepokojącej nowiny Bane znalazł sposób skonstruowania specjalnego hełmu, który miał uniemożliwić pasożytom zaatakowanie twarzy podczas snu.

Informacje o orbaliskach były jednak tylko marginesem. Freedom Nadd był kiedyś Jedi, a przeszedł na Ciemną Stronę jeszcze jako uczeń Nagi Sadowa, byłego władcy prastarego Imperium Sithów. Sadow dysponował wielką potęgą Ciemnej Strony, która pozwoliła mu żyć pięć wieków. Jako

jego uczeń Nadd przyswoił sobie całą wiedzę i nauki Mistrza. Zarejestrował to wszystko w holocronie, a następnie zamordował Sadowa i sam zajął jego miejsce.

Bane wcale się nie dziwił, że większość informacji jest ukryta, zamknięta w głębinach krystalicznej struktury holocronu i że dostęp do nich może uzyskać tylko po długotrwałych medytacjach i starannych badaniach. Rozumiał, że zanim będzie w stanie dotrzeć do największych tajemnic, może upłynąć wiele miesięcy, a nawet lat. Na razie miał jednak bardziej naglące sprawy, którymi musiał się szybko zająć.

Odłożył holocron w bezpieczne miejsce i wyszedł z krypty, żeby poszukać sposobu opuszczenia Dxuna. Na zewnątrz czekały już na niego zjawy Qordisa i Kaana.

– Jesteś tu jak w więzieniu – odezwał się Qordis, po czym powtórzył litanie rzekomych błędów Bane'a, potępiając wszystko, co Bane kiedykolwiek osiągnął. Świetna metoda, żeby go doprowadzić do rozpaczy. – Na co ci się przyda ten holocron, skoro nigdy nie odleczisz z Dxuna?

Bane wezwał na pomoc Ciemną Stronę. Tym razem jednak zaczerpnął ją nie tylko z własnych zasobów, ale także z przyczepionych do jego ciała orbalisków. Poczul przyływ energii potężniejszy niż wszystko, czego doznał do tej pory. Uwolnił ją i pchnął przed siebie. Zjawy, które od chwili eksplozji bomby myśli nie dawały spokoju jego zranionemu umysłowi, natychmiast rozpląnęły się w powietrzu i zniknęły, w mgnieniu oka unicestwione przez jego nową potęgę. Bane poczuł się silniejszy niż kiedykolwiek; wiedział, że odtąd zjawy zabitych Sithów przestaną go prześladować.

Uwolniony od swoich dręczycieli, musiał obecnie znaleźć sposób opuszczenia Dxuna. Spojrzał w niebo i zobaczył wysoko nad sobą ogromną tarczę Onderona. Planeta krążyła tak blisko swojego księżyca, że ich atmosfery od czasu do czasu się mieszały. W dziejach obu ciał niebieskich zdarzyło się nawet, że ogromne latające bestie z Dxuna emigrowały na planetę. Tam je ujarzmiano i tresowano, żeby służyły jako budzące postrach bojowe rumaki osławionych klanów Jeźdźców Bestii z Onderona.

Wpatrzony w planetę, która unosiła się tak blisko, że niemal mógłby jej dotknąć, Bane wyczuł, że wkrótce wyląduje tam Zannah. Dziewczynka znajdzie się w niebezpiecznym i niegościnnym świecie, a jeśli nie będzie obok niej Mistrza, prawdopodobnie długo nie pożyje.

Nagle na tle tarczy planety pojawiły się olbrzymie skrzydlate stworzenia i zaczęły krążyć wysoko nad jego głową. Niewątpliwie poszukiwały żeru.

Jedno z latających stworzeń wyraźnie go zauważyło, złożyło szerokie błoniaste skrzydła i zanurkowało prosto na niego.

Bane zmierzył drapieżnika spojrzeniem z chłodną precyzją. Dzięki holocronowi Nadda wiedział, że stworzenie nazywa się drexl i jest jednym z gadopodobnych drapieżników, które rządziły kiedyś w atmosferze Dxuna. Wyglądały jak uskrzydłone jaszczury: miały łuski, fioletową skórę, długi, gruby ogon, silnie umięśnione cielsko i mocarne łapy. Długa, żylasta szyja drexla kończyła się nieproporcjonalnie dużym łbem. Zwierzę miało małe, ptasie oczka i szeroki pysk, pełen spiczastych, żółtych kłów. Bane oceniał, że ten osobnik, który chce go zaatakować, ma dziesięć metrów długości od nosa do ogona, a jego rozłożone skrzydła – niemal dwadzieścia metrów. Drapieżnik był dorosłym samcem, wystarczająco dużym, żeby pomóc mu w opuszczeniu Dxuna.

Po chwili drexl znalazł się tak nisko, że mógłby go schwytać ostrymi jak brzytwy pazurami, ale Bane posłużył się Mocą, uwolnił myśli i dotknął nimi umysłu latającego jaszczura. Zamierzał zdominować jego wolę. Już kiedyś to zrobił, naginając umysł rankora na ginącej planecie Lehon. Okazało się jednak, że umysł drexla jest silniejszy, niż Bane się spodziewał. Zmagając się z jego naciskami, bestia wydała przeraźliwy skrzek, który zmroził krew w żyłach Mistrza Sithów, a po chwili zaatakowała.

Zwierzę wysunęło do przodu jedną łapę i zahaczyło Bane'a potężnym pazurem, ale trafiło w skorupę orbaliska na jego piersi. Zamiast stać się latającym obiadem wielkiego drexla, Bane pofrunął do tyłu, odrzucony przez impet ciosu. Mistrz Sithów upadł na plecy i przetoczył się parę razy, ale zaraz wstał. Dzięki nowej potędze fizycznej nic mu się nie stało.

Zauważył, że drexl zwiększa pułap lotu i przygotowuje się do następnego ataku. Zwierzę zamierzało znów zanurkować i użyć szponów. Mistrz Sithów uwolnił myśli, żeby ponownie dotknąć nimi mózgu bestii. Tym razem narzucił jej swoją wolę z miażdżącą siłą oburęcznego młota kowalskiego, którym się posługiwał w tunelach kopalni na Apatrosie.

Pod jego umysłowym atakiem cielsko drexla zadrżało. Na znak protestu bestia zaskrzeczała tak donośnie, że jej głos poniósł się nad koronami drzew w dżungli. Tym razem jednak Bane'owi udało się podporządkować wolę drexla swojej woli.

Stworzenie zatoczyło jeszcze dwa kręgi i wylądowało obok niego. Na niewypowiedziany rozkaz swojego nowego Mistrza przycupnęło i pozwoliło, żeby Bane usadowił się na jego grzbiecie. Po chwili drexl rozłożył skrzydła, wzbił się w powietrze i coraz bardziej zwiększał pułap lotu.

Bane przynaglał swojego rumaka do pośpiechu; chciał jak najszybciej osiągnąć najwyższy pułap nadającej się do oddychania atmosfery. Unosząca się nad nimi tarcza Onderona coraz bardziej się rozrastała, aż w końcu całkowicie wypełniła horyzont. Od macierzystej planety dzieliło Dxuna zaledwie kilkaset kilometrów; zjawisko bardzo rzadko spotykane wśród planet i systemów słonecznych.

W pewnej chwili Bane poczuł słabe oddziaływanie siły przyciągania Onderona. Zrozumiał, że masa większego ciała niebieskiego próbuje pokonać grawitację swojego niewiele mniejszego satelity. Przynaglany przez wolę Bane'a drexl pracował energicznie ogromnymi skrzydłami, a z każdym machnięciem osiągał coraz większą prędkość i pułap lotu.

Bane wezwał Moc i pozwolił jej narastać do ostatniej możliwej sekundy. Potem, otoczywszy siebie i swojego rumaka bąblem Ciemnej Strony niczym ochronną opończę, przynaglił drexla do lotu po linii prostej. Krótco po tym, jak opuścili najwyższe warstwy atmosfery Dxuna, pogrążyli się w zamarznętej pustce przestworzy oddzielających go od Onderona – i od wolności.

ROZDZIAŁ 9

Z niespokojnej drzemki wyrwał Zannah odgłos uaktualniania danych z konsoly autonawigacyjnego komputera „Gwiezdnego Nurtu”. Dziewczynka spała zwinięta w kłębek na fotelu pilota, więc teraz miała obolały kark. W rufowej ładowni towarowej nie brakowało wprawdzie miejsc, gdzie można się było położyć i wyciągnąć, ale Zannah nie mogłaby tam zasnąć. Nie w pobliżu świeżych zwłok.

Już w kilka minut po zabiciu Wenda i Irtanny wyciągnęła ich ciała ze sterowni. Wyplątanie chłopca z ochronnej uprząży fotela zajęło wprawdzie trochę czasu, ale dziewczynka miała wciąż jeszcze we krwi wysoki poziom adrenaliny po konfrontacji z Irtanną, więc wyłuskała Wenda z fotela i zaciągnęła go do towarowej ładowni, gdzie spoczywały już ciała jego ojca i starszego brata.

Trudniej było pozbyć się zwłok Irtanny. Młoda kobieta była szczupła i silnie umięśniona, a ważyła co najmniej dwa razy tyle co Zannah. W pierwszej chwili dziewczynka nie dała nawet rady poruszyć ciała. Kiedy zrozumiała, że będzie musiała wezwać Moc, żeby jej pomogła, jej podniecenie nagle opadło. Po dokonaniu wszystkich zabójstw zauważyła, że jest jej o wiele trudniej wzywać Ciemną Stronę. Za każdym razem, kiedy usiłowała zaczerpnąć porcję energii ze swojego gniewu, sprzeciwiało się temu sumienie. Zamiast znajomego żaru potęgi nadchodziło poczucie winy i wątpliwości. Cały czas miała przed oczami ciała Bordona i jego synów, leżące obok siebie w towarowej ładowni. To dlatego trudno jej się było skoncentrować.

Spróbowała usunąć z umysłu obraz zabitych i dopuścić energię Ciemnej Strony, ale niewiele to dało. W końcu stwierdziła, że musi polegać bardziej na własnych siłach niż na potędze Mocy. Stękając z wysiłku, przeciągnęła w końcu Irtannę o jakieś pół metra, ale musiała przerwać, żeby chwilę odsapnąć. Powtarzała swój wysiłek wiele razy, dopóki Irtanna nie spoczęła obok pozostałych.

Zwłoki właściwie nie krwawiły, bo jeżeli nie liczyć pierwszego przypadkowego strzału w brzuch Bordona, wszystkie inne rany zostały

przysmażone przez żar blasterowych błyskawic. Jednak widok ciał wcale jej przez to mniej nie przerażał. Pozbawione życia oczy trupów wpatrywały się w pustkę, więc Zannah postanowiła zamknąć im powieki. Ręka jej zadrżała po zetknięciu z wilgotną skórą. Przetrzęsnęła statek, aż znalazła kilka koców, którymi przykryła zwłoki. Nawet pod kocami rozpoznawała jednak twarze ofiar, ale nie mogła w tej sprawie nic więcej zrobić. Wróciła do towarowej ładowni tylko raz, żeby zabrać tyle racji żywnościowych, ile dała radę udźwignąć. Przeniosła je do sterowni, starając się nie patrzeć na leżące u jej stóp zakryte ciała.

Przez siedem następnych dni często się modliła, żeby jej podróż dobiegła szybko końca, ale zarazem bała się tego zakończenia. Wiedziała, że na Onderonie spotka się znów ze swoim Mistrzem, żeby kontynuować szkolenie Sithów. Ani razu nie opuściła sterowni, chyba że musiała skorzystać z toalety. Ilekroć próbowała zasnąć, zapadała w niespokojną drzemkę i zaraz się budziła, bo śniły się jej koszmary, w których przeżywała na nowo, bez końca, swój morderczy szal.

Po każdym przebudzeniu, rozpakowywała rację żywnościową i jadła. Stopniowo jej ciało odzyskiwało kondycję, którą straciło podczas tygodni na Ruusanie. Racje były przeznaczone dla dorosłych osób, więc nigdy żadnej nie zjadała do końca. Resztki razem z pojemnikiem wyrzucała do korytarza wiodącego do ładowni. Po kilku dniach smród niedojedzonej żywności zaczął się mieszać z przyprawiającym o mdłości słodkawym odorem, który wisiał wszędzie w powietrzu jak cienka zasłona. Zannah doszła do wniosku, że wszechobecny fetor rozkładającego się jedzenia pozwala zapomnieć o coraz silniejszym smrodzie gnijących ciał w ładowni.

Żeby się nie nudzić, próbowała wyobrazić sobie swoją przyszłość jako uczennicy Bane'a. Myślała o wszystkim, co jej obiecał: o umiejętności wzywania i rozkazywania Mocy, o poznawaniu mrocznych sekretów Ciemnej Strony, o radości osiągnięcia prawdziwego potencjału i o wypełnianiu swojego przeznaczenia. Mimo to ciągle wracała myślami do zabitych członków załogi „Gwiezdnego Nurtu”. Za każdym razem, kiedy sobie o tym przypominała, zastanawiała się, co by pomyślał jej Mistrz o takiej słabości.

Z konsoli autonawigacyjnego komputera dobiegł kolejny sygnał. Zannah spojrzała na ekran i stwierdziła, że za pięć minut jej statek wejdzie w najwyższe warstwy atmosfery Onderona. Komputer przynaglał ją, żeby wybrała współrzędne miejsca lądowania.

Zannah wyprostowała się na fotelu pilota, zmarszczyła brwi i zaczęła

studiować wyświetlaną na ekranie mapę. Miała nadzieję, że automatyczne systemy, dzięki którym statek przeleciał z Ruusana na Onderona, zaprogramowano także na okoliczność lądowania. Niestety, wszystko wskazywało, że musi to zrobić sama... a ona nie miała pojęcia, jak sprowadzić statek bezpiecznie na powierzchnię.

Musnęła guzik na monitorze z napisem „Strefy lądowania”. Po ekranie zaczęła się przesuwac z dołu do góry długa lista nieznanym miejsc i ich współrzędnych. Zannah nie miała pojęcia, co oznaczają wyświetlane liczby, a zresztą i tak by nie wiedziała, które miejsce wybrać.

Kiedy tak się wpatrywała w ekran – statek znajdował się jeszcze w górnych warstwach atmosfery – poczuła znajome szarpnięcie turbulencji. Sfrustrowana, ale jeszcze bardziej przerażona, wyciągnęła rękę i zaczęła przyciskać przypadkowe guziki. Przestała dopiero, kiedy autonawigacyjna konsola wydała dwa długie piski, a na ekranie pojawił się napis: „Miejsce lądowania przyjęte”.

Zannah westchnęła z ulgą, opadła na fotel i przypięła się, żeby nie uciec przy lądowaniu. Usiłowała zerkać nad konsolą przez okno sterowni, żeby się zorientować, dokąd leci, ale była za mała, żeby coś zobaczyć. Widziała tylko gęste, zielone korony drzew, ciągnące się we wszystkie strony. Domyśliła się, że wybrała miejsce lądowania w mniej cywilizowanej części planety.

Nagle doznała wstrząsu, bo zadała sobie pytanie: Czy automatyczny pilot wie, jak wylądować pośrodku gęstego lasu? A może statek roztrzaska się na kawałki o korony drzew?

Jakby czytając w jej myślach, z głośnika konsoli autonawigacyjnego komputera rozległ się gniewny świst. Zannah przeczytała na ekranie monitora: „W strefie wybranego miejsca wykryto suboptymalne warunki lądowania. Poszukuję najbliższego dostępnego miejsca alternatywnego”.

Dziewczynka poczuła, że statek lekko skręcił, zatoczył łuk i wyrównał pułap lotu. Leciał obecnie nisko nad koronami drzew, szukając dużej polany, na której mógłby wylądować.

„Alternatywna strefa lądowania została zlokalizowana”, przeczytała Zannah kilka sekund później na ekranie monitora autonawigacyjnego komputera. Poczuła, że dziób się zniża, a więc statek zaczął podchodzić do lądowania.

Usłyszała głośny łomot i suche staccato gałęzi obijających się o burty i spód statku. „Gwiezdny Nurt” leciał tuż nad koronami drzew, ścinając cieńsze konary po drodze do wybranego punktu na powierzchni Onderona.

W pewnej chwili statek zakołysał się mocno z burty na burtę, bo odbił się od pnia drzewa zbyt grubego, żeby go złamać. Potem nastąpiła seria głuchych zgrzytów i Zannah domyśliła się, że kadłub szoruje po nierównej powierzchni gruntu. W końcu znieruchomiał.

Wstrząśnięta, ale nawet nie posiniaczona dziewczynka rozpięła pasy ochronnej uprząży i otworzyła właz towarowy. Schodząc po rampie ładunkowej, stwierdziła, że statek osiadł na skraju wyciętej w lesie wielkiej polany o średnicy mniej więcej dwustu metrów. Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że na środku polany stoi jakiś mężczyzna i macha do niej ręką.

– Ktokolwiek dowodzi tym statkiem, musi być najgorszym pilotem w galaktyce – odezwał się nieznajomy, taksując ją od stóp do głów, kiedy Zannah podeszła i stanęła w pobliżu niego.

Mężczyzna mógł mieć dwadzieścia kilka lat, choć trudno byłoby to stwierdzić na pewno, bo wyglądał mizernie i niechlujnie. Rude włosy miał potargane, a tej samej barwy nieporządna broda raczej szpeciła, niż zdobiła brudną twarz. Nieznajomy był ubrany w luźne spodnie i podartą koszulę, która kiedyś była pewnie biała, ale teraz pokrywała ją warstwa błota i liczne niezidentyfikowane plamy. Na koszulę mężczyzna włożył krótką skózaną kamizelkę, postrzępioną na brzegach; na nogach miał ciężkie, zdarte buty. Emanował od niego nieprzyjemny, kwaśny odór.

– O co chodzi, dziecinko? – zapytał nieznajomy. – Co, nie znasz basica? Powiedziałem, że kimkolwiek jest pilot twojego statku, to najgorszy pilot, jakiego kiedykolwiek widziałem.

– Nikt go nie pilotował – wyjaśniła ostrożnie Zannah i obejrzała się na statek, który spoczywał na polanie dobre trzydzieści metrów od niej. – Został nastawiony na automatycznego pilota.

– To wszystko wyjaśnia – stwierdził nieznajomy i kiwnął głową. – Automatyczny pilot nadaje się tylko do lądowania na permabetonowym pasie. Tutaj jest niewart nawet odchodów banthy.

Młody człowiek zrobił krok w jej stronę, a Zannah instynktownie się cofnęła. W tym, że ktoś na nią czekał w sercu lasu, pośrodku polany, widziała coś dziwnego. Nie tyle zresztą martwiła się niezwykłością sytuacji, co rozpaczliwie starała się znaleźć sposób, żeby ten obcy facet nie odkrył zwłok w towarowej ładowni „Gwiezdnego Nurtu”.

– Dlaczego korzystałaś z automatycznego pilota, dziecinko? – zagadnął mężczyzna. – Nie miałaś do pomocy nikogo, kto by pilotował statek?

Zannah pokręciła głową.

– Na pokładzie nie było nikogo oprócz mnie – wyjaśniła.

– Leciałaś sama? – Człowiek uniósł brwi. – Jesteś tego pewna?

– Porwałam ten statek – wyjaśniła buntowniczym tonem dziewczynka. Jeśli uda się przekonać nieznajomego, że rzeczywiście była sama na pokładzie statku, to może nie wejdzie na pokład i nie znajdzie zwłok.

Mężczyzna zachichotał.

– Porwałaś go, powiadasz? – zapytał, po czym zawołał głośno: – Hej, wygląda na to, że mamy tu porywaczkę!

Spomiędzy drzew na skraju polany, na której wylądował „Gwiezdny Nurt”, wyłoniło się kilkanaście osób, mężczyzn i kobiet. Wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku co rudzielec, z którym Zannah rozmawiała, i wszyscy, podobnie jak on, mieli na sobie pstrokate, przepocone i obszarpane ubrania. Kilka osób stanęło za plecami rudzielca, ale inni wyszli spomiędzy drzew po obu stronach polany, za plecami Zannah, co skutecznie uniemożliwiało jej powrót na statek. W przeciwieństwie do mężczyzny, który ją powitał, wszyscy pozostali byli uzbrojeni w wibroostrza albo blasterowe karabiny.

– Skąd... skąd wiedzieliście, że tu wyląduję? – zapytała wyzywającym tonem Zannah. Dyskretnie rozejrzała się na boki i stwierdziła, że jest otoczona.

– Zwiadowcy zobaczyli twój statek, kiedy przelatywał nad naszym terytorium – wyjaśnił rudzielec. – Domyśliliśmy się, że szukasz miejsca do lądowania, a ty po prostu osiadłaś na naszym lądowisku.

– Lądowisku? – powtórzyła zaskoczona dziewczynka, na chwilę zapominając o swojej niebezpiecznej sytuacji. – To wy wycięliście drzewa z tej polany, żeby mogły tu lądować gwiazdne statki?

– A kto mówił o statkach? – odparł mężczyzna i przebiegle się uśmiechnął. Wsadził do ust dwa palce i gwizdnał tak głośno, że ogłuszona Zannah aż się skrzywiła. W powietrzu nad jej głową rozległ się głośny szum, a słońce przesłoniły mroczne cienie. Zdumiona Zannah spojrzała w górę i zobaczyła cztery ogromne, uskrzydłone gady, które sfrunęły z nieba i osiadły w przeciwległym krańcu polany. Jaszczury nosiły uprząż; każde zwierzę miało na grzbiecie duże siodło, które wyglądało, jakby mogły na nim jechać trzy osoby naraz.

– Jesteście Jeźdźcami Bestii – domyśliła się dziewczynka, przypominając sobie ostrzeżenie Talia, kiedy pierwszy raz wspomniała o zamiarze lotu na Onderona.

– Jesteśmy klanem Skelda – oznajmił rudzielec. – I jak ci już

powiedziałem, znajdujesz się na naszym terytorium.

– Ja... bardzo przepraszam – bąknęła Zannah. – Nie wiedziałam.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nieważne, wiedziałaś czy nie – wycedził. – Jeżeli chcesz korzystać z lądowiska klanu Skelda, musisz zapłacić nam za ten przywilej.

Zannah zauważyła kątem oka, że członkowie klanu stopniowo zacieśniają krąg.

– Nie mam pieniędzy – powiedziała, cofając się o pół kroku.

– Nic nie szkodzi – odparł nonszalancko rudzielec. – Zarekwirujemy twój statek.

Zannah obróciła się na pięcie i spróbowała pobiec, żeby się ukryć między drzewami, ale mężczyzna najwyraźniej się tego spodziewał. Ruszył szybko i dogonił ją już po kilku krokach. Złapał dziewczynkę w pasie, przewrócił na ziemię i przycisnął sobą do pokrytego pyłem gruntu. Już w następnej chwili odrzucił ją do tyłu.

Wylądował z głuchym hukiem na miękkim gruncie pięć metrów dalej. Siła uderzenia wybiła mu oddech z płuc. Pozostali członkowie jego klanu, którzy biegli za nim, kiedy dziewczynka rzuciła się do ucieczki, teraz cofnęli się i unieśli broń. Gapili się na Zannah szeroko otwartymi oczami, w których malował się strach i niedowierzenie.

Dziewczynka odwróciła się do rudowłosego przywódcy i usłyszała, że mężczyzna się śmieje. Wstał niezgrabnie i mrugnął do niej.

– Wygląda na to, że mamy do czynienia z młodą Jedi, która jeszcze nie ukończyła swojego szkolenia – powiedział dość głośno, żeby go usłyszeli wszyscy pozostali. – Co sprowadza cię na Onderona, mała Jedi? Postanowiłaś uciec od swojego Mistrza?

– Nie jestem Jedi – odparła lodowatym szeptem oburzona Zannah.

– Nic nie szkodzi – zgodził się przywódca. – Tak czy owak, nie masz pojęcia, jak panować nad swoją potęgą, prawda? Możesz z niej korzystać tylko wówczas, kiedy jesteś rozwścieczona albo przerażona, mam rację?

Zannah zacisnęła zęby i zmrużyła oczy, ale zachowała milczenie.

– Posłuchaj, mała Jedi – odezwał się znowu rudzielec. Wyciągnął z cholewki buta niewielkie ostrze i ruszył powoli w jej stronę. – Nas jest dwanaścioro, a ty jedna. Naprawdę uważasz, że dasz radę pokonać nas wszystkich?

– Może i dam – odparła Zannah, buntowniczo podnosząc głowę.

– A co z nimi? – zapytał mężczyzna, wskazując głową na latające bestie. Cały czas ostrożnie do niej podchodził. – Gdyby ktoś z nas wydał choćby

jeden rozkaz, te drexle oderwą twoją piękną jasnowłosą główkę od reszty ciała. Myślisz, że twoja potęga wystarczy, żeby je przed tym powstrzymać?

– Nie – przyznała Zannah. Wyczuła jakieś drgnienie, zupełnie jakby ktoś ją przyzywał.

– Najwyższy czas, żebyś się poddała, dziecinko – stwierdził z okrutnym uśmiechem rudowłosego mężczyzna. Był już tylko o parę kroków od niej, a w ręku trzymał nóż. – Jesteś tu sama jak palec.

Zannah nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

– Wcale nie sama – oznajmiła.

W tej samej chwili padł na nich mroczny cień. Rudy facet miał ledwie tyle czasu, żeby spojrzeć w górę, bo w następnej sekundzie porwały go szpony drexla, o wiele większego niż każdy z czterech latających rumaków klanu Skelda. Ogromne stworzenie zaskrzeczało przeraźliwie i wzbiło się łukiem wysoko w niebo. Na grzbiecie wielkiej bestii siedział ktoś znajomy: Darth Bane.

Drexl wzniósł się na wysokość trzydziestu metrów i wypuścił z pazurów rudowłosego mężczyznę. Jego bezwładne ciało wylądowało z głuchym hukem i donośnym chrzęstem łamanych kości.

Na widok sponiewieranych zwłok swojego przywódcy, które spadły z nieba, pozostali członkowie klanu uznali za słuszne przystąpić do działania. Głośno krzycząc i jeszcze głośniejszymi gwizdząc na swoje rumaki, dosiedli ich, żeby rozpocząć walkę w powietrzu. Wszyscy jakby zapomnieli o małej dziewczynce na polanie.

Na grzbiecie pierwszego drexla, który wzbił się w powietrze, siedziało dwoje jeźdźców. Kobieta z przodu trzymała lejce i skupiała całą uwagę na trudnym zadaniu kierowania ruchami zwierzęcia. Mężczyzna za jej plecami był głównym strategiem dwuosobowego zespołu. Wykrzykiwał polecenia, które kobieta wykonywała bez wahania; dyktował, kiedy ich rumak ma się wzbić, kiedy zanurkować, kiedy skręcić w bok i kiedy zadać cios. Trzecie miejsce, za mężczyzną, niewątpliwie zajmowałby rudzielec, gdyby nie zginął.

Na grzbietach każdego pozostałego drexla siedziała trójka jeźdźców. Pierwszy trzymał lejce, drugi wydawał rozkazy, a trzeci był uzbrojony w wielki karabin blasterowy. Wystrzelwane z niego błyskawice nie skaleczyłyby grubej skóry drexla, ale celny strzał mógł zabić nieprzyjacielskiego jeźdźcę nawet z dużej odległości. Ofensywną przewagę, jaką zapewniał trzeci jeździec, po części niwelował jednak dodatkowy ciężar; napowietrzny rumak leciał przez to wolniej i bardziej ociężale

reagował na wydawane rozkazy.

Niosąc na grzbiecie tylko dwoje jeźdźców, pierwszy drexl szybko wyprzedził pozostałe. Wspiął się w czyste błękitne niebo, na którego tle ostentacyjnie krążyli Bane i jego nowy rumak, rzucając wyzwanie, którego nie można było zignorować.

Kiedy pierwszy przeciwnik podleciał blisko, latający rumak Ciemnego Lorda zaskrzeczał i zmienił kurs, żeby go zaatakować. Zannah obserwowała z dołu, jak oba zwierzaki się zderzają. Wyglądało to, jakby bestie w powietrzu walczyły ze sobą. Zwały się i zanurkowały ku powierzchni gruntu w dzikiej, ale krótkotrwałej konfrontacji. Dwa wielkie cielska skręcały się i owijały jedno wokół drugiego. Skrzydła łopotwały głośno, a błyszczące w słońcu pazury usiłowały przeorać cielsko przeciwnika. Drexle używały także ogonów; usiłowały nimi oślepić nieprzyjaciela albo zrzucić z siodła jego jeźdźca. Kłapały zębami, a ich nieproporcjonalnie duże łby skręcały się i tańczyły na długich, giętkich szyjach.

Dosiadający bestii jeźdźcy pokładali nadzieję w ich umiejętnościach i doświadczeniu w napowietrznej walce. Liczyli na to, że dzięki temu bestie zwyciężą samotnego jeźdźca, który musiał się koncentrować na walce, zamiast kierować ruchami latającego rumaka. Nie wiedzieli, że Moc zapewnia Bane'owi całkowitą władzę nad stworzeniem. Nawet i bez tej przewagi ich klęska była zresztą z góry przesądzona. Rumak Bane'a był większy i silniejszy, niósł na grzbiecie tylko jednego jeźdźca i nie miał uzdy ani siodła, które by ograniczały jego swobodę ruchów.

Jakieś dwadzieścia metrów nad powierzchnią gruntu dosiadany przez Bane'a drexl obrócił się w locie, ostro zaatakował i rozszarpał gardziel swojego przeciwnika. Niebawem odczepił się od niego, przestał swobodnie opadać i zwycięsko poszybował w niebo. Mniejszy drexl, śmiertelnie ranny, roztrzaskał się w lesie razem ze swoimi jeźdźcami.

Ostateczna walka trwała niespełna dziesięć sekund, ale to wystarczyło, żeby pozostali jeźdźcy klanu Skelda wzbili się wysoko ponad swojego przeciwnika, co dawało im taktyczną przewagę. Energicznie machając potężnymi skrzydłami, rumak Bane'a wzniósł się jeszcze wyżej, żeby stawić czoło nowym przeciwnikom. Dosiadający mniejszych drexli wojownicy klanu wypuścili w kierunku tajemniczego samotnego jeźdźca serie blasterowych strzałów, ale Mistrz Sithów zapalił klingę świetlnego miecza i odbił na boki nadlatujące błyskawice.

Jeden z dosiadanych przez tubylców drexli poszybował ku intruzowi, żeby odwrócić jego uwagę od pozostałych dwóch rumaków. Bestia

zanurkowała kilka metrów obok rumaka Mistrza Sithów – zbyt daleko, żeby doszło do starcia, ale zaraz skręciła ostro w bok, bo siedzący na jej grzbiecie tubylec z całej siły szarpnął wodze. Kiedy drexl przelatywał obok Bane'a, Mistrz Sithów posłużył się Mocą uwolnił myśli i zerwał uprząż mocującą siodło do grzbietu nieprzyjacielskiego rumaka. Trzech zaskoczonych członków klanu nawet nie zdążyło krzyknąć, kiedy siodło zsunęło się z grzbietu ich drexla, a oni runęli w dół z wysokości setek metrów. Rumak, nie zwracając na nich uwagi, pomknął szybciej w górę i przygotowywał się do następnego nurkowania.

Bane nie miał czasu, żeby się rozkoszować przerażeniem spadających nieprzyjaciół. Zanim roztrzaskali się na dole, zwrócił uwagę na trzeciego przeciwnika. Wyzwolił błyskawice Sithów, które zamieniły jeźdźców w popiół, a ich drexla w bryłę zwęglonego, dymiącego mięsa, która opadała jak kamień ku powierzchni.

Pojedynczym impulsem Bane skierował uwagę swojego rumaka na ostatnią, pozostałą przy życiu bestię tubylców... i tu popełnił taktyczny błąd. Jeźdźcy pokonanego wcześniej drexla wprawdzie zginęli, ale ich jaszczur był całkiem żywy. Pierwotny instynkt nakazał mu zaatakować nieznanego samca, który prawem kaduka wtargnął na jego terytorium.

Pozbawiony jeźdźców drexl uderzył w rumaka Bane'a dokładnie w tej samej chwili, kiedy ten atakował ostatnią grupę tubylców. Wszystkie trzy bestie, splecione ze sobą, zamieniły się w skrzeczący kłęb cielska, szponów i kłów, nieubłagane opadający ku powierzchni gruntu. Drexle darły się pazurami, aż krew tryskała na twarz Mistrza Sithów. Przez ułamek sekundy Bane widział między machającymi skrzydłami i łapami swojego rumaka jedną z pozostałych przeciwniczek. Kobieta miała skamieniałą ze zgrozy twarz; wiedziała już, że koziołkując w locie, zmierzają ku nieuchronnej, okropnej śmierci.

Bane zrezygnował z władzy nad umysłem swojego drexla i skoncentrował świadomość na przerażeniu pozostałych trojga jeźdźców. Posłużył się ich strachem, żeby podsycić swoje emocje. Przesłał swoją potęgę do orbalisków i pozwolił im się posilić energią Ciemnej Strony. W nagrodę skorupiaki wpompowały do jego krwi świeżą porcję adrenaliny i hormonów, żeby mógł zyskać jeszcze większą siłę. Powtarzał ten proces jeszcze wiele razy.

Zannah widziała, jak ostatnie trzy latające zwierzęta szczepiają się ze sobą. Kiedy zaczęły opadać, coraz szybciej wirując w locie, liczyła na to, że jedno się odłączy i poszybkuje z powrotem w niebo, ale tak się nie stało.

Dziewczynka jęknęła przerażona, kiedy wszystkie trzy drexle wbiły się w

grunt. Odgłos ich upadku przypominał huk eksplozji, a wstrząs zwał ją z nóg i wzbił w powietrze chmurę kamyków i pyłu. Chmura doleciała nad polanę i otoczyła leżącą dziewczynkę.

Niedoszła uczennica Sithów, kaszląc i krztusząc się, wstała z wysiłkiem. Nadal spadały na nią grudki gruntu i małe kamyki. Wpatrywała się w zdumieniu w krater o średnicy dwudziestu metrów i głębokości dwóch, jaki utworzył się po upadku zwierząt. Na środku krateru sterczała krwawa masa pomieszanych ze sobą ciał drexli i ich jeźdźców. Po chwili z wielkiej dziury wyłonił się pokryty plamami krwi Mistrz i ruszył w jej stronę.

Szedł zgięty w pół; utykał i przyciskał do boku złamaną rękę. Mimo przesłaniającego jej widok pyłu Zannah od razu go rozpoznała. Wpatrywała się z niedowierzaniem, jak Mistrz podchodzi coraz bliżej. Z każdą chwilą jego kroki stawały się pewniejsze i szybsze. Coraz bardziej się prostował, a kiedy zaczął normalnie poruszać złamaną ręką, serce dziewczynki załomotało z podniecenia.

Darth Bane żył! A cała ta potęga, która pozwoliła mu przeżyć tę niewiarygodną katastrofę – potęga Ciemnej Strony – miała się kiedyś stać jej własnością. Zannah będzie nad nią panowała! Uszczęśliwiona, ruszyła naprzód, żeby uściskać swojego Mistrza... ale zatrzymała się i skrzywiła z obrzydzeniem, kiedy zauważyła na jego piersi paskudną narośl.

– Nazywa się orbalisk – wyjaśnił Bane na widok jej miny. Uznał, że musi to wyjaśnić, zanim się z nią przywita. – Drugi taki przyczepił się do moich pleców. Te stworzenia żywią się energią Ciemnej Strony. Bez nich nie przeżyłbym sytuacji, którą właśnie widziałas.

Mówił z lekką zadyszka, a Zannah nie potrafiła odgadnąć, czy to z bólu, czy z wysiłku niedawnego przywołania Mocy.

Mistrz Sithów stanął przed nią i Zannah wyciągnęła powoli rękę, żeby dotknąć zimnej, twardej skorupy orbaliska. Zaskoczona, cofnęła szybko dłoń, bo poczuła, że pod dotykiem jej palców stworzenie lekko zadrżało.

– Wyczuwają w tobie potęgę Ciemnej Strony – wyjaśnił Bane, niczym ojciec dumny ze swojej córki.

– W jaki sposób się je zdejmuje? – zapytała Zannah z ciekawością, ale i ze wstrętem.

– Nie można ich zdjąć – wyjaśnił Mistrz Sithów. – Odtąd będę je nosił cały czas.

– Czy i ja będę musiała je nosić? – zapytała cicho dziewczynka.

Bane zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Orbaliski dają mi wielką potęgę, ale płacę za to wysoką cenę – odparł

równie cicho. – Ich wpływ wystawia mnie na ciężką próbę. Nie masz co o nich marzyć, dopóki jesteś dzieckiem. Możliwe nawet, że nigdy nie będziesz ich nosić.

Zannah z wielką ulgą pokiwała głową. Jej Mistrz już całkiem odzyskał formę, chociaż jego twarz i pancerz wciąż jeszcze ociekały krwią.

Dziewczynka zauważyła, że Bane wpatruje się w miejsce gdzieś za nią. Patrzył na stojący na skraju polany „Gwiezdny Nurt”.

– Porwałam go – wyjaśniła Zannah. – Ja... musiałam zabić wszystkich członków załogi.

– Zrobiłaś tylko to, co konieczne, żeby osiągnąć swój cel – stwierdził Bane. – Zademonstrowałaś potęgę i siłę woli, żeby zniszczyć tych, którzy ci przeszkadzali. Wiedziałaś, czego pragniesz, i wzięłaś to, bez względu na cenę, jaką przyszło za to zapłacić. Zachowałaś się jak prawdziwy Sith.

W sercu dziewczynki wezbrała duma.

– Co teraz będzie, Mistrzu? – zapytała.

– Teraz rozpocznie się twoje prawdziwe szkolenie – odparł Bane i ruszył w kierunku „Gwiezdnego Nurtu”.

Zannah szybko go dogoniła. Zniknęły wątpliwości i strach dręczące ją podczas samotnej podróży na pokładzie statku. Odsunęły je słowa jej Mistrza i pokaz jego potęgi, którego była świadkiem. Przestała się bać o swoją przyszłość. W końcu pogodziła się z tym, kim i czym naprawdę jest. Została uczennicą Dartha Bane'a i dziedziczką spuścizny Ciemnej Strony, a w przyszłości miała stać się Ciemną Lady Sithów.

– Chciałeś się ze mną widzieć, Mistrzu Valenthyne? – zapytał Johun, wchodząc do prywatnej kwatery Farfalli.

Już trzy dni temu Senat przegłosował Ruusańską Reformację, a oni wciąż jeszcze przebywali na Coruscant. Johun chciałby jak najszybciej zostawić miasto-planetę za sobą, ale po swoim niefortunnym wybuchu w gabinecie Kanclerza Valoruma był zdecydowany udowodnić, że potrafi panować nad emocjami i ma zaufanie do mądrości swojego Mistrza. Dopóki Farfalla uważał, że są tu potrzebni, zamierzał mu służyć bez narzekania.

– Usiądź, Johunie – odezwał się łagodnie Mistrz Jedi, wskazując stojące w pobliżu krzesło. Z tonu jego głosu wynikało, że ma do przekazania złą wiadomość.

Johun zajął miejsce, a na samą myśl o tym, co za chwilę usłyszy, poczuł strach.

– Zlokalizowaliśmy „Gwiezdny Nurt” – oznajmił Farfalla.

Johun poczuł, że serce podskoczyło mu w piersi. Kiedy niedawno

pozostawił Irtannę i jej załogę, ich statek po prostu zaginął. Wysłano na poszukiwania ekipy ratunkowe, ale żadna nie znalazła „Gwiezdnego Nurta”. Dopiero teraz, prawie dwa tygodnie po tym, kiedy zniknął, statek został odnaleziony.

Podniecenie Johuna szybko opadało. Młody padawan uświadomił sobie, że Mistrz przekazał mu tylko informację o odnalezieniu statku. Nie wspomniał ani słowem o jego załodze.

– Co się stało? – zapytał Johun, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

– Przypuszczamy, że mogli to zrobić najemnicy – wyjaśnił Farfalla. – Dryfujący statek odnaleziono w sektorze Japraela, ale na pokładzie nie było nikogo żywego. Zabrano także to, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Wszyscy członkowie załogi zostali zabici z bliskiej odległości strzałami z blastera.

– Wszyscy? – jęknął Johun. – Irtanna także? I Bordon? Nawet jego synowie?

Farfalla potwierdził skinieniem głowy.

Nie ma emocji, jest tylko spokój, wyrecytował Johun w myślach kodeks Jedi. Usiłował zapanować nad wściekłością, która ogarnęła go na wieść o tej bezsensownej śmierci.

– Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić – ciągnął Farfalla, zajmując fotel naprzeciwko padawana. – W tej chwili nie możemy dla nich nic zrobić. I bez względu na to, co się stanie, nie wolno ci obiecywać sobie w duchu, że pomścisz ich śmierć.

– Rozumiem, Mistrzu – odparł Johun, z trudem powstrzymując łzy. – Nie potrafię jednak otrząsnąć się z żalu.

– Nie powinieneś ukrywać rozpaczy, młody padawanie – stwierdził Farfalla. Podeszedł do Johuna i poklepał go uspokajająco po plecach. – To zupełnie naturalne, że odczuwasz ból z powodu tego, co się stało. Takie uczucia nie są niebezpieczne.

Farfalla odszedł w kąt pokoju i udał, że przygląda się uważnie malowidłu na ścianie. Chciał zapewnić młodemu Jedi trochę prywatności i dać mu czas na pogodzenie się ze stratą. Kiedy kilka minut później Johun wstał, jego Mistrz odwrócił się do niego.

– Ta wiadomość bardzo mi ciąży na sercu, Mistrzu Valentyne – powiedział młodzieniec. – Rozumiem jednak, że nie do mnie należy poszukiwanie zabójców. Jestem ci wdzięczny, że wezwałeś mnie, żeby mi to powiedzieć.

– To nie jedyny powód, dla którego chciałem cię widzieć – oznajmił

Mistrz Jedi. – Mam dla ciebie szczególne zadanie.

– Chętnie się dowiem, na czym ono polega, Mistrzu – odparł Johun. – Jestem gotów ci służyć. – Pomyślał, że dawno nie wypowiedział bardziej prawdziwych słów. Rozpaczliwie pragnął zrobić coś – cokolwiek – co pomogłoby mu oderwać myśli od Irtanny i jej załogi.

– Senat przegłosował Ruusańską Reformację – ciągnął Farfalla. – Wiesz już, co to oznacza dla naszego Zakonu, ale ten akt prawny zawiera w sobie także wiele innych aspektów. Jak powiedział Kanclerz Valorum, Republika musi się odrodzić.

Johun pokiwał głową na znak, że on też to rozumie.

– W galaktyce znajdzie się wiele przeciwników tej nowej ustawy – ciągnął Farfalla. – Niektórzy uznają, że starania Valoruma, by zjednoczyć Republikę, są w rzeczywistości próbą ustanowienia władzy Senatu nad planetami, które proklamowały niezależność albo właśnie zamierzają to zrobić.

– Obawiasz się o życie Kanclerza Valoruma, Mistrzu Valentyne – domyślił się młodszy Jedi.

– Właśnie – odparł Farfalla. – Ważne jest, żeby Jedi okazali poparcie Kanclerzowi i Ruusańskiej Reformacji. Musimy pierwsi zapewnić mu ochronę przed tymi, którzy zamierzają wyrządzić mu krzywdę.

Johun z trudem utrzymywał emocje na wodzy. Farfalla twierdzi, że ma dla niego szczególne zadanie... Może zamierza go wysłać na terytoria Zewnętrznych Rubieży, żeby przeniknął do komórki radykalnego ruchu Separatystów, a może woli go widzieć gdzieś na linii frontu, gdzie młody padawan mógłby walczyć przeciwko niebezpiecznej frakcji Rebeliantów?

– Wybrałem cię, żebyś został przedstawicielem Jedi w gronie osobistych strażników Kanclerza Valoruma – podjął Farfalla. Johun poczuł się, jakby ktoś zdzielił go pięścią w brzuch.

Za żadne skarby nie chciał zostać na Coruscant, tymczasem jest skazany na pobyt tutaj przynajmniej do końca kadencji Kanclerza. A może jeszcze i cztery następne lata, jeżeli Valorum pokona swojego rywala i zostanie wybrany na drugą czteroletnią kadencję.

– Wyglądasz na wzburzonego, Johunie – zatroskał się Farfalla.

– Nie jestem wzburzony, Mistrzu – odparł ostrożnie młodzieniec. – Jedynie rozczarowany. Miałem nadzieję na inne zadanie.

– Nasz Zakon przysięgał służyć wszystkim – przypomniał Mistrz Jedi. – Często musimy poświęcać dla dobra innych to, co najbardziej cenimy. Właśnie tak postępują Jedi.

Johun nie miał ochoty się z nim sprzeczać. Jak zwykle, jego Mistrz miał rację. Jeżeli to było jego obowiązkiem, jeżeli został poproszony o pełnienie takiej roli, powinien nie tylko się zgodzić, ale także się z tego cieszyć.

– Mistrzu Valentyne, z pokorą przyjmuję z twoich rąk ten zaszczyt – powiedział. – Będę służyć Kanclerzowi Valorumowi z całego serca i z całej duszy, najlepiej jak potrafię.

– Bardzo jestem zadowolony, że tak chętnie godzisz się ze swoim losem, Johunie – odparł Valorum z szelmowskim uśmiechem. – Pozostaje jednak jeszcze jeden drobiazg. W najbliższych dniach muszę odlecieć z Coruscant, żeby się zająć innymi sprawami. Jak zapewne rozumiesz, to trudny okres dla naszego Zakonu.

– Naturalnie, Mistrzu – przyznał Johun.

– Musisz także zrozumieć, że nie mogę zostawić tu, na Coruscant, padawana bez nadzoru.

Mówił prawdę. Do czasu ukończenia szkolenia wszyscy padawani powinni pozostawać pod nieustanną opieką i czujnym okiem Mistrza Jedi.

– Obawiam się, że nie rozumiem – wyznał młody padawan. – Jeżeli ty odleczysz, kto zostanie moim nowym Mistrzem?

– Wydaje mi się, że okres twojego szkolenia właśnie dobiegł końca, mój młody Jedi.

Johun przez dobrą chwilę nie mógł uświadomić sobie znaczenia słów Mistrza. Dopiero kiedy wspomniał, że podczas całej rozmowy Farfalla tytułował go „Jedi” zamiast „padawanem”, wszystko stało się jasne.

– Chcesz powiedzieć... że dostąpię zaszczytu pasowania na Rycerza? – zapytał.

– Właśnie to miałem na myśli – potwierdził Farfalla. – Rozmawiałem na ten temat z Radą. Jej członkowie zgodzili się, że jesteś gotów.

Johun odruchowo opuścił rękę i musnął palcami rękojeść świetlnego miecza. Skonstruował go jeszcze na Ruusanie, bo namówił go do tego Hoth zaledwie kilka tygodni przed swoją śmiercią. Młodzieniec uświadomił sobie, że generał już wówczas przygotowywał go na tę chwilę. Skonstruowanie świetlnego miecza było jednak zaledwie krokiem na drodze do tytułu Rycerza Jedi.

– A co z próbami? – zapytał Johun, usiłując panować nad emocjami. – Wciąż jeszcze muszę zdać ostatnie egzaminy Rady.

– Także i o tym rozmawialiśmy – uspokoił go Farfalla. – Wszyscy się zgadzają, że podczas swojej służby na Ruusanie wielokrotnie udowodniłeś, że jesteś tego godzien. Przydzielenie cię do straży Valoruma miało być twoją

ostateczną próbą. Zgodziłeś się chętnie zostać strażnikiem, a więc udowodniłeś ponad wszelką wątpliwość, że jesteś gotów poświęcić własne potrzeby i pragnienia dla większego dobra.

– Ja... sam nie wiem, co powiedzieć – wyjąkał młodzieniec.

– Zasłużyłeś na to, Johunie – zapewnił go Mistrz Jedi. – Generał Hoth byłby z ciebie dumny.

Farfalla odpiął od pasa świetlny miecz i wysunął klingę. Rozległ się czysty, basowy pomruk. Johun pochylił głowę i odwrócił ją lekko na bok. Farfalla jednym precyzyjnym ruchem nadgarstka odciął zwisający warkoczyk swojego ucznia. Kiedy młodzieniec poczuł, że warkoczyk zsuwa mu się po plecach i usłyszał, że spada na podłogę, podniósł głowę. Miał w oczach łzy.

Nie mógł wykrztusić ani słowa, bo wciąż jeszcze rozpamiętywał to, co się wydarzyło: awans do stopnia Rycerza Jedi, mianowanie na członka straży Valoruma, tragiczna wiadomość o śmierci Irtanny i jej załogi.

– Zawsze będziesz wspominać ten czas jako dzień twojej największej radości, ale także wielkiego smutku – uświadomił mu Farfalla. – Pomoże ci to lepiej zapamiętać, że w życiu jedna emocja bywa często nierozłącznie związana z zupełnie inną.

– Będę o tym pamiętał, Mistrzu – obiecał Johun i zauważył, że oto pierwszy raz w życiu zwrócił się do swojego Mistrza nie jako padawan, ale jako prawdziwy Rycerz Jedi.

Darovit człapał powoli, ale wytrwale po spękanym gruncie, pocąc się w promieniach palącego słońca. Lewą dłońią ścisnął prowizoryczną laskę, kikut prawej miał grubo owinięty bandażami. Po obu jego bokach unosiły się skoczki, jakby chciały dotrzymać mu kroku. Ich pękate ciała wyglądały jak kosmate, zielone baloniki. Zwierzątka miały wielkie, wyraziste oczy, natomiast Darovit nie zauważył ani nosa, ani ust. Długie, płaskie ogony ciągnęły się za nimi jak powiewające na wietrze wstęgi.

Skoczki przyleciały do niego jeszcze w jaskini, w której przeleżał wiele dni w stanie bliskim katatonii. Skulony i ściskający okaleczoną kończynę, porzucił wszelką nadzieję. Kiedy zwierzątka go tam znalazły, nie myślał o niczym innym oprócz śmierci.

Współczujące, posługujące się telepatią stworzonka, krążąc nad nim, przekazywały wrażenia bezpośrednio do jego mózgu. Próbowaly go pocieszyć i wlać w jego serce nadzieję. Koily udręczonego ducha chłopca i chociaż nie mogły zaleczyć ran, zmniejszyły ból, jaki odczuwał.

Wyprowadziły go potem bezpiecznie labiryntem podziemnych tuneli na

skąpaną w słońcu powierzchnię. Darovit mógł wreszcie napęścić płuca świeżym, czystym i suchym powietrzem. Skoczki wskazały mu drogę do zagajnika, gdzie znalazł chłodną wodę, żeby zaspokoić pragnienie, i słodkie jagody, aby uśmierzyć głód. Pokazały mu nawet porzucony pojemnik ze środkami medycznymi, dzięki czemu mógł oczyścić i zabandażować amputowaną rękę, aby nie wdało się zakażenie.

Kilka następnych dni młodzieniec spędził ukryty w zagajniku skoczków. Stopniowo odzyskiwał siły i przychodził do zdrowia po odniesieniu groźnej rany. Za bardzo się bał, że ktoś rozpozna w nim Sitha, żeby ruszyć na poszukiwania innych istot swojej rasy. Znadto się także wstydził poprzednich poczynań i obciętej ręki, żeby rozmawiać z nieznanymi. Potężniejsza jednak niż strach czy wstyd okazała się wściekłość na Rain za to, że go tak strasznie okaleczyła. Własna kuzynka zdradziła go i zraniła. Raz po raz nachodziła go żądza zemsty. Wyobrażał sobie, że ściga Rain i zabija ją po zwycięskiej walce.

Jednak w miarę jak odzyskiwał siły i powracał do zdrowia, gniew Darvoita stopniowo słabł. Rozpaczliwie próbując podsycać w sobie nienawiść, nieustannie przypominał sobie szczegóły ostatniego spotkania z Rain... aż w końcu domyślił się całej prawdy. Kuzynka starała się go ocalić!

Otoczony przez delikatne skoczki, w ich kojącym towarzystwie Darovit w końcu zrozumiał, co zrobiła Rain. Towarzyszący jej Sith zabiłby go bez zastanowienia. Okaleczając go, Rain ocaliła mu życie. Zdobyła się na ostatni akt łaski, zanim poddała się władzy Mistrza Ciemnej Strony.

Wraz ze zrozumieniem pojawiło się pogodzenie z losem: Darovit stracił rękę, Rain zniknęła, a jego marzenia o przyłączeniu się do Jedi – lub do Sithów – legły w gruzach. Pozostały mu tylko skoczki.

Darovit był im wdzięczny za życzliwość, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego się o niego tak troszczą. Tymczasem wszystko wokół zniknęło: Sithowie zostali zniszczeni, ich sługusi odlecieli z Ruusana albo zostali jeńcami wojennymi. Jedi i służący w Armii Światła żołnierze Republiki także zniknęli. Dwie noce wcześniej Darovit widział na niebie charakterystyczne rozbłyski towarzyszące okrętom, które wnikają do nadprzestrzeni. Zrozumiał, że flota Jedi także wyniosła się z orbity Ruusana. Nawet rdzenni mieszkańcy planety, porzuciwszy miejsce ostatniej wielkiej bitwy między wojskami ciemności i światłości, wrócili do swoich farm i wiosek. Od kilku dni Darovit nie widział w okolicy żywego ducha, jeżeli nie liczyć skoczków, które ocaliły mu życie.

Rozumiał, że to one dały mu drugą szansę. Mógł wreszcie zostawić

przeszłość za sobą i rozpocząć wszystko od nowa. Tylko po co? W jakim celu? Skoczki wspominały wprawdzie o przyszłości w taki sposób, jakby widziały to, co dopiero ma się wydarzyć. Tak samo jednak jak inne wyrocznie używały zagadek i ogólników, a więc Darovit nie mógł z nich wysnuć żadnej konkretnej wskazówki co do swoich dalszych losów.

„Darovit smutny”, przekazało mu telepatycznie jedno ze stworzonek i było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Po prostu nie mam pojęcia, co powinienem dalej zrobić – odpowiedział młodzieniec na głos. Skoczki umiały wprawdzie przesyłać swoje myśli i dzięki empatii wyczuwać emocje współbraci, ale nie potrafiły czytać w jego myślach. Jeżeli chciał z nimi porozmawiać musiał wypowiadać słowa na głos.

– Jaka mnie czeka przyszłość? – ciągnął Darovit, ubierając w słowa problem, który od tak dawna go gnębił. – Zawiodłem jako Jedi. Zawiodłem jako Sith. Kim zostanę w przyszłości?

„Człowiekiem?”

Kiedy ta odpowiedź do niego dotarła, że stanął jak wryty.

– Człowiekiem? – powtórzył.

Nie Sithem, nie Jedi. Nie najemnikiem, nie żołnierzem. Nie kimkolwiek innym, ale zwykłym, przeciętnym człowiekiem. Pokiwał głową i podjął marsz po otwartym terenie. Czuł się, jakby ktoś zdjął mu z ramion wielki ciężar.

– Po prostu człowiekiem – powiedział głośno. – Dlaczego nie?

ROZDZIAŁ 10

Dziesięć lat później

Leżąca na terenie Zewnętrznych Rubieży planeta Serenno zaliczała się do najbogatszych światów Republiki. Była także siedliskiem wymierzonego przeciwko niej ruchu radykalnych Separatystów, często potajemnie wspieranych finansowo przez różne szlachetne rody tej planety, które chciałyby uwolnić się od politycznego jarzma Galaktycznego Senatu.

Mimo niebezpiecznych rewolucyjnych sympatii społeczeństwa, a może właśnie dzięki nim, ulokowane pod gołym niebem wielkie targowisko stolicy planety, Caranii, zasłynęło jako ośrodek międzygwiazdowego handlu. Klienci dwudziestu kilku ras tłoczyli się bez przeszkód pod namiotami i markizami tysięcy straganów. Od świtu do zmierzchu krzyki handlarzy, zachwalających swoje towary importowane ze wszystkich zakątków galaktyki, mieszały się z równie głośnymi okrzykami targujących się klientów. Nawet wpływowi i uprzywilejowani obywatele nie obawiali się bywać na rojnym i gwarnym placu, świadomie powiększając niesforne tłumy, przeciskające się i kłębiące między straganami w poszukiwaniu rzadkich i cennych przedmiotów, których nie mogli zdobyć nigdzie indziej.

Zannah stała nieruchomo w odosobnionym zakątku targowiska, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Niełatwo jej było się wmieszać w tłum, bo była wyjątkowo piękną kobietą. Jeżeli nie chciała ściągać na siebie pożądanego wzroku istot rodzaju męskiego albo zazdrosnych spojrzeń innych dam, musiała podejmować niezbędne środki ostrożności. Tego akurat dnia włożyła luźny czarny płaszcz, który zakrywał ją od stóp do głów, zasłaniając skutecznie szczupłe, wygimnastykowane ciało. Naciągnęła kaptur na głowę, żeby ukryć długie, kręcone, jasne włosy. Cień kaptura przesłaniał jej żywe, bystre oczy.

Prócz tego otoczyła się lekką aurą maskującą. Wykorzystała w tym celu iluzję Ciemnej Strony, pozwalającą na ukrywanie się w tłumie w miejscach publicznych. Aura nie sięgała wprawdzie oczu, ale dopóki młoda kobieta świadomie nie chciała być zauważona, pospolite osoby nie zwracały na nią

żadnej uwagi i nie były w stanie jej zapamiętać.

Mimo tych wszystkich środków ostrożności od czasu do czasu przechwytywała czyjeś długie spojrzenie. W stanowczych ruchach Zannah, w całej jej sylwetce było coś, co wyróżniało ją spośród innych kobiet. I tak jednak było jej o wiele łatwiej pozostawać niezauważoną niż jej Mistrzowi. Przez ostatnich dziesięć lat orbaliski, które przyczepiły mu się do tułowia, rozrosły się tak, że pokryły niemal całe ciało. Ominęły tylko stopy, dłonie i twarz dzięki temu, że Mistrz Sithów podjął wyjątkowe środki ostrożności. Nosił zawsze specjalne rękawice i buty, a na czas snu zakładał na głowę ciasny hełm.

Nawet gruby płaszcz nie mógł jednak zupełnie ukryć tego, kim się stał. Każdy, kto choćby raz zerknął na błyszczące skorupy pod jego ubraniem, musiał go zapamiętać. Aby do tego nie dopuścić, Bane rzadko opuszczał ich obóz na Ambrii. Wierzył, że uczennica będzie jego uszami i oczami, że stanie się wysłanniczką jego woli... że potrafi koordynować i nadzorować zawile plany, które potajemnie układał i wcielał w życie.

Właśnie dlatego Zannah przebywała teraz na targowisku, czekając na młodego Twi'leka, który podobno nazywał się Kelad'den. Młoda kobieta nie wierzyła, żeby to było jego prawdziwe imię. Ona przecież nie podała mu swojego prawdziwego imienia... chociaż byli kochankami.

Kel był politycznym radykałem – samozwańczym bojownikiem o wolność. Walczył z tyranią jako jeden z przywódców niewielkiej grupy ekstremistów zdecydowanych na obalenie Republiki. Dopiero po kilku miesiącach znajomości udało się Zannah zaskarbić jego zaufanie i w końcu Twi'lek uległ jej urokowi. Ostatniej nocy, kiedy leżeli spleceni między szorstkimi prześcieradłami na wąskim łóżku w wynajętym apartamencie Zannah, Twi'lek obiecał, że spotka się z nią w południe na targowisku, a potem zaprowadzi ją na tajne spotkanie komórki swojej organizacji.

Sądząc po wysokości słońca na popołudniowym niebie, było oczywiste, że Kelad'den się spóźnia. Mimo to Zannah cierpliwie czekała. Poznała wartość cierpliwości na samym początku swojego szkolenia.

„Dyskrecja. Spryt. Cierpliwość. Wszystko to jest bronią Sithów”, powiedział kiedyś jej Mistrz.

Odlecieli z Onderona przed ośmiu dniami, zostawiając „Gwiazdny Nurt” i zdobywając inny statek od neimoidiańskiego handlarza, żeby dotrzeć na Ambrię. Dopiero na tej odległej planecie Bane zamierzał rozpocząć jej szkolenie.

„Jeżeli będziesz działać w pośpiechu, oddasz przewagę w ręce wroga”,

wyjaśnił jej Mistrz Sithów. „Czasami właściwym, chociaż trudniejszym sposobem jest powstrzymanie się od działania. Nawet najdzielniejsi wojownicy często zapominają o zaczekaniu na odpowiednią chwilę do ataku. Nie możemy sobie pozwolić na popełnianie takich błędów”.

Zannah pokiwała głową, chłonąc jego słowa i utrwalając je w pamięci. Słowa były jednak tylko częścią jej szkolenia. Mistrz dawał jej także różne zadania – próby, które miały udowodnić, że naprawdę przyswaja sobie jego nauki.

W jednej z jaskiń przy brzegu jeziora Natth, kilka kilometrów od ich obozu, żyła niewielka rodzina neeków – małych gadopodobnych, roślinożernych zwierząt, które mieszkaly na Ambrii. Jaszczury miały tylko metr wysokości i chętnie stawały na tylnych łapach, podpierając się ogonem dla zachowania równowagi. Ich przednie łapy były krótkie i słabo rozwinięte. Nadawały się tylko do wygrzebywania płytko rosnących korzonków albo do znoszenia do legowiska małych owoców. Neeki miały długie szyje i spiczaste małe łebki o wąskich bezzębnych szczękach.

Pierwszego dnia, kiedy Zannah i Darth Bane wylądowali na Ambrii, dziewczynka zauważyła zwierzęta biegające po gorących piaskach plaży. Pierwszym zadaniem, jakie Bane jej powierzył, było przyprowadzenie jednego z neeków, żywego i niespełtanego.

Zadanie okazało się o wiele trudniejsze, niż Zannah z początku przypuszczała. Neeki były źródłem pożywienia dużych mięsożernych drapieżników, które często się zapuszczały na brzegi jeziora Natth; nic więc dziwnego, że roślinożerne jaszczury były z natury bardzo płochliwe. Czmychały na sam jej widok i znikwały w niewielkich szczelinach nadbrzeżnych skał, otaczających jaskinie, w których zazwyczaj mieszkaly.

Zannah nie mogła po prostu zastawić pułapki, bo Bane zażądał, żeby zwierzę zgodziło się z nią pójść dobrowolnie. Początkowo młoda uczennica Mistrza Sithów próbowała zwabić zwierzęta do obozu, rozkładając na drodze pożywienie, ale neeki były nieufne i nie dały się skusić. Później Zannah spróbowała zapanować nad umysłem jednego ze zwierząt, podobnie jak na jej oczach Bane zapanował nad umysłem drexla. Problem w tym, że w pradawnych czasach nad jeziorem Natth pewien Jedi związał swoich przeciwników potęgą Ciemnej Strony. Ta sama potęga emanowała w ciągu wielu wieków z głębi zatrutej wody; pijąc tę wodę, neeki zmutowały i stały się odporne na nieporadne próby zapanowania nad nimi Mocą.

W końcu Zannah zrozumiała, że musi jedno ze zwierząt obłaskawić, przyzwycząić do swojej obecności. Każdego ranka siadała u wylotu jaskini

ze skrzyżowanymi nogami i ćwiczyła medytacje, których nauczył ją Bane.

Siedziała nieruchomo całymi godzinami, a późnym popołudniem spokojnie wstawała i wracała do obozowiska, żeby następnego ranka wszystko powtórzyć. Pierwsze trzy dni spędziła całkiem sama, ale czwartego dnia neeki zwróciły na nią uwagę. Z początku były nieufne – pokazywały się i przemykały obok niej, daleko poza zasięgiem jej rąk. Mniej więcej od drugiego tygodnia zaczęły się jednak przyzwyczajać do jej widoku. Siadały i wpatrywały się w nią z odległości zaledwie kilku metrów. Od czasu do czasu jedno ze zwierząt szczeekało pytająco w jej kierunku albo wydawało niski, gardłowy, drżący pomruk. Trzeciego tygodnia jeden szczególnie ciekawski młody neek, niesięgający jej nawet do kolan, podszedł wystarczająco blisko, żeby dziewczynka mogła go dotknąć.

Po tym doświadczeniu Zannah zaczęła przynosić pożywienie swojemu ulubieńcowi. Z początku kładła na otwartej dłoni niewielki orzech. Ten sam odważny mały neek podchodził do niej ostrożnie, jakby nie mogąc wybrać między strachem a dochodzącym od dłoni dziewczynki kuszącym zapachem orzeszka. Zannah przemawiała cicho do neeka i w końcu zwierzę zbierało się na odwagę, podchodziło i chwytalo orzech, aby zaraz schować się do bezpiecznej jaskini z piskiem podniecenia.

Zannah zaczęła stopniowo siadać coraz dalej od jaskini, ale nie rezygnowała z medytacji. Każdego dnia młody neek podchodził po orzech, chociaż musiał zapuszczać się coraz dalej poza znajome granice swojego terytorium, żeby ją odnaleźć. Dzień po dniu Zannah wabiła zwierzę coraz bliżej swojego obozu, aż kiedyś, kiedy wstała, żeby odejść, neek podążył za nią.

Dziewczynka nakazała sobie iść spokojnie i powoli, by nie spłoszyć ulubieńca. Stawiała małe kroki, żeby przypadkiem nie stracić równowagi. Ostrożnie przenosiła ciężar ciała z jednej stopy na drugą, wiodąc młodego neeka do swojego Mistrza.

Dotarła dopiero o zmierzchu, bo szła tak wolno, że pokonanie stosunkowo małej odległości od jeziora do obozu trwało cztery godziny. W obozie stało kilka namiotów, bo oprócz dwóch, w których sypiali, w trzecim zgromadzili zapasy żywności, w czwartym ubrania i sprzęt, a w jeszcze innych broń, paliwo do gwiazdowego statku i gąsienicowy pojazd terenowy. Namioty ustawiono w niepełny krąg, wejściami zwrócone w kierunku ogniska pośrodku polany.

Bane siedział przy ognisku i czekał na nią, mieszając gulasz w kociołku. Było mu gorąco, więc zdjął koszulę. W migotliwym blasku płomieni jego

uczennica zauważyła, że orbaliski się powiększyły. Ten, którego jej Mistrz miał na plecach, objął już biceps i łokieć silnie umięśnionej ręki, a pasożyt na piersi rozprzestrzenił się do połowy podbrzusza i na szyję. Skorupę każdego pasożyta przecinały wąskie, ciemne pasma, które wyglądały jak mięso. Uczennica uświadomiła sobie, że stworzenia nie tylko się rozprzestrzeniają, ale także zamierzają się rozmnożyć.

Z trudem ukrywając obrzydzenie, Zannah powiedziała cicho do Bane'a: „Ukończyłam pierwsze zadanie, Mistrzu”.

Bane spojrzał na niewielkiego neeka, wchodzącego za nią do obozu – namacalny dowód, że jego uczennica rzeczywiście wykonała swoje pierwsze zadanie. Zannah podążyła za jego spojrzeniem i zerknęła na ulubieńca. Mały neek spojrzał na nią i niecierpliwie zaskrzeczał. Dziewczynka pochyliła się, żeby go pogłaskać, ale Bane posłużył się Mocą – wysłał myśli i skreślił zwierzęciu długą, cienką szyję. „Dobrze się spisłaś” – mruknął, podczas gdy Zannah wpatrywała się z przerażeniem w drgające u jej stóp martwe ciało. „A teraz dorzuć go do gulaszu”.

Zannah dopiero po długiej chwili zapanowała nad emocjami i pozbyła się smutku, który wzbierał w jej sercu. Domyśliła się, że Bane, powierzając jej wykonanie tego zadania, musiał wiedzieć, że jego uczennica przywiąże się do swojego ulubieńca. Gdyby była mądrzejsza, łatwo by to przewidziała i potraktowała stworzenie po prostu jak narzędzie, które można było po użyciu odrzucić na bok. Na pewno nie pozwoliłaby sobie na polubienie zwierzątka. Ból, jaki odczuwała po jego śmierci, był ostrzeżeniem – przypominał jej, że powinna dochowywać wierności tylko swojemu Mistrzowi.

Schyliła się, podniosła nieruchome ciało, podeszła do ogniska i wrzuciła neeka do bulgoczącego gulaszu. Spojrzała prosto w oczy Mistrza. „Widzę, że postanowiłeś mi udzielić dzisiaj dwóch lekcji, Mistrzu”, powiedziała.

W odpowiedzi usłyszała ponury chichot.

– Rainah! – Usłyszała mimo panującego na targowisku hałasu, że ktoś ją woła fałszywym imieniem, jakie przybrała na czas wykonywania tego zadania. Po chwili zobaczyła w tłumie Kelad'dena, który machał na nią, żeby do niego dołączyła, chociaż stał po drugiej stronie wielkiego, czworokątnego placu.

Twi'lekwowie miewali różnej barwy karnację, ale Kel miał wyjątkowo rzadko spotykaną czerwoną skórę, z której słyęła rasa Lethan. Jak większość istot tej rasy, wyglądał szalenie atrakcyjnie. Był wysoki i rozrośnięty w barach, miał płaski, twardy brzuch i idealnie proporcjonalne

nogi. Nosił obcisłe, czarne spodnie i rozpiętą z przodu luźną, płową tunikę, która odsłaniała harmonijne mięśnie piersi. Miał zmysłowe, idealnie symetryczne rysy twarzy: miękkie, pełne wargi i ciemne, płonące oczy, urzekające każdego, kto się w nie zbyt długo wpatrywał. Jego kształtne, twarde lekku owijały się wokół szyi i ramion, a końce opadały seksownie na obnażony dekolt pod rozpiętą tuniką.

– Rainah! – zawołał znowu Kel. Kupujący na targowisku przystawali i patrzyli na niego ciekawie. Zannah zakłęła pod nosem i zaczęła się szybko przeciskać przez tłum.

– Nie wrzeszcz tak głośno – powiedziała, kiedy znalazła się blisko. – Wszyscy się na nas gapią.

– A niech się gapią – odparł buntowniczo Kelad'den, chociaż tym razem zniżył głos. – To pospólstwo. Ich opinia nic mnie nie obchodzi.

Kel był dzieckiem bogatym i rozpieszczonym. Pochodził z rasy Lethan, a w dodatku urodził się w rodzinie zaliczanej do najwyższej grupy społecznej twi'lekańskich wojowników. Od początku wszyscy w jego otoczeniu wmawiali mu, jaki jest ważny, więc nic dziwnego, że uważał innych za istoty niższej kategorii.

Czasami Zannah podziwiała jego wyniosłą arogancję, bo była oznaką potęgi. Twi'lek wiedział, że jest lepszy i ważniejszy niż pozostali, i nie obawiał się tego okazywać. Zarazem było to jednak jego największą słabością. Zannah już dawno zauważyła, że dzięki pochlebstwom czy wyzwaniom rzucanym jego dumie może nim łatwo manipulować. Pragnąc wywiązać się z powierzonego zadania, bez skrupułów wykorzystywała tę wiedzę.

– Spóźniłeś się – zarzuciła Kelowi. – Nie lubię, kiedy ktoś każe mi czekać.

– W ogóle nie powinienem się z tobą umawiać – odciął się Twi'lek.

– Przepraszam – powiedziała młoda kobieta. Podeszła bliżej i objęła go czule. – Zaczynałam się obawiać, że spędzasz czas z inną kochanką – wymruczała. – Jeżeli kiedykolwiek zobaczę cię z jakąś istotą płci żeńskiej, wytnę ci serce z piersi.

Kel przytulił się do niej mocniej.

– Dla każdej istoty płci męskiej byłabyś idealną kochanką – szepnął jej do ucha tak namiętnie, że Zannah poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Pocałowała go w usta i odsunęła się.

– Nie mamy na to czasu – zaprotestowała. – Czekają na nas twoi przyjaciele.

Oblizując wargi, jakby wciąż jeszcze czuł smak jej pocałunku, Kel skinął

głową i wziął ją za rękę.

– Chodźmy – oznajmił i zaczął ją prowadzić przez targowy tłum.



Kiedy obóz na Ambrii pogrążył się w półmroku, Darth Bane wysłał myśli w kierunku niewielkiej kryształowej piramidy, którą umieścił pośrodku pustego namiotu na niewielkim postumencie. Powoli i delikatnie musnął czubkami palców chłodną powierzchnię, ale cofnął rękę, bo zauważył, że drży. Po chwili jego palce spazmatycznie zadrżały, a od ramienia do nadgarstka przebiegł impuls silnego bólu. Klnąc cicho pod nosem, Bane zazgrzytał zębami, zamknął oczy i spróbował przetrwać ból.

Przez orbaliski, które przyczepiły się do jego ciała, przyzwyczał się do życia w nieustannym bólu. Odczuwał go cały czas, ale najczęściej na poziomie podświadomości. Nie pozwalał mu wypłynąć na powierzchnię i znosił dolegliwości, niczego po sobie nie okazując. Wiedział jednak, że jeżeli nie zachowa ostrożności – jeżeli będzie wymagał od siebie zbyt wiele – może go pokonać wpływ orbalisków. Wstrząs, jaki właśnie przeżył, był ostrzeżeniem i pierwszą oznaką, że Mistrz jest bliski granicy wytrzymałości.

Trzykrotnie już podejmował próby skonstruowania własnego holocronu Sithów, ale za każdym razem jego wysiłki kończyły się niepowodzeniem. Tym razem nie zamierzał do tego dopuścić. Wiedział, że jeden fałszywy ruch na tym etapie i cały jego wysiłek, wszystkie te lata przygotowań pójdą na marne. Wiedział także, że nie ma wyboru. Musi znaleźć sposób uporania się z bólem i kontynuowania swojej pracy.

Pierwszą próbę podjął przed pięcioma laty. Wykorzystując jako wzór holocron Freedona Nadda, odtworzył skomplikowaną, trójwymiarową matrycę, która była kluczem do przechowywania nieskończonej ilości wiedzy w systemie danych na tyle małym, że dało się go zamknąć w dłoni. Wiele miesięcy poświęcił na łączenie i kształtowanie rzadkiego kryształu w skomplikowaną sieć, a potem wiele tygodni dokonywał delikatnych i mozolnych poprawek. Matryca musiała spełniać określone wymagania, więc Bane spędził dosłownie setki godzin, dokonując precyzyjnych, mikroskopijnych zmian dzięki potędze Mocy. Musiał mieć pewność, że każde włókno krystalicznej sieci znajdzie się w ściśle określonym miejscu

względem pozostałych.

Kiedy kryształowa matryca wewnątrz holocronu była gotowa, starannie wypisał prastare symbole potęgi Sithów na ściankach piramidy. Znaki były częścią potężnego rytuału, który odgrywał wielką rolę w zachowaniu stabilności całej matrycy, kiedy już zostanie nasycona energią Ciemnej Strony. Nie znając celu ani znaczenia prastarych glifów, Darth Bane ponownie posłużył się holocronem Nadda jako wzorem. Długo badał znaki wyryte na powierzchni, aż wreszcie przeniósł je dokładnie na ścianki swojego holocronu.

Kiedy jednak usiłował go pobudzić, przesyłając przez niego swoją energię, matryca implodowała i z oślepiająco białym błyskiem zamieniła piramidę w stos migoczącego pyłu.

Kolejną próbę Bane podjął kilka miesięcy później, ale uzyskał taki sam rezultat. Musiał przyznać, że wciąż jeszcze nie zna tajemnicy konstruowania holocronów, więc rozpoczął badania, chcąc odkryć wszystko, co tylko było wiadome o potężnych talizmanach. Z pomocą Zannah zgromadził na ten temat ogromną wiedzę.

Pochłaniał informacje zapisane na każdej karcie danych i w każdej relacji historycznej; czytał wszystko, co mógł znaleźć na temat teorii i kroków, które musi podjąć w celu stworzenia piekielnie skomplikowanej piramidy. Starał się także przypomnieć sobie, co sam pamięta na ten temat. Natknął się na tysiące zawołowanych aluzji i setki teoretycznych domysłów o sztuce konstruowania holocronów. Niestety, nie mógł znaleźć takiego źródła, które podawałoby kompletną listę wymaganych zaklęć i odprawianych rytuałów, więc zagadka konstrukcji holocronów nadal pozostawała dla niego tajemnicą.

Mimo to Bane się nie poddawał. Kontynuował poszukiwania rzadkich woluminów, ukrytych dokumentów i zakazanych fragmentów wiedzy. Dopiero po następnych trzech latach poznał cel i znaczenie glifów na powierzchni piramidy, a przy okazji odpowiedź na pytanie, dlaczego jego pierwsze próby zakończyły się niepowodzeniem. Odkrył, że każdy holocron ma wyryte symbole nierozłącznie związane z Lordem Sithów odpowiedzialnym za skonstruowanie artefaktu. Miniaturowe piramidy były czymś więcej niż tylko pojemnikami do przechowywania całej masy danych. Uczenie się było ściśle uzależnione od mądrości strażnika – wirtualnej, symulowanej osobowości, która odzwierciedlała tożsamość twórcy hologramu. Właściwa kombinacja symboli, w połączeniu ze specyficznymi zaklęciami i czarami pradawnych Sithów miała pozwolić Bane'owi na

uchwycenie swojego awataru, swojej wiedzy i procesu poznawczego. W strukturze holocronu to wszystko miało zostać przekształcone w trójwymiarowy hologram, który pokieruje każdym, kto zechce posłużyć się artefaktem. Sieć poznawcza strażnika stabilizowała także włókna trójwymiarowej matrycy i uniemożliwiała implozję, jaka nastąpiła podczas ostatniej próby Bane'a.

Uzbrojony w nową wiedzę Mistrz Sithów podjął dwa lata wcześniej trzecią próbę skonstruowania własnego holocronu. Tym razem poczynił sobie ostrożniej, bo inwokacyjne rytuały, przeprowadzone przed wypisaniem na ściankach piramidy właściwych świętych symboli, okazały się wyczerpujące zarówno pod względem umysłowym, jak i fizycznym. W obawie przed popełnieniem błędu poświęcił na to dwa długie tygodnie. Jak na ironię jednak, ta ostrożność przyczyniła się do jego porażki. Kiedy podczas ostatecznej fazy konstrukcji rozpoczął manipulowanie zewnętrznymi strukturami kryształowej matrycy, wyczuł, że potęga symboli przygasa. Poznawcza sieć strażnika zdegradowała się do punktu, w którym straciła zdolność podtrzymywania i stabilizacji matrycy.

Zdesperowany Mistrz Sithów wykorzystał wszystkie sposoby, żeby przywrócić jej tę właściwość, ale w końcu musiał przyznać, że jego starania są daremne. Rozwścieczony kolejną porażką własnymi rękami zgruchotał bezużyteczną piramidę.

Zanim rozpoczął czwartą próbę, poprzysiął sobie, że tym razem jego starania zakończą się sukcesem. Teraz już dobrze rozumiał, że prawdziwym kluczem do sukcesu jest czas. Musiał ukończyć konstrukcję matrycy i nasycić ją energią Ciemnej Strony w ciągu zaledwie kilku dni, zanim funkcje poznawcze strażnika zaczną zanikać. Po kilku miesiącach gromadzenia rzadkich materiałów i tygodniach medytacji, potrzebnych do osiągnięcia stanu koncentracji potęgi, a także po trzech dniach i nocach nieustannego skupiania uwagi, w końcu zbliżał się do celu. Pozostawało mu już tylko dokonanie kilkudziesięciu drobnych poprawek, ale Bane dobrze wiedział, że jego czas dobiega końca. Trzy długie doby spędził, nieustannie czerpiąc energię z Mocy. Nic nie jadł ani nie odpoczywał, i teraz jego ciało, umysł i duch były wyczerpane. W takim stanie był szczególnie podatny na oddziaływanie orbalisków. Stworzenia zazwyczaj żywiły się energią Ciemnej Strony, która przepływała przez Bane'a, ale konstruowanie holocronu wymagało, żeby Mistrz ukierunkował całą swoją potęgę bezpośrednio na to zadanie. Pasożyty były coraz bardziej głodne; przesyłały więc do jego krwiobiegu środki chemiczne i hormony, które miały go wpędzić w

bezrozumny szal, żeby orbaliski mogły się nasycić energią Ciemnej Strony.

Drżące mięśnie rąk były pierwszym skutkiem ich starań, a Bane mógł tylko czekać, aż drżenie ustanie. Miał już tylko kilka godzin na dokończenie swojej pracy, ale nie mógł ryzykować, że popełni błąd i uszkodzi delikatną strukturę matrycy holocronu.

W końcu odzyskał panowanie nad drżącymi palcami, chociaż stracił przy tym wiele cennych sekund. Kiedy jego dłoń się uspokoiła, kilka razy powoli, głęboko odetchnął, żeby się lepiej skoncentrować; potem posłużył się Mocą i wysłał myśli, żeby jeszcze raz dotknąć nimi włókien matrycy.

Wokół jego palców pojawiły się wstążki elektrycznych wyładowań; wkrótce owinięły także nerwy kręgosłupa. Bane wygiął się w łuk i krzyknął w agonialnym bólu. To na chwilę rozproszyło jego koncentrację. Wtedy przeniknął go niekontrolowany impuls energii Ciemnej Strony, wystrzelił z jego palców i pomknął do holocronu. Po chwili piramida eksplodowała, a Bane'a opryskały okruchy kryształu.

Długo siedział i wpatrywał się w pusty postument. Odczuwał pulsujący głód orbalisków i własną, narastającą wściekłość. Wreszcie wzrok przesłoniła mu czerwona zasłona szalu i Bane poddał się niepohamowanej furii.

ROZDZIAŁ 11

– Kto to jest? – zapytał wyzywającym tonem stojący przy drzwiach mężczyzna, zerkając podejrzliwie na Zannah. Jego twarz i ogoloną głowę pokrywały zielone i fioletowe tatuaże, pod którymi trudno było rozpoznać rysy twarzy. Mężczyzna miał na sobie błękitną koszulę i ciemnoniebieskie spodnie. Był niższy niż Kel, ale za to o wiele grubszy.

– Ona jest ze mną, Paak – odparł Kel. Odsunął strażnika na bok i przeszedł przez drzwi, prowadząc za rękę Zannah.

Nieumeblowany pokój był mały i mroczny. Z kantyny piętro niżej dobiegał cichy gwar i muzyka, mimo to zgromadzone w pokoju osoby mówiły konspiracyjnym szeptem. W ciasnym kręgu siedziało dwóch młodych mężczyzn, kobieta niewiele starsza od Zannah i niebieskoskóra, czerwonoooka Chissanka.

Paak podreptał za nowo przybyłymi, wyraźnie niezadowolony z przebiegu rozmowy.

– Nie powinieneś jej przyprowadzać – skarcił Kela.

– Pracuje w ambasadzie – zapewnił go Twi'lek, wykorzystując fałszywą historyjkę, którą Zannah sprzedała mu podczas ich pierwszego spotkania. – Może nam pomóc.

Tęgi mężczyzna złapał Kela za łokieć i odwrócił go twarzą do siebie.

– Nie do ciebie należy podejmowanie takich decyzji! – wybuchnął. – Naszym przywódcą jest Hetton, nie ty!

– Hetton powierzył mi wykonanie tego zadania – przypomniał mu gniewnie Kel.

– Tylko dlatego, że zaproponowałeś kupno sfalszowanych przepustek, żebyśmy mogli przejść obok strażników ambasady – odciął się Paak. – Zwrócił się z tym do ciebie, bo potrzebował twoich kredytów!

– Hetton nie potrzebuje niczych kredytów – odparł pogardliwie czerwonoskóry Twi'lek. – Zlecił mi to zadanie, bo miał powyżej uszu zadawania się z takimi niedorozwiniętymi umysłowo bandziorami jak wy.

Paak wydał wargi i groźnie warknął, ale Kel zdążył się już odwrócić, jakby lekceważył swojego podwładnego. Zannah obserwowała, czy

wytatuowany mężczyzna nie zaatakujecie od tyłu Twi'leka, ale Paak tylko pokręcił głową, odwrócił się i znów zaczął pilnować drzwi.

Kel podszedł do obecnych, którzy zrobili mu miejsce, żeby mógł usiąść. Zannah trzymała się z tyłu; zauważyła, że konspiratorzy patrzą na nią podejrzliwie. Nie bała się; musiała się jak najwięcej o nich dowiedzieć.

Podobnie jak Kelad'den, byli to rewolucjoniści: młodzi, idealistycznie nastawieni i pożałowania godni. Łatwo było ich zmanipulować ognistymi przemówieniami i egzaltowanymi słowami. Wszystkich zwerbował tajemniczy „Hetton”; to on przekonał ich, aby się przyłączyli do Antyrepublikańskiego Frontu Wyzwolenia – jednego z setek małych, nic nieznaczących ruchów Separatystów, jakich wiele istniało w całej galaktyce.

Jak na małą radykalną grupę AFW był jednak wyjątkowo zasobny w środki finansowe, a do ruchu przyjmowano tylko tych, którzy odznaczeni byli szczególnymi, niebezpiecznymi umiejętnościami. Elitarni bojownicy, jak Kel, albo istoty po starannym wojskowym przeszkoleniu stanowiły raczej normę niż wyjątek. Z jakiegoś powodu wszyscy złożyli przysięgę na wierność Hettonowi i jego organizacji.

Zannah wyobrażała sobie, że wszyscy oni uważają się za bohaterów albo przyszłych męczenników chwalebnej sprawy, czuła jednak do nich wyłącznie pogardę. Mimo żołnierskiego szkolenia byli właściwie dużymi dziećmi. Gromadzili się w małych, mrocznych salkach, żeby szeptem omawiać tajemne plany i przygotowywać śmiechu warte akcje terrorystyczne przeciwko galaktycznemu rządowi, który nawet nie miał pojęcia o ich istnieniu.

Młoda kobieta gardziła nawet Kelem, chociaż musiała przyznać, że coś w nim ją pociąga. Rozkochanie go w sobie nie było konieczne do wykonania zadania, ale Zannah chętnie sprawiła, żeby zwrócił na nią uwagę. Pociągała ją nie tylko jego uroda, ale także kryjąca się w nim pierwotna energia. W Twi'leku buzowała dzika arogancja, a jej aura otaczała dziewczynę, gdziekolwiek byli razem.

Uczennica Bane'a wiedziała, że zarówno Twi'leka pociąga ją głównie dlatego, że jej Mistrz był zawsze taki chłodny. Od dziesięciu lat Bane był jej opiekunem. Wychowywał ją, chronił i szkolił w sposobach postępowania Sithów. Mimo to Zannah nie traktowała go jak ojca. Mistrz Sithów nie był dla niej okrutny ani jej nie wykorzystywał, ale także nie okazywał jej żadnych uczuć. Zero współczucia, zero empatii. Nie widział w niej kobiety, tylko swoją następczynię. Wyłącznie to w niej cenił, nic więcej. Zannah była dla niego jedynie figurą w grze, potrzebną do kontynuowania dziedzictwa

Sithów po śmierci Mistrza.

Zakuty w pancerz z orbalisków Bane nie był już właściwie człowiekiem. Gniew, nienawiść, miłość, pożądanie – wszystkie te uczucia były tylko środkami do podsycania jego potęgi. Tymczasem Zannah potrzebowała kogoś, kto by o nią dbał. Potrzebowała ciepła. Pragnęła prawdziwych emocji. Bardzo za nimi tęskniła.

Znalazła je w Kelu. Twi'lek dał jej coś, czego nie mógł dać Mistrz. Mimo to Zannah nawet do głowy nie przyszło, żeby zdradzić albo porzucić Dartha Bane'a. Widziała jego absolutną władzę nad Mocą i doświadczyła potęgi ukrytej w nim Ciemnej Strony. Darth Bane był Ciemnym Lordem Sithów, a Zannah miała kiedyś zdjąć mu koronę i założyć ją na swoją głowę. Nic – ani kapryśne usposobienie, ani pokusa emocjonalnego spełnienia, ani nawet miłość – nie mogły jej powstrzymać przed upomnieniem się o należne jej przeznaczenie.

Przy takich perspektywach Kel i pozostali rewolucjoniści w pokoju byli tylko nic nieznaczącymi pionkami, wiodącymi nic nieznaczące życie. Liczyli się tylko dlatego, że Bane widział w nich potencjalną korzyść, a jej obowiązkiem było dopilnować, żeby wszystko, cokolwiek się stanie, zmieściło się w wielkim planie jej Mistrza.

Kel wyjawiał jej swoje plany podczas romantycznego obiadu we dwoje. Rewolucjoniści zamierzali porwać kilku niższych stopniem miejscowych urzędników i przetrzymać ich dla okupu. Naprawdę wierzyli, że wywołane tą sensacją zainteresowanie środków masowego przekazu stanie się katalizatorem, który zjednoczy ludy Zewnętrznych Rubieży i skłoni ich do powstania w celu obalenia Senatu.

Byli żałośni w swojej naiwności, więc nic dziwnego, że Zannah postanowiła ich bez skrępowań wykorzystać w swoich planach. Byli niczym narzędzia, którymi można się posłużyć i wyrzucić, kiedy już spełnią swoją rolę... a tą rolą była śmierć. Dzięki nim Zannah będzie mogła wypełnić rozkazy swojego Mistrza.

– Drogie koleżanki, drodzy koledzy! – zaczął Kel, podnosząc głos niczym występujący na wiecu zawodowy mówca. – Zjednoczyliśmy się w imię wspólnej sprawy, czyli w celu całkowitego i ostatecznego unicestwienia Republiki. Ale co zrobiliśmy dotąd dla osiągnięcia tego celu? Mówimy o rewolucji, a mimo to obawiamy się działań. Ten stan jednak wkrótce ulegnie zmianie. Za trzy dni zmusimy Republikę, żeby zaczęła się z nami liczyć!

– Trzy dni? – zdumiała się Cyndra, niebieskoskóra Chissanka. – O czym ty właściwie mówisz?

– Hetton chce, żebyśmy zadali cios podczas Święta Rozejmu – wtrącił Paak. – Zwrócimy na siebie większą uwagę, jeżeli przeprowadzimy akcję w rocznicę proklamacji Ruusańskiej Reformacji.

– Dlaczego mielibyśmy czekać miesiącami, skoro los zsyła nam idealną okazję? – zapytał Kel, powtarzając argument, który podsunęła mu przedtem Zannah. – Nikt się nie przejmie losem zwykłego ambasadora. Musimy znaleźć obiekt, którego porwanie zwróci uwagę całej galaktyki!

– To znaczy kogo? – zainteresował się jeden z młodych mężczyzn.

– Kanclerza Valoruma.

– Kadencja Valoruma na stanowisku Kanclerza skończyła się dwa lata temu – przypomniał oschle stojący obok drzwi Paak.

– Ale od tamtej pory Valorum cały czas służy Senatowi jako dyplomatyczny emisariusz – przypomniał Twi'lek. – To właśnie jego tak zwana Polityka Unifikacyjna przyciągnęła tyle planet z powrotem w zasięg wpływów Republiki. To on odpowiada za wszystko, przeciwko czemu walczymy. To on jest symbolem tego, co pragniemy unicestwić. Jest idealnym celem.

– Jak się do niego dobierzemy? – zagadnęła Cyndra.

– Przyleci tu na tajne spotkanie z przywódcami najpotężniejszych szlacheckich rodów Serenna – odparł Kel. – Przypuszczamy, że będzie ich próbował przekonać do położenia kresu separatystycznym ruchom na naszej planecie... takim jak nasz.

– Jak się o tym dowiedziałeś? – zapytała młoda rewolucjonistka.

Kel wskazał głową na Zannah, a jego głowoogony lekko zadrżały. Dziewczyna podeszła kilka kroków bliżej i zabrała głos.

– Nazywam się Rainah – zaczęła. – Pracuję jako asystentka administracyjna w ambasadzie Republiki.

Pierwszy raz kłamała, żeby zwrócić na siebie uwagę Kelad'dena. Kłamstwo było wiarygodną przykrywką dla informacji, którą zdobyła od jednego z tajemniczych kontaktów Bane'a z podziemnego ruchu oporu Serenna...

„Wszystko jest gotowe, Lordzie Eddels”, wykrakał wtedy Muun, podając jej Mistrzowi komputerowy notes. „Znajdziesz tu wszystko, czego potrzebujesz”.

Zannah jeszcze nigdy nie widziała Muuna, więc podczas tego spotkania czuła się nieswojo. Obca istota była wystarczająco wysoka, by móc spojrzeć Bane'owi w oczy; miała przy tym małą głowę, zupełnie łysą, szczupłe ciało i długie, cienkie członki, jakby sztucznie wyciągnięte. Muun miał bladą,

ziemistą cerę o dziwnym, chorobliwym odcieniu. Na płaskiej twarzy oczy i policzki wyglądały na zapadnięte. Kąciki ust kierowały się zawsze ku dołowi, jakby Muun nieustannie czymś się martwił. Istota właściwie nie miała nosa i nosiła ponure, brązowe ubranie. W blasku bliźniaczych słońc Tatooine Muun musiał się czuć wyjątkowo nieswojo, ale był zbyt dobrym zawodowcem, żeby to okazywać.

Przedtem Bane wyjaśnił jej, że to spotkanie na piaszczystym pustkowiu Morza Wydm stanowi kulminację planu, wdrożonego niespełna rok wcześniej, krótko po tym, kiedy Bane i Zannah pierwszy raz wylądowali na Ambrii. Młoda uczennica Mistrza Sithów wiedziała, że była mimowolnym katalizatorem tego planu. Z tyłu okładki manuskryptu, który odkryła i wręczyła swojemu Mistrzowi w obozie Sithów na Ruusanie, znalazła długą listę tajemniczych liczb: anonimowych kont w placówkach Intergalaktycznego Klanu Bankowego.

Bane powiedział jej, że Lord Qordis kolekcjonował rzadkie i cenne artefakty. Przez wiele lat podejmował ogromne sumy z kont kierowanego przez Kaana Bractwa Ciemności. Ukrył tę fortunę i korzystał z niej po trochu tylko wówczas, kiedy chciał dokonać zakupu kolejnego przedmiotu, który miał zaspokoić jego żądze posiadania. Obecnie, kiedy Bractwo przestało istnieć, Bane był jedyną osobą, która wiedziała o tych kontach i mogła z nich korzystać. Dobra materialne same w sobie nie miały jednak dla Mistrza Sithów żadnego znaczenia; ważne było to, do czego mógł je wykorzystać.

„Informacja jest towarem”, twierdził Bane. „Można ją kupować, sprzedawać i wykorzystywać. Koniec końców, kredyty mają tylko taką wartość, jak tajemnice, które można za nie nabyć”.

W ciągu ostatniego roku Bane zaczął wydawać te kredyty. Przekupywał nimi urzędników administracji, żeby uzyskać dostęp do tajnych zbiorów. Zatrudniał szpiegów rządu i odpowiednio ustosunkowanych przestępców, żeby stawali się jego agentami. Wykorzystując bogactwa, starannie tkął sieć informatorów, którzy byli jego oczami i uszami na setkach najróżniejszych planet.

Z żadną spośród tych osób nie utrzymywał jednak nigdy bezpośredniego kontaktu. Jako ostatni Sith musiał pozostawać anonimowy. Wszystko, co udawało mu się osiągnąć, uzyskiwał dzięki pośrednikom – w rodzaju stojącego obecnie przed nimi Muuna.

„Wykonywałaś dokładnie moje polecenia?” – zapytał go Bane.

„Dokładnie, Lordzie Eddels”, odparła istota. „Wszystkie wypłaty zostaną dokonane z takich kont, których właściciele nie da się nigdy wyśledzić. W

zamian za to będziesz regularnie otrzymywać raporty pełne legalnych i nielegalnych informacji. Jeżeli zechcesz przekazać swoim agentom jakieś polecenia, zostaną one doręczone poprzez specjalne służby, całkowicie anonimowe".

„Czy to znaczy, że nikt nie ma pojęcia o moim udziale w tym przedsięwzięciu?”

„Dobrze pan zna moją reputację”, przypomniał Muun. „Znam wartość dyskrecji. To dlatego zwracają się do mnie ludzie tacy jak pan, Lordzie Eddels”.

„A zatem nasze sprawy tutaj dobiegły końca”, oznajmił Darth Bane.

Muun zerknął przelotnie na Zannah, odwrócił się i począł powoli po piasku w kierunku swojego statku. Młoda kobieta nie spuszczała go z oka, ciekawa, jaką śmiercią Muun zginie. Ewentualność, że jej Mistrz pozwoli mu ujść z życiem po tym spotkaniu, jakoś nigdy nie przyszła jej do głowy. Tylko ona знаła prawdziwą tożsamość osobnika, odpowiedzialnego za stworzenie obejmującej całą galaktykę sieci szpiegów i informatorów. Tylko ona widziała twarz Bane'a.

Muun dotarł jednak do swojego statku bez przeszkód i wspiął się na pokład. Zannah obserwowała, jak silniki statku budzą się do życia, a sam wahadłowiec zaczyna wznosić się w niebo. Kiedy zniknął za horyzontem, odwróciła się do swojego Mistrza z pełną niedowierzania miną.

„Puściłeś go żywego?”, zapytała.

„Nadal przedstawia dla nas wartość”, odparł Bane.

„Przecież cię widział! Wie, kim jesteś!”

„Wie tylko tyle, ile musi”, odparł spokojnie Mistrz Sithów. „Widział twarz mężczyzny posługującego się pseudonimem „Lord Eddels”, który go wynajął do zorganizowania sieci anonimowych informatorów. Nie ma pojęcia, kim naprawdę jestem ani co jest moim prawdziwym celem. Nie wie także, gdzie i jak mnie odnaleźć, dopóki sam nie skontaktuję się z nim i nie podam miejsca następnego spotkania”.

Zannah przypomniała sobie historię, którą jej Mistrz kiedyś opowiedział. Chodziło o ambriańskiego uzdrowiciela o imieniu Caleb. Bane, który był wówczas bliski śmierci, natknął się na uzdrowiciela i kazał mu sobie pomóc. Caleb jednak odmówił, wyczuwając w Mistrzu Sithów potęgę Ciemnej Strony. W końcu Bane zmusił go do posłuszeństwa, grożąc, że zabije jego córkę. Kiedy Ciemny Lord odzyskał zdrowie, nie zrobił nic złego człowiekowi, który ośmielił mu się sprzeciwić. Uzdrowiciel miał wielką siłę, a Mistrz Sithów wiedział, że darowanie życia Calebowi opłaci się bardziej

niż ryzykowne zaspokajanie trywialnej przyjemności odebrania uzdrowicielowi tego życia.

„Jego śmierć nie służyłaby żadnemu celowi”, mruknęła Zannah, z namysłem przygryzając wargę...

– Rainah dostarczy nam dokładne czasy i miejsca spotkań w harmonogramie Kanclerza Valoruma – wyjaśnił Kel pozostałym członkom niewielkiej grupy. – Kiedy wyląduje jego wahadłowiec, będziemy na niego czekać.

– Będzie mieć strażników – ostrzegł Paak.

– Tylko osobistych ochroniarzy – oznajmiła Zannah. – Gdyby podróżował w większej grupie, mógłby niepotrzebnie ściągnąć na siebie uwagę.

– Chce utrzymać swój przyłot w tajemnicy – dodał Kel. – Senat odmawia oficjalnego przyznania, że ruchy separatystyczne w ogóle istnieją, więc jego wyprawa zostanie uznana za wizytę prywatną.

– Trzy dni to za mało czasu – sprzeciwiła się Cyndra. – Musimy mieć więcej na przygotowania.

– Potrzebujemy tylko tego, co już mamy – odparł Kel. – A mamy broń i wiemy, jak się nią posłużyć. Wiemy także, gdzie i kiedy Kanclerz wylądaje. Czego więcej nam potrzeba?

– Rozkazu Hettona – mruknął Paak.

Rozgniewany Kel odwrócił się do niego gwałtownie.

– Czy naprawdę potrzebujemy zezwolenia Hettona? – zapytał. – Czyżbyśmy byli dziećmi? A może nie jesteśmy zdolni do działania o własnych siłach?

– Jest naszym przywódcą – mruknął ponuro Paak. – To on nam mówi, co mamy robić.

– Podobnie jak Senat Republiki – wtrąciła Zannah. – Czy to nie taka sama sytuacja, przeciwko której walczyacie? Okazywanie posłuszeństwa Mistrzowi... jakimkolwiek Mistrzowi... to przypomina niewolnictwo.

Wypowiedziała te słowa tonem absolutnego przekonania, chociaż sama w nie nie wierzyła. Równocześnie posłużyła się Mocą i musnęła nią umysł każdej osoby w niewielkim pokoju. Mogła też użyć Ciemnej Strony, żeby nagiąć ich wolę, ale na nic by się to nie przydało. Skutki umysłowej dominacji zanikały po upływie kilku godzin, więc w chwili przylotu Kanclerza Valoruma jakikolwiek bezpośredni wpływ na umysły Kela i jego towarzyszy zupełnie by zniknął.

Zannah wolała subtelniejszy i bardziej podstępny sposób. Zamiast brutalnie nagiąć Mocą ich wolę, łagodnie muskała ich zbiorową psychikę,

chcąc sprawić, żeby stali się bardziej podatni na emocje, bardziej agresywni. Proces sam w sobie był mało użyteczny, ale w połączeniu z ustną perswazją słowami mógł mocniej podgrzać im krew. Skutki powinny być silniejsze – i trwalsze – niż brutalna siła panowania nad umysłami.

Nie mogła jednak przekonywać ich sama. Była tu obca, a oni jej nie ufali. Naturalnym odruchem byłoby odrzucenie jej argumentów. W sztucznie wywołanym stanie hiperagresywności mogliby łatwo obrócić się przeciwko niej. Musiał ich przekonać ktoś, kogo dobrze znali.

Ktoś taki jak Kel.

– Twierdzicie, że pragniecie niepodległości – przemówił przystojny Twi'lek. – Utrzymujecie, że będziecie walczyć o swoją wolność. Tymczasem, kiedy proponuję wam taką okazję, chcecie wycofać się chyłkiem jak wyrzucone ze stada kathańskie krwiopisy.

– Powinniśmy poczekać na Święto Rozejmu – nie dawała za wygraną Cyndra. – Musimy się trzymać pierwotnego planu.

– Plan jest niczym, dopóki się go nie zrealizuje – odparł Kel. – Mówimy o tym, co zrobimy w przyszłości, a kiedy nadejdzie dzień Święta Rozejmu, łatwo nam będzie znaleźć kolejną wymówkę, żeby jeszcze trochę poczekać. Potajemne spotkania nie zmieniają oblicza galaktyki. Same plany nie sprawią, że Senat zadrży i każe Republice upaść na kolana. Musimy przystąpić do działania, a okazja do takiego działania właśnie się nadarza!

Zannah rozpoznała w przemówieniu Kela swoje własne słowa. Sączyła mu je do głowy przez całe tygodnie intymnych rozmów. Zasiała pomysły, a teraz obserwowała, jak wydają owoce. Twi'lek mówił z takim żarem, jakby naprawdę wierzył, że to jego własne słowa.

Bane powinien być zadowolony. Właśnie na tym polegała prawdziwa potęga: wykorzystywać innych do własnych celów, a zarazem kazać im wierzyć, że to oni sprawują kontrolę. Kel był marionetką Zannah, ale pycha zaślepiła go do tego stopnia, że nie zauważał linek, za które pociągała, aby tańczył, jak ona zechce.

– Stoimy w obliczu wiekopomnego wydarzenia – ciągnął Twi'lek. – Za trzy dni zadamy potężny cios tyranom Republiki. Będzie to nasz pierwszy krok w długim, chwalebny marszu ku niepodległości i prawdziwej wolności!

Zgromadzeni wydali spontaniczny okrzyk zgody, a Zannah uświadomiła sobie, że Kel ich przekonał. Lekki sprzeciw okazywali tylko Paak i Cyndra, ale kiedy pozostali członkowie grupy zaczęli opracowywać szczegóły planu, nawet tych dwoje przestało się wahać.

Spotkanie przeciągnęło się do późna w noc, a kiedy dobiegło końca, Zannah i Kel przeszli do niewielkiego apartamentu, który młoda kobieta wynajęła dla poparcia swojej historii.

– Byłeś dzisiaj wspaniały, Kelu – tchnęła mu do ucha.

– Nie będę mógł już się z tobą widywać, dopóki to wszystko się nie zakończy – ostrzegł Twi'lek. – Oni wszyscy mi ufają. Nie mogę odtąd pozwolić, żeby cokolwiek innego odwracało moją uwagę.

Zannah wzięła go za rękę, przyciągnęła do siebie i mocno objęła.

Kel opuścił ją następnego ranka. Zannah pocałowała go na pożegnanie i znów zasnęła. Po mniej więcej godzinie wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Zadanie zostało wykonane. Dobrze wiedziała, że już nigdy nie zobaczy Kela żywego. Nadszedł czas powrotu na Ambrię.

Obóz był zrujnowany. Namioty się zawaliły, podarte i połamane. Drewniane skrzynie z zaopatrzeniem ktoś porozbijał na kawałki, a ich rozrzucona przez wiatr zawartość zaśmiecała okolicę. Po obozie wały się stukilogramowe ogniwa energetyczne, niektóre odrzucone nawet o pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym kiedyś spoczywały.

Wszędzie wokół leżały śmieci i dymiły czarne plamy, w których Zannah rozpoznała skutki działania nienaturalnych błyskawic. Powietrze aż trzeszczało od energii Ciemnej Strony, powodując u Zannah dreszcz lęku i oczekiwania.

Nietrudno było się domyślić, co się stało. Bane poniósł klęskę podczas kolejnej próby skonstruowania holocronu, a potem, ogarnięty ślełą furją, zaczął smagać wszystko wokół potęgą błyskawic Mocy.

Czy gdyby Zannah tu była, kiedy to się rozpadło, dałaby radę powstrzymać Mistrza? Czy w ogóle by przeżyła? W końcu dostrzegła Bane'a. Jej Mistrz siedział w odległym krańcu obozu, zwrócony tyłem do niej; wpatrzony w horyzont, medytował nad swoją porażką. Kiedy do niego podeszła, odwrócił się i wstał, górując nad nią swoim dwumetrowym ciałem. Ubranie miał podarte i częściowo spalone; było widać, ile miejsca na jego ciele zajmują orbaliski. Roily się na nim setki tych stworzeń, pokrywając całą skórę z wyjątkiem twarzy i dłoni. Lord Sithów wyglądał jak zakuty w pancerz z okrągłych, twardych skorup pozornie martwych pasożytów. Zannah jednak wiedziała, że pod skorupami orbaliski wciąż są żywe i karmią się jego ciałem.

Bane twierdził, że pasożyty zwiększają jego potęgę, że zapewniają mu nadprzyrodzoną siłę i dają moc uzdrawiania. Widząc jednak skutki kolejnej porażki z holocronem, Zannah zastanawiała się, jaki koszt musi płacić Lord

Sithów za te umiejętności. Po co mu była większa potęga, skoro nie potrafił nad nią zapanować?

Ku swojej uldze stwierdziła, że wściekłość Mistrza minęła. Wiedziała jednak, że lepiej go o to nie pytać. Poinformowała go za to o powodzeniu swojej wyprawy.

– Wszystko już przesądzone – oznajmiła. – Kiedy wyląduje wahadłowiec Kanclerza Valoruma, będą na niego czekać Kel i jego zwolennicy.

– Spisałaś się na medal – pochwalił Bane.

Jak zawsze, jego uczennica poczuła dumę i zadowolenie z dobrze wykonanego zadania i z pochwały swojego Mistrza. Jej satysfakcję umniejszało trochę wspomnienie Kela i świadomość, że na zawsze go straciła.

– Czy istnieje jakakolwiek szansa, że ich starania zakończą się powodzeniem? – zapytała.

– Nie – odparł po chwili zastanowienia Bane.

– A więc jaki jest cel tej akcji? – zainteresowała się jego sfrustrowana uczennica. – Nie rozumiem, dlaczego wysłałeś mnie do wykonania takiego zadania. Po co tracić cenny czas i wysiłek, skoro i tak wiemy, że poniosą klęskę?

– Nie muszą odnieść sukcesu, żeby przedstawiać dla nas wartość – odparł Mistrz Sithów. – Separatyści służą tylko jako zasłona dymna. Zwracają na siebie uwagę Senatu i mydlą oczy członkom Rady Jedi.

– Mydlą oczy? – zdziwiła się Zannah.

– Jedi poddali się woli Senatu – wyjaśnił Bane. – Pozwolili się wepchnąć w grzęzawisko biurokracji i polityki. Republika pragnie zjednoczonego rządu, który by utrzymywał pokój w galaktyce, a Jedi stali się tylko jej narzędziami. Za każdym razem, kiedy radykałowie zadają cios Republice, Senat wzywa Radę Jedi, żeby przystąpiła do działania. Rada marnuje energię na tłumienie powstań i rebelii, co odwraca ich uwagę od nas.

– Ale dlaczego Separatyści muszą zawsze ponosić klęskę? – nie dawała za wygraną Zannah. – Moglibyśmy im raz pozwolić osiągnąć sukces.

– Jeżeli odniosą sukces, zyskają zwolenników – wyjaśnił Bane. – Ich potęga i wpływy znacznie wzrosną. Trudniej będzie nam wówczas nimi manipulować i zapanować nad całą strukturą. Mogliby stać się nawet wystarczająco potężni, żeby obalić Republikę.

– Czy to nie byłoby z korzyścią dla nas? – zapytała Zannah.

– Republika utrzymuje Jedi w ryzach – przypomniał Darth Bane. – Utrzymuje porządek na tysiącach planet. Jeżeli Republika upadnie, w jej

miejsce powstanie dwadzieścia nowych międzygwiazdnych rządów i galaktycznych organizacji. O wiele łatwiej kontrolować jednego wroga niż dwudziestu. To dlatego wyszukujemy radykalne grupy Separatystów i wyodrębniamy te, które mogą stać się prawdziwym zagrożeniem, a potem zachęcamy, żeby zadały cios, zanim są do tego gotowe – ciągnął Bane. – Musimy ich wykorzystywać w rozgrywce przeciwko Republice. Pozwalamy naszym wrogom osłabiać się nawzajem, a w tym czasie, pozostając w ukryciu, rośniemy w siłę. Pewnego dnia Republika upadnie, a Jedi zostaną unicestwieni – zapewnił Mistrz Sithów. – Nie powinno jednak do tego dojść, zanim będziemy gotowi sami sięgnąć po władzę.

Zannah pokiwała głową, chociaż przeżywała sprzeczne uczucia. Trudno było jej zrozumieć skomplikowane machinacje polityczne jej Mistrza. Przypomniła sobie wszystkie swoje poprzednie zadania, dociekając, jaką rolę odgrywało każde z nich w jego planach.

– Nigdy dotąd nie wątpiłaś w sens swoich obowiązków – stwierdził Bane. W jego głosie nie było gniewu, tylko ciekawość.

Zannah postanowiła nic mu nie mówić o sobie i o Kelu. Spełniła wprawdzie wszystko, czego Bane od niej żądał, ale wiedziała, że Mistrz uzna jej uczucia do Twi'leka za oznakę słabości.

– Nawet gdybym rozumiała cel moich wypraw, nigdy bym nie miała powodu wątpić w twoją mądrość, Mistrzu – odparła, obracając jego uwagę na swoją korzyść.

– Więc dlaczego wątpisz we mnie teraz?

Zannah rozejrzała się wokół z pozorną obojętnością.

– Nigdy dotąd nie widziałam, jak tracisz panowanie nad swoją potęgą – powiedziała, wykorzystując fakt zniszczenia obozu. – Obawiam się, że to orbaliski zaciemniają twój osąd. Myślę, że to one w końcu doprowadziły cię do szału.

Bane nie odpowiedział od razu, a wreszcie skwitował krótko:

– Panuję nad nimi, nie one nade mną.

– Naturalnie, Mistrzu – pokajała się uczennica. Po reakcji Bane'a poznała jednak, że udało się jej zasiać w jego umyśle ziarno wątpliwości. Próby manipulowania Mistrzem były niebezpieczną grą, ale musiała podjąć to ryzyko. Gdyby orbaliski doprowadziły go kolejny raz do szału, Bane mógłby ją zabić. Dbając o własne bezpieczeństwo, musi przekonać Mistrza, żeby znalazł sposób pozbycia się pasożytów.

– Posprzątaj obóz – rozkazał Bane. – A potem wracaj na Serenno. Musimy zdobyć więcej zapasów.

Zannah skinęła głową na znak, że rozumie polecenie i zaczęła uprzątać obóz, Bane zaś powrócił do medytacji. Doprowadzając powoli otoczenie do porządku, Zannah zrozumiała, że zasiane w jego umyśle wątpliwości mogą przynieść jeszcze korzyść.

Któregoś dnia miała mu rzucić wyzwanie do walki o tytuł Mistrza Sithów, ale Bane był ogromnie silny – i to zarówno pod względem fizycznym, jak i Mocą. Zakuty w żywy pancerz, który wzmacniał jego potęgę i chronił przed wszelkimi ciosami, był niemal niezwyciężony.

Zannah zrozumiała, że pozbawienie Bane'a pancerza z orbalisków może być jej jedyną szansą na pokonanie go i osiągnięcie swojego przeznaczenia.

ROZDZIAŁ 12

Johun poprawił się na fotelu, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję i zastanawiając się, jakim cudem za młodu bez kłopotu znosił trudy międzygwiazdnej podróży. Nie był już kilkunastoletnim młodzieńcem, tylko dojrzałym człowiekiem. Urósł od tego czasu – miał dziś sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu – a jego niegdyś szczupła sylwetka była teraz harmonijnie umięśniona. Tylko jasne włosy, takie jak dawniej, opadały mu do ramion, ostro kontrastując ze zmierzwioną czarną brodą.

Zmienił pozycję jeszcze raz i obrzucił niechętnym spojrzeniem Tarsusa Valoruma, siedzącego wygodnie na fotelu naprzeciwko. Kanclerz miał już ponad sześćdziesiąt lat, chociaż – jeżeli nie liczyć lekko siwiejących włosów na skroniach – wyglądał niemal tak samo jak wówczas, kiedy Johun pierwszy raz się z nim spotkał. Tarsus odwzajemnił pełne wyrzutu spojrzenie młodego Jedi, uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Jedyna forma przeprosin, na jaką Johun mógł liczyć za to, że musi znosić trudy długiej międzygwiazdnej podróży na pokładzie wysłużonego statku.

„Nowy Świt” był wahadłowcem klasy Emissary – sprawnym, ale bynajmniej nie luksusowym. A przecież Tarsus Valorum, były Najwyższy Kanclerz Galaktycznej Republiki, mógł zażądać nowocześniejszego statku do osobistego użytku: jednego z nowych wahadłowców firmy Cygnus klasy Theta czy nawet krążownika gwiazdowego Consular, tak popularnego wśród dyplomatów. Zważywszy na poprzednią pozycję, było niemal pewne, że Senat zapewniłby środki na zakup takiego statku. Valorum jednak uważał, że obecnie, kiedy przestał pełnić swoją funkcję, mały „Nowy Świt” z dwuosobową załogą – chociaż na pokładzie znalazłoby się dość miejsca dla sześciu osób – i jednostką napędu nadświatelnego klasy szóstej, doskonale odpowiada jego potrzebom.

Ten dowód skromności i praktycyzmu wiele mówił o samym Valorumie. W ciągu wielu lat służby Johun miał okazję obserwować zachowania Kanclerza w miejscach prywatnych i publicznych. Im lepiej go poznawał, tym większym darzył go szacunkiem. To prawda, Valorum bywał uparty, a nawet zawzięty. Sam to zresztą udowodnił, odmawiając przyjęcia propozycji

Senatu, że zapewni mu straż honorową podczas dyplomatycznych wypraw. Stwierdził: „Emerytowany polityk nie stanowi zagrożenia dla nikogo, a ja na pewno nie jestem wystarczająco ważną osobą, żeby z mojego powodu ktokolwiek miał narażać się na niebezpieczeństwo”.

Johun podróżował z nim cały czas, ale to był jego wybór, nie Valoruma. Młody Jedi wiedział, ile wciąż jeszcze znaczy były Kanclerz dla Republiki, i miał świadomość, że wielu wrogów zrobiłoby mu krzywdę, gdyby tylko mieli okazję. Kilkakrotnie usiłował nakłonić Tarsusa, żeby zabierał w podróż jeszcze paru strażników, ale bez skutku. Zatem dopóki jego uparty zwierzchnik nie zgodzi się latać w towarzystwie choćby małej grupki osobistych ochroniarzy, Johun postanowił mu towarzyszyć w każdej wyprawie.

– Mam nadzieję, że dolecimy względnie szybko – mruknął młody Jedi, dając upust frustracji.

– Dla zabicia czasu zawsze możesz wprowadzić się w jeden ze swoich medytacyjnych transów – odparł żartobliwie Kanclerz. – I tak zresztą nie jesteś dobry w uprzejmej konwersacji.

Tarsus pozwalał, żeby Johun mu towarzyszył, tylko dlatego, że łączyła ich przyjaźń, a nawet zażyłość. Młody Jedi był członkiem straży Kanclerza dłużej niż połowę jego pierwszej czteroletniej kadencji i całą drugą.. Obecnie służył oficjalnie jako „doradca Jedi”, chociaż nigdy by się nie ośmielił „doradzać” Kanclerzowi w żadnej sprawie.

Tarsus Valorum zasłynął w galaktyce jako człowiek, który ocalił Republikę. Doprowadzając do tego, że Ruusańska Reformacja została przyjęta przez Senat, zapoczątkował nową erę pokoju i dobrobytu. Johun cenił go jednak najbardziej nie za dokonania, ale za sposób, w jaki to osiągnął.

Służąc u boku Kanclerza, młody Jedi zrozumiał prawdziwą potęgę słów i myśli. Tarsus Valorum był człowiekiem o niewzruszonych przekonaniach, rzadko spotykanym politykiem, który naprawdę wierzył w to, co mówi. Zdecydowany stworzyć Złotą Erę dla obywateli galaktyki, dążył z niesłabnącym zapałem do realizacji swojego marzenia o odrodzonej i na nowo zjednoczonej Republice. Setki planet, które od niej odpadły w ciągu ostatnich kilku wieków wojen i galaktycznego zamętu, podczas jego rządów znów powróciły. A kiedy jego kadencja dobiegła końca i nadszedł czas przekazania władzy w ręce następczyni, Valorum dopilnował, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik, by następny Kanclerz mógł kontynuować jego dzieło.

Najbardziej zdumiewające było jednak to, że ponowne zjednoczenie osiągnięto niemal bez przelewu krwi i bez przemocy. Polegając na dyplomacji i traktatach, Valorum osiągnął to, czego nigdy nie udałoby się spowodować działaniami militarnymi. „Jeżeli pragniesz zdobyć planetę, musisz najpierw podbić serca i umysły jej obywateli”, wyjaśnił kiedyś Kanclerz wkrótce po tym, jak Johun został przydzielony do jego świty. Dziś, po dziesięciu latach obserwowania osiągnięć Valoruma, młody Jedi dobrze wiedział, że nikt nigdy nie wypowiedział prawdziwszych słów.

– Łądujemy za pięć minut – oznajmił pilot przez pokładowy interkom. – Proszę się przygotować do lądowania.

Johun westchnął z ulgą, a Kanclerz cicho zachichotał. Obaj doskonale znali rutynę tych podróży. Tarsus był wprawdzie na emeryturze, ale nie zgadzał się rozstać z polityką. Cały czas pozostawał energicznym zwolennikiem Republiki. Przez dwa lata od końca drugiej kadencji Johun towarzyszył mu w ponad pięćdziesięciu wyprawach dyplomatycznych, podobnych do tej, w której obecnie uczestniczył.

Planeta Serenno dużo znaczyła dla Republiki. Rządzące nią szlacheckie rody zaliczały się do najbogatszych w całej galaktyce. Nie tylko łożyły ogromne sumy na wsparcie organizacji dobroczynnych i politycznych, ale także miały dość kapitału, żeby pomagać w finansowaniu wielkich rządowych projektów infrastrukturalnych.

Oprócz tego jednak ich nieprzebrane bogactwa umożliwiały im finansowanie grup opozycyjnych względem Republiki. Rody mogły to robić, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Komórki Separatystów często szukały zamożnych sponsorów w Caranii, w Saffii i w Fiyarro, trzech największych miastach planety.

Valorum miał teraz zamiar spotkać się z przywódcami sześciu najpotężniejszych rodów Serenna. Chciał ich namówić, aby wykorzystali swoje wpływy i nakłonili inne rody do zaprzestania finansowania przeciwników Republiki. Zadanie było trudne, bo szlachetne rody planety Serenno rzadko spełniały prośby obcych osób.

Dla ułatwienia negocjacji wizytę zorganizowano nieoficjalnymi kanałami. Valorum wyjaśnił kiedyś Johunowi, że wielu władców i polityków zachowuje się zupełnie inaczej przed obiektywami holokamer. Udają wtedy, że zrobią wszystko, aby spełniać oczekiwania obywateli. Tarsus potępiał takie praktyki. Na forum publicznym biurokraci często obiecywali poparcie sprawy, w którą sami nie wierzyli, i ochoczo zmieniali zdanie, kiedy opinia publiczna traciła zainteresowanie problemem.

Zdarza się też, że politycy publicznie potępiając pomysł, który po cichu popierają, tylko dlatego, że nie chcą sprawiać wrażenia słabeuszy bez charakteru. Właśnie coś takiego miało miejsce na planecie Serenno. Powszechnie było wiadomo, że wkrótce wyląduje przedstawiciel Republiki, który będzie się starał nakłonić władców do działania. Przywódcy szlacheckich rodów mogli mu się przeciwstawić po prostu dla zasady.

„Nie wierz w żadną obietnicę, złożoną przed obiektywem kamery HoloNetu – ostrzegał często Kanclerz – jeżeli naprawdę chcesz coś załatwić, musisz się spotkać z konkretną osobą za zamkniętymi drzwiami i porozmawiać z nią w cztery oczy”.

– Podchodzimy do lądowania – oznajmił pilot, a Johun poczuł, że ich wahadłowiec skręca lekko na bakburkę.

Mieli się udać do prywatnego kosmoportu hrabiego Nalju, przywódcy jednego z sześciu Wielkich Rodów Serenna i niezłomnego sojusznika Republiki. Po wylądowaniu w zacisznym miejscu na terenie rodowej posiadłości Nalju będą się udawać lądowym śmigaczem na zawczasu umówione kolejne spotkania z przedstawicielami każdego z Wielkich Rodów, żeby Valorum mógł im przedstawić swoje argumenty.

Kiedy statek wylądował, poczuli lekki wstrząs i usłyszeli głośny syk opadającej rampy. Marząc o tym, żeby wreszcie rozprostować nogi, Johun zerwał się z fotela.

– Już wsiadamy, Wasza Ekscelencjo? – zapytał, używając honorowego tytułu, do którego Kanclerz miał prawo nawet na emeryturze.

Valorum wstał ze swojego fotela i jeszcze raz sprawdził, jak wygląda. Johun był ubrany w tradycyjny brązowopłowy płaszcz Rycerzy swojego Zakonu, ale Tarsus nosił wykwintny strój zgodny z modą królewskiego rodu Serenna. Jego ubranie składało się z ręcznie szytych granatowych spodni i luźnej białej koszuli. Na ramionach miał jedwabną pelerynę z wysokim kołnierzem, a mankiety koszuli wyhaftowano we wzór nakładających się na siebie białych kół na niebieskim tle, które były emblematem rodu Nalju.

Całe ubranie Kanclerza uszyto z najpiękniejszych i najdroższych materiałów. Johun wzdrygnął się na samą myśl, ile kosztowało. Strój miał podkreślać niezłomne poparcie rodu Nalju dla sprawy byłego Kanclerza. Bez takiego poparcia – słownego i finansowego – potężnego i starego rodu szlachta Serenny mogłaby potraktować Valoruma jak intruza.

Johun wiedział, że Tarsus mógł poprosić Senat o zwrot kosztów tego ubrania, ale Valorum wołał sam za wszystko zapłacić.

Zeszli z pokładu na niewielkie lądowisko na skalnym płaskowyżu, który

wystawał z otaczającego go oceanu. Pięćdziesiąt metrów dalej widać było wysoki klif brzegu, na tej samej wysokości co lądowisko, połączone z brzegiem dwumetrowej szerokości durastalowym pomostem. W połowie jego długości zbudowano szerszą, kwadratową platformę o boku pięciu metrów, wspartą na szkielecie krzyżujących się, wzmocnionych wsporników.

Na obrzeżach lądowiska i na brzegach pomostu nie było żadnych poręczy. Johun wiedział, że ich brak – podobnie jak wiele innych detali serenniańskiej cywilizacji – ma swoje znaczenie. Od dawien dawna serenniańska szlachta szczyła się niezależnością, a zatem barierki wokół lądowiska czy po bokach pomostu byłyby oznaką słabości, przyznaniem się do kruchości i śmiertelności. Podkopałyby to dumę i pozycję rodu Nalju. Jedi wyobraził sobie upadek z wysokości pięćdziesięciu metrów do lodowatej wody i zaczął się obawiać o bezpieczeństwo Kanclerza.

Podczas całej wizyty zamierzali unikać fanfar i zwracania na siebie uwagi, więc Johun nie był zdziwiony, że na ich spotkanie wyszła tylko garstka osób. Domyślił się, że to służba z rezydencji hrabiego Nalju, bo wszyscy nosili ubrania ozdobione haftami, podobnymi do wykonanej na specjalne zamówienie peleryny Valoruma.

Na skraju platformy, u wylotu pomostu, czekały na nich cztery osoby. Z trudem utrzymywały równowagę przy silnej oceanicznej bryzie, która szarpała ich ubrania, aż peleryny łopotały za plecami. Troje z nich było istotami ludzkimi: dwóch mężczyzn i kobieta. Czwartą osobą był Twi'lek o jaskrawoczerwonej skórze. Johun zastanowił się, czy zatrudnianie Lethan pośród domowej służby w rezydencjach miejscowej szlachty nie jest czymś w rodzaju podkreślenia statusu społecznego.

Na końcu pomostu, na wierzchołku klifu, czekali jeszcze dwaj inni słudzy. Stali obok lądowego śmigacza, którym wszyscy mieli polecieć na umówione spotkania. Znajdowali się zbyt daleko, żeby młody Jedi mógł określić ich rasę i płeć.

Kiedy jednostki napędowe „Nowego Świtu” umilkły, usłyszeli rytmiczny łoskot fal, rozbijających się nieugięcie o podnóże klifu.

– Nie wybrałbym tego miejsca na lądowanie – mruknął Johun, podnosząc głos, żeby Tarsus mógł go usłyszeć.

– No cóż, przyznaję... sam poprosiłem Nalju, aby pozwolił nam wylądować w odludnym miejscu – odkrzyknął Valorum ze śmiechem. – Widzę, że wychodząc nam na spotkanie, pokonali tylko połowę drogi – dodał, wskazując głową cztery osoby na skraju platformy lądowniczej.

– A pan poszedłby dalej, gdyby pan nie musiał? – zapytał młody Jedi.

– Prawdopodobnie nie – przyznał Kanclerz, schylił się pod naporem wiatru i ruszył w kierunku końca pomostu. Po chwili Johun podążył za nim, chociaż nagle poczuł dziwny niepokój.

– Proszę uważać! – zawołał w ślad za Valorumem. – Jeżeli pan spadnie z pomostu, nie mogę obiecać, że pana złapię!

Starszy mężczyzna albo go nie usłyszał, albo był zbyt skoncentrowany na bezpiecznym pokonywaniu drogi, żeby odpowiedzieć.

Kiedy znajdowali się zaledwie kilka metrów od krawędzi platformy, Johuna tknęło przecucie. Silne zakłócenie w Mocy uprzedziło go, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. Do tej pory skupiał całą uwagę na Valorumie, który właśnie dochodził do końca pomostu; teraz otworzył świadomość, pozwalając, żeby Moc przepłynęła przez niego i narysowała idealnie ostry obraz otoczenia.

Cztery osoby na końcu pomostu trzymały blastery i wibromiecze. Uzbrojone były także dwie osoby obok lądowego śmigacza – niski, silnie zbudowany mężczyzna z zielonofioletowym tatuażem na ramionach i szyi oraz niebieskoskóra Chissanka. Najbardziej niepokojące było jednak to, że Chissanka wyraźnie ukrywała coś w dłoni.

Nawet bez odwracania głowy uwrażliwiona świadomość Johuna pozwoliła mu zobaczyć „Nowy Świt”, stojący za jego plecami na platformie lądowniczej. Wokół obwodu kamiennej kolumny, tuż pod płytą, odkrył starannie rozmieszczone ładunki wybuchowe. Od razu się domyślił, że to, co Chissanka w oddali ukrywa w dłoni to zdalny detonator.

Johun w mgnieniu oka objął każdy szczegół sceny. Mimo to nawet on nie był dość szybki, żeby ocalić „Nowy Świt” i jego załogę. Chissanka pstryknęła przełącznikiem detonatora i ukryte pod płytą lądowiska ładunki nagle eksplodowały. Siła wybuchu rozdarła poszycie nieopancerzonego kadłuba, w którym powstały wielkie, dymiące dziury. Odłamki metalu pocięły na strzępy pilota i nawigatora, którzy zginęli od razu.

Górna połowa podtrzymującej lądowisko kamiennej kolumny opadła, a wrak „Nowego Świtu” ześlizgnął się z płyty i runął w przepaść. Odbił się od dolnej części kolumny i z ogłuszającym trzaskiem wpadł do wody. W górę strzeliła fontanna wodnego pyłu, a statek błyskawicznie pogrzyżył się w spienionej toni.

Lądowisko rozpadło się na części, a durastalowy pomost zakołysał się i wygiął. Stojący na skraju lądowiska Valorum runął w przepaść. Posługując się Mocą, Johun skoczył w ślad za nim i wylądował na brzuchu na skraju płyty. Wyciągnął rękę i złapał Kanclerza za kołnierz peleryny, nie dając mu

zginąć. Starszy mężczyzna balansował w powietrzu, dopóki Johun nie wyciągnął go bezpiecznie na brzeg pomostu.

Jedi wysunął zieloną klingę świetlnego miecza w samą porę, żeby odbić na bok blasterowy strzał, który posłała ku niemu kobieta u wylotu pomostu. Od razu zerwał się na nogi i stanął twarzą do całej grupy. Napastnicy zawahali się na widok słynnej broni; zaczęli się naradzać nad szansami zwycięstwa w walce przeciwko Jedi.

Dało to Johunowi czas na ocenę sytuacji. Zmuszenie zamachowców do odwrotu było niemożliwe, bo stali na krawędzi platformy, a oderwany od niej fragment durastalowego pomostu sterczał ukośnie, przeciwległym końcem celując w niebo. Jedyna droga ucieczki wiodła w stronę klifu... nawet jeżeli to oznaczało konieczność przedarcia się przez grupę nieprzyjaciół.

– Proszę się nie ruszać! – ostrzegł młody Jedi Valoruma. Skoczył naprzód i wylądował na platformie przed czwórką napastników. W tej samej chwili kobieta i obaj mężczyźni wyciągnęli wibromiecze i rzucili się do ataku, tylko Twi'lek się zawahał.

Broń tych trojga wykonano z cortosis, dzięki czemu klinga świetlnego miecza Johuna nie mogła ich przeciąć. Już po pierwszym ataku Johun zorientował się, że ma do czynienia z dobrze wyszkolonymi szermierzami. Odbił na bok błyskawiczny sztych pierwszego mężczyzny, który o mało go nie wypatroszył, po czym odwrócił się i zablokował zamaszysty cios kobiety, wymierzony w szyję. Kopnął terrorystkę w bok z taką siłą, że kobieta aż się zachwiała, a młody Jedi klingą świetlnego miecza odepchnął wymierzone w jego odsłonięty bok dzikie pchnięcie drugiego mężczyzny.

Wyszkolenie Johuna w walce świetlnym mieczem ograniczało się do ciosów i obrony Formy VI, Nimana, najbardziej zrównoważonej spośród wszystkich form walki świetlnym mieczem. Potocznie znany jako Forma Dyplomatów, Niman nie miał ściśle wyznaczonych słabych czy mocnych punktów. Jego wszechstronność na ogół dobrze służyła młodemu Jedi podczas niemożliwych do przewidzenia potyczek na polach bitew Ruusana. W ciągu następnych dziesięciu lat Johun niespecjalnie się jednak przykładał do szlifowania umiejętności fechtunku. Wolał rozwijać swoje talenty dyplomatyczne. Ale i tak, jako Jedi, był bardzo groźnym przeciwnikiem dla każdego, kto chciałby mu stawić czoło.

Chociaż przeciwnicy przewyższali go liczebnie, to atakowali pojedynczo, niezdolni do skoordynowania swoich działań. Kobieta odzyskała równowagę i rzuciła się na niego, ale Johun uskoczył w bok i popchnął ją na pierwszego

mężczyznę. Przeciwniczka z impetem wpadła na swojego towarzysza i oboje potoczyli się beładnie po płycie platformy.

Widząc, że są chwilowo unieszkodliwieni, Johun skupił całą uwagę na drugim mężczyźnie. Atakując całą trójką, zepchnęliby młodego Jedi do defensywy, jednak w walce z samotnym przeciwnikiem to Johun dyktował warunki. Rzucił się do ataku, dobrze wiedząc, że walczy o życie nie tylko swoje, ale także Kanclerza. Klinga młodego Jedi tańczyła i skwierczała, poruszając się zbyt szybko, żeby ludzkie oko mogło nadążyć za jej ruchami.

Mężczyzna musiał się cofnąć, gorączkowo broniąc się przed ciosami, aż znalazł się na samej krawędzi platformy. Rozpaczliwie rzucił się do ataku i nieporadnie wymierzył cios w pierś Johuna, ale Jedi po prostu odtrącił jego klingę na bok i pojedynczym ciosem w pierś zakończył życie skrytobójcy.

Przez ten czas tamtych dwoje zdążyło wstać. Kobieta znów rzuciła się do rozpaczliwego ataku. Tym razem Johun nie uskoczył w bok, tylko przykucnął pod zamaszystym ciosem jej wibromieczu, który przemknął ze świstem nad jego głową. Wyciągnął rękę, chwycił kobietę za nadgarstek, po czym przewrócił się na plecy i wykorzystał moment obrotowy, żeby odpowiedzieć atakiem na atak. Trzymając z całej siły za nadgarstek, pociągnął ją na siebie i kopnął w brzuch. Wreszcie podciął jej nogi i przerzucił ją łukiem nad sobą. Przeciwniczka przeleciała nad krawędzią platformy i z krzykiem poleciała w dół. Umilkła dopiero, kiedy uderzyła w wodę i ukryte pod nią zębate skały.

Przez ten czas Johun zerwał się na nogi i skoncentrował w oczekiwaniu na atak pierwszego mężczyzny. Przeciwnik nie zdecydował się jednak stawić mu czoło, tylko uciekł w kierunku końca pomostu.

W pełnym biegu minął Twi'leka i w pewnej chwili znieruchomiał. Cały zeszytniał i chwycił się za gardło. Odwrócił się twarzą do Johuna, cały czas trzymając się za krwawiące rozcięcie na szyi, by w końcu runąć na twarz i znieruchomieć na platformie.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Johun dopiero po chwili zorientował się w nowej sytuacji. Zauważył w dłoniach czerwonoskórego Twi'leka niewielkie, sierpowate ostrza. Oręż w lewej dłoni obcej istoty płonęła srebrzystym blaskiem, a w prawej ociekała czerwienią.

Chissanka i wytatuowany mężczyzna na brzegu ruszyli pomostem w stronę platformy, żeby dołączyć do Twi'leka, ale widząc, że ich kompan podciął właśnie gardło współnikowi, zmienili zamiar. Mając przed sobą rozeźlonego Rycerza Jedi i sprzymierzeńca, który chętnie by ich zabił za próbę ucieczki z pola walki, dokonali jedyne logicznego wyboru i pobiegli

z powrotem do czekającego śmigacza. Wskoczyli do kabiny, uruchomili silnik i odlecieli, porzucając nierówną walkę.

Twilek przeszedł nad wciąż jeszcze drgającymi zwłokami współnika, którego właśnie zabił, i przyjął postawę do walki. Zupełnie się nie przejął tym, że towarzysze go opuścili. Jego lekku zwisały jak dwa ogony, a ich końce drżały w oczekiwaniu na to, co się wydarzy.

– Zawsze chciałem zmierzyć się z Jedi – rzucił Johunowi wyzwanie.

Młody Jedi nie mógł go nie przyjąć. Skoczył ku przeciwnikowi z oszałamiającą prędkością, nadaną mu przez Moc, i wbił klingę świetlnego miecza w jego pierś, żeby szybko zakończyć pojedynek. Czerwonoskóry Twilek odchylił się do tyłu z niemal niedbałą gracją i uskoczył w bok, po czym zamierzył się dziwnymi ostrzami, żeby rozplatać gardło Jedi.

W ostatnim ułamku sekundy Jedi uniknął ciosu pierwszego ostrza, ale cios drugiego musiał przyjąć na prawe ramię. Ostrze wbiło się głęboko w mięśnie, a z ust Johuna wydarł się jęk bólu.

Młody Jedi zobaczył, że Twilek znów przykucnął i jak pięściarz wyciągnął przed siebie ręce z sierpowatą bronią. Tym razem Johun zachował się ostrożniej, bo już wiedział, że przeciwnik jest o wiele bardziej niebezpieczny niż jego współnicy razem wzięci.

Zaczął testować siłę obrony przeciwnika szybkimi ciosami klingi świetlnego miecza. Chciał poznać szczegóły metody posługiwania się nieznaną bronią. Twilek odbijał każdy jego cios na bok z pogardliwą łatwością. Używał w tym celu obu rąk na przemian; jedna ręka cały czas była wyciągnięta w obronnej pozycji do przodu.

Johun zrozumiał, że chociaż niezwykła broń jest szybsza i łatwiejsza w użyciu, ma jednak mniejszy zasięg. Jeżeli pozwoli Twilekowi się zbliżyć, znajdzie się na straconej pozycji, ale utrzymując go na dystans, będzie mieć nad nim przewagę. Twilek chyba także zdał sobie z tego sprawę, bo zaczął powoli podchodzić.

Johun starał się go zmusić do cofnięcia sekwencją agresywnych ciosów, ale nie dał rady przełamać jego obrony. Jego przeciwnik zawsze miał w pogotowiu przynajmniej jedno ostrze, żeby odpierać ciosy.

W pewnej chwili Jedi za bardzo wychylił się do przodu, a klinga jego świetlnego miecza znalazła się odrobinę za wysoko. Musiał przy tym oprzeć cały ciężar ciała na wysuniętej stopie. Ten błąd o mało nie okazał się fatalny w skutkach.

Twilek odbił klingę Johuna na bok i zrobił krok do przodu, zmniejszając dzielącą ich odległość do niespełna metra. Sierpem w lewej dłoni Twilek

zadał cios z góry na dół, a tym z prawej machnął poziomo. Na szczęście Johun zdążył się cofnąć i uniknął pierwszych ciosów; nie miał już jednak tyle szczęścia, kiedy jego przeciwnik przystąpił do następnego ataku.

Pierwsze ostrze śmignęło do góry i rozcięło policzek młodego Jedi, o milimetry mijając oko. Drugi sierp pozostawił długie, ale płytkie rozcięcie na lewym boku Johuna. Rana była bolesna, ale niegroźna.

Jego przeciwnik znalazł się zbyt blisko, żeby Johun mógł wykorzystać skutecznie zasięg świetlnego miecza. Walnął więc go głową, trafiając w nos. Usłyszał głośnie chrupnięcie. Twi'lek zatoczył się do tyłu, ale zaraz znów przyjął postawę do ataku, chociaż z nozdrzy obficie płynęła mu krew. Miała ciemnoszkarłatny kolor odcinający się nawet na tle jasnoczerwonej skóry.

Johun spróbował posłużyć się Mocą, żeby zepchnąć przeciwnika z platformy lądowniczej. Nagromadzenie Mocy wymagało jednak skupienia i na ułamek sekundy odciągnęło jego uwagę od pojedynku. Twi'lek wyczuł chwilową nieuwagę młodego Jedi i skoczył ku niemu jak pchnięty sprężyną, machając energicznie w powietrzu śmiertcionośnymi ostrzami.

Johun odskoczył do tyłu w ostatniej chwili, ale kiedy tak się cofał, żeby uniknąć ataku, potęga, jaką zgromadził, ponownie się rozproszyła. Spróbował podciąć nogi Twi'lekowi, ale jego przeciwnik przewidział ten ruch i zwinnie przeskoczył nad jego wyciągniętą do przodu stopą. Równocześnie kolaniem kopnął Johuna w szczękę.

Młody Jedi zobaczył wszystkie gwiazdy i błyskawicznie odtoczył się na bok, dzięki czemu uniknął następnego ciosu sierpowatych ostrzy. Odzyskał równowagę i wycelował świetlny miecz w przeciwnika. Twi'lek zrobił unik i znów zbliżył się do Johuna; młody Jedi musiał się cofnąć przed kolejną serią szybkich jak błyskawice ciosów. Twi'lek cały czas atakował, trzymając się na tyle blisko Johuna, aby młody Jedi musiał tylko blokować jego ciosy i bronić się przed atakami. Terrorysta, zadając cios za ciosem, stopniowo odcinał mu drogę odwrotu i powoli spychał go na krawędź platformy.

Johun zrozumiał, że nie da rady pokonać przeciwnika. Twi'lek był szybszy, a jego umiejętności dowodziły lat intensywnych ćwiczeń. Mógł nadal toczyć walkę, ale jej wynik był z góry przesądzony: musi zginąć na tej platformie. Nie mógł uniknąć swojego przeznaczenia... ale gotów był poświęcić życie, żeby ocalić od śmierci Kanclerza Valoruma.

Nie ma śmierci, jest tylko Moc, przypomniał sobie.

Twi'lek zaczął się przygotowywać do ostatecznego ataku. Spodziewał się, że przeciwnik spróbuje go pchnąć do tyłu w desperackiej próbie oddalenia się od krawędzi platformy. Tymczasem Johun upuścił rękojeść świetlnego

miecza i błyskawicznym ruchem wyciągnął ręce, żeby złapać Twi'leka za koszulę. Broń Rycerza Jedi potoczyła się z brzękiem po durastalowej platformie, a klinga zgasła w chwili, kiedy wypadła z jego dłoni.

Nieoczekiwany ruch zupełnie Twi'leka zaskoczył. Czerwonoskóry przeciwnik Johuna zawahał się na chwilę, ale zaraz wytrzeszczył przerażone oczy, pełne zrozumienia. Nerwowo ciął obydwoma ostrzami i udało mu się zadać dwie głębokie rany, Jedi nie puszczał jednak jego koszuli.

Balansując niepewnie na samej krawędzi platformy, Johun jeszcze bardziej wychylił się do tyłu i pociągnął ze sobą przeciwnika. Twi'lek wrzasnął, kiedy lecieli w kierunku wystających spod powierzchni oceanu śmiertcionośnych skał, ale Johun czuł już tylko zadowolenie i spokój.

Spadali chyba całą wieczność, jak na zwolnionym filmie. Młody Jedi poddał się całkowicie potędze Mocy. Moc przepływała przez niego, silniejsza niż kiedykolwiek. Tuż nad powierzchnią wody spojrzął w przerażone oczy swojego przeciwnika i się uśmiechnął. Nigdy nie czuł się bardziej spokojny niż w tej chwili.

Opadanie z wysokości pięćdziesięciu metrów do oceanu w niczym nie przypominało skoku do basenu. Woda uderzyła w nich z impetem kowalskiego młota. Podczas upadku obracali się w powietrzu, więc siła ciosu trafiła Johuna w prawy bok. Jedi usłyszał trzask łamanych żeber, a po chwili doznał termicznego wstrząsu, pogrążając się w lodowatej wodzie.

Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że żyje. Niezależnie od ostrych skał pod powierzchnią, sam upadek z takiej wysokości powinien był go zabić. Mimo to jakimś cudem przeżył, chociaż szybko pogrążał się w głębiny gniewnego oceanu. Moc, pomyślał zdumiony. Podczas upadku poddał się całkowicie jej potędze, a w zamian za to Moc ocaliła mu życie.

Uświadomił sobie, że cały czas ściska kurczowo przód koszuli Twi'leka. Przez mętłą wodę dostrzegł, że szyja przeciwnika jest wygięta pod nienaturalnym kątem. Domyślił się, że Twi'lek skreślił sobie kark, kiedy zderzyli się z bezlitosnym oceanem.

Puścił koszulę Twi'leka i potężnymi ruchami rąk i nóg popłynął ku powierzchni. Kiedy już wydawało mu się, że jego płuca eksplodują, wypłynął i zaczął łapczywie chwytac powietrze. Obok niego, w odległości zaledwie kilku metrów, wystawały z wody wsporniki platformy. Młóćąc wodę nogami, wyciągnął ręce i schwytał śliską, mokrą durastal, choć palce mu zaczynały drętwieć od lodowatej wody. Zaczął się szybko wspinać w kierunku platformy.

Z ran na ramionach cały czas sączyła się krew, ale na szczęście ostrza

Twileka nie przecięły ważnych nerwów ani ścięgien. Młody Jedi bez przeszkód piął się do góry po metalowych wspornikach.

Dotarł do połowy wysokości i postanowił odpocząć, chociaż drżał z zimna w podmuchach porywistego wiatru. Usłyszał, że ktoś go woła po imieniu, i spojrział w górę. Zobaczył Kanclerza Valoruma, który obserwował jego wysiłki. Wiedział, że musi oszczędzać oddech na pozostałą część drogi, więc odpowiedział tylko słabym machnięciem ręką.

Kiedy do platformy pozostało mu najwyżej pół metra, Valorum wyciągnął rękę i chwycił go za dłoń. Wyczerpany Jedi był mu ogromnie wdzięczny. Kanclerz pomógł mu się wspiąć i oddalić na bezpieczną odległość od krawędzi. Johun usiłował wstać, ale zawiodły go siły. Mógł tylko odwrócić się na plecy i wpatrywać w rozgwieżdżone niebo; cały czas ciężko dyszał, ale próbował odzyskać równy oddech.

– Ocaliłeś mi życie – powiedział Kanclerz, który siedząc obok czekał, aż Jedi odzyska siły. – Nigdy ci się nie odwdzięczę za to, co dla mnie zrobiłeś, ale jeżeli jest coś, czego ode mnie potrzebujesz, wystarczy powiedzieć.

– Rzeczywiście jest jedna taka sprawa – wychrypiał Johun, wciąż jeszcze zbyt zmęczony, żeby chociaż usiąść. – Musi pan zatrudnić grupę parszywych ochroniarzy.

ROZDZIAŁ 13

Zannah przeciskała się powoli przez zatłoczone targowisko Caranii. Musiała zrobić zapasy, żeby zastąpić te, które Bane zniszczył podczas napadu furii. Odkąd ostatnio tu była, minął zaledwie tydzień, ale w ciągu tego krótkiego czasu wiele się wydarzyło.

Po pierwsze, zginął Kel. HoloNet aż huczał od informacji o nieudanej próbie porwania Kanclerza Valoruma. Wszyscy reporterzy podkreślali fakt, że czerwonoskóry Twi'lek zginął z rąk Rycerza Jedi, Johuna Othone'a.

Trzej inni członkowie niewielkiej grupy Kela także stracili życie, a z relacji wynikało, że dwoje terrorystów ocalało. Z opisów Zannah mogła się domyślić, że to Paak i Cyndra.

Zamach spotkał się z natychmiastowym potępieniem ze strony Senatu i reszty Republiki. Najważniejsze jednak, że hrabiowie Serenna obiecali podjąć szybką i stanowczą akcję i zająć się likwidacją organizacji separatystycznych, które stanowiły plagę ich spokojnego świata. Sądząc po ogromnych nagrodach za wszelkie informacje pomocne do schwytania zamieszanych w zamach osób, szlachetnie urodzeni chyba zamierzali dotrzymać obietnicy.

Zannah rozumiała, że nawet gdyby akcja Kela i jego kompanów zakończyła się powodzeniem, hrabiowie zareagowaliby tak samo. Po nieudanym zamachu w pobliżu miejsca lądowania Valoruma znaleziono kilku zabitych członków domowej służby hrabiego Nalju. Wysłano ich na powitanie przylatującego dostojnika, ale wszyscy zostali zamordowani przez terrorystów.

Śmierć wiernych sług bardzo dotknęła członków rodu Nalju, ale największą grozę wzbudził sam zamach. Hrabia Nalju osobiście finansował wizytę Kanclerza Valoruma, więc atak na tak szanownego gościa stanowił zniewagę dla honoru rodziny – przestępstwo równie odrażające, jak gdyby dokonali zamachu na samego hrabiego. Wielkie Rody, zawsze dbające o bezpieczeństwo swoich członków, poparły wezwanie Nalju i poprzysięgły odtąd ścigać osoby odpowiedzialne za ten zamach.

Niewątpliwie Bane przewidział taki rozwój sytuacji. Przez następnych

kilka lat oczy Republiki miały być zwrócone na Serenno, aby sprawdzać, jak idą starania władców planety pozbycia się organizacji separatystycznych, które prowadziły działalność wywrotową na jej terenie.

– Nie ruszaj się – usłyszała Zannah i jednocześnie poczuła, że ktoś wbija jej w plecy lufę blastera.

– Że też ośmielasz się pokazywać w miejscach publicznych – szepnęła, nie odwracając się do Chissanki, która stanęła tuż za nią. – Za twoją głowę wyznaczono całkiem sporą nagrodę.

– Dzięki tobie – warknęła mściwie Cyndra, szturchając Zannah boleśnie lufą broni. – A teraz ruszaj naprzód. Powoli.

Zannah mogłaby jej uciec na dziesiątki sposobów, ale każdy z nich polegał na użyciu potęgi Ciemnej Strony, czego uczennica Bane'a wolała uniknąć na zatłoczonym targowisku. Bez słowa więc usłuchała i zaczęła się przeciskać między straganami, cały czas czekając na właściwy moment. Cyndra szła tuż za nią, własnym ciałem osłaniając wbity w plecy Zannah blaster.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała Zannah.

– Na spotkanie z Hettonem – parsknęła Cyndra. – Ma do ciebie kilka pytań.

Świetnie się składa, pomyślała młoda kobieta. Ja też mam do niego kilka pytań.

W pewnej chwili Cyndra kazała jej skręcić w wąską alejkę, prowadzącą do opustoszałej bocznej ulicy.

– Zatrzymaj się, bo strzele – ostrzegła Chissanka i wyciągnęła komunikator z saszetki u pasa. – Mam ją – zameldowała. – Przyleć nas stąd zabrać.

W ciągu niespełna minuty z nieba opadł powietrzny śmigacz i wylądował w odległym końcu ulicy. Zannah nie była zaskoczona widokiem Paaka na fotelu pilota. Wytatuowany osiłek wyskoczył, kiedy Chissanka zaczęła prowadzić swoją więźniarkę do pojazdu.

– Mówiłem ci, że ta kobieta wróci – odezwał się Paak do swojej towarzyszki.

– Obszukaj ją, czy nie ma broni – rozkazała Chissanka. Paak obrzucił Zannah obleśnym spojrzeniem i bezceremonialnie ją zrewidował.

– Co my tu mamy? – wykrzyknął. Wyciągnął jej jedyną broń i podniósł na wysokość oczu, żeby się lepiej przyjrzeć.

Rękojeść świetlnego miecza Zannah była nietypowo długa, bo w środku musiały zmieścić się dwa kryształy, zasilające obwody dwóch kling.

Większość obustronnych broni miała klingi długie na półtora metra albo i więcej, jednak ostrza broni Zannah miały niespełna metr długości. Ta mała, ale znacząca różnica była niezbędną dla sposobu, w jaki Zannah posługiwała się swoją bronią...

„Krótsze klingi zapewnią ci większą szybkość i zdolność manewrowania”, wyjaśnił jej Mistrz, kiedy czternastoletnia Zannah kręciła lewą dłonią młynka ostrzami niedawno skonstruowanego miecza świetlnego. Chciała jak najszybciej opanować sztukę władania nim przy jednoczesnym zachowywaniu równowagi. „Trzymaj rękojeść lekko w dłoni”, instruował ją Mistrz. „Kieruj bronią ruchami samego nadgarstka, nie całej ręki. Będiesz mieć dzięki temu mniejszy zasięg i siłę ciosu, ale za to nikt nie przeniknie twojej obrony. „Samą obroną nie pokonam przeciwnika”, odparła Zannah, bez trudu przerzucając wirującą parę szkarłatnych ostrzy z lewej dłoni do prawej i z powrotem.

„Nie masz dość fizycznej siły, koniecznej do zadawania potężnych ciosów stylu Djem So czy innych agresywnych form walki”, wyjaśnił jej Mistrz. „Musisz polegać na szybkości, sprycie i przede wszystkim na cierpliwości, żeby zwyciężyć”.

Wysunął klingę swojego miecza świetlnego i zatoczył nią w powietrzu przed Zannah zamaszysty łuk. Młoda uczennica przechwyciła markowany cios na ostrze swojej broni i bez trudu odbiła miecz Mistrza w bok.

„Forma trzecia pozwala ci na parowanie ataków z minimalnym wysiłkiem”, powiedział Bane. „Podczas zadawania każdego ciosu twój przeciwnik straci cenną energię i coraz bardziej będzie się męczyć, a ty pozostaniesz świeża i silna”.

Bane chwycił oburącz zakrzywioną rękojeść swojego miecza świetlnego, uniósł klingę wysoko nad głowę i opuścił szybko, jak przy rąbaniu drewna. Posługując się techniką, którą ćwiczyła codziennie po dwie godziny przez cały rok, Zannah nadstawiła klingę swojej broni, żeby ostrze Mistrza tylko ją musnęło. Gdyby usiłowała odeprzeć jego cios, siła ataku zwróciłaby jej broń do tyłu, prosto na nią, albo wytrąciłaby jej rękojeść z dłoni. Zamiast tego skierowała miecz na Bane'a w taki sposób, że opadł pod kątem i świsnął nieszkodliwie kilka centymetrów od jej ramienia.

„Bardzo dobrze”, pochwalił ją Bane, przygotowując się do zadania drugiego silnego sztychu. „Nie blokuj. Zmieniaj kierunek ciosu. Zaczekaj, aż twoi przeciwnicy się zmęczą albo zniechęcą. Pozwól im popełnić błąd, a potem zmusz ich, żeby za niego zapłacili”.

Aby zilustrować swój wywód, Bane zatoczył mieczem szeroki łuk, który

Zannah bez trudu odbiła na bok. Chcąc wzmóc impet ciosu, Mistrz Sithów wychylił się zbyt daleko do przodu, przez co odsłonił ramię i plecy. Szybkim ruchem nadgarstka Zannah zmieniła kierunek ruchu swojej broni i wykorzystwała okazję. Jedną z jej kling wyryła dziesięciocentymetrową bruzdę na skorupie osłaniającej ramię. Z pewnością by je odcięła, gdyby walczyła z innym przeciwnikiem.

Tymczasem jej klinga przecięła tylko koszulę Mistrza i pozostawiła niewielki zwęglony ślad na twardej skorupie gnieźdzącego się pod nią orbaliska.

„Już nie żyjesz!”, wykrzyknęła triumfująco, kręcąc w powietrzu młynka mieczem i ani na chwilę nie tracąc impetu.

Bane pokiwał z aprobatą głową. Było jeszcze wcześniej, a ich lekcje tego dnia dopiero się zaczęły.

„Jeszcze raz”, rozkazał surowym tonem, jakim zawsze zwracał się do uczennicy podczas ćwiczeń i testów...

– Co to jest? Świetlny miecz? – mruknął Paak, obracając w dłoniach rękojeść broni Zannah. – Skąd to masz? Ukradłeś go jakiemuś Jedi czy coś w tym rodzaju?

Zannah nie zaszczyciła go odpowiedzią. Nikogo innego w pobliżu nie było; stali sami na opustoszałej ulicy. Mogła łatwo ich zabić i uciec, ale zamierzali ją zabrać do Hettona, a ona nie mogła się doczekać, kiedy stanie twarzą w twarz z założycielem Antyrepublikańskiego Frontu Wyzwolenia.

– Hettona to bardzo zainteresuje – oznajmił Paak. – Bardzo, bardzo zainteresuje.

– Daj spokój. Ruszajmy w drogę – napomniała go Cyndra. – Nie chcę, żeby Hetton na nas czekał. I tak jest wystarczająco wściekły.

Paak rzucił rękojeść świetlnego miecza na fotel pasażera, a sam usadowił się na fotelu pilota. Cyndra spojrzała na Zannah.

– Usiądź z tyłu – rozkazała, machając przed jej twarzą lufą blastera.

Młoda kobieta usłuchała, a Cyndra usiadła obok niej, cały czas mierząc do niej z blastera. Powietrzny śmigacz wzniósł się w niebo, przeleciał nad kilkoma dzielnicami miasta i znalazł się nad otwartym terenem.

– Jak długo jeszcze mamy lecieć? – zagadnęła Zannah.

– Zamknij swoją parszywą gębę – burknęła Cyndra. – Jeszcze się nagadasz, wyjaśniając Hettonowi, dlaczego nas zdradziłaś.

– Kel okazał się wielkim frajerem, chociaż był rzeczywiście przystojnym facetem – odezwał się Paak, zerkając przez ramię na swoją towarzyszkę. – Zawsze wiedział, że doprowadzi go to do śmierci. Gdyby był sprytny,

trzymałby się tylko ciebie, Cyndro.

Chissanka zmrużyła gniewnie czerwone oczy.

– Zamknij się i kieruj, Paak – warknęła.

– Ty i Kel? – zapytała Zannah z niekłamanym zaskoczeniem. – Bardzo mi przykro. Nie wiedziałam...

– Cyndra też nie – odparł Paak i wybuchnął śmiechem. – Przynajmniej dopóki nie pojawiłaś się na naszym spotkaniu. Cyndra chciała cię od razu zabić. Masz szczęście, że jest zawodowcem.

Resztę drogi pokonali w milczeniu, coraz bardziej oddalając się od miasta. Niebawem w dole pojawiły się posiadłości potężnych szlacheckich rodów Serenna. Zannah nabrała podejrzania, że Hetton jest członkiem jednego z takich rodów. Ciekawa była, co też się teraz z nim stanie, skoro polityczny klimat Caranii zmienił się na niekorzyść Separatystów.

Śmigacz leciał nad różanymi ogrodami, które ciągnęły się niemal po horyzont. Ich nawadnianie zapewniały skomplikowane systemy fontann, a armie ogrodników przycinały i prześwietlały krzewy, żeby każdy kwiat utrzymać jak najdłużej w idealnym stanie.

Na horyzoncie pojawiła się ogromna rezydencja, która przypominała bardziej warowny zamek niż zwykły dom. Na jednej z wielu wieżyczek łopotała jaskrawoczerwona flaga, ozdobiona samotną ośmioramienną złotą gwiazdą. Zannah doszła do wniosku, że ten znak jest odmianą pięcioramiennej gwiazdy wielkiego rodu Demici. Wyglądało na to, że ród Hettona łączy z nimi jakieś pokrewieństwo, skoro buntownik miał prawo do zbudowania własnego rodowego gniazda.

Kiedy wylądowali, na ich powitanie wyszło sześciu strażników w długich, czerwonych płaszczach. Każdy strażnik nosił hełm całkowicie osłaniający głowę, a wszyscy byli uzbrojeni w piki mocy. Półtorametrowej długości metalowe pręty były zakończone modułami zdolnymi do wysyłania ładunku elektrycznego, który ogłuszał albo paraliżował przeciwników, a często nawet ich zabijał, jeżeli urządzenie było nastawione na pełną moc. Zannah rozpoznała egzotyczną broń dzięki naukom Bane'a. Wiedziała, że to ulubiony oręż umbarańskich Mrocznych Skrytobójców, chociaż członkowie tej grupy zaszyli się w ukryciu po klęsce kierowanego przez Kaana Bractwa Ciemności.

– Wysiadaj! – rozkazała Cyndra, popierając słowa wymownym ruchem lufy blastera. Zannah było trochę żal Chissanki – w końcu Kel ją wykorzystał, a później rzucił – ale w gruncie rzeczy gardziła swoją niebieskoskórą romantyczną rywalką. Nie zamierzała jednak pozwolić, żeby

emocje wywarły znaczący wpływ na jasność jej myśli czy postępowanie.

Tym razem także usłuchała. Wyszła ze śmigacza i pozwoliła się przeszukać jednemu z ubranych w czerwony płaszcz strażników. Grzecznie wyciągnęła przed siebie ręce i pozwoliła założyć sobie kajdanki. Dopiero wtedy Cyndra schowała blaster do kabury u pasa, złapała Zannah za rękę i pociągnęła ją za Paakiem i strażnikami.

Procesja przeszła pod wysoką, kolebkowo sklepioną bramą i znalazła się w wyłożonym marmurem holu. Na ścianach wisiały malowidła i rzeźby, a pod sklepieniem unosiły się holograficzne dzieła sztuki. Zannah podejrzewała, że większość gości uznałaby taką demonstrację bogactwa za imponującą czy wręcz onieśmielającą, ona jednak uważała ten ostentacyjny luksus za stratę środków, które można byłoby lepiej wykorzystać.

Rezydencja była ogromna; pokonanie odległości od powietrznego śmigacza do sali audiencyjnej, w której już czekał na nich Hetton, zajęło im aż pięć minut. Zannah domyśliła się, że są u celu, kiedy stanęli przed ogromnymi, dwuskrzydłowymi, zamkniętymi drzwiami. Dwaj strażnicy podeszli do drzwi, po jednym do każdego skrzydła, silnie je pchnęli i otworzyli.

Sala miała trzydzieści metrów długości i dwadzieścia szerokości. Podobnie jak w holu, i tu na ścianach wisiały dzieła sztuki, a do schodków prowadzących na podwyższenie w drugim końcu sali wiódł długi czerwony dywan. W sali nie było mebli, jeżeli nie liczyć rozłożystego fotela na podwyższeniu – tak ogromnego, że zdaniem Zannah powinno się go nazywać tronem.

Siedział na nim mężczyzna, którego strzegło dwóch ochroniarzy w czerwonych płaszczach, po jednym z każdej strony. Mógł to być tylko sam Hetton. Był niższy i starszy, niż Zannah przypuszczała; wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Uczennica Bane'a myślała, że Hetton będzie ubrany w strój w barwach swojego rodu, ale mężczyzna nosił czarne spodnie, czarną koszulę, czarne buty i czarne rękawice. Na to wszystko narzucił równie czarną pelerynę z kapturem. Strój był ozdobiony czerwonymi lamówkami. Zdjęty kaptur nie zasłaniał twarzy.

Hetton miał cienkie, siwe, krótko przystrzyżone włosy, długi, spiczasty nos i małe bladobłękitne oczy, osadzone zbyt blisko siebie. Cienkie, zaciśnięte wargi znamionowały okrucieństwo. Hetton wyglądał, jakby cały czas szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu. Na widok wchodzących pochylił się do przodu i ścisnął podłokietniki tronu. Wyglądał złowieszco, jakby przygotowywał się do ataku.

Hetton nie był wprawdzie przystojny w zwykłym rozumieniu tego słowa ani imponujący pod względem fizycznym, ale od razu można było się zorientować, że to ktoś ważny. Zannah uznała, że takie wrażenie wywołuje jego wrodzona pewność siebie, którą zawdzięczał bogactwom i przywilejom, ale idąc po czerwonym dywanie w stronę podwyższenia, uświadomiła sobie, że chodzi o coś zupełnie innego: od Hettona promieniowała potęga Ciemnej Strony!

Na znak jednego ze stojących obok tronu ochroniarzy zatrzymali się na dziesięć metrów od schodków. Eskortujący ich strażnicy odeszli na bok, a Paak i Cyndra ze swoim więźniem stanęli sami u stóp podwyższenia przed Hettonem.

– A kim ty jesteś, moja droga? – zagadnął Hetton ostrym tonem. Jego głos odbił się echem od ścian wielkiej sali.

– Nazywam się Rainah – odparła Zannah. – Jestem... byłem... przyjaciółką Kela.

– Rozumiem – odparł Hetton z domyślnym uśmiechem. – Kelad'den miał wiele przyjaciółek.

– To ona wydała nas w łapy Republiki! – odezwała się gniewnie Cyndra, szarpiąc za łokieć zakutą w kajdanki Zannah.

– Nikogo nie wydałam! – zaprotestowała młoda kobieta. Chciała zyskać na czasie, żeby móc ocenić potęgę Hettona.

Podczas wojny między Bractwem Ciemności a Armią Światła obie strony chętnie werbowwały osoby obdarzone taką potęgą. Dla rodu tak potężnego, zamożnego i wpływowego jak ród Hettona obronienie jednego ze swoich członków przed Jedi czy przed Sithami nie przedstawiało jednak poważnego problemu.

– Znałaś każdy szczegół naszego planu – stwierdziła Cyndra. – Kto inny mógł nas zdradzić?

– A dlaczego ty i Paak cudem uszliście z życiem? – przypomniała Zannah, pozwalając, żeby w powietrzu zawisło niewypowiedziane oskarżenie. Cały czas subtelnie badała Hettona swoimi myślami.

Jego potęga nie miała surowej, prymitywnej faktury osoby, która nigdy nie była szkolona. Czy to możliwe, żeby Hetton miał kiedyś nauczyciela albo mentora? Czyżby ktoś wrażliwy na oddziaływanie Mocy nauczył go sposobów Ciemnej Strony, a później porzucił, żeby podążyć za Bractwem Kaana? A może istniało jeszcze inne wyjaśnienie?

– Nie jestem zdrajczynią! – zawołała rozwścieczona Chissanka.

– Uspokój się, Cyndro – odezwał się Hetton, rozbawiony jej wściekłością.

– Kanclerzowi Valorumowi towarzyszył Rycerz Jedi. Wasza akcja tak czy owak była skazana na niepowodzenie. A nawet gdyby zakończyła się sukcesem – dodał niskim, groźnym szeptem – ściągnęlibyście na nas gniew Wielkich Rodów. – Co wyście sobie wyobrażali? – ryknął nagle tak głośno, że Paak i Cyndra aż podskoczyli. Zannah zauważyła, że kiedy Hetton posłużył się Mocą, żeby zgromadzić więcej energii Ciemnej Strony, powietrze aż zaskwierczało. Dysponował niezaprzeczalnie dużą potęgą, ale młoda kobieta wyczuwała, że nie panuje nad nią tak umiejętnie jak ona.

– Hettonie, zaczekaj! – krzyknął Paak, wyczuwając nadciągające zagrożenie. – Mamy coś dla ciebie!

Wyciągnął rękojeść świetlnego miecza Zannah i machnął nią nad głową, żeby zwrócić uwagę arystokraty. Widok tej broni odniósł natychmiastowy skutek: narastająca potęga Ciemnej Strony zniknęła, a sam Hetton zamarł, nie mogąc oderwać oczu od rękojeści. Szybko jednak odzyskał panowanie nad emocjami. Usadowił się wygodniej na tronie i dał znak jednemu ze swoich ochroniarzy, żeby przyniósł mu ten skarb.

Kiedy podwładny podał mu broń, Hetton oglądał ją uważnie chyba z minutę, a potem z szacunkiem położył sobie na kolanach.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytał Paaka; mówił cicho, ale w jego głosie dzwięczały niebezpieczne tony.

– Przy niej – odparł Paak. – Nie chciała nam powiedzieć, gdzie go zdobyła.

– Czy to prawda? – mruknął Hetton, przyglądając się Zannah z nowym zainteresowaniem. Palcami od niechcienia musnął rękojeść świetlnego miecza. – Bardzo chciałbym się dowiedzieć, skąd masz ten konkretny egzemplarz.

– Pozwól mi spędzić z nią pięć minut sam na sam – odezwała się Cyndra. – Potrafię nakłonić ją do rozmowy.

Zannah doszła do wniosku, że gra ciągnie się stanowczo zbyt długo. Mogłaby łatwo, posługując się Mocą, przywołać świetlny miecz z powrotem do swoich skutych dłoni, ale wolała wykorzystać inne metody...

„Moc przejawia się na wiele różnorodnych sposobów”, pouczył ją kiedyś Darth Bane. „Każda osoba ma swoje mocne i słabe strony... posiada talenty, w których łatwo osiąga doskonałość, i inne cechy, których doskonalenie sprawia jej większą trudność”.

Dwunastoletnia wówczas Zannah pokiwała głową. Kilka miesięcy wcześniej Bane odblokował nową bazę danych i informacji na temat holocronu Freedona Nadda. Nie zamierzał jej zdradzić, co odkrył, ale

wkrótce dodał nowy element do szkolenia dziewczynki. Co dwa albo trzy dni sprawdzał jej postępy poprzez serie wymagających prób i wyzwań, tak wymyślonych, żeby ocenić jej panowanie nad różnymi aspektami Mocy.

Aż do tamtego dnia nie zgadzał się na dyskusję nad rezultatami swoich eksperymentów, a Zannah zaczęła się obawiać, że w jakiś sposób sprawiła mu zawód.

„Niektórzy mają surową, pierwotną potęgę; potrafią wysyłać błyskawice z czubków palców albo samymi myślami przenosić góry”, powiedział. „Inni bywają bardziej uzdolnieni w subtelnych zawłóściach Mocy... pobłogosławieni umiejętnością wpływania na umysły wrogów i przyjaciół dzięki sztuce perswazji czy bitewnej medytacji”.

Urwał i zmierzył Zannah długim spojrzeniem, jakby się zastanawiał, czy może jej powiedzieć coś więcej.

„Bardzo niewiele osób wykazuje wrodzoną skłonność do samej Ciemnej Strony”, podjął w końcu. „Takie osoby potrafią się pogrążyć w głębiny Mocy i wzywać tajemniczą, ukrytą energię, żeby wykrzywić otaczający je wszechświat. Mogą się odwoływać do prastarych rytuałów Sithów, mogą także rzucać straszliwe zaklęcia i uciekać się do ciemnej magii”.

„Czy właśnie ja mam taki dar?”, zapytała Zannah, z trudem panując nad podnieceniem. „Czy jestem czarownicą Sithów?”

„Masz pewien potencjał”, przyznał Bane. Wydobył spod płaszcza cienki, oprawiony w skórę manuskrypt. „Głęboko wewnątrz holocronu odkryłem zestaw potężnych czarów, które zanotowałem w tej księdze. Pomogą ci ukierunkowywać twoją potęgę dla osiągnięcia optymalnych rezultatów... ale musisz je starannie przestudiować”.

„Zrobię to, Mistrzu”, obiecała Zannah i z zapalem wyciągnęła rękę, żeby wyciągnąć manuskrypt z jego dłoni.

„Mogą tobą kierować i uczyć cię sztuki rzucania czarów, ale do pewnych granic”, przestrzegł ją Bane. „Moje talenty kierują się w inną stronę. Jeżeli chcesz uwolnić swój pełny potencjał, musisz uczyć się we własnym zakresie i badać każdy aspekt magii. Pamiętaj jednak, że to będzie... bardzo ryzykowne i niebezpieczne”.

Myśl o poznaniu mrocznych i niebezpiecznych tajemnic czarowników Sithów napęłała Zannah przerażeniem, ale szansa zdobycia potęgi przekraczającej umiejętnością pojmowania jej Mistrza była pokusą, której nie potrafiłaby się oprzeć.

„Nie sprawię ci zawodu, Mistrzu”, obiecała, tuląc księgę do piersi.

„Jeżeli kiedykolwiek spróbujesz wykorzystać jedno ze swoich zaklęć

przeciwko mnie, dodał Bane tonem przestrogi, bez wahania cię zabiję".

Zannah szarpnięciem uwolniła łokieć z uchwytu Cyndry i uniosła skute kajdankami ręce na wysokość jej twarzy. Wykonując palcami w powietrzu skomplikowane ruchy, posłużyła się Mocą i zapuściła myśli głęboko do jej mózgu, żeby odnaleźć tajne, najbardziej pierwotne lęki. Znalazła pogrążone w głębi podświadomości bezkształtne horrory: koszmarnie stwory, które nie miały nigdy ujrzeć światła dziennego. Czerpiąc potęgę z czarów Sithów, wyłuskała je i jeden po drugim, powołała do życia.

Cały proces zajął jej niespełna sekundę. Przez ten czas Cyndra wyciągnęła broń, ale zamiast wycelować ją w Zannah, wrzasnęła i zaczęła strzelać w powietrze do wydobytych z jej głowy demonów, które widziała tylko ona.

Im dłużej trwało zaklęcie, tym złudzenia Cyndry stawały się bardziej realne i przerażające, ale Zannah nie zamierzała jeszcze kończyć. Chissanka zaskrzeczała i rzuciła broń na posadzkę. Szaleńczo kręcąc głową z boku na bok, zasłoniła oczy rękami, jęknęła głośno i runęła na podłogę. Szlochając i płacząc, zwinęła się w kłębek, powtarzając cały czas:

– Nie, nie, nie...

Obecni w wielkiej sali patrzyli na nią w oszołomieniu i przerażeniu. Strażnicy się cofnęli, jakby w obawie, że mogą się zarazić jej szaleństwem.

Zannah mogła teraz to wszystko zakończyć, rozwiązać iluzje i pozwolić, żeby Cyndra straciła przytomność. Obudziłaby się kilka godzin później, mgliście pamiętając to, co się jej przydarzyło, bo jej umysł instynktownie wzdragałby się przed takimi wspomnieniami. Zannah mogłaby także zwiększyć intensywność iluzji i doprowadzić swoją ofiarę na skraj obłędu, a nawet jeszcze dalej, ale niespodziewanie w jej głowie pojawił się, nieproszony, wizerunek Chissanki w miłosnych objęciach Kela.

Jęki przerażonej Cyndry przeszły w zwierzęce wycie, kiedy jej psychikę rozdzierały upiorne wizje. Tak mocno tarła palcami oczy, że w końcu je wydrapała. Jednak nawet ślepotą nie mogła jej ocalić przed koszmarami przebiegającymi przez jej umysł.

Wycie ustało, za to drgawki ogarnęły całe ciało Chissanki. Zannah widziała, że gdzieś w najgłębszych zakamarkach podświadomości Cyndry nadal rozlega się krzyk, wywołany przez potwory tkwiące w jej mózgu.

Wszyscy obecni byli świadkami ponurego i przerażającego końca Chissanki, ale tylko Zannah wiedziała, co się naprawdę wydarzyło. Nawet ona nie była jednak do końca pewna, co zobaczyła jej ofiara. Patrząc na reakcję Cyndry, uznała, że lepiej tego nie wiedzieć. Zmierzyła chłodnym

wzrokiem leżące u jej stóp drżące ciało. Potem podniosła głowę i spojrzała na Hettona, który w napięciu się w nią wpatrywał.

Usłyszała, że Paak coś do niej krzyczy z drugiego końca sali, i odwróciła się w jego stronę.

– To twoja sprawka! – Wytatuowany terrorysta wymierzył w nią oskarżycielskim gestem wskazujący palec i odwrócił się do Hettona. – Powstrzymaj ją, bo inaczej nas wszystkich pozabija! – wykrzyknął.

Kilku strażników ruszyło w jej stronę, ale zamarli w pół kroku, kiedy Hetton lekko pokręcił głową.

– Ona żyje – wyjaśniła Zannah. – Chociaż to, co pozostało z jej umysłu, błaga o jak najszybszą śmierć.

Jej odpowiedź nie uspokoiła Paaka. Mężczyzna sięgnął do cholewki buta, wyciągnął krótkie wibroostrze i z głośnym krzykiem ruszył na Zannah.

Zakłęcie, jakie uczennica Bane'a rzuciła na Cyndrę, było potężne, ale wyczerpujące. Młoda kobieta nie była pewna, czy dałaby radę zrobić coś podobnego z Paakiem, zanim terrorysta dopadnie ją swoim ostrzem, więc wykorzystała bardziej konwencjonalny środek, żeby się go pozbyć.

Wyciągnęła skute ręce i posłużyła się Mocą, żeby przyciągnąć do siebie rękojeść świetlnego miecza z kolan Hettona. Broń Sithów przeleciała przez salę i wylądowała z plaśnięciem w jej dłoni. Zannah wysunęła obie energetyczne klingi i niedbale, samą myślą rozerwała swoje więzy.

Paak spodziewał się pojedynku z bezbronną więźniarką, ale nie był gotów stawić czoła uzbrojonej przeciwnicze. Zannah mogłaby go jednym ruchem przeciąć na dwoje, ale zauważyła, że Hetton siedzi nieruchomo na swoim tronie i obserwuje rozwój sytuacji. Postanowiła dać mu przedstawienie.

Zamiast pozbawić głowy swojego przeciwnika, zaczęła się z nim bawić. Obracając w powietrzu klingami świetlnego miecza, kreśliła zawile, hipnotyzujące wzory i bez trudu parowała toporne ciosy. Paak był awanturnikiem, doskonale umięśnionym, ale bez znajomości technik walki, dzięki czemu młoda kobieta śmiesznie łatwo odpierała jego ataki. Mężczyzna atakował trzykrotnie, machając ostrzem w nadziei, że pozbawi ją równowagi. Za każdym razem Zannah zręcznie uskakiwała w bok i ruchem klingi zmieniała kierunek opadania jego dłoni. Walka wyglądała jak taniec, w którym to ona prowadziła.

Po trzech nieudanych próbach wytatuowany spiskowiec rzucił ostrze na posadzkę i wyraźnie wściekły, podniósł porzucony blaster Cyndry. Wymierzył w Zannah i dwukrotnie wystrzelił z bliska, ale młoda kobieta

nawet nie mrugnęła.

Posługując się wyprzedzającą świadomością Mocy, bez trudu przewidziała kierunek nadlatujących błyskawic i przechwyciła je na skwierczące klingi swojego podwójnego miecza. Pierwszy strzał posłała nieszkodliwie w sufit, drugi zaś skierowała z powrotem w Paaka.

Błyskawica trafiła go między oczy i pozostawiła dymiącą dziurę w jego czole. Ciało mężczyzny zeszywniało i runęło na wznak.

Cały czas kręcąc w powietrzu młynka klingami miecza, Zannah odwróciła się twarzą do Hettona. Przywódca nie ruszył się z tronu ani nie dał najmniejszego znaku swoim ochroniarzom. Dopiero kiedy młoda kobieta na niego spojrzała, wstał, szedł powoli z podwyższenia, stanął przed nią, uklęknął i pochylił głowę.

– Całe życie... czekałem na kogoś... takiego jak ty – wyjąkał szeptem.

ROZDZIAŁ 14

Johun biegł korytarzami wielkiej Świątyni Jedi. Mijał wyloty bocznych korytarzy i klatki schodowe wiodące do różnych skrzydeł wspaniałej budowli. Mieściły się tam kwatery Rycerzy i padawanów Jedi, którzy zdecydowali się zamieszkać na Coruscant. Johun kierował się do podstawy iglicy Wysokiej Rady i prywatnych kwater aktualnie rezydujących Mistrzów.

Niektórzy przechodzący machali do niego albo wołali, żeby się do nich przyłączył. Nie odpowiadał na takie zaproszenia, bo nie miał czasu na grzecznościowe rozmowy. Krótco po lądowaniu otrzymał wezwanie od Valenthyny'a Farfalli i mniej więcej się domyślał, o czym stary Mistrz chce z nim rozmawiać.

Kiedy dotarł do celu, z zaskoczeniem stwierdził, że drzwi osobistego gabinetu Farfalli są otwarte, a Mistrz Jedi siedzi za biurkiem, pogrążony w studiowaniu jakichś dokumentów.

– Chciałeś mnie zobaczyć, Mistrzu? – zapytał młody Rycerz zamiast powitania. Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

Gabinet był urządony z przepychem, podobnie jak osobista kabina Farfalli na pokładzie „Łagodnego Wietrzyka”, okrętu flagowego rozwiązanej już floty Jedi. Na ścianach wisiały wspaniałe dzieła sztuki, a posadzkę pokrywały kosztowne dywany. W kącie stało iście królewskie łóżko z baldachimem i kolumnami, na których uwieczniono najważniejsze etapy awansowania Valenthyny'a do stopnia Mistrza Jedi.

– Witaj, Johunie – odezwał się lekko zaskoczony Farfalla. – Nie spodziewałem się, że przybędziesz tak szybko. – Odwrócił się na fotelu i wskazał jedno z wolnych krzeseł.

– Twoje wezwanie uznałem za bardzo pilne – odparł młody Jedi. Stał nieruchomo, rezygnując z zajęcia miejsca.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział Farfalla i ciężko westchnął.

– Jako mój przyjaciel, Mistrz czy przedstawiciel Rady Jedi? – zainteresował się Johun.

– To zależy od tego, co będziesz miał do powiedzenia – odparł jak zawsze dyplomatycznie Farfalla. – Słyszałem, że Kanclerz Valorum zamierza się

zwrócić do Senatu z prośbą o fundusze. Chciałby wznieść pomnik na cześć generała Hotha i innych poległych na Ruusanie Jedi.

– Niewątpliwie uważa, że odda w ten sposób hołd tym, którzy oddali życie, żeby Republika pozostała bezpieczna – stwierdził Johun. – Hołd, który, zdaniem wielu, powinniśmy już dawno złożyć.

Farfalla uniósł brew.

– Czy to znaczy, że nie miałeś nic wspólnego z tą prośbą? – zapytał. – Valorum sam wpadł na taki pomysł?

– Tego nie powiedziałem – zachnął się Rycerz Jedi. Obaj dobrze wiedzieli, że Valorum zgodził się z tym wystąpić w dowód wdzięczności dla Johuna, który ocalił mu życie podczas terrorystycznego ataku na planecie Serenno.

– Tak podejrzewałem – westchnął znowu Mistrz Jedi. – Rada Jedi nie poprze jego prośby, Johunie. Uznali ją za dowód pychy i arogancji.

– Czy dowodem arogancji jest zamiar uczczenia tych, którzy zdobyli się na ostateczne poświęcenie? – zapytał spokojnie Johun. Był Rycerzem Jedi; padawan, który przy najmniejszym sprzeciwie wycofywał się ze swojej opinii, dawno przestał istnieć.

– Chęć uczczenia pomnikiem twojego byłego Mistrza ociera się o próżność – wyjaśnił mu Farfalla. – Pragnąc unieśmiertelnić człowieka, który cię kiedyś szkolił, zamierzasz unieśmiertelnić samego siebie.

– To nie jest próżność, Mistrzu – wyjaśnił cierpliwie młody Jedi. – Pomnik na Ruusanie będzie przypominać wszystkim, że setka inteligentnych osób z własnej woli pomaszerowała na pewną śmierć, aby reszta galaktyki mogła żyć w pokoju. Taki potężny symbol natchnie wszystkich pozostałych.

– Jedi nie potrzebują symboli do natchnienia – przypomniał mu Farfalla.

– Ale potrzebuje ich reszta Republiki – sprzeciwił się Johun. – Symbole przemawiają do serc i umysłów przeciętnych obywateli, pomagając im przekształcać abstrakcyjne wartości i wierzenia w rzeczywistość. Ten pomnik ma zostać wzniesiony dla uczczenia naszego zwycięstwa na Ruusanie... zwycięstwa, które osiągnęliśmy nie dzięki potędze naszej armii, ale dzięki odwadze, determinacji i poświęceniu Hotha oraz tych, którzy razem z nim zginęli. Pomnik będzie wskazywać drogę obywatelom Republiki, ukierunkuje ich myśli i czyny.

– Widzę, że zaraziłeś się od Valoruma umiejętnością argumentacji – przyznał Farfalla z kwaśnym uśmiechem, bo zrozumiał, że nie da rady nakłonić Johuna do zmiany zdania.

– Mistrzu, przecież to ty przydzieliłeś mnie do świty Kanclerza –

przypomniał młody Jedi. – A ja w ciągu wielu lat służby nauczyłem się kilku rzeczy.

Farfalla wstał z fotela i zaczął spacerować po gabinecie.

– Twoje argumenty brzmią przekonująco, Johunie – odezwał się w końcu. – Na pewno jednak wiesz, że nie wpłyną na zmianę decyzji Rady Jedi.

– Ta sprawa nie podlega jurysdykcji Rady – zauważył Johun. – Jeżeli Senat zatwierdzi fundusze na prośbę Valoruma, budowa pomnika na Ruusanie rozpocznie się w ciągu miesiąca.

– Senat nigdy niczego nie odmówi Valorumowi – parsknął Farfalla. Przestał spacerować i odwrócił się do Johuna. – A jaka będzie twoja rola w tym przedsięwzięciu? – zapytał.

– O tym też zdecyduje Senat – odparł wymijająco młody Jedi. Po chwili jednak poddał się i wyznał prawdę: – Następne wyprawy dyplomatyczne Kanclerz zgodził się odbyć z kompletnym oddziałem ochroniarzy, więc mogę lecieć na Ruusana i nadzorować wznoszenie pomnika.

Farfalla westchnął i usiadł na fotelu.

– Rozumiem motywy twojego postępowania, Johunie – powiedział. – Niezupenie je pochwalam, ale ani ja, ani członkowie Rady Jedi ci w tym nie przeszkodzimy. – Urwał na chwilę i dodał. – Wątpię zresztą, żebyśmy dali radę cię powstrzymać, nawet gdybyśmy się starali.

– Czasami potrafię być bardzo uparty – zgodził się z uśmiechem Rycerz Jedi.

– Zupełnie jak Hoth – stwierdził Farfalla.

Johun zdecydował się uznać jego słowa za komplement.

– Mój ojciec umarł, kiedy byłem małym dzieckiem – powiedział Hetton cicho; Zannah musiała wyteńczyć słuch, bo zagłuszał go stukot butów o wypolerowaną marmurową posadzkę. – Po jego śmierci matka musiała przejąć obowiązki głowy rodziny, więc moim wychowywaniem zajęli się słudzy. Poznali moje szczególne umiejętności wiele lat wcześniej, niż dowiedziała się o nich matka.

– Pewnie się bali, co twoja matka im zrobi, kiedy jej o tym powiedzą – domyśliła się Zannah.

Po przedstawieniu, jakie Zannah dała w sali audiencyjnej, Hetton oznajmił, że chce jej pokazać swoją ogromną kolekcję manuskryptów i artefaktów Sithów. Kolekcja mieściła się w jego wewnętrznym sanktuarium, w odległym skrzydle ogromnej rezydencji. Hetton wydał rozkaz, żeby strażnicy i ochroniarze zostali z tyłu. Podczas wędrówki przez długie

korytarze i ogromne sale pałacu Hetton dla zabicia czasu zaczął jej opowiadać historię swojego życia.

– Moja matka była kobietą silną i onieśmielającą – przyznał Hetton. – Prawdopodobnie nawet służący czuli przed nią duży respekt. Dowiedziała się o mojej wrażliwości na Moc dopiero, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat.

– I jak zareagowała? – zainteresowała się Zannah.

– Potraktowała moje talenty jako narzędzie, którym można by się posłużyć, żeby powiększyć bogactwa naszego rodu – wyjaśnił Hetton. – Nie pałała szczególną sympatią do Jedi... ani nawet do Sithów, jeżeli już o to chodzi... ale postanowiła znaleźć kogoś, kto by mi pomógł w lepszym opanowaniu moich umiejętności. To wszystko działo się na wiele lat przed dojściem do władzy Bractwa Ciemności – przypomniał. – Po różnych dyskretnych przesłuchaniach i wielu wysokich łapówkach zdecydowała się w końcu zatrudnić Durosjanina, Gułę Dwana.

– Został twoim Mistrzem? – zainteresowała się młoda kobieta.

– Nie zasługiwał na tytuł Mistrza – odparł Hetton z lekką goryczą. – Był zwykłym łowcą nagród i skrytobójcą, który miał szczęście urodzić się z umiejętnością korzystania z Mocy. W ciągu swojego życia zdołał zrozumieć tylko najprostsze techniki osiągnięcia potęgi; ograniczało się to do unoszenia w powietrze niewielkich przedmiotów i innych podobnych sztuczek. Nie uznawał nad sobą zwierzchnictwa Sithów ani Jedi. Był lojalny tylko wobec tych, którzy mu dużo płacili, a moją rodzinę stać było, żeby zapłacić mu więcej kredytów niż kiedykolwiek miał nadzieję dostać.

Dotarli do kolejnych wielkich dwuskrzydłowych drzwi, zamkniętych i zablokowanych z przeciwnej strony. Gospodarz wyciągnął rękę, przyłożył dłoń do powierzchni i zamknął oczy. Zannah poczuła łagodny szept Mocy. Zamek szczęknął i drzwi do wewnętrznego sanktuarium Hettona się otworzyły.

Pomieszczenie wyglądało trochę jak biblioteka, trochę jak muzeum. Pod ścianami stały regały z prastarymi manuskryptami i zwojami; były tu też długie szeregowe pudła z taśmami pełnymi danych. W kącie stał stary terminal i monitor z ogromnym ekranem. Przez całą długość sali ciągnęły się rzędy przeszklonych gablot z kolekcją skarbów Sithów, na które Hetton musiał wydać majątek. Były tam dziwne świecące amulety, niewielkie, inkrustowane klejnotami sztylety i niezwykle kamienie, a także kryształy i rękojeści przynajmniej kilkunastu świetlnych mieczy.

– Wskazówki Guli zapewniły mi podstawy, na których mógłbym dalej budować, ale większość mojej wiedzy zdobyłem, czytając zgromadzone w

tym pokoju księgi i manuskrypty – oznajmił z dumą Hetton.

Przechadzali się powoli między gablotami. Zannah dzieliła uwagę między słowa Hettona a intrygujący zbiór artefaktów Sithów. Cały czas wyczuwała słabe promieniowanie potęgi Ciemnej Strony: wyblakłe wspomnienie niesamowitej potęgi, którą kiedyś zawierały.

– Bardzo wcześnie zrozumiałem, że Gula jest głupcem – podjął Hetton. – Ułagałem matkę, żeby wykorzystwała bogactwa i kontakty naszego rodu do rozpoczęcia poszukiwań w galaktyce wszystkich rejestrów, przedmiotów i drobiazgów, które były chociaż pośrednio związane z Ciemną Stroną. Dzięki temu mogłbym kontynuować naukę, nie polegając wyłącznie na wiedzy mojego tak zwanego Mistrza. Jak pewnie się spodziewasz, trafiły do nas przeważnie bezwartościowe śmiecie. W ciągu wielu lat w moim posiadaniu znalazło się jednak wiele rzadkich i cennych przedmiotów.

Hetton podszedł do regałów i pieśczośliwie przeciągnął dłonią po skatalogowanych tomach.

– Uzyskałem dzięki nim wiedzę, która szybko przerosła wiedzę Guli – powiedział. – Kiedy do mojej matki dotarło, że mój tak zwany Mistrz nie przedstawia już dla nas żadnej wartości, kazała go zabić.

Zdumiona Zannah aż zamrugła. Hetton roześmiał się cicho na widok jej reakcji.

– Moja matka była kobietą opętaną przez ambicję i bezlitośnie pragmatyczną – powiedział. – Robiła, co mogła, żeby o moim istnieniu nie dowiedzieli się Sithowie ani Jedi. Gdyby pozwoliła Guli po prostu odejść ze służby, Durosjanin na pewno by rozgadał wielki sekret naszej rodziny.

– A więc musiał umrzeć – domyśliła się Zannah i przyszło jej do głowy, że Bane prawdopodobnie postąpiłby tak samo. Nagle coś ją tknęło i dodała: – To ty go zabiłeś, prawda?

Hetton spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

– Jesteś równie spostrzegawcza, jak potężna – powiedział. – Kiedy moja matka wydała rozkaz zabicia Guli, wykonałem go z radością. Gula stał się kłopotliwą przeszkodą w moich badaniach tajników Ciemnej Strony.

– Mówisz o swojej matce, jakby już nie żyła – zauważyła młoda kobieta. – Co się z nią stało?

Hetton zmrużył oczy i sposepniał.

– Mniej więcej piętnaście lat temu, kiedy Kaan zaczął przyjmować członków do swojego Bractwa Ciemności, moja matka kazała mi się ujawnić i do nich przyłączyć – powiedział. – Wierzyła, że zdołają zniszczyć Republikę, i chciała sprzymierzyć nasz ród ze wschodzącą potęgą w

galaktyce. Nie zgodziłem się jednak dołączyć do Bractwa Kaana. Kaan głosił, że wszyscy, którzy podążą za Ciemną Stroną, będą równi sobie... ot, taka demokracja Sithów. Uznałem jego pomysł za odrażający, bo był zaprzeczeniem wszystkiego, czego się nauczyłem i w co wierzyłem. Mimo to moja matka nadal myślała w kategoriach rządów i politycznych sojuszy. Prowadząc badania nad Ciemną Stroną, wzniosłem się ponad takie przyziemne sprawy, ale matka nie potrafiła pojąć powodów mojego sprzeciwu. W końcu musiałem ją wyeliminować.

Tym razem Zannah nie była zaskoczona.

– Zlekceważyła twoje pragnienia i spróbowała zawrzeć sojusz z Bractwem – oznajmiła, dowodząc w ten sposób, że rozumie, a nawet aprobuje popełnione przez Hettona matkobójstwo. – Sprzeciwiając się tobie, dopuściła się zdrady. Nie miałeś innego wyjścia.

– Otrułem ją we śnie – wyjaśnił mężczyzna tonem usprawiedliwienia. – To była spokojna śmierć. Nie chciałem, żeby cierpiała. Mimo wszystko, nie jestem potworem.

Zapadła krótka cisza. Hetton wspominał to, co zrobił. Wreszcie znów zaczął mówić, kierując Zannah do terminalu danych.

– Po upadku Bractwa i reformacji Zakonu Jedi nabrałem większej śmiałości. Nie tylko szukałem wiedzy i artefaktów pradawnych Sithów, ale zacząłem także kompletować armię swoich zwolenników. Pod sztandarem Separatystów zebrałem grupę o niezwykłych talentach i umiejętnościach, a w końcu przyjąłem ich do służby. Łączyła nas nienawiść do Republiki i do Jedi, ale bałem się wyjawić im prawdziwy cel mojego życia: odrodzenie Sithów! A teraz pojawiłaś się ty – zakończył. Wyjął kartę danych z czytnika terminalu, przed którym stanęli. – Idealne wyczucie czasu.

Zannah nie miała pojęcia, co Hetton chciał przez to powiedzieć, ale zanim zdążyła zapytać, wsunął jej do ręki kartę danych.

– Co to jest? – zapytała.

– Czy wiesz, kim była Belia Darzu? – zapytał Hetton. Zannah pokręciła głową. – To Ciemna Lady Sithów, która władała ponad dwieście lat temu. Była studentką alchemii Sithów i podobno poznała tajemnice *mechu-deru*, umiejętności przekształcania ciał żywych istot w maszyny. Wykorzystała tę potęgę do stworzenia technobestii: organiczno-androidalnych hybryd, które były posłuszne jej woli.

Zannah przypominała sobie mętnie wzmiankę o technobestiach; usłyszała o tym podczas swojej nauki, ale nie pamiętała nazwiska Belii Darzu.

– Podejrzewano, że przed śmiercią kobieta odkryła tajemnicę konstruowania holocronów Sithów – dodał Hetton, a Zannah natychmiast pomyślała o swoim Mistrzu i jego nieudanych próbach zbudowania własnego holocronu.

– W końcu Belia została zdradzona i zamordowana przez swoich wyznawców – ciągnął Hetton. – We wszystkich wersjach tej historii powtarza się znajoma prawidłowość. Podobno po jej śmierci wszystkie tajemnice zaginęły, ale niektórzy uważają, że część jej odkryć jest dotąd ukryta w archiwach jej twierdzy na Tymonie.

– Na Tymonie?! – zawołała Zannah, bo przypomniała sobie tę nazwę. – Czy to nie jedna z planet Głębokiego Jądra?

Głębokim Jądrem nazywano niewielką gromadę gwiazd, rozmieszczonych bardzo blisko siebie wokół czarnej dziury w samym sercu galaktyki. Nazwy planet Głębokiego Jądra – na przykład Tythona – pojawiały się głównie w mitach, legendach czy w niesamowitych opowieściach na wpół szalonych badaczy, którzy twierdzili, że podobno tam byli. Z powodu niestabilnych słońc, wielkich skupisk antymaterii i grawitacyjnych studni tak potężnych, że zakrzywiały kontinuum czasoprzestrzenne, wykreślenie bezpiecznych szlaków do tamtego rejonu było absolutnie niemożliwe.

– Wiem, co myślisz – odezwał się Hetton. – Z początku ja także byłem sceptyczny. Im więcej jednak się dowiadywałem na temat Belii, tym więcej świadectw znajdowałem na poparcie teorii, że jej twierdza znajdowała się rzeczywiście na Tythonie.

– Nawet jeżeli to prawda, nikt nie ma pojęcia, jak się tam dostać – zaprotestowała Zannah.

– Ja mam – oznajmił Hetton z chytrym uśmiechem. – Podczas moich badań odkryłem współrzędne dawno zapomnianego szlaku nadprzestrzennego, wiodącego do Głębokiego Jądra. Nigdy jednak bym się nie ośmielił udać na taką wyprawę, w obawie, że systemy obronne twierdzy Belii okażą się niemożliwe do pokonania. A teraz spotkałem ciebie.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego ze mną? – zdziwiła się Zannah.

– Od wielu lat badam Ciemną Stronę, ale osiągnąłem kres swojej potęgi – wyznał Hetton. – O własnych siłach nie nauczę się niczego więcej. Potrzebuję nowego nauczyciela... który potrafiłby przeniknąć do systemów obronnych fortecy Belii i upomnieć się o jej tajemnice.

– Chcesz zostać moim uczniem? – zapytała z niedowierzaniem Zannah.

– Wszystko, co wiem o Belii Darzu, nie wyłączając współrzędnych

nadprzestrzennego szlaku na Tythona, można znaleźć na tej karcie danych – powiedział szybko Hetton. – Wręczam ci ją na znak szacunku i podziwu oraz jako dowód, że traktuję poważnie moją propozycję.

– Masz przynajmniej dwa razy tyle lat co ja! – zawołała zdumiona dziewczyna. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w dziwny obrót, jaki przybrały sprawy.

– Jeżeli chodzi o władanie Mocą, wiek nie ma żadnego znaczenia – zapewnił ją Hetton. – Twoja potęga jest o wiele większa niż moja. Proszę cię, żebyś mnie nauczyła sposobów Ciemnej Strony. W zamian ofiaruję ci dostęp do całej wiedzy, którą zdobyłem w ciągu ostatnich trzydziestu lat moich poszukiwań.

– Sama jestem zaledwie uczennicą – wyznała Zannah. – A mój Mistrz raczej nas zabije, niż zgodzi się przyjąć twoją propozycję. Jeżeli Sithowie mają przetrwać, równocześnie mogą żyć tylko jeden Mistrz i jeden uczeń.

– To jak się odradza linia Sithów? – zapytał zaintrygowany mężczyzna.

– Kiedy prześcignę mojego Mistrza, zabiję go i zajmę jego miejsce – wyjaśniła Zannah, przekazując bez zastanowienia pewnik, który Bane wbijał jej do głowy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. – A potem znajdę własnego ucznia, żeby podtrzymywać dziedzictwo Ciemnej Strony.

Hetton zastanowił się nad tym, co usłyszał.

– Może ten czas już nadszedł – odezwał się po chwili. – Razem moglibyśmy zakończyć okres rządów twojego Mistrza.

Zannah się zaśmiała, rozbawiona tą propozycją. Hetton zmrużył oczy, zaskoczony jej reakcją.

– Mam do dyspozycji więcej środków, niż przypuszczasz – powiedział. Podniósł rękę i pstryknął palcami.

Obok niego wyrosli jak spod ziemi dwaj ubrani w czerwone płaszcze ochroniarze. Zannah sięgnęła po świetlny miecz, podejrzewając pułapkę. Nie miała pojęcia, skąd się tak nagle pojawili. Nawet jeżeli czekali w pobliżu zamaskowani, powinna była wyczuć ich obecność dzięki Mocą.

Strażnicy nie zamierzali jednak atakować, więc Zannah znów się odprężyła i spojrzała pytająco na Hettona.

– Mówiłem ci już, że zwerbowałem kilka osób o niezwykłych talentach – wyjaśnił mężczyzna. – Jest wśród nich ośmiu byłych studentów Akademii Sithów na Umbarze.

Dzięki naukom Bane'a Zannah wiedziała, że studenci umbarańskiej Akademii są szkoleni w sztuce bezgłośnego poruszania się i zabijania. Posługują się Mocą, żeby zamaskować swoją obecność przed wszystkimi

sposobami wykrywania. To właśnie dlatego Zannah nie wyczuła ich obecności w pokoju.

– Jeżeli zgodzisz się na moją propozycję i przyjmiesz mnie na ucznia, moi ochroniarze także złożą ci przysięgę na wierność – powiedział Hetton. – Będziesz mieć na swoje rozkazy drużynę ośmiu niemożliwych do wykrycia bezwzględnych zabójców. Zannah postanowiła przemyśleć tę propozycję.

– Nie możemy ryzykować, że Jedi dowiedzą się o naszym istnieniu – oznajmiła w końcu. – Jeżeli chcesz być moim uczniem, musisz zostawić to wszystko za sobą.

– I tak nie mógłbym tu zostać – przypomniał Hetton. – Niedługo Wielkie Rody odkryją, że to ja jestem założycielem Antyrepublikańskiego Frontu Wyzwolenia. Skonfiskują mój majątek i uznają mnie za zdrajcę. Właśnie jestem w trakcie przekazywania zasobów mojej biblioteki na karty danych, bo przygotowuję się do ucieczki.

Zannah zaczęła porównywać w myśli wszystko, co wiedziała o sile i potędze Dartha Bane'a, z Hettonem i jego ośmioma Mrocznymi Skrytobójcami. Próbowała zdecydować, która strona mogłaby wygrać w nieuniknionej konfrontacji. W końcu stwierdziła, że nie może tego przewidzieć... ale bardzo chciała się tego dowiedzieć.

– Jak szybko ty i twoi zabójcy możecie być gotowi? – zapytała.

– Możemy stąd odlecieć za godzinę.

– A kiedy Bane zginie, polecimy na Tythona?

– Jeżeli takie będzie twoje życzenie, Mistrzynie – odparł Hetton i skłonił się przed nią.

ROZDZIAŁ 15

Na Ambrii zapadła noc, ale Bane nie zamierzał spać. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w zrujnowanym obozie i czekał, aż Zannah wróci z nowymi zapasami. Czekał, medytował o ostatniej porażce podczas próby skonstruowania holocronu.

Wyglądało na to, że problem nie ma prostego rozwiązania. Jeżeli wymagał od siebie zbyt wiele, zdradzało go ciało, przez co popełniał błędy podczas dokonywania precyzyjnych poprawek matrycy holocronu. Jeżeli się nie spieszył, oszczędzając siły, nie dawał rady dokończyć, bo poznawcza matryca się degradowała. Oba te czynniki były nie do pogodzenia, więc Bane natężył umysł, żeby znaleźć sposób zrównoważenia wymagań, jakie nakładały na niego czas i zmęczenie.

Podczas ostatniej próby zużył swoją potęgę niemal bez reszty i znalazł się na skraju całkowitego wyczerpania. Gdyby nawet nie popełnił krytycznego błędu, po którym matryca się rozpadła, bardzo wątpił, czy zdążyłby dokonać ostatecznych poprawek. Im dłużej się zastanawiał nad całym procesem, tym większą czuł frustrację. Poniósł klęskę, bo nie dał rady ukończyć pracy w wyznaczonym czasie i nie starczyło mu energii, żeby ukończyć zadanie bez popełnienia błędu.

Możliwe, że cały proces zawiera jeszcze jedną tajemnicę, której on nie znał. Może gdyby się tego dowiedział, w końcu pozwoliłoby mu to skonstruować własny holocron i dzięki temu przekazać mądrość i wiedzę swojej następczyni. A może sam był winien swojej porażki? Może po prostu nie miał dość energii? Może jego władza nad Ciemną Stroną była mniejsza niż władza pradawnych Lordów Sithów, takich jak Freedon Nadd?

Myśl była niepokojąca, ale Bane musiał się nad tym zastanowić. Czytał historie o Wielkich Lordach Sithów. Wielu z nich dokonywało czynów niemal zbyt niesamowitych, żeby w nie uwierzyć. A jeśli nawet te historie były prawdziwe, jeśli niektórzy z jego poprzedników potrafili posługiwać się Ciemną Stroną, żeby niszczyć całe planety albo wywoływać eksplozje słońc – Bane wyczuwał, że on swoją potęgą dorównuje przynajmniej tym, którzy pomyślnie konstruowali własne holocrony.

Ciekawe, ile mojej potęgi tracę z powodu pasożytów, które roją się na moim ciele? – zastanawiał się.

Nie wiedział, dlaczego to pytanie przyszło mu do głowy. Chyba podsunęła mu je jego uczennica. To Zannah okazała niepokój z powodu wpływu, jaki orbaliski mogą wywierać na jego organizm. Możliwe, że miała rację.

Zawsze uważał, że ujemne strony obecności orbalisków – nieustanny ból, odrażający wygląd – są z nawiązką równoważone przez to, że orbaliski go wzmacniają i chronią przed ciosami większości rodzajów broni. Teraz jednak Bane zaczynał w to wątpić. Mógł wprawdzie dzięki pasożytom okazjonalnie zwiększać zakres swoich umiejętności, ale na dłuższą metę orbaliski mogły go rzeczywiście osłabiać. Cały czas przecież żywiły się energią Ciemnej Strony, która przepływała przez jego ciało. Czy to możliwe, że przez te dziesięć lat od chwili zainfekowania jego umiejętność czerpania potęgi z Mocy po prostu się zmniejszyła?

Kiedyś odrzuciłby od razu taki pomysł, ale nieustanne porażki przy holocronach zmusiły go do nowej oceny swojego symbiotycznego związku z dziwnymi stworzeniami. Wyczuwał po prostu, jak się pożywiają płynącą w jego żyłach energią Mocy.

Orbaliski niespodziewanie zaczęły okazywać podniecenie. Bane wyczuł ich nienasycony głód, narastający w odpowiedzi na bliską obecność innego źródła potęgi Ciemnej Strony.

Rozejrzał się po okolicy w nadziei, że zobaczy Zannah, wracającą do obozu w blasku księżyca w pełni. Nie zobaczył jednak i nie wyczuł niczego... nawet niewielkich zwierząt czy owadów, które szukały nocą żeru. Świadomość otaczającego go świata została nagle w dziwny sposób zniekształcona.

Zerwał się na nogi, odpiął rękojeść świetlnego miecza i z sykiem wysunął energetyczną klingę. Okolicę oświetliła eksplozja jaskrawego czerwonego blasku, który rozjaśnił ciemności i skasował kamuflaż osłaniający jego niewidocznych wrogów.

Obóz otaczało osiem postaci w czerwonych płaszczach. Bane nie mógłby ich rozpoznać, bo ich twarze były zakryte hełmami. Każda z tych osób trzymała długi metalowy pręt, w którym Mistrz Sithów rozpoznał pikę mocy, tradycyjny oręż Umbarańskich Mrocznych Skrytobójców.

Specjalnie szkoleni w sztuce zabijania wrażliwych na Moc przeciwników, Mroczni Skrytobójcy chętnie stosowali kamuflaż i atakowali z zaskoczenia. Ujawnieni dzięki eksplozji energii Bane'a, zorientowali się nagle, że ich

najpotężniejsza broń – zaskoczenie – przepadła. Było ich ośmiu, ale Bane nie wahał się ani chwili.

Skoczył naprzód i zaatakował pierwszą ubraną w czerwony płaszcz osobę, zanim miała okazję zareagować. Pojedynczym machnięciem klingi świetlnego miecza przeciął delikwenta dosłownie w połowie.

Pozostali rzucili się na niego z wyciągniętymi pikami mocy, uwalniając zmagazynowany w nich śmiertcionośny ładunek elektryczny. Bane nie zadał sobie trudu parowania ciosów. Licząc na to, że pancerz z orbalisków go ochroni, poświęcił się wyłącznie atakowaniu.

Jego nieoczekiwana taktyka zupełnie zaskoczyła dwóch ze skrytobójców. Szerokimi cięciami świetlnego miecza Bane po prostu ich wypatroszył.

Pozostałych pięciu zabójców zaatakowało Bane'a niemal jednocześnie, a ich piki mocy posłały przez jego ciało napięcie miliona woltów. Większość ładunku pochłonęły orbaliski, ale reszty wystarczyło na szok, po którym Bane zadrżał gwałtownie.

Po chwili się zachwiał i osunął na kolana. Tymczasem skrytobójcy, zamiast z nim skończyć, po prostu skamienieli. Tak bardzo ich zdumiało, że ktoś mniejszy niż bantha wytrzymał cios nastawionej na maksymalny ładunek piki mocy – a co dopiero pięciu pik naraz – że nie byli w stanie się ruszyć. Dało to Bane'owi niezbędną chwilę, żeby otrząsnąć się i wstać, co jeszcze bardziej przerażyło jego przeciwników.

– Zannah nie pomyliła się co do ciebie – odezwał się nagle ktoś za plecami Bane'a.

Mistrz Sithów odwrócił się gwałtownie i zobaczył niskiego, mniej więcej pięćdziesięcioletniego, ubranego na czarno mężczyznę w odległym końcu obozu. Był uzbrojony w świetlny miecz z zapaloną zieloną klingą, ale po sposobie, w jaki trzymał rękojeść, widać było, że nigdy się nie szkolił we władaniu tą egzotyczną bronią.

Obok mężczyzny stała uczennica Bane'a. Jej miecz świetlny nie był zapalony.

Bane warknął gniewnie, oburzony zdradą, a jego narastający gniew podsyciły substancje sączone przez orbaliski.

– Dzisiaj zginesz, Darthu Banie – przemówił mężczyzna i rzucił się do ataku.

W tej samej chwili Lorda Sithów zaatakowało pięciu pozostałych zabójców w czerwonych płaszczach. Bane odwrócił się i wyciągnął ku nim rękę, żeby smagnąć ich potęgą Ciemnej Strony. Podobnie jak Jedi i Sithowie, jedną z pierwszych technik, której uczyli się Mroczni Skrytobójcy, było

tworzenie bariery Mocy. Potrafili stworzyć wokół siebie ochronne pole niwelujące ataki Mocą przeciwników. Jeżeli jednak ten przeciwnik był wystarczająco potężny, jego skoncentrowane pchnięcie mogło przełamać tę barierę. Darth Bane, Ciemny Lord Sithów, był jednak dostatecznie potężny.

Dwaj zabójcy, jak podcięci, runęli nagle na wznak. Dwaj inni, trochę mniej wrażliwi na potęgę Bane'a, odskoczyli do tyłu. Jedynie piąty okazał się dość silny, żeby oprzeć się potędze Lorda Sithów i kontynuować atak.

Pozbawiony wsparcia kompanów, stał się samotnym celem gniewu Mistrza Sithów. Niezdolny do obrony przed dzikimi sekwencjami ciosów, cięć i pchnięć jego świetlnego miecza, padł już po kilku sekundach, śmiertelnie ranny.

Czterej pozostali przy życiu napastnicy z trudem dźwigali się na nogi; Bane odwrócił się do ich przywódcy. Mężczyzna w czerni zachował się rozsądnie – cały czas gromadził energię Mocy. Kiedy Bane podszedł do niego, nieznajomy uwolnił ją w pojedynczej, długiej błyskawicy niebieskofioletowego wyładowania. Bane przechwycił błyskawicę na klingę swojego miecza tak, żeby ostrze pochłonęło jej energię. W odpowiedzi posłał burzę kilkunastu wyładowań, które pomknęły łukami w kierunku celu i dotarły do niego ze wszystkich stron naraz.

Nieznajomy skoczył wysoko w powietrze i zrobił salto do tyłu, żeby uniknąć śmiertelnie niebezpiecznego ładunku elektrycznego. Wylądował dziesięć metrów dalej, a tam, gdzie stał przed chwilą, widniał krater.

– Zannah! – wrzasnął mężczyzna. – Zrób coś!

Uczennica Bane'a jednak ani drgnęła. Po prostu stała z boku, jakby czekała na okazję, obserwując rozwój sytuacji.

Skrytobójcy skoczyli znów ku Lordowi Sithów, ale tym razem Bane nie odepchnął ich Mocą. Jego ciało stało się przewodnikiem i wchłonęło całą potęgę Ciemnej Strony. Zakreślił się niczym powietrzny wir; klinga jego miecza posiekała nieprzyjaciół w mgnieniu oka.

Jeden z nich zdążył zadać pojedynczy cios piką mocy, zanim Bane rozplątał mu gardło, niemal obcinając głowę. Napędzany przez wściekłość i furję, Bane strząsnął elektryczny ładunek z ciała jak rankor robaka venn, który go ukąsił.

Znowu zwrócił uwagę na mężczyznę w czerni. Podszedł powoli do przeciwnika, który stał jak skamieniały, najwyraźniej świadomy bliskiej śmierci.

– Zannah! – wrzasnął rozpaczliwie, trzymając świetlny miecz pionowo przed sobą jak talizman, który miał odstraszyć zbliżającego się demona. –

Mistrzynie! Pomóż mi!

Bane machnął swoim mieczem z góry na dół i odciął prawą rękę przeciwnika na wysokości łokcia. Nieznajomy zawył i runął na kolana. Zaraz jednak umilkł, bo Bane wymierzył mu cios w pierś z taką siłą, że klinga wyszła z drugiej strony tuż pod łopatką.

Bane wyłączył energetyczne ostrze, a martwy starszy mężczyzna osunął się na grunt. Ciemny Lord odwrócił się do swojej uczennicy.

Zannah nawet się nie poruszyła. Cały czas go obserwowała.

– Zdradziłaś mnie! – ryknął Mistrz Sithów i skoczył ku niej.

Młoda kobieta obserwowała przebieg bitwy z dużym zainteresowaniem. Zwracała uwagę na taktykę i sposoby walki Bane'a i starała się zapamiętać je, żeby wykorzystać w przyszłości. Jak się spodziewała, Mistrz bez trudu rozprawił się z Hettonem i jego pachołkami... chociaż na początku bitwy jego zwycięstwo wcale nie było przesądzone. Wyglądało na to, że orbaliski nie najlepiej sobie radzą z ochroną przed ładunkiem elektrycznym pik mocy... kolejny fakt, który musiała zapamiętać.

Kiedy bitwa dobiegła końca, Mistrz odwrócił się do niej. Zannah czekała, kiedy zażąda wyjaśnień, ale Bane wydał tylko dziki okrzyk i rzucił się do ataku. Zannah miała tylko tyle czasu, żeby zapalić bliźniacze klingi świetlnego miecza i próbować odeprzeć jego nieoczekiwany atak.

Przyjęła postawę obronną, jak często robiła podczas ćwiczeń, tyle że tym razem to nie były ćwiczenia. Mistrz rzucił się na nią z szybkością i zaciekłością, z jakimi się jeszcze nigdy nie spotkała. Ulegając podsycanej przez orbaliski żądzy mordy, zachowywał się jak dzikie zwierzę. Zadawał zaciekle ciosy pod wszystkimi możliwymi kątami tak szybko, jakby władał równocześnie kilkunastoma mieczami. Zannah, zepchnięta do obrony, cofała się rozpaczliwie przed jego atakami.

– Nie zdradziłam cię, Mistrzu! – krzyknęła w nadziei, że Bane oprzytomnieje, zanim posieka ją na kawałki. – Zwabiłam tu Hettona, żebyś mógł go zabić!

Kucnęła pod poziomym cięciem klingi broni Mistrza, który przy okazji kopnął ją w zębra. Zannah odtoczyła się do tyłu i niemal cudem uniknęła powrotnego ciosu. Sparowała spadający na nią cios, podkurczyła nogi i wyskoczyła w powietrze. Wykonała salto w tył i opadła dziesięć metrów od przeciwnika.

– Posłuchaj mnie, Mistrzu! – zawołała, korzystając z tego, że dzieli ich większa odległość – Gdybym zamierzała cię zdradzić, to chyba bym im nie pomogła podczas... auuu!

Bane zaatakował ją potężnym ciosem Mocy, aż młoda kobieta potoczyła się do tyłu. Tylko bariera, którą instynktownie postawiła przed sobą w ostatniej sekundzie, ocaliła ją od połamania kości.

Zerwała się na nogi i zaczęła kręcić przed sobą młynka klingami świetlnego miecza; miała nadzieję, że stanie się to nieprzeniknionym murem obronnym. Tymczasem, zamiast forsować jej obronę, Bane wyskoczył wysoko w powietrze i teraz spadał prosto na jej głowę. Zannah umiejętnie sparowała jego cios i natychmiast uskoczyła w bok, żeby Bane się z nią nie zderzył. Za późno. Mistrz Sithów lądując, uderzył ją łokciem w szczękę tak mocno, że głowa odskoczyła jej do tyłu. Ciało dziewczyny zwiotczało, miecz wypadł z pozbawionych czucia palców, a ona sama osunęła się na ziemię.

Najpierw widziała tylko gwiazdy. Kiedy odzyskała ostrość spojrzenia, zobaczyła górującą nad nią postać Dartha Bane'a, który unosił klingę do zadania ostatecznego ciosu.

– Zrobiłam to tylko dla ciebie, Mistrzu – wychrypiała, ignorując pulsujący ból w szczęce. – Chciałam przekazać ci klucz do skonstruowania holocronu!

Bane zawahał się chwilę. Jej słowa w końcu przedarły się przez szaleństwo, któremu pozwolił się opanować. Spojrzał z góry na dziewczynę; żądza mordu już go opuściła.

– Naprawdę zrobiłaś to dla mnie? – zapytał z niedowierzaniem.

Zannah pokiwała energicznie głową, chociaż świat wokół niej znów zawirował.

– Hetton zorientował się, że jestem prawdziwym Sithem – wyjaśniła. – Musiałam wymyślić coś, żeby go wyeliminować... a przy okazji także jego sługusów, aby zachować fakt naszego istnienia w tajemnicy.

– A zatem przyprowadziłaś go tutaj, żeby urządził na mnie zasadzkę – stwierdził z jawnym sceptycyzmem Darth Bane.

– Musiałam zdobyć jego zaufanie – powiedziała szybko uczennica i sięgnęła między fałdy ubrania, żeby wyciągnąć kartę danych, którą dostała od Hettona. – Chciałam go nakłonić do przekazania mi tej karty... specjalnie dla ciebie.

Podawała kartę danych Mistrzowi, szczęśliwa, że jakimś cudem przeżyła pojedynek. Mistrz Sithów pochylił się i wyjął kartę z jej palców. Opuścił i zgasił klingę świetlnego miecza.

Lekko skinął głową i cofnął się, żeby jego uczennica mogła wstać. Zannah przywołała do dłoni swój świetlny miecz, który leżał na ziemi, i powoli się podniosła. W głowie jej wciąż jeszcze się kręciło od ciosu łokciem

w szczękę, więc lekko się zachwiała.

– Wiedziałam, że masz dość siły, aby ich pokonać, Mistrzu – powiedziała.

– To właśnie dlatego nie pospieszyłam ci na pomoc podczas bitwy.

– A gdybyś się pomyliła? – zapytał cicho groźnym tonem Bane. – Gdyby jakimś cudem udało im się mnie zabić?

– To by oznaczało, że jesteś słaby i nie zasługujesz na tytuł Ciemnego Lorda Sithów – odparła śmiało Zannah. – Znaczyłoby także, że zasługiwałeś na śmierć.

– Dokładnie – mruknął Bane ze znajomym ponurym uśmiechem. Zannah zrozumiała, że Mistrz jest z niej zadowolony.

ROZDZIAŁ 16

Siarczasta zima była wciąż jeszcze nowym – i niebyt mile widzianym – zjawiskiem na Ruusanie. Kiedyś planeta miała umiarkowany klimat, kontrolowany i wyrównywany przez rozległe lasy borealowe, porastające większą część powierzchni Ruusana. Podczas długiego konfliktu między Bractwem Ciemności a Armią Światła zniszczono jednak miliony hektarów starych drzew, a ogromne przestrzenie północnej półkuli zmieniły się w opustoszałe nieużytki.

Te dramatyczne zmiany krajobrazu planety mogłyby nie wystarczyć, żeby tak bardzo zmienić klimat Ruusana. Problem w tym, że naraziło to planetę na straszliwe zniszczenia w wyniku eksplozji bomby myśli. Po wybuchu ostatecznej broni Kaana powstał potężny splot Mocy – niewidzialny wir energii Ciemnej i Jasnej Strony, zdolny do wywołania nieodwracalnych zmian na planecie.

Po tym kataklizmie nawet tam, gdzie lasy wciąż rosły, śnieg – rzadko widywany przez wiele poprzednich pokoleń – zaczął pojawiać się co roku. Srogie zimy zazwyczaj trwały kilka miesięcy i wywierały zgubny wpływ na ekosystem, który rozwinął się w klimacie o wiele łagodniejszym. Niektóre okazy flory i fauny na Ruusanie – tak jak ludzie, którzy wciąż jeszcze tu mieszkali – potrafiły się przystosować do zmienionych warunków klimatycznych. Inne po prostu wyginęły.

W ciągu wielu lat pobytu na planecie Darovit nauczył się, że istnieją trzy zasady przeżycia w bezlitosnym chłdzie. Pierwszą było wkładanie wielu warstw ubrania, jedna na drugą. Płaszcz z kapturem, który miał teraz na sobie, podarował mu farmer, którego uleczył z paskudnego przypadku gnilnej grzybicy. Gruby sweter dostał od górnika, któremu uleczył stopę; górnik przypadkiem ją zmiął pneumatycznym podnośnikiem. Prawdę mówiąc, każdą część ubrania – koszulę z długimi rękawami, grube spodnie, ciepłe buty, podszytą futerkiem rękawicę na lewej dłoni i specjalnie uszyty mankiet, okrywający kikut prawej ręki – Darovit dostał od tubylców, którzy przybywali do jego samotni, żeby szukać pomocy u „Uzdrowiającego Pustelnika”.

Drugą zasadą przetrwania zimowego wichru i śniegu było pilnowanie, żeby ubranie było suche. Darovit nauczył się obserwować niebo i szukać schronienia przy najlżejszym podejrzeniu, że zanosi się na opady. Dobrze wiedział, że jeżeli ubranie zmoknie, ciało ulegnie wychłodzeniu, zanim zdąży znaleźć kogoś, kto udzieli mu pomocy. To była jedna z niedogodności samotnego życia w głębi lasu, ale Darovit za bardzo się przyzwyczyił do niezależności, żeby zimą z niej rezygnować.

Przez pierwsze lata pobytu na Ruusanie był wędrownym włóczęgą. Przemierzając tereny między niewielkimi, rozrzuconymi tu i ówdzie osadami, badał dzikie pustkowia Ruusana. Kiedy już nauczył się polować i zaopatrywać w żywność, stracił powód, żeby zapuszczać się do wiosek i miasteczek, które spotykał na swojej drodze.

Sześć lat wcześniej znudziła mu się egzystencja włóczęgi. Znalazł w leśnej głuszy odpowiednie miejsce pod ogromną kępą drzew i zbudował tam z gałęzi i mułu prostą chatę. Domostwo dawało mu poczucie stabilności, a zarazem pozwalało się cieszyć wewnętrznym spokojem, jaki znalazł w narzuconym sobie odosobnieniu.

W promieniu dziesięciu kilometrów od chaty nie było osad ludzkich i nawet najbliższa kolonia skoczków znajdowała się niemal pięć kilometrów dalej. To nie oznaczało jednak, że nie miewał gości. Dzięki naukom skoczków i własnemu doświadczeniu, zdobytemu podczas podróży w latach dzieciństwa, poznał uzdrowicielską moc wielu ziół i innych skarbów przyrody. Trzy albo cztery razy w miesiącu odwiedzał go ktoś błagający, żeby uleczył jakąś jego dolegliwość albo ranę. Darovit nigdy nie odsyłał nikogo z kwitkiem i prosił tylko, żeby w zamian uszanować jego prywatność... W dowód wdzięczności pacjenci często przynosili mu drobne dary, na przykład ubrania, które teraz nosił.

Trzecią zasadą przetrwania bezlitosnych zim Ruusana było powstrzymanie się od podróżowania w nocy. Śmiertelnie niskie temperatury, możliwość zabłądzenia i niezalezienia schronienia, a nawet polujące nocą drapieżniki... jednym słowem podróżowanie po zachodzie słońca stawało się tyleż niebezpieczne, co nierozsądne.

Mimo to Darovit brnął mozolnie przez noc, wsłuchując się w skrzypienie przewianego wiatrem śniegu pod butami. Wiele godzin wcześniej pozostawił ciepło swojej chaty, żeby się przekonać, czy usłyszane od ostatnich pacjentów plotki mają coś wspólnego z prawdą.

„Darovit zły?”

– Nie – szepnął do unoszącego się nad nim niewielkiego skoczka o

zielonej sierści. – Tylko zaintrygowany.

Z powodów, których wciąż jeszcze nie rozumiał, skoczki były nim zafascynowane. W dzień zawsze dwa albo trzy krążyły w powietrzu nad jego chatą. Za każdym razem, kiedy wychodził, towarzyszyło mu przynajmniej jedno niezwykle stworzenie.

Może czuły się odpowiedzialne za jego bezpieczeństwo, od kiedy uratowały go z jaskini bomby myśli? A może przyciągało je do niego wspólne zamiłowanie: skoczki łagodziły psychiczną udrękę cierpiących osób, Darovit zaś dzielił się swoimi uzdrowicielskimi talentami ze wszystkimi, którzy zgłaszali się do niego po pomoc? A może skoczki uważały, że jest zabawny, chociaż Darovit nie wiedział, czy w ogóle mają poczucie humoru.

Szybko się przyzwyczyił do ich nieustannego towarzystwa. Były łagodnymi, niekrepującymi towarzyszami i chyba wyczuwały, kiedy jest w nastroju do rozmowy, a kiedy po prostu chce być sam ze swoimi myślami. Na ogół ich obecność go uspokajała, chociaż niektóre skoczki koły jego duszę lepiej niż inne. Towarzysząca mu teraz młoda istota płci żeńskiej, Yuun, była bardziej skłonna do rozmów niż inni jej ziomkowie.

„Darovit teraz dom?”

– Jeszcze nie – szepnął w odpowiedzi.

Dwie z ruusańskich Trzech Sióstr – księżyców – były właśnie w pełni, a ich światło odbijało się od srebrzystej warstwy szronu i białego całunu śniegu, który napadał w ciągu kilku poprzednich tygodni. Darovit kucnął przy niewielkim zagajniku, oparł się na lasce i kikutem prawej ręki odsunął na bok gałęzie. Zamierzał obserwować okolicę, a nie chciał, żeby go ktoś zobaczył. Przyglądając się scenie przed sobą przez wydychane chmurki pary, upewnił się, że plotki były prawdziwe: na Ruusana rzeczywiście powrócili Jedi!

Kiedy pierwszy pacjent mu powiedział, że Republika zamierza wznieść pomnik dla uczczenia tych, którzy polegli na Ruusanie, prychnął szyderczo. Doszedł do wniosku, że realizacja takiego przedsięwzięcia dzisiaj, dziesięć lat po tamtych wydarzeniach, po prostu nie ma sensu. Tymczasem to, co teraz zobaczył...

Kawał gruntu na skraju lasu oczyszczono ze śniegu, odsłaniając zamarznąłą, porośniętą niskimi krzakami glebę. Cały teren oznaczono palikami i mierniczymi łańcuchami, a w jednym miejscu rozpoczęły się już nawet prace ziemne. Usuwanie gleby pod fundament pomnika i pozostawione przez roboty konstrukcyjne głębokie bruzdy Darovit potraktował jak rany zadane samej planecie.

W różnych miejscach budowy ustawiono kilkadziesiąt dużych kamieni, po jednym z rodzinnej planety każdego zabitego Jedi, których ten pomnik miał unieśmiertelnić. Dla Darovita te obce kamienie wyglądały jak Wookie w tłumie Jawów: niepożądani intruzi, którzy plugawili krajobraz Ruusana.

– Nie mają prawa tu być – szepnął gniewnie.

„Nikogo nie krzywdzą”, zasugerowała Yuun.

– Ta ziemia dopiero zaczyna dochodzić do siebie po ich parszywej wojnie – odparł Darovit. – Całą dekadę zajęło ludziom zapomnienie o tamtych okropnych czasach. A teraz Jedi chcą rozdrapywać stare rany.

„Senat zatwierdził. Nie Jedi”.

– Nie obchodzi mnie oficjalna wersja tej historii – burknął Darovit. – Wiem, że za tym wszystkim stoją Jedi. Wynikną z tego kłopoty.

„Kłopoty?”

Yuun była zbyt młoda, żeby pamiętać wojnę, która spustoszyła jej planetę. Nie oglądała bezsensownej śmierci i cierpienia, po których setki kolonii skoczków ogarnęło szaleństwo. Poranione skoczki wysyłały przepiękne bólem i udręką myśli. Atakowały, a nawet zabijały inne żyjące stworzenia, dopóki nie wymordowały ich specjalnie w tym celu wysłane grupki Jedi.

– Jedi i ich wojna o mało nie zniszczyły Ruusana – tłumaczył Darovit. – Zginęły tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, lasy spłonęły, a na istoty waszej rasy urządzano polowania, dopóki prawie ich nie wytępiono.

„Sithowie rozpoczęli wojnę”.

– Sithowie nie mogli przecież zacząć wojny sami z sobą – oznajmił Darovit. – Musieli mieć kogoś, z kim mogliby walczyć, a Hoth nadzwyczaj chętnie rzucił do walki z nimi swoich zwolenników. – Urwał, zastanawiając się, ile skoczki – a zwłaszcza Yuun – mogą wiedzieć o przeszłości. – Obie strony zawiniły tak samo – podsumował.

„Darovit ma wyrzuty sumienia”.

To było bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Możliwe – odparł młodzieniec, opierając się na lasce. – Przypuszczam jednak, że w ślad za Jedi zawsze podążają kłopoty. A ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i tylko się przyglądać, jak drugi raz niszczą tę planetę.

Jeżeli nie liczyć konstrukcyjnych robotów, miejsce budowy było opustoszałe, bo robotnicy pracowali tylko we dnie. Kuląc się i podpierając laską, Darovit wyszedł spomiędzy drzew.

„Spokój. Pokój” – wysłała w ślad za nim Yuun, próbując uśmierzyć jego

gniew. Nie była jednak dość odważna, żeby podążyć za nim na otwarty teren, a on ignorował jej prośbę, dopóki nie znalazł się poza granicą telepatycznej łączności. Nie był silny Mocą i właśnie to było jednym z powodów, dla których nie udało mu się przyłączyć do Jedi czy do Sithów. Wykazywał jednak niewielką wrażliwość na Moc i to wystarczyło, żeby przeczołgać się przez teren budowy, nie dając się wykryć półinteligentnym automatom konstrukcyjnym.

Robotów tych używano do najprostszych zadań. Większość pracy przy wznoszeniu pomnika wykonywali robotnicy, używając ciężkiego sprzętu i repulsorowych sań. Darovit szybko dotarł do najbliższych takich sań i kucnął za nimi. Teraz nie mógł go zauważyć żaden robot.

Przyszedł tu dobrze przygotowany. W kieszeniach długiego płaszcza miał duży zapas sproszkowanych korzeni tass i dwie garście pokruszonych płatków kwiatów winorośli scintil. Obie te substancje oddzielnie były nieszkodliwe, ale kiedy się je zmieszało na mokro, wchodziły ze sobą w zaskakującą reakcję.

Darovit otworzył lewą ręką panel remontowy tuż pod skrzynką sterowniczą i wcisnął cztery płatki scintila do uzwojeń cewek repulsorów. Rozsypał na płatkach szczyptę sproszkowanego korzenia tass, po czym się schylił, wziął z ziemi garść śniegu i pozwolił, żeby stopił się na jego rękawicy. Kroplami wody spryskał mieszaninę.

Usłyszał cichy syk i poczuł ostrą woń kwasu, kiedy żrąca teraz substancja zaczęła powoli przegryzać uzwojenia cewek. Darovit zamknął z cichym trzaskiem klapkę panelu remontowego i zauważył, że spod maszyny wydobywają się smugi brązowozielonego dymu.

Następną godzinę spędził, przekradając się od sań do sań i zamierając w bezruchu, kiedy w pobliżu przechodziły konstrukcyjne roboty, które – dzięki zmienionemu oprogramowaniu – w ogóle nie zwracały uwagi na wandalę na placu budowy. Zanim Darovit wrócił na miejsce, gdzie czekała na niego Yuun, unieruchomił wszystkie sanie repulsorowe.

„Tymczasowe rozwiązanie. Sprowadzą inne”, zapewniła go mała towarzyska.

– Repulsorowe cewki są kosztowne – przypomniał Darovit. – I zawsze poszukiwane. Powinni na to stracić przynajmniej tydzień.

„A co potem?”

– Mam w zanadrzu kilka innych sztuczek dla naszych przyjaciół Jedi – zapewnił Darovit. – To był tylko początek.

„Wkrótce świt. Darovit teraz dom?”

Młodzieniec powiódł spojrzeniem po okolicy i zobaczył słaby blask pierwszego z dwóch ruusańskich słońc, które miało niebawem wychynąć zza horyzontu.

– Dom – potwierdził cicho.

Od chwili, kiedy Zannah przekazała swojemu Mistrzowi kartę danych, przedtem o mało nie tracąc życia, upłynęły trzy tygodnie. Bane wykorzystał ten czas do uważnego zapoznania się z zawartością karty danych. Analizował wszystkie informacje, które Hetton zgromadził o Belii Darzu, i porównywał je z informacjami ze swoich źródeł. Sprawdzał wszystko, co mógł, a co przydałoby wiarygodności poszukiwaniom Hettona. Teraz był już pewny, że to, co starszy arystokrata odkrył, jest prawdą.

Doświadczenia Belii w dziedzinie alchemii Sithów ujawniły tajemnice, które pozwoliły jej się otoczyć armią technobestii. Najważniejsze jednak, przynajmniej z punktu widzenia Bane'a, było to, że Belia pomyślnie skonstruowała własny holocron. Istniały mocne dowody na poparcie tezy, że stworzony przez nią artefakt – skarbnica całej jej wiedzy – wciąż jeszcze się kryje w twierdzy na Tythonie.

Bane przeprowadził ostatnie testy diagnostyczne swojego statku. Nie mógł dopuścić, żeby cokolwiek zawiodło podczas nadchodzącej podróży. Nadprzestrzenny szlak do Głębokiego Jądra był zdradziecki, więc gdyby coś uległo uszkodzeniu, prawdopodobnie nikt nie przyszedłby mu z pomocą. Musiałby zginąć samotną, zimną śmiercią... skończyć jako zamrożone zwłoki w metalowej trumnie, krążącej wokół paszczy czarnej dziury w samym sercu galaktyki.

Wyglądało jednak na to, że wszystkie systemy „Mistyka” są w idealnym stanie. Jako jedna z zaprojektowanych w firmie Sienar maszyn klasy Infiltrator, „Mistyka” był średniej wielkości myśliwcem dalekiego zasięgu. Bane dostał go w tajemniczych okolicznościach od jednego ze swoich dostawców. Infiltratory mogły pomieścić do sześciu osób. Były uzbrojone tylko w lekką broń i praktycznie nieopancerzone, bo projektanci przykładali większą wagę do szybkości i zdolności do manewrowania. „Mistyka” wyposażono w dodatkową jednostkę napędu nadświetlnego klasy czwartej, dzięki czemu mógł prześcignąć absolutnie każdy statek.

Na pokładzie było dość miejsca dla Mistrza Sithów i jego uczniowie, ale Bane postanowił, że Zannah nie będzie mu towarzyszyła w wyprawie na Tymona. Nie zamierzał jednak dopuścić, żeby młoda kobieta beczynn timer czekała na Ambrii na jego powrót.

Oprócz studiowania zawartości karty danych, Bane dużo także rozmyślał

o przyczepionych do swojego ciała orbaliskach. Możliwe, że na Tymonie zdobędzie nowe informacje, które pozwolą mu na odkrycie ostatecznej tajemnicy konstrukcji holocronu, ale nie było także wykluczone, że Belia korzystała dokładnie z tego samego procesu co on podczas poprzednich, nieudanych starań. Bane nie odrzucał teorii, że za jego porażki odpowiedzialne są orbaliski. Pasożyty mogły go przecież pozbawiać części energii Ciemnej Strony, której potrzebował do pomyślnego ukończenia budowy holocronu.

Zastanawiał się także nad czymś innym. Do tej pory dwukrotnie wpadł w szal i poddał się żądzy krwi. Jego zdrowy rozsądek ustąpił bezmyślnej chęci mordowania i niszczenia wszystkiego w zasięgu wzroku. Za pierwszym razem, kiedy mu się to przydarzyło, zrujnował cały obóz. A to było głupie, bezsensowne marnowanie środków.

Za drugim razem cena mogła okazać się jeszcze wyższa. Gdyby zabił Zannah, znalazłby przy jej zwłokach cenną kartę danych Hettona, ale musiałby także rozpocząć poszukiwania nowego ucznia. Z powodu chwilowego szaleństwa straciłby dziesięć lat szkolenia dotychczasowej uczennicy.

Zannah ocaliła życie, wyjaśniając motywy swojego postępowania, tłumacząc, że zachowała się zgodnie z jego naukami... Bane doszedł do wniosku, że sam powinien być to sobie uświadomić. Orbaliski zaślepiły go jednak na sprytne wykręty dziewczyny. Po tym wszystkim zrozumiał, że pasożyty dają mu zwiększoną potęgę kosztem inteligencji i sprytu.

Leciał teraz na Tythona, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu i pokonać systemy obronne od dawna zapomnianej twierdzy Belii. Zannah miała także wyruszyć w drogę, tyle że na samodzielną wyprawę.

Statek Hettona był wspaniały. Zbudowany na specjalne zamówienie krążownik miał osiemdziesiąt metrów długości i mógł swobodnie pomieścić dwudziestu pasażerów, a mimo to do pilotowania go wystarczała jedna osoba. Każdy szczegół konstrukcji spełniał precyzyjne i bynajmniej nie umiarkowane wymagania Hettona. Statek dysponował tak dużą siłą ognia i miał tak gruby pancerz, że załoga mogła zaatakować niewielki okręt liniowy, a mimo to wewnątrz było wystarczająco luksusowe, żeby urządzać oficjalne przyjęcie dla planetarnego dostojnika. Nie szczędzono wysiłków, żeby statek stał się symbolem ogromnych bogactw Hettona, a zarazem był dobrym środkiem transportu. Zannah nie podobało się w nim tylko jedno: na cześć swojej matki Hetton nazwał go „Loranda”.

Zaczęła przyciskać guziki kontrolne, zachwycając się idealnym startem i

posłuszeństwem drążka sterowniczego. Niebawem wyleciała poza atmosferę Ambrii, a za dwa dni powinna wylądować na Coruscant. Niewątpliwie będzie musiała przekupić administratora kosmoportu, żeby nie wpisał w rejestr lądowania jej statku. „Loranda” była wciąż jeszcze zarejestrowana na nazwisko Hettona, więc gdyby właściwe władze dowiedziały się o jej przylocie, na pewno zaczęłyby się kłopoty.

Na szczęście przedstawiciele szlachejnych rodów Serenna często odbywali niezapowiedziane podróże i lądowali dosłownie wszędzie, nawet na Coruscant. Nie podlegali regułom i prawom, jakie obowiązywały zwykłych obywateli Republiki, więc służąca, wysłana z łapówką na przekupienie administratora kosmoportu, nie powinna wzbudzić niczyich podejrzeń. Zannah wiedziała jednak, że dyskretne lądowanie na Coruscant to jeden z najłatwiejszych etapów jej wyprawy. O wiele trudniejsze mogło się okazać uzyskanie dostępu do Archiwów Świątyni Jedi.

Wysyłając ją tam, Bane decydował się na olbrzymie ryzyko. Oboje spędzili ostatnią dekadę, ukrywając się przed Jedi, a teraz Zannah miała się przedostać do samego serca Świątyni ich Zakonu. Nie mogła jednak poznać powodów decyzji swojego Mistrza, zwłaszcza że sama była po części za wszystko odpowiedzialna. To ona zasiała pierwsze ziarna wątpliwości na temat orbalisków, a teraz jej intryga miała przynieść owoce. Bane postanowił – dla jej dobra i dla dobra Sithów – że musi się od nich uwolnić.

W holocronie Freedona Nadda nic nie wskazywało, że orbaliski można oderwać od ciała żywiciela. Bane, prowadząc własne poszukiwania, także nie odkrył żadnej skutecznej metody. Archiwa Jedi były jednak największą w galaktyce skarbnicą wiedzy. Jeżeli istniała jakakolwiek odpowiedź, Zannah powinna ją tam znaleźć.

Mistrz Sithów przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, żeby nikt nie poznał prawdziwej tożsamości Zannah podczas jej wizyty w Archiwach. Dzięki sieci tajemniczych informatorów i mrocznych kontaktów zrobił listę i zebrał dokumentację o wszystkich członkach Zakonu Jedi. Zannah wybrała z tej listy imię i nazwisko, które najbardziej odpowiadało jej potrzebom. Nazywała się obecnie Nalia Adollu.

Prawdziwa Nalia była padawaną mniej więcej w wieku Zannah, a opiekował się nią Anno Wen-Chii, słynny samotnik, pyn'gański Mistrz Jedi z planety Zewnętrznych Rubieży, zwanej Polusem. Przez ostatni tydzień Zannah zapamiętała każdy szczegół swojej rzekomej przeszłości, nie wyłączając historii Mistrza Anna, żeby jak najlepiej udawać młodą padawanę.

Jej legenda była bardzo prosta: Zannah miała twierdzić, że jej Mistrz bada rzadko spotykane pasożyty, żyjące pod lodową pokrywą Polusa. Zamierza porównać niedawno odkryte formy życia z podobnymi pasożytami z innych planet, ale – nieskłonny do opuszczenia zacisza rodzinnej planety – wysłał swoją padawanę, żeby zebrała wszelkie możliwe materiały znajdujące się z zasobach Archiwów Jedi.

Mimo to Zannah potrzebowała jeszcze bardziej wiarygodnej historyjki na moment, kiedy stanie przed głównym bibliotekarzem i poprosi o pozwolenie na przeszukanie Archiwów. Zannah i Nalia były mniej więcej w tym samym wieku, miały ten sam wzrost i podobną budowę ciała. Obie miały długie, proste włosy – chociaż Zannah musiała swoje ufarbować na czarno, żeby się jeszcze bardziej upodobnić do młodej padawanki.

Pięć lat wcześniej Nalia opuściła swojego Mistrza na Polusie, więc prawie nie było szans, że Zannah natknie się na kogoś, kto zna Nalię na tyle dobrze, aby rozpoznać oszustkę. Uczennica Bane'a wiedziała jednak, że nawet jeżeli nie zdradzi jej wygląd zewnętrzny, wciąż jeszcze pozostaje poważny problem, nad którym musi się zastanowić.

Podczas tej wyprawy będzie przebywać wśród sługi światłości. Jeżeli wyczują w niej potęgę Ciemnej Strony, zostanie natychmiast zdemaskowana – a przy okazji cała intryga Bane'a. Na marne pójdzie cały ich wysiłek z ostatniej dekady i wszystko, co osiągnęli. Zannah zostanie prawdopodobnie skazana na śmierć, a Mistrz będzie odtąd ścigany jak łatwa zwierzyna.

Jedyną szansą powodzenia jej planu było posłużenie się potęgą czarów Sithów. Mogła w ten sposób zamaskować swoją aurę i jednocześnie emanować aurą Jasnej Strony. Zaklęcie było skomplikowane, a Zannah nigdy dotąd nie próbowała się nim posłużyć. Wymagało równowagi między siłą a wrażliwością, więc młoda kobieta ćwiczyła nieustannie przez kilka poprzedzających jej odlot tygodni. Mimo tych starań wciąż jeszcze zdarzały się chwile dekoncentracji, a wtedy na jaw wychodziła jej prawdziwa natura.

Trudno. Musiała liczyć na to, że jeżeli coś takiego zdarzy się na Coruscant, w pobliżu nie będzie żadnego Jedi.

ROZDZIAŁ 17

Przez las przemknął podmuch lodowatego wiatru i temperatura spadła znacznie poniżej zera. Na szczęście Johun potrafił wezwać Moc, żeby zapewniła mu względne ciepło.

Rycerz Jedi był sfrustrowany. Już od tygodni na placu budowy pomnika na Ruusanie nie zrobiono niemal żadnych postępów. Budowa padała raz po raz ofiarą wandalii i sabotażystów.

Wszystko zaczęło się od zniszczenia repulsorowych sań, których cewki zżarła nieznana toksyczna substancja rozsmarowana po powierzchni. Zorganizowanie transportu zapasowych cewek i zainstalowanie ich zajęło cztery dni.

Potem cały ciężki sprzęt ktoś pokrył grubą warstwą roślinnej substancji, która okazała się silnie wiążącym klejem. Rękawice, buty i części ubrań robotników przyklejały się do każdej powierzchni, choćby tylko się o nią otarli. Na szczęście nikt nie dotknął lepkiej substancji gołym ciałem. Znalezienie chemicznego rozpuszczalnika na tyle silnego, żeby na to pomógł, zajęło wiele godzin – a potem jeszcze dwa dni, żeby zeskrobać kleiste świństwo z ciężkiego sprzętu.

Johun rozważał możliwość rozstawienia nocnych straży. Problem w tym, że miejsce budowy było odosobnione i każdego ranka pracowników przywożono tam powietrznym wahadłowcem. Czuwający nad bezpieczeństwem placu budowy strażnicy byliby osamotnieni, a że nieznani wandyli mogli mieć broń, sytuacja była potencjalnie niebezpieczna. Młody Jedi wolałby nie podejmować takiego ryzyka.

Na kilka następnych nocy po drugim incydencie wynajął prywatnych ochroniarzy do patrolowania miejsca budowy. Miał nadzieję, że schwytają sprawcę. Jednak przez cały ten okres nie wydarzył się żaden incydent; prawdopodobnie sabotażysta wystraszył się takiej demonstracji siły. Najgorsze, że przydzielone na tę budowę fundusze były ograniczone, a Johun przekroczył już budżet z powodu poprzednich przygód. Postanowił odwołać ochroniarzy – i dwie noce później wandyli zadali kolejny cios.

Kiedy robotnicy przylecieli rano do pracy, stwierdzili, że ktoś rozpylił

wokół miejsca budowy i na samym placu drażniący nozdrza proszek. O wschodzie słońca pojawiło się tam stado niewielkich ptaszków – tysiące zwabionych zapachem pyłu, skrzeczących i piszczących stworzeń. Było ich tyle, że przesłoniły oba słońca. Siadały nawet na robotnikach, co uniemożliwiało pracę. Chociaż pyłek szybko zniknął, przez dwa następne dni utrzymywał się jego zapach, który przyciągał każdego ranka ogromne stado ptaków, co utrudniało kontynuowanie robót.

W końcu Johun postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Nieznany wandal okazał się sprytny, a patrolujący obóz nocni strażnicy za bardzo rzucali się w oczy. Już od trzech nocy, kiedy robotnicy odlatywali na pokładzie wahadłowca, Johun pozostawał w obozie, zdecydowany przyłapać drani na gorącym uczynku i wymierzyć im sprawiedliwość.

Jako Jedi mógł bardzo długo wytrzymać bez snu. Zamiast tego pograżał się w lekkim, ale kojącym transie medytacyjnym, który pozwalał mu zachować świadomość wszystkiego, co go otacza. Nawet gdyby sprawcy byli uzbrojeni i wrogo nastawieni, Johun był pewny, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Krył się za kamuflującą tarczą między drzewami, które otaczały miejsce budowy. Wybrał sobie miejsce na szczycie niewielkiego wzgórza, skąd mógł obserwować cały obóz. Wkładał noktowizorowe gogle, dzięki którym widział wszystko bardzo wyraźnie. Przez pierwsze dwie noce nie wydarzył się żaden incydent i młody Jedi zaczął się obawiać, że wandal wie o jego obecności. Doszedł do wniosku, że jeżeli także tej nocy nic się nie zdarzy, trzeba będzie spróbować czegoś innego.

Niespełna dwie godziny później jego cierpliwość została nagrodzona. Patrząc przez gogle, zauważył, że pomiędzy drzewami, jakieś sto metrów od jego punktu obserwacyjnego, czołga się samotna postać. Postać trzymała długi, cienki przedmiot, który mógł być bronią, laską albo jednym i drugim naraz.

Johun omiótł spojrzeniem las w miejscu, skąd wyczołgał się intruz. Chciał się przekonać, czy sabotażysta jest sam. Przez noktowizyjne gogle zobaczył tylko unoszącą się między gałęziami niewielką zieloną kulę. Od razu rozpoznał jednego z ruusańskich skoczków i odruchowo się wzdrygnął, kiedy przypomniał sobie, jaki strach istoty tego gatunku budziły wśród Jedi, kiedy potężny rytuał Sithów zniszczył ich domostwa w lesie i doprowadził je do szaleństwa.

Pomyślał, że to skoczki są winne sabotażu, miał sporo sensu. Chroniąc swoich żołnierzy w ostatnich dniach wojny, Hoth wydał rozkaz zabijania

skoczków wszędzie, gdzie tylko ktoś się na nie natknął. Z rąk Jedi zginęły dosłownie setki istot tego gatunku. Te, które przeżyły, powróciły wprawdzie do poprzedniego, spokojnego trybu życia, ale niewykluczone, że nadal miały żal do Zakonu Jedi za wszystko, co się wydarzyło na Ruusanie. Takie tłumaczenie nie wyjaśniało jednak obecności istoty człekokształtnej, która powoli się przesuwała w kierunku obozu.

Johun odrzucił maskującą tarczę i wyskoczył z kryjóWKi. Wiedział, że gdyby dobiegł do skoczka, zwierzątko by zniknęło – zaszyło się w gęstym lesie albo wzniosło na dużą wysokość. Nie zamierzał skoczka zabić, ale nie miał sposobu ściągnięcia go do siebie. Towarzysz skoczka musiał jednak uciekać piechotą, a Johun był absolutnie pewny, że zdoła dogonić każdego, kto nie jest Jedi.

Pobiegł więc w kierunku intruza, który odwrócił głowę, zaniepokojony głośnym skrzypieniem śniegu pod butami Johuna. Rycerz Jedi zobaczył twarz pod kapturem i wiedział, że ściga młodego mężczyznę. Sabotażysta odrzucił na bok laskę i skoczył w kierunku drzew. Biegł tak szybko, że poły długiego płaszcza, który go chronił przed chłodem, łopotały za jego plecami.

Johun był za nim o jakieś pięćdziesiąt metrów, a potęga Mocy przepływała przez niego bez przeszkód, więc mógł pokonać tę odległość w ciągu sekund. Okazało się jednak, że jego przeciwnik biegnie zaskakująco szybko. Młody Jedi zrozumiał, że uciekinier także jest, przynajmniej do pewnego stopnia, wrażliwy na oddziaływanie Mocy.

Na otwartym terenie Johun był szybszy, ale kiedy intruz dotarł do skraju lasu i zagłębił się między drzewa, Rycerz Jedi znajdował się dziesięć metrów za nim. Sabotażysta wybierał najtrudniejszą drogę. Raz po raz zagłębiał się w chaszczę; nurkował pod gałęziami i przeskakiwał nad grubymi, wystającymi korzeniami z oszałamiającą szybkością. Czerpiąc energię z Mocy, Johun zdołał jednak za nim nadążyć. Odbijał na boki liściaste gałęzie, żeby nie smagały go po twarzy i zwinnie unikał korzeni, bo gdyby się o nie potknął, na pewno runąłby jak długi.

Ścigał swoją ofiarę już kilka kilometrów, ale nie dał rady nawet zmniejszyć dzielącego ich dystansu. Nie wiadomo, co by było, gdyby nie to, że wybiegł na niewielką polanę, na której stała gliniana chatka. Johun zrozumiał, że jego przeciwnik, zaślepiony przez panikę, instynktownie pobiegł do własnego domu.

Mężczyzna dopadł drzwi, jakby liczył na to, że kiedy znajdzie się w środku, uniknie schwytania. Już na progu zamarł nagle, bo uświadomił sobie popełniony błąd. Przygarbiony, stał nieruchomo obok drzwi. Kiedy

Johun ostrożnie się do niego zbliżył, nie podjął nawet próby ucieczki.

– Nie przypuszczałem, że ktokolwiek da radę dotrzymać mi kroku podczas biegu przez las – powiedział, z rezygnacją otwierając drzwi chatki. – Równie dobrze możesz wejść do środka i się ogrzać.

Wnętrze było skromnie urządzone, schludne i dość przestronne. Najważniejszą częścią umeblowania była mata do spania w kącie chaty. Jarzące się węgle w dołku pośrodku izby dawały wystarczająco dużo ciepła, żeby Johun mógł zdjąć gruby, zimowy płaszcz. Położył go obok siebie i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ubitej ziemi.

Gospodarz chaty także zdjął wierzchnie warstwy ubrania i uklęknął naprzeciwko nieproszonego gościa. Johun oceniał, że gospodarz ma najwyżej dwadzieścia dwa lata, więc jest zaledwie kilka lat młodszy od niego. Jego przeciwnik miał ciemne, zmierzwiłone włosy i długą, splątaną brodę, a w oczach jakąś dzikość. Dopiero kiedy Johun zauważył, że młodzieniec ma kikut zamiast prawej ręki, rozpoznał w nim słynnego Uzdrawiającego Pustelnika z Ruusana.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

– Wiem, że jesteś Jedi – odparł pustelnik. – To dlatego nie dałem rady ci uciec.

– Nazywam się Johun Othone. Kieruję pracami przy wznoszeniu pomnika ku czci tych, którzy podczas wojny oddali życie tu, na Ruusanie.

Urwał i czekał na odpowiedź, ale pustelnik tylko wpatrywał się w klepisko. Zdrową ręką, spoczywającą na kolanach, podtrzymywał kikut prawej.

– Dlaczego niszczyłeś nasz sprzęt na miejscu budowy? – zapytał Rycerz Jedi.

Spodziewał się, że pustelnik spróbuje zaprzeczyć. W końcu Johun nie przyłapał go na gorącym uczynku. Gospodarz jednak nie zamierzał się wykręcać.

– Chciałem cię powstrzymać – powiedział. – Myślałem, że jeżeli stracisz wystarczająco dużo czasu i kredytów, zrezygnujesz i odleciez tam, skąd przybyłeś.

– Dlaczego? – zdziwił się Johun, zaintrygowany goryczą w głosie pustelnika.

– Nie chcemy na Ruusanie ciebie ani twoich towarzyszy – rzucił gniewnie młodzieniec. – Nie macie prawa tutaj przebywać.

– Służyłem pod rozkazami generała Hotha w Armii Światła – oznajmił Jedi, starając się zachować spokój mimo kipiących w nim emocji. –

Patrzyłem, jak giną moi przyjaciele. Na własne oczy oglądałem, jak się poświęcają, żeby ocalić galaktykę przed Sithami.

– Wiem o Sithach wszystko, co tylko można. – Pustelnik wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu. – I o Jedi – dodał po chwili. – Też oglądałem tę wojnę. Wiem, co się wydarzyło. Teraz widzisz, co twoja wojna zrobiła tej planecie! – zawołał oskarżycielskim tonem. – Co roku pada śnieg, a od mrozów każdej zimy ginie coraz więcej zwierząt. Dziesięć lat po twoim tak zwanym zwycięstwie wymierają całe gatunki!

– Przykro mi z powodu cierpień, jakie spadły na tę planetę – odparł Johun. – Problem w tym, że Jedi nie mogą być odpowiedzialni za wszystko. Największą szkodę tej planecie wyrządzili Sithowie.

– Jedi, Sithowie... jesteście tacy sami. – Pustelnik splunął. – Tak bardzo zaślepiła was wzajemna nienawiść, że nie dostrzegaliście konsekwencji tego, co robicie. A w końcu twój generał pomaszerował do podziemnych jaskiń, żeby stawić czoło zwolennikom Kaana. Wiedział, że eksplozja bomby myśli spowoduje na tej planecie straszliwe spustoszenia.

– Hoth poświęcił życie, żeby ocalić innych – zaprotestował Johun.

– Bomba myśli była bluźnierstwem! – wykrzyknął pustelnik. – Hoth powinien był zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby powstrzymać Kaana przed jej użyciem. A on świadomie go do tego sprowokował.

– Nie było innego wyjścia – Rycerz Jedi stanął w obronie swojego byłego Mistrza. – Detonacja bomby myśli zniszczyła Bractwo i na zawsze wyzwoliła galaktykę.

Pustelnik głośno się roześmiał.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał. – Twoim zdaniem wszyscy Sithowie zginęli? – Pokręcił głową i mruknął: – Biedny, otumaniony mały Jedi!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Johun i poczuł zimny dreszcz. – Nie wierzysz, że wszyscy Sithowie zostali zniszczeni?

– Wiem, że nie zostali – odparł pustelnik. – Przeżył przynajmniej jeden z Ciemnych Lordów, który zrobił z mojej kuzynki swoją uczennicę.

Johun wzdrygnął się, jakby go ktoś spoliczkował.

– Twojej kuzynki? – powtórzył.

To było szalone, zupełnie niedorzeczne. Problem w tym, że pustelnik – mimo dzikiego wyrazu oczu – nie wyglądał na szaleńca.

– Skąd to wiesz? – zapytał Jedi.

– Po eksplozji bomby myśli przeszedłem tunelami do jaskini, żeby się przekonać, co z niej pozostało – szepnął pustelnik, z ponurą miną przywołując wspomnienia z przeszłości. – Zobaczyłem ich tam, moją

kuzynkę i Lorda Bane'a. – Uniósł kikut prawej ręki na wysokość twarzy. – To oni mi to zrobili.

Johunowi zakręciło się w głowie. Pamiętał najemników, na których natknęli się po bitwie, i ich opowieść o Mistrzu Sithów, który brutalnie zamordował ich kompanów. Młody Jedi wprawdzie później zwątpił w tę opowieść w konfrontacji z nieubłaganą logiką Farfalli, odrzucił ich zeznania jako niewiarygodne, ale w skrytości ducha cały czas uważał, że mówili prawdę.

Z braku dowodów i śladów zrezygnował z prób udowodnienia, że jakiś Mistrz Sithów ocalał i odleciał żywy z Ruusana. Tutaj jednak, w tej niewielkiej glinianej chacie, natknął się na niezbity dowód, którego tak mu brakowało przed dziesięciu laty.

– Widziałeś Sitha, który nazywa się Lord Bane? – zapytał z niedowierzaniem, czekając jednak na następne potwierdzenie. – Skąd wiesz, że to był on?

– Jakiś czas należałem do armii Kaana – szepnął pustelnik. – Wszyscy w niej wiedzieliśmy, kim jest Bane.

– To... to niewiarygodne – zająknął się Rycerz Jedi. Nie interesował go już pomnik i akty sabotażu, które go doprowadziły do chaty pustelnika. Zastanawiał się, czy gospodarz przypadkiem nie postradał zmysłów. – Musimy o tym powiedzieć Radzie Jedi! Musimy jak najszybciej lecieć na Coruscant!

– Nic z tego. – Pustelnik powiedział to tak stanowczo, że Johun zdrętwiał.

– Ale... skoro w galaktyce żyje jakiś Sith – powiedział – Rada musi zostać ostrzeżona.

Pustelnik wzruszył ramionami.

– Więc leć sam i ich ostrzeż – zasugerował. – Moje miejsce jest tu, na Ruusanie.

– Nie uwierzą mi – wyznał Johun. – Zechcą cię sami przesłuchać.

– Widziałem, co się działo, kiedy Jedi i Sithowie toczyli wojnę – odparł gospodarz. – Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie polecę na Coruscant.

– Uszkodziłeś własność Republiki – przypomniał mu Johun. – Mógłbym cię aresztować i przetransportować gdzie trzeba, żebyś odpowiedział za swoje czyny.

Pustelnik znów się roześmiał.

– I co później, Jedi? – zapytał kpiącym tonem. – Będziesz mnie torturować, dopóki nie wyznam, co widziałem? Posłużysz się swoją potęgą,

żeby wyprać mi mózg i zmusić do wypowiedzenia słów, które tak chcesz usłyszeć? Na pewno Rada ci wtedy uwierzy.

Johun zmarszczył brwi. Pustelnik miał rację. Jedynym sposobem przekonania Rady, żeby uwierzyła Rycerzowi Jedi, było nakłonienie pustelnika do złożenia świadectwa dobrowolnie, nie pod przymusem.

– Naprawdę nie rozumiesz, o co tu chodzi? – zapytał Rycerz Jedi, zmieniając taktykę. – Widziałeś, co się wydarzyło, kiedy Sithowie zebrali armię i wyruszyli na wojnę. Jeżeli teraz ze mną polecisz, Rada posłucha twojego ostrzeżenia. Odnajdziemy Lorda Bane'a i powstrzymamy go, zanim zdąży zwerbować sobie pomocników.

Mówiąc to, wysłał myśli, żeby subtelnie dotknąć Mocą umysłu pustelnika. Nie chciał zmuszać go do wyrażenia zgody na jego propozycję, bo to byłoby rozwiązanie tymczasowe. Perswazja Mocą działała krótko, więc zanim by przylecieli na Coruscant, jej wpływ zdążyłby zaniknąć. Pustelnik mógł się zorientować, że Johun manipulował jego umysłem, a to utwierdziłoby go tylko w uporze. Młody Jedi wolał spowodować, żeby gospodarz stał się bardziej skłonny do rozsądnego postępowania. Otoczył jego umysł zasłoną spokoju i pogody ducha. Łagodnie odsunął na bok całą gorycz i żal i pozwolił mu się zastanowić nad logiką swoich argumentów w sposób pozbawiony emocji.

– Bane zaszył się w jakiejś kryjówce – ciągnął młody Jedi. – Jeżeli go teraz nie wytropimy, pokaże się nam dopiero wówczas, kiedy stworzy nowe armie Sithów, a galaktyka kolejny raz pogrąży się w wojnie. Jeżeli teraz ze mną polecisz, przekonamy Radę, żeby rozpoczęła poszukiwania. Pomóż mi go powstrzymać, bo to może zapobiec wybuchowi kolejnej wojny.

Pustelnik wpatrywał się w niego długo, a w końcu skinął głową.

– Jeżeli dzięki temu uda się powstrzymać wojnę, polecę z tobą na Coruscant – obiecał.

Główny bibliotekarz Archiwów Jedi był sędziwym Cereaninem, Mistrzem Jedi i nazywał się Barra-Rona-Ban.

– Witaj na Coruscant, padawanko Nalio – powiedział i z uśmiechem wstał z fotela, aby powitać Zannah, która weszła do jego gabinetu. – Jak przebiegła podróż z Polusa?

Osobista komnata Mistrza Barry wyglądała dokładnie tak, jak się dziewczyna spodziewała. Na biurku leżało mnóstwo czasopism, odręcznych notatek i ułożonych w równe stosy kart danych. Stał tu także niewielki monitor i terminal, prawdopodobnie podłączony do głównego katalogu Archiwów, dzięki czemu Mistrz Barra mógł je do woli przeszukiwać.

– Podróż trwała długo, ale nie wydarzyło się nic ciekawego – odparła Zannah.

Mówiła spokojnym, łagodnym tonem, chociaż serce w jej piersi biło jak szalone. Wytwarzała iluzję uczennicy Jasnej Strony, która dotąd tak dobrze jej służyła, ale przecież teraz stała twarzą w twarz z Mistrzem Jedi. Gdyby popełniła choćby najmniejszy błąd, wszystko byłoby stracone.

– Cieszę się, że udało mi się wyrwać z tamtego zimna – dodała. W przeciwieństwie do swojego Mistrza Nalia nie urodziła się na Polusie. Przybyła tam z tropikalnych rejonów Corsina.

Cereanin parsknął śmiechem, aż wygładziły się zmarszczki na jego wysokiej, stożkowatej głowie.

– Mistrz Anno chyba by się z tobą nie zgodził – zauważył.

Zannah zareagowała łagodnym uśmiechem.

– Mój Mistrz przesyła ci pozdrowienia – powiedziała, przypominając sobie, że Anno i Barra krótko studiowali razem w Akademii na Coruscant. – Czy w najbliższej przyszłości zamierzasz go odwiedzić na Polusie?

– Obawiam się, że taka wyprawa byłaby niemożliwa – odparł Cereanin i lekko westchnął. – Archiwa wymagają nieustannej dbałości.

– Mistrz Anno uprzedził mnie, że to powiesz – stwierdziła z uśmiechem młoda kobieta. – Powiedział mi, że skorzystasz z każdej wymówki, żeby wykręcić się od odwiedzenia Polusa.

– Nie każdego ciągnie do lodu i śniegu jak tego pełnego zapachu Pyn'ganina – mruknął bibliotekarz, zarazem figlarnie mrużąc oko.

Kiedy wymiana uprzejmości dobiegła końca, Cereanin rozsiadł się na fotelu i wcisnął klawisz swojego terminalu. Na ekranie pojawił się duży blok tekstu.

– Zapoznałem się z twoją prośbą o uzyskanie dostępu do Archiwów – powiedział. – Chyba możemy się do niej przychylić.

Wcisnął inny klawisz i umieścił w czytniku kartę danych. Terminal zamruczał, przyjmując zaszyfrowane dane.

– Archiwa są dostępne bez przerwy w dzień i w nocy – poinformował bibliotekarz. – Dostaniesz zgodę na uzyskanie dostępu do ogólnego zbioru, ale pamiętaj, że wstęp do analitycznych sal i do komnaty z holocronami Jedi jest wzbroniony.

– Nie zamierzam się tam dostawać – zapewniła go Zannah. – Mistrz Anno bardzo dokładnie mi wyjaśnił, z czym powinnam się zapoznać.

Kiedy transfer danych dobiegł końca, karta wyskoczyła ze szczeliny czytnika. Mistrz Barra podał ją Zannah.

– Wsuń ją do dowolnego terminalu z katalogiem Archiwów, ilekroć zechcesz się zalogować – powiedział. – Oryginalnych materiałów nie wolno wnosić z terenu Archiwów, ale możesz kopiować na ten dysk wszystko, co wynajdziesz do osobistego użytku albo w celu gromadzenia informacji. Pozwoliłem sobie umieścić na tym dysku kilka źródłowych prac, które możesz uznać za ważne dla waszych badań – dodał, cały czas się uśmiechając.

– Dziękuję ci, Mistrzu Barro – odparła Zannah i ukłoniła się nisko.

– Jak długo zamierzasz pozostać na Coruscant? – zagadnął bibliotekarz.

– Najwyżej kilka dni – odparła uczennica Bane'a. Dłużej nie potrafiłaby utrzymywać iluzji, która chroniła jej potęgę Ciemnej Strony przed zdemaskowaniem przez jakiegoś Jedi. – Mistrz Anno nie może się doczekać, kiedy będzie mógł kontynuować swoje badania. Chciał, żebym wróciła jak najszybciej, gdy tylko zbiorę informacje, których potrzebuje.

Cereanin pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Naturalnie – powiedział. – Mam jednak nadzieję, że podczas swojego pobytu tutaj nie spędzisz całego czasu, szukając informacji o pasożytach i symbiontach. Masz rzadką okazję zapoznania się z całą wiedzą i cudami galaktyki. Powinnaś ją dobrze wykorzystać.

– Postaram się, Mistrzu Barro – obiecała Zannah, chociaż nie miała zamiaru zostawać w Archiwach ani sekundy dłużej niż to konieczne.

– Powodzenia w poszukiwaniach, padawanko Nalio – odprawił ją delikatnie bibliotekarz.

Zannah jeszcze raz się skłoniła i opuściła jego gabinet. Była teraz bardziej pewna, że jej wyprawa zakończy się powodzeniem. Skoro zdołała wywieść w pole Mistrza Barre, głównego bibliotekarza Archiwów Jedi, który uwierzył, że Zannah jest naprawdę Nalią Adollu, to z pewnością da radę oszukać każdego.

ROZDZIAŁ 18

Darth Bane poczuł wstrząs i „Mistyk” wyskoczył z nadprzestrzeni. W odległości zaledwie kilku tysięcy kilometrów od dziobowych iluminatorów sterowni unosiła się wielka planeta. Jej powierzchnię skrywały gęste, skłębione szare chmury. Bane sprawdził wskazania nawigacyjnego komputera i na widok współrzędnych nabrał pewności, że rzeczywiście dotarł do Tymona.

Podobnie jak o wszystkich planetach w Głębokim Jądrze, o Tymonie krążyły niezliczone legendy. Planeta wciąż jeszcze kryła wiele tajemnic. Niektóre legendy głosiły, że w czasach Wielkiego Polowania, trzy tysiące lat wcześniej, planetę odwiedzili Jedi, żeby oczyścić jej powierzchnię ze straszliwych terentateków – monstrualnych potworów, żywiących się krwią wrażliwych na Moc osób. Z jeszcze starszych legend wynikało, że ponad dwadzieścia pięć tysięcy lat wcześniej to właśnie na Tymonie powstał Zakon Jedi. Zgodnie z tymi legendami kapłani i filozofowie tej planety potrafili czerpać tajemniczą energię, którą nazwali Ashlą. Ashła była kwintesencją dobrych uczuć we wszechświecie. Rywalizowała z tymi kapłanami, którzy czerpali siłę z Boga, przejawu surowości, pasji i czystych, niepohamowanych emocji.

Legendy mówiły, że między tymi dwiema grupami doszło do straszliwej wojny, w której zwyciężyli czciciele Ashli. Pierwsi Rycerze Jedi byli prawdopodobnie potomkami tych, którzy przeżyli wojenną zawieruchę. To właśnie oni skonstruowali pierwsze miecze świetlne, które wykorzystywali początkowo tylko podczas ceremonii inicjacji. Wiele lat później niektórzy z tych Jedi podobno opuścili Tythona i – pokonując niebezpieczne szlaki nadprzestrzenne – zaczęli rozpowszechniać swoje wierzenia wśród mieszkańców planet usytuowanych z daleka od Głębokiego Jądra. Mieszając się z innymi cywilizacjami, Ashła i Boga zaczęły być powszechnie znane jako Jasna i Ciemna Strona Mocy.

Bane nie miał pojęcia, czy te legendy mają cokolwiek wspólnego z prawdą, ale nawet gdyby tak było, dowodziły tylko wyższości Ciemnej Strony i jej nieuniknionego zwycięstwa nad światłością. Zwolennicy Ashli

mogli na chwilę pokonać wyznawców Boga, ale w końcu zwycięstwo odniosła Ciemna Strona. Tython, szanowany przez wielu jako miejsce narodzin Zakonu Jedi, był teraz bastionem potęgi Ciemnej Strony i miejscem, w którym wznosiła się ukryta forteca Belii Darzu.

Mistrz Sithów wiedział, że na Tythonie mogą wciąż jeszcze mieszkać potomkowie dawnych Jedi, którzy przeżyli tysiące lat w izolacji Głębokiego Jądra. Nie miał jednak zamiaru ich szukać, nawet jeżeli nadal żyli. Uzbrojony w informacje z karty danych Hettona, skieruje się prosto do fortecy Belii. Pchnął drążek do przodu i „Mistyka” pogrążył się w mglistą atmosferę Tythona. Przez kłęby chmur Bane dostrzegł, że powierzchnia planety ma barwę popiołu. Pod wiekuistym szarym całunem i niebem bez słońca ciągnęły się aż po horyzont pozbawione roślinności płaszczyny. Mistrz Sithów wyrównał pułap lotu dopiero na poziomie zaledwie kilkuset metrów nad powierzchnią gruntu, i śmignął w stronę jedyne widocznego na horyzoncie wyniosłego punktu: ozdobionej dwiema wieżami ogromnej twierdzy z czarnej durastali.

Budowla powstała na planie kwadratu o boku stu pięćdziesięciu metrów. Zewnętrzne ściany wznosiły się trzydzieści metrów nad poziom gruntu, a wejść do środka można było tylko przez masywną bramę we frontowej ścianie. Wieże w narożnikach kwadratu były o dziesięć metrów wyższe niż ściany.

Kiedy „Mistyka” zbliżył się na odległość kilkuset metrów do fortecy, z wież poleciały ku niemu serie jonowych błyskawic. Bane szarpnął z całej siły w bok rękojeść drążka, a statek skręcił o dziewięćdziesiąt stopni na sterburtę i ledwo uniknął nieoczekiwanego ataku. Na ile Bane się orientował, z wyjątkiem technobestii, forteca Belii powinna być pusta.

Zatoczył krąg i skierował dziób statku ku wrotom, nastawiając systemy celownicze działek na pierwszą z dwóch wież. Kiedy do życia obudziły się jonowe działka, zrobił beczkę, żeby zejść z linii ognia, i nacisnął spust laserów „Mistyka”. Zanim zawrócił, żeby zatoczyć następne koło, ostrzelana przez niego wieża zamieniła się w stopiony żużel.

Sensory „Mistyka” nie wykryły w twierdzy żadnych form życia; jonowe działka mogły być elementem zautomatyzowanego systemu obronnego, który pozostawał sprawny nawet po niemal trzech wiekach. Teoria ta znalazła potwierdzenie dwadzieścia sekund później, kiedy Bane posłużył się dokładnie takim samym manewrem, żeby wyeliminować drugą wieżę. Zautomatyzowane systemy obronne były bardzo przewidywalne.

Okrzyżował cytadelę dwukrotnie, omiatając ją promieniami sensorów.

Upewniwszy się, że wewnątrz nie kryją się żadne zagrożenia, wylądował na nagim gruncie obok bramy.

Odpiął świetlny miecz, wysunął energetyczną klingę, wyskoczył z kabiny i ruszył ostrożnie naprzód. Zatrzymał się dopiero przed bramą, która wyglądała jak gigantyczne, odporne na blasterowe strzały drzwi bez klamek, zawiasów czy panelu kontrolnego. Bane skumulował całą swoją potęgę i położył lewą dłoń na powierzchni. Brama eksplodowała i wygięła się do środka, a huk wybuchu zabrzmiał echem w prowadzącym w głąb fortecy długim, mrocznym korytarzu.

Bane ruszył przed siebie, uważnie się rozglądając, czy nie czekają na niego jakieś pułapki. Wyczuwał w fortecy potęgę Ciemnej Strony, ale nie wykrył bezpośrednich zagrożeń dla siebie. Zapuszczał się ostrożnie coraz dalej.

Jarzeniowymi prętami rozjaśniając ciemność przed sobą, badał fortecę pomieszczenie po pomieszczeniu. Przechodząc, wzbijał tumany kurzu, który gromadził się tu bez przeszkód całe wieki. Jak w typowej bazie wojskowej, sporo miejsca zajmowały koszary i stołówki, konieczne, żeby zakwaterować i wyżywić armię zwolenników. Wszystkie pomieszczenia były jednak puste. Bane nie znalazł nawet robactwa, którego można się było spodziewać w opustoszałej fortecy. Nie wiedział, czy insekty odstraszyła unosząca się w powietrzu energia Ciemnej Strony, czy też inne, nieznanne mu czynniki.

Kiedy zapuścił się jeszcze dalej, natknął się na alchemiczne laboratoria Belii. Na długich metalowych stołach stały zamknięte szczelnie zlewki z różnobarwnymi płynami. Były tu także połączone szklanymi rurkami puste beczki i kadzie, wykorzystywane niewątpliwie do destylacji czy do rozdzielania mieszanin. Na regałach pod ścianami w jednym z pomieszczeń zobaczył pływające w słojach preparaty – serca i mózgi różnych zwierząt, zachowane na zawsze w przezroczystym płynie. W jeszcze innym laboratorium Bane natknął się na notatki i rysunki, dowodzące, ile wysiłku i talentu musiała włożyć Belia, żeby zmienić żywe stworzenia w organiczno-mechaniczne hybrydy.

Bane poświęcił tym notatkom więcej uwagi; chciał się z nimi zapoznać, zanim wyruszy w dalszą drogę. Nie zdołał zrozumieć zaszyfrowanych bazgrołów. Musiał najpierw znaleźć archiwum Belii – a także, jak miał nadzieję, jej holocron, w którym Lady Sithów zarejestrowała całą swoją wiedzę.

Prawie na końcu budynku zobaczył wąskie schody, wiodące pod ziemię. Podczas swoich poszukiwań Hetton nie znalazł mapy wnętrza fortecy, ale

Bane wyczuwał teraz, że spod posadzki emanuje potęga Ciemnej Strony. Nie ulegało wątpliwości, że źródło tej energii, unoszącej się jak dym w każdym pomieszczeniu i korytarzu fortocy, mieści się pod schodami. Bane był pewny, że to właśnie tam znajdzie tajne sanktuarium Belii Darzu.

Zaczął powoli schodzić po schodach. Na niższym poziomie natknął się na następny wąski korytarz, kończący się niskimi drzwiami. Zza tych drzwi wydostawał się wąski pasek bladego, fluorescencyjnego światła. Bane zauważył, że w odróżnieniu od wyższego poziomu tu wciąż jeszcze działają generatory. Uznał to za kolejny dowód, że pomieszczenie za drzwiami jest bardzo ważne.

Zatrzymał się tuż przed drzwiami. Nie wyczuwał, co na niego czeka po drugiej stronie, bo jego wrażliwość na Moc przytępiło ogromne skupienie energii Ciemnej Strony. Głęboko odetchnął, delikatnie pchnął drzwi i zafascynowany zajrzał do środka.

Zobaczył olbrzymią salę, co najmniej pięćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia kilka szerokości. Pośrodku stał samotny postument, na którym spoczywała znajoma, niewielka piramida... holocron Belii Darzu. Nie to jednak przykuło uwagę Mistrza Sithów. Niemal całą resztę sali zajmowała armia technobestii.

Do ich stworzenia Mistrzynie Sithów wykorzystywała pochodzące ze wszystkich zakątków galaktyki istoty człekokształtne i zwierzęta, które padły ofiarami jej technowirusa. Kiedyś były zmutowaną kombinacją żywych i mechanicznych części, ale żywa tkanka większości technobestii dawno zgniła i odpadła. Pozostały tylko wyschnięte strzępki skóry i fragmenty przylegających do kości ścięgien, podtrzymywanych przez pręty, druty i poskręcane kawałki metalu.

Ręce stworzeń, które za życia chodziły na dwóch nogach, zostały przekształcone w wyrastające prosto z łokci płaskie, zębate ostrza. Większe zwierzęta – w rodzaju bantha, którego Bane zobaczył w głębi sali, albo rankora w pobliżu postumentu – stały się prawdziwymi machinami wojennymi; miały przyspawane do ramion blasterowe działka i kolczasty pancerz zastępujący skórę.

Dzięki poszukiwaniom Hettona Bane wiedział, że technowirus atakował czołowe płaty mózgu. Po takim zabiegu ofiary doświadczeń Belii stały się bezmyślnymi automatami, niezdolnymi do wyższych funkcji myślowych – ponury los dla każdej inteligentnej istoty. Stworzenia w sali znajdowały się w jeszcze gorszym stanie. W miarę upływu wieków to, co pozostało z ich mózgów, żyło dzięki nanogenom technowirusa, ale nieunikniona degradacja

upośledziła ich zdolności motoryczne i przemieniła je w powłóczące kończynami skorupy z przerdzewiałego metalu. Bane odgadł, że zgromadzona w sali armia musiała kiedyś przemierzać korytarze i pomieszczenia fortecy, chroniąc ją przed atakami i służąc potrzebom swojej pani. Po śmierci Belii, która zginęła, otruta przez skrytobójców z Zakonu Mecrosa, kiedy zerwała z nimi sojusz, przechadzały się bezmyślnie, pozbawione wskazówek i celu. W ciągu następnych dekad zbierały się stopniowo w tej sali, przyciągane promieniującą z holocronu energią Ciemnej Strony. Były ostatnimi świadkami wielkości swojej pani, która je stworzyła. Kierując się prostym, pierwotnym instynktem, bezradne, a tworzące kiedyś armię Belii technobestie, jedna po drugiej, zgromadziły się w jednym miejscu.

W sali panowała martwa cisza, bo struny głosowe nieszczęsnych stworzeń setki lat temu uległy dezintegracji. Słyszeć było tylko ciche brzęczenie zmechanizowanych stawów i chrobot zardzewiałego metalu o kamienną posadzkę, kiedy zdeorientowane technobestie usiłowały chodzić. Od czasu do czasu stworzenia zderzały się ze sobą z głuchym brzękiem. Wykonując dziwne, nieporadne ruchy, próbowały zająć pozycję jak najbliżej holocronu, ale żadna bestia nie ośmieliła się zbliżyć na odległość mniejszą niż trzy metry od postumentu. Stały tam zbite w chaotyczne stado. Wyglądały jak armia żyjących trupów, czekających na rozkazy, które nie miały nigdy nadejść.

Bane wszedł do sali i wysunął klingę świetlnego miecza. Technobestie zignorowały jego obecność; zwracały uwagę wyłącznie na holocron.

Mistrz Sithów ostrożnie przemykał między bestiami, usiłując ocenić ich liczbę w okolicy postumentu. Pięćdziesiąt? Sto? Policzenie ich okazało się jednak niemożliwe, bo cielska z zardzewiałego metalu i zmumifikowanego ciała miejscami stapiały się w jedną, upiorną masę.

Kiedy dotarł do postumentu pośrodku kręgu technobestii, zastygł w bezruchu. Nie wiedział, co się stanie, kiedy wyciągnie rękę po holocron. Nie wiedział, czy stworzenia potraktują go jako nowego pana, czy też może rzucą się na niego z bezmyślną wściekłością żeby ochronić wielbiony przez siebie przedmiot. Istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Kiedy zacisnął palce na piramidce holocronu, usłyszał nagły hałas; drgnął z zaskoczenia i cofnął rękę. Brzmiało to jak jęk dawno zmarłego bóstwa, które właśnie powstawało z grobu. W jednej chwili do życia obudziły się setki zmechanizowanych kończyn. Potwory zaczęły na niego napierać z gniewnym pomrukiem.

Bane rozepchnął je we wszystkie strony energią Mocy. W rezultacie kilkanaście potworów eksplodowało, zmieniając się w niewielkie kawałki poskręcane metalu. Reszta jednak zalała go niczym fala. Kiedy upadł na posadzkę, metalowe stopy tratowały go bez litości, a wyposażone w klingi ręce cięły, gdzie popadnie. Leżał nieruchomo, rozciągnięty na brzuchu. Na szczęście ataki nie zdołały przebić chitynowej skorupy pancerza z orbalisków.

Bane odwrócił się wreszcie na plecy i zaczął siec na oślepie klingą świetlnego miecza. Za każdym razem odcinał jakiś fragment bestii, ale nie usłyszał jęków bólu ani nie zobaczył płynącej krwi – zmumifikowane ciało jego przeciwników odpadło przed wieloma wiekami. Jedynymi odgłosami towarzyszącymi walce były stękania z wysiłku Ciemnego Lorda i brzęk spadającego na kamienną posadzkę metalu. Od czasu do czasu tu i ówdzie strzelała fontanna iskier.

Technobestie były napędzane wściekłością, ale poruszały się wolno i niezgrabnie. Zwycięskie ciosy Bane'a szybko oczyściły teren przed nim i teraz mógł się już zerwać na nogi. Mistrz Sithów stanął naprzeciwko muru nacierających na niego potworów, więc posłał między nie potężną błyskawicę. Wyładowania zatańczyły na metalowych cielskach, a nanotechnika, która ożywiała ich metalowe szkielety i umożliwiała im wykonywanie ruchów, uległa zniszczeniu w ogniu. W jednej chwili kilkunastu przeciwników Bane'a zważyło się z metalowych nóg, żeby nigdy więcej nie powstać.

Mistrz Sithów poczuł nagle silny cios w plecy – to metalowy rankor posłał go łukiem w powietrze jednym zamachem potężnej, grubej jak maczuga łapy. Bane zderzył się twarzą z czymś, co mogło być kiedyś istotą ludzką. Technobestia otworzyła paszczę i zionęła mu prosto w twarz chmurą niewielkich metalowych zarodników.

Bane rozproszył je dmuchnięciem i przeciął stworzenie z góry na dół od ramienia do biodra. Wyczuł jednak, że technowirusy przeniknęły do jego organizmu. Nanogenowe zarodniki wędrowały właśnie do mózgu, żeby pochłonąć płaty czołowe i rozpocząć proces przekształcania go w bluźnierstwo, które nie było ani robotem, ani żywą istotą.

Zanim zdążył uwolnić energię Mocy, żeby zlikwidować zagrożenie, poczuł gorąco i domyślił się, że to orbaliski uwolniły pałace środki chemiczne, żeby zniszczyć mikroskopijnych najeźdźców. Mózg mu płonął, bo serce pompowało pałacy środek chemiczny przez tętnicę szyjną do jego komórek. Bane wyczuł, że pod wpływem tego żaru nanogeny giną niemal

natychmiast.

Wykorzystując ból głowy do podsycenia swojej wściekłości, Bane odwrócił się i skoczył do rankora. Jednym machnięciem klingi świetlnego miecza odciął mu obie metalowe nogi. Laserowe działka w łapach stworzenia wycelowały w Bane'a i dały ognia, ale minęło ponad dwieście lat od stworzenia technobestii, więc ogniwa energetyczne straciły moc i zamiast spodziewanego huku eksplozji, z działka wydobyło się tylko ledwo słyszalne szczęknięcie. Tors technorankora runął z grzechotem na posadzkę, ale w stronę Mistrza Sithów cały czas wyciągały się jego szpony. Bane musiał odskoczyć do tyłu, żeby odciąć łapy bestii w stawach barkowych.

Po pokonaniu przeciwnika posłużył się Mocą, żeby zdeintegrować dwie stojące najbliżej niego technobestie. Po chwili poczuł, że coś go uderzyło w stopę. Spojrzał w dół i stwierdził, że na jego bucie zacisnęły się szczęki rankora, który próbuje odgryźć mu nogę. Kolejny raz przed nieszczęściem ochronił go pancerz z orbalisków. Bane odciął rankorowi łeb i z ulgą stwierdził, że metalowe stworzenie na dobre znieruchomiało.

W ogromnej sali nadal tłoczyły się dziesiątki technobestii; napierały na niego ze wszystkich stron naraz. Bane zdawał sobie sprawę, że nie mogą mu zrobić krzywdy, ale wiedział także, że potwory nie spoczną, dopóki nie posieka ich wszystkie swoim mieczem.

Rzeź trwała ponad godzinę. Mistrz Sithów odcinał jedną po drugiej kończyny przeciwników. Moc mu pomagała zachowywać sprawność rąk, nóg, ramion i pleców. Trzykrotnie podczas walki pozwolił sobie na utratę koncentracji, może z powodu denerwującego milczenia siekanych na kawałki przeciwników. Za każdym razem cios jednego z koszmarnych potworów rzucał go na posadzkę, a potem bestia podchodziła tak blisko, że mogła go zmiażdżyć potężnymi łapami. Bane musiał szybko zrywać się na nogi. Dwukrotnie poczuł żar w mózgu – to orbaliski czyściły jego organizm z następnej chmury nanogenowych zarodników, które nieświadomie wciągał do płuc.

Kiedy skończył, od rąbania setek metrów sześciennych metalu bolał go każdy mięsień. Czuł się jak po długiej zmianie w kopalniach Apatrosa, w których harował jako młody mężczyzna. Po całej sali wały się odcięte kończyny, torsy i łby technobestii. Widok był możliwy do zniesienia tylko dzięki temu, że nie było tu krwi.

Darth Bane stopniowo oczyścił sobie ścieżkę na środek sali. Wyłączył klingę świetlnego miecza i przyczepił rękojeść do pasa; zachwiał się przy tym i o mało nie runął na wznak. W ostatniej chwili przytrzymał się

postumentu. Czuł bolesny skurcz w mięśniach łydek i ud.

Oparł się całym ciężarem ciała na postumencie, żeby ulżyć zmęczonym mięśniom. Głęboko oddychając, wezwał na pomoc to, co pozostało z jego energii Mocy, żeby szybciej odzyskać siły. Po kilku minutach skurcze mięśni zaczęły ustępować i Mistrz Sithów mógł znów stanąć o własnych siłach.

Jego ciało i duch były wyczerpane; powinien porządnie odpocząć, zanim podejmie próbę posłużenia się holocronem. Lord Sithów doszedł jednak do wniosku, że przebył zbyt długą drogę i wycierpiał zbyt wiele, żeby dłużej zwlekać.

Nadal oparty na postumencie, Darth Bane spojrzał na talizman i skupił wolę, żeby obudzić go do życia. Uśmiechnął się, kiedy piramida zaczęła powoli pulsować wewnętrznym fioletowym blaskiem.

Wiedział, że niebawem pozna wszystkie tajemnice Belii Darzu.

ROZDZIAŁ 19

– Miałem nadzieję, że zapomniawsz już o tych bzdurach, Johunie – Farfalla z rozczarowaniem pokręcił głową.

– To nie są bzdury – zachnął się Rycerz Jedi. – On tam był, Mistrzu. Ten młody mężczyzna widział go na własne oczy!

Farfalla westchnął, wstał z fotela i zaczął się przechadzać po dywanie. Johun pozostał na swoim miejscu. Usiłował zachować spokój i pozwolić, aby logika i rozsądek kierowały jego argumentami.

– Jak radził sobie Hoth z twoim uporem? – zapytał Mistrz Valentyne.

– Hoth miał bardzo różną osobowość od ciebie, Mistrzu – stwierdził Johun. – Często mi zarzucał, że jestem zbyt pasywny.

Farfalla znów pokręcił głową i wrócił na fotel.

– Jesteś pewny, że to wiarygodny świadek? – zapytał, pamiętając o najemnikach, których zeznania Johun zamierzał niegdyś przedstawić Radzie.

Młody Jedi skinął twierdząco głową.

– Wszystkie szczegóły jego historii się zgadzają – powiedział. – Twierdzi, że teraz nazywa się Darovit, ale w tamtych czasach był znany jako Tomcat. Z rejestrów wynika, że rzeczywiście został zwerbowany na Somov Rit przez Torra Snapita i przyleciał ze swoimi krewniakami, żeby dołączyć do Armii Światła.

– I jedną z tych krewnych jest dziewczynka, która jego zdaniem obcięła mu rękę?

– Dziesięć lat temu była rzeczywiście dziewczynką – przyznał Johun. – Teraz powinna być młodą kobietą. Nazywała się kiedyś Rain, ale krótko po wylądowaniu na Ruusanie zaginęła podczas ataku Sithów. Uznano ją za zaginioną i prawdopodobnie martwą, ale Lord Bane musiał jakoś na nią trafić i zrobił z niej swoją uczennicę.

– Słyszałem już kiedyś to imię – stwierdził Farfalla, odchylając się do tyłu na fotelu. – Wypłynęło w oświadczeniach kilku pachołków Sithów, których wzięliśmy do niewoli. Jeżeli dobrze pamiętam, Bane był jednym z ostatnich Sithów, którzy przyłączyli się do Bractwa.

Johun znowu pokiwał głową.

– Darovit mówił to samo – powiedział. – Stwierdził, że Bane niechętnie i z oporami podążał śladami Kaana. Jeżeli nie zgodził się przyłączyć do reszty Bractwa w jaskini, to by wyjaśniało, jakim cudem przeżył eksplozję bomby myśli.

– To brzmi rozsądnie – przyznał Farfalla. – Problem w tym, jak Darovit rozpoznał Bane'a.

– Pod koniec wojny Darovit przeszedł na stronę Sithów – wyjaśnił Rycerz Jedi.

Farfalla podniósł ręce w geście rozpaczki.

– A więc to zdrajca, Johunie? – zapytał. – Zdrajca sprawy Jedi? Rada nigdy nie uwierzy w zeznanie zdrajcy!

– Według mnie właśnie dlatego jego historia jest bardziej wiarygodna – sprzeciwił się młody Jedi. – Gdyby chciał kłamać, bardzo łatwo wymyśliłby jakieś wyjaśnienie, w jaki sposób rozpoznał Lorda Bane'a. Tymczasem on z własnej woli przyznał się do przestępstwa. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że już czas powiedzieć prawdę.

– A to niby dlaczego? – zdziwił się Farfalla. – Z twojego raportu wynika, że ten Darovit żył przez ostatnie dziesięć lat jako uzdrowiciel na Ruusanie. Dlaczego nagle postanowił wszystko wyznać?

– Rozmawiając z nim na Ruusanie, opowiedziałem mu, jak niebezpieczni są Sithowie – zaczął Johun. – Darovit chce powstrzymać Bane'a, zanim dojdzie do wybuchu następnej wojny.

Farfalla uniósł brew.

– Ach, więc to ty go przekonałeś? – zapytał. – Po tylu latach milczenia jedno spotkanie z tobą wystarczyło, żeby był gotów zeznawać? Jak ci się to udało?

– Nie posłużyłem się Mocą, słowo daję – zastrzegł Johun. – No, może częściowo. Do niczego go na pewno nie zmuszałem. Po prostu spowodowałem, żeby stał się bardziej skłonny do wysłuchania moich argumentów.

– Bardzo mi to utrudniasz – westchnął Mistrz Valenthyne i potarł skroń.

– Proszę tylko, żebyś z nim sam porozmawiał, Mistrzu – powiedział Rycerz Jedi. – Wysłuchaj tego, co ma do powiedzenia. Później postanowisz, czy postawić go przed Radą.

– To mogę zrobić, Johunie – zgodził się Farfalla. – Spotkam się z nim. Gdzie można go teraz znaleźć?

– Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o sztuce uzdrawiania naszego Zakonu – wyjaśnił Johun. – Mistrz Barra umożliwił mu dostęp do Archiwów.

Valenthyne klepnął się w uda i wstał.

– Więc go tam poszukajmy, zanim oprzytomnieję i zmienię zdanie – powiedział.

Ogólny zbiór Archiwów Jedi mieścił się w czterech dużych salach, ulokowanych wokół masywnej centralnej rotundy. Każda sala miała na środku szeroki korytarz między półkami, od którego odchodziły w obie strony węższe przejścia. Pod ścianami ustawiono regały pełne taśm i kart z danymi, sklasyfikowanych według milionów kategorii, tematów i podtematów. Dostęp do dysków w konkretnym korytarzu był możliwy dzięki terminalom zainstalowanym pośrodku głównego przejścia. Każdy terminal był wyposażony w główny spis alfabetyczny, żeby pomóc osobom poszukującym informacji na konkretny temat w znalezieniu właściwej sali; dla ułatwienia poszukiwań każda sala zawierała zbiory reprezentujące konkretną, chociaż bardzo szeroko pojętą dziedzinę wiedzy.

Pierwsza sala, przez którą musieli przejść wszyscy goście wchodzący do Archiwów ze Świątyni Jedi, zawierała dzieła z dziedziny filozofii i rejestry historyczne. Na regałach można było więc znaleźć osobiste dzienniki Jedi, pamiętniki politycznych przywódców i osób znanych z historii. Część miejsca na półkach zajmowały także podstawowe traktaty na temat Mocy, ale do wielu spośród tych prac nie mieli dostępu padawani. Obawiano się, że mogliby niewłaściwie zinterpretować zgromadzoną w nich wiedzę, co sprzyjałoby deprawacji.

W drugiej sali można było znaleźć prace z dziedziny nauk matematycznych i inżynierskich, a wśród nich teorię czasoprzestrzeni i zasady konstrukcji jednostek napędów nadświetlnych. Znajdowały się tam także plany oficjalnych budynków rządowych i szczegółowe projekty każdego środka transportu, rodzaju broni czy przedmiotu, jaki kiedykolwiek wytworzono. Zasoby w trzeciej sali skupiały się wokół geografii i cywilizacji milionów znanych planet w galaktyce. Większą część półek zajmowały mapy – zarówno planetarne, jak i przestrzeni międzygwiazdnej, a także szczegółowe opisy każdej znanej cywilizacji, zarówno przeszłej, jak obecnej.

Dopiero jednak w czwartej sali Zannah – która cały czas udawała Nalię – znalazła informacje biologiczne i wyniki badań na temat wszystkich znanych form życia w galaktyce. Już trzeci dzień spędzała w Archiwach, ale jeszcze nie znalazła tego, czego szukała. Zawczasu zarejestrowane informacje na jej osobistej karcie danych, którą dostała od głównego bibliotekarza, pomogły jej zawęzić obszar poszukiwań, ale odnalezienie konkretnej wiadomości w nieskończonym oceanie wiedzy nie było zadaniem szybkim ani łatwym.

Mogłaby robić większe postępy, gdyby zwróciła się do Mistrza Barry albo do jednego z setek przemierzających Archiwa analizujących androidów, prosząc o pomoc w znalezieniu informacji na temat orbalisków, zamiast zajmować się ogólną kategorią pasożytów. To by jednak nie pasowało do jej legendy i mogłoby wzbudzić niepożądane zainteresowanie. Zannah musiała więc sama szukać tej wiedzy, wykorzystując umiejętności badawcze, jakie rozwinęła w okresie nauki pod kierunkiem Dartha Bane'a.

Dość szybko znalazła kilka tysięcy artykułów i rozprawek, które przynajmniej w jakiejś mierze dotyczyły orbalisków. Nigdzie jednak nie trafiła na wzmiankę o tym, jak je usuwać bez zabijania nosiciela. Wiedziała, że jej czas dobiega końca, więc kiedy wracała pierwszą salą do rotundy, była zdecydowana odnaleźć to, po co tu przyleciała.

W Archiwach kręciło się wielu badaczy, ale główne przejścia każdej sali były szerokie, a stosów z nośnikami danych było tyle, że Zannah zawsze mogła znaleźć wolny terminal. To pozwoliło jej pracować bez obawy, że ktoś przypadkiem odkryje, jakim problemem się zajmuje. Mimo to czuła lekki niepokój, ilekroć w pobliżu przechodzili inni bywalcy Archiwów. Martwiła się, że wytwarzana przez nią aura Jasnej Strony osłabnie i ujawni jej prawdziwą tożsamość.

Kiedy weszła do centralnej rotundy, skrzyła w prawo. Skinęła głową jednemu z analizujących androidów i skierowała się do czwartej sali. Po drodze musiała minąć popiersia z bronzium, przedstawiające różne wybitne osobistości z historii Zakonu. Jak często robiła, stanęła przed rzędem popiersi Zaginionych – jedynych w historii Zakonu dwunastu osobników, którzy dobrowolnie złamali przysięgę, jaką składali podczas pasowania na Rycerzy Jedi, i opuścili Zakon.

Zaginieni mieli przypominać innym Jedi, że – mimo ich mądrości i talentów w posługiwaniu się Mocą – nie są nieomylni. Jedi uznawali każdego z Zaginionych za porażkę całego Zakonu, nie konkretnej osoby. Plakietka na każdym popiersiu przypominała historię służby każdego z tych Jedi, opisywała, co osiągnęli i do czego się przyczynili, zanim opuścili szeregi Jedi. Może to dziwne, ale żadna z plakietek nie podawała powodu ich odejścia.

Zannah pokręciła głową i ruszyła w dalszą drogę. Jako Sith nie wyobrażała sobie, jak można czcić kogoś, kto porzucił sprawę... z drugiej strony jednak, skoro równocześnie mógł żyć tylko jeden Mistrz i jeden uczeń, Sithowie bardzo różnili się od Zakonu Jedi z jego wielką liczbą członków.

Idąc centralnym przejściem czwartej sali, skierowała się w zaciszne miejsce, gdzie stał ostatni terminal. Wsunęła do czytnika osobistą kartę danych, którą dostała od Mistrza Barry, żeby uzyskać dostęp do katalogów Archiwów, i podjęła poszukiwania dokładnie w miejscu, w którym dzień wcześniej je przerwała.

Sporządziła listę numerów katalogów i wpisała hasło, żeby uniemożliwić innym osobom skorzystanie z tego terminalu. Przeszła do nośników danych, żeby odszukać sześć pierwszych kart, koniecznych do bardziej szczegółowego zapoznania się z interesującymi ją informacjami. Karty danych w Archiwach były oczywiście większe niż jej osobista karta, bo każda zawierała pełny tekst setek – o ile nie tysięcy – sprawozdań i artykułów.

Kontynuowała poszukiwania bez przerwy pięć długich godzin. Raz po raz przynosiła nowe karty danych do terminalu i badała ich zawartość – i za każdym razem stwierdzała, że nie ma tam niczego nowego. Sfrustrowana, wyłuskiwała kolejne karty ze szczeliny czytnika i sporządzała nową listę możliwych źródeł, a potem wracała do regałów, żeby odłożyć stare nośniki i pobrać te, które obiecywały lepsze rezultaty.

Dopiero burczenie w żołądku przypomniało jej, że czas na przerwę. Gdyby była zanadto zmęczona czy głodna, jej aura mogłaby osłabnąć, a wtedy badacze znajdujący się blisko niej mogliby domyślić się prawdy. Już raz jej się to przydarzyło – pierwszego dnia postawiła sobie zbyt wysokie wymagania i przeciągnęła poszukiwania do późnych godzin nocnych. Zanik aury trwał tylko chwilę, ale nawet to mogło ją zgubić. Na szczęście o tak późnej porze Archiwa były opustoszałe i nikt nie przebywał wystarczająco blisko, żeby rozpoznać w niej Sitha. Od tamtej pory jednak Zannah była ostrożniejsza.

Postanowiła sprawdzić jeszcze jedną kartę danych, a potem przejść do kafeterii i zaspokoić głód. Wsunęła kartę do czytnika terminalu i szybko zapoznała się z zawartością. Kiedy odkryła to, czego szukała, wcisnęła klawisz. Na ekranie pojawił się tekst rozprawy naukowej:

„Badania i odkrycia w dziedzinie

najbardziej niebezpiecznych i żywotnych organizmów

Autor: dr Osaf Hamud

Przez lata badań natknąłem się na wiele form życia, które egzystują głównie dzięki symbiotycznym relacjom z innymi gatunkami. Niektóre z tych związków są wzajemnie obojętne. W związkach takich żadna forma życia nie jest specjalnie upośledzona przez obecność innej formy. Inne

związki przynoszą korzyść obu formom życia, dzięki temu, że się wzajemnie wspierają. Bywają także związki pasożytnicze. W takich związkach organizm żywiciela ponosi uszczerbek, a symbiont egzystuje lepiej.

W celu właściwego zaliczenia symbiotycznego związku do jednej z tych trzech kategorii należy najpierw dokładnie zdefiniować znaczenie takich pojęć, jak szkodliwy czy pożyteczny, a to zadanie, które wielu uznało za..."

Zannah zamrugła parę razy, żeby zwalczyć ogarniającą ją senność. Ogólny zbiór Archiwów zawierał wszystko, począwszy od dzienników naukowców, równie ekscytujących jak każde dobrze napisane dzieło literackie, a skończywszy na rozprawach naukowych tak oschłych i nudnych, że wystawiłyby na szwank cierpliwość Mistrza Jedi. Wyglądało na to, że prace doktora Osafa Hamuda zaliczają się do tej drugiej kategorii.

Zannah zastanowiła się chwilę, czy po prostu nie usunąć karty danych z czytnika i nie poszukać czegoś do zjedzenia, ale postanowiła jeszcze sprawdzić, czy gdzieś w manuskrypcie nie występuje słowo „orbalisk”. Czytnik pomiął kilkanaście stron i od razu wyświetlił fragment tekstu z poszukiwanym wyrazem:

„...zwanych przez miejscową niktańską ludność orbaliskami. Jeden z wojowników przypomniał sobie, że został zarażony prawie na rok, zanim pozbył się tych pasożytów, które tak bardzo zniekształcały jego ciało, że nie mógł znaleźć towarzyski życia.

W tym miejscu należy powrócić do wcześniejszego problemu: w jaki sposób zdefiniować znaczenie takich pojęć, jak szkodliwy czy pożyteczny. Nawiązując do poprzedniej dyskusji, musimy teraz uwzględnić w naszych rozważaniach problem znalezienia towarzysza czy towarzyski życia..."

Zannah skierowała spojrzenie z powrotem na górę ekranu.

„...Jeden z wojowników przypomniał sobie, że został zarażony na niemal cały rok, zanim pozbył się tych pasożytów..."

Zdesperowana Zannah wpisała nowy zwrot i znów przycisnęła klawisz z napisem: „Szukaj”.

„Większość zoologów twierdzi, że orbalisków nie da się usunąć bez zabicia nosiciela. Z moich badań wynika jednak, że nosiciel może zostać uleczony, chociaż taki proces jest zarówno niebezpieczny, jak i wyjątkowo skomplikowany, co za chwilę wykażę.

Po pierwsze, nosiciel musi się cieszyć doskonałym zdrowiem. Zaznaczam, że definicja doskonałego zdrowia czy nawet zdrowia musi zostać szerzej przedyskutowana..."

Znalazła to, czego szukała. Znalazła! Zannah zerwała się na równe nogi i

– triumfalnie zaczęła wymachiwać pięścią w powietrzu. Z trudem się powstrzymywała od radosnych okrzyków. Była zbyt podniecona, żeby zauważyć, że skrywająca jej prawdziwą tożsamość aura zanikła.

Szybko odzyskała panowanie nad sobą i rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie zdemaskował. Wsunęła osobistą kartę danych od Mistrza Barry, żeby skopiować na nią artykuł o orbaliskach.

W tej samej chwili usłyszała za plecami znajomy głos:

– Rain? Skąd się tu wzięłaś?

Darovit szedł szerokim przejściem czwartej sali Archiwów Jedi, oszołomiony ogromną ilością zgromadzonej na regałach wiedzy.

Kilka minut spędził, szukając informacji na temat rdzennej flory i fauny Ruusana. Liczył na to, że poszerzy swoją wiedzę, aby lepiej pomagać tym, którzy zwracają się do niego z prośbą o ratunek. Był przyzwyczajony do prostego świata i poziom techniki Archiwów go zniechęcił. Analizujący android wyjaśnił mu, jak prowadzić poszukiwania i wynajdywać odpowiednie karty danych na regałach, ale to krótkie szkolenie pozostawiło Darovita jeszcze bardziej oszołomionego niż poprzednio.

W Archiwach pracowało wielu innych badaczy, mógłby więc podejść do któregoś i poprosić o pomoc. Zawsze jednak cenił własną prywatność, więc niechętnie zakłócałby czyjaś. Zaczął się więc przechadzać tam i z powrotem szerokim przejściem w oczekiwaniu na powrót Johuna.

Zaczynał żałować decyzji przylotu na Coruscant. Pozwolił się namówić Rycerzowi Jedi, bo pomysł zapobieżenia kolejnej wojnie z Sithami przemawiał do jego romantycznych ideałów, które sprowadziły go na Ruusana, kiedy był jeszcze kilkunastoletnim chłopcem. Teraz już rozumiał, że to były marzenia dziecka. Dziś czuł się i starszy, i mądrzejszy.

Jedi przemierzali świat, który nie był jego światem. Nosili na swoich barkach brzemień problemów całej galaktyki, a ich decyzje wpływały na życie trylionów osób. Darovit nie pożądał tak wielkiej odpowiedzialności. Błądząc po wielkich i wspaniałych Archiwach, pragnął tylko powrócić do swojej prostej chaty w lesie.

Niestety, na to już chyba nie było szans. Znalazł się na Coruscant, a Johun najwyraźniej zamierzał zrobić wszystko, żeby Darovit wygłosił swoje oświadczenie w obecności członków Rady Jedi. Mając dość rozmyślania o swojej sytuacji, zaczął przeglądać wyniki badań innych naukowców. Wszyscy byli Jedi: padawani i Mistrzowie, młodzi i starzy, istoty ludzkie i nie tylko. W pewnej chwili zwrócił uwagę na urodziwą młodą kobietę o długich, ciemnych włosach, która wpatrywała się w napięciu w ekran

swojego monitora. Przeglądając jakąś pracę naukową, od czasu do czasu przygryzała wargę.

W kobiecie było coś znajomego, chociaż Darovit miał pewność, że nigdy dotąd jej nie widział. Przez ostatnie lata nie spotykał się z nikim oprócz osób, które przybywały do jego glinianej chaty, żeby szukać pomocy w swoich kłopotach. Kobieta nie wyglądała tak, jakby przyleciała tu z ruusańskiej farmy czy wioski.

Podszedł do niej po cichu, bo nie chciał przeszkadzać w poszukiwaniach; po prostu chciał się zorientować, skąd zna tę twarz. Obserwował ją kilka minut. Młoda kobieta była wyraźnie zirytowana; widocznie nie potrafiła znaleźć tego, czego szukała na kartach danych. Kiedy na koniec podskoczyła i uniosła pięść w triumfującym geście, Darovit poczuł, że omywa go jej znajoma aura.

Przez pierwsze dziesięć lat życia ta aura nigdy go nie odstępowała. Kiedy oboje byli dziećmi, łączyła ich więź daleko wykraczająca poza dalekie pokrewieństwo. Byli sobie bliscy jak brat i siostra. I chociaż stojąca przed nim dziewczyna miała czarne włosy, a nie jasne jak dawniej, Darovit nie miał już żadnych wątpliwości.

– Rain? – zapytał cicho, żeby jej nie wystraszyć. – Skąd się tu wzięłaś?

Kobieta odwróciła się gwałtownie i wytrzeszczyła oczy. Wpatrywała się w niego tępo, jakby nie potrafiła rozpoznać człowieka, którego widziała dziesięć lat temu jako chłopca. Potem zauważyła kikut jego prawej ręki i otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

– Tomcat? – wykrztusiła wreszcie.

Młodzieniec kiwnął głową.

– Nazywam się teraz Darovit, ale nie wiem, czy nie bardziej podoba mi się imię Tomcat – powiedział.

– Jesteś teraz Jedi? – zagadnęła Zannah, zdezorientowana jego obecnością w Archiwach.

– Nie – zastrzegł szybko Darovit, bo nie chciał uchodzić za kogoś, kim w rzeczywistości nie jest. – Po... tym – unióś na wysokość twarzy kikut prawej ręki – zostałem na Ruusanie. Jestem tam uzdrowicielem.

– A co tutaj robisz?

– Przybyłem, żeby... – Urwał w pół zdania, bo nagle uświadomił sobie niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Rain. I to on sam ją na nie naraził.

– Rain, musimy uciekać! – szepnął nagle. – Jedi cię szukają!

– Tomcat, o czym ty mówisz?

– Na Ruusana niedawno przyleciał pewien Jedi – zaczął Darovit. –

Opowiedziałem mu o tobie i o Banie. To właśnie dlatego kazał mi tu przybyć.

Oczy młodej kobiety rozjarzyły się czystą nienawiścią, a Darovit przez sekundę myślał, że kuzynka go zabije tu – pośrodku Archiwów Jedi.

– Ile wiedzą? – zapytała. – Powiedz, co im wyjawiałeś!

– Rain, nie mamy na to czasu – zaprotestował Darovit. – Mają tu po mnie przyjść. Mogą pojawić się w każdej chwili. Musisz uciekać, bo cię znajdą!

Młoda kobieta wcisnęła klawisz terminalu. Z otworu czytnika wyskoczyła niewielka karta danych. Rain chwyciła ją i wsunęła między fałdy ubrania, złapała kuzyna za rękę i zaczęła go ciągnąć w kierunku centralnej rotundy. Nie biegła, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Po prostu szybko szła.

Darovit nie próbował się opierać. Zapytał tylko:

– Dokąd mnie zabierasz?

– Na Tythona – odparła szeptem Rain. – Muszę ostrzec mojego Mistrza.

Dotarli do rotundy, ale zamiast skręcić w pierwszy korytarz i skierować się do wyjścia, młoda kobieta poprowadziła go do trzeciej sali.

– Co ty robisz, Rain? – zapytał głośno Darovit. – Musimy się stąd wynosić!

Jakaś badaczka – starsza kobieta o miedziano-rudych włosach, siedząca przy pobliskim terminalu – odwróciła się i spojrzała na nich, zaalarmowana okrzykiem Darovita.

– Bądź cicho, Tomcat – napomniała go Rain, uspokajając kobietę ruchem ręki. – Przeszkadzasz innym gościom.

Badaczka odwróciła się znów twarzą do monitora i przestała zwracać na nich uwagę. Towarzyszka Darovita szarpnęła go za rękę.

– Przepraszam – szepnął młodzieniec. – Musisz się stąd wynosić. Leć na Tythona, zanim cię znajdą Jedi!

– Nie mam pojęcia, gdzie szukać tej planety – warknęła Rain przez zaciśnięte zęby. – Musimy najpierw znaleźć współrzędne szlaku nadprzestrzennego!

Usiadła przy terminalu sąsiadującym z aparatem rudowłosej kobiety i wcisnęła kilka klawiszy. Sekundę później na ekranie pojawiły się kolumny cyfr.

– Mam – ucieszyła się i popchnęła Darovita na fotel przed monitorem. – Zaczekaj tu.

Zniknęła między regałami. Szła szybko, stawiając długie kroki. W oczekiwaniu na jej powrót Darovitowi przyszło do głowy, że oto nagle opowiedział się po innej stronie. Przybył przecież na Coruscant, aby pomóc

Zakonowi Jedi w odnalezieniu ostatniego Sitha i zapobieżeniu wybuchowi następnej wojny. Abstrakcyjne wizje cierpień galaktyki straciły jednak znaczenie, kiedy spotkał przyjaciółkę z okresu dzieciństwa. Teraz myślał tylko o tym, co się stanie, jeżeli Rain zostanie zdemaskowana i schwyta przez Jedi. Wiedział, że zrobi wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Niespełna minutę później Rain wróciła i wsunęła do szczeliny czytnika kartę danych. Pochyliła się przed Darovitem, który wciąż jeszcze siedział na fotelu, i wpisała kilka rozkazów. Na ekranie pojawił się obraz spowitej gęstymi chmurami planety.

– Muszę to skopiować – szepnęła, wyciągając osobistą kartę danych, tę samą, której używała, kiedy Darovit pierwszy raz ją zobaczył. Wcisnęła ją do drugiego otworu terminalu.

– Dlaczego nie zabierzesz oryginału? – zapytał Darovit.

– Czujniki przy drzwiach Archiwów – wyjaśniła zwięźle młoda kobieta. – Próba wyniesienia czegokolwiek wywoła alarm.

Terminal zapiszczał i z czytnika wyskoczyła karta danych. A więc kopiowanie zostało pomyślnie ukończone. Zannah wsunęła kartę między fałdy ubrania i pociągnęła Darovita za łokieć.

– Chodźmy – powiedziała. – Wynośmy się, zanim pokażą się tu twoi przyjaciele.

Nie tracąc czasu na odłożenie oryginalnej karty danych na właściwy regał, pociągnęła kuzyna w stronę wyjścia. Przeszli przez rotundę do drzwi pierwszej sali, a potem opuścili Archiwa. Niebawem zostawili je daleko za sobą.

ROZDZIAŁ 20

– Nie rozumiem, Mistrzu Valentyne – zdziwił się Johun, rozglądając się po szerokim przejściu Archiwów Jedi. – Zostawiłem go tu niecałą godzinę temu.

Spodziewał się, że zastanie Darovita siedzącego przy terminalu w jednej z czterech sal albo przyglądającego się ustawionym w rotundzie popiersiom. Kiedy jednak przyprowadził Farfallę, żeby porozmawiał z młodą mężczyzną, przekonał się, że Darovit po prostu zniknął.

– Pewnie zabłądził gdzieś między regałami – zapewnił go Farfalla.

Johun przywołał gestem analizującego androida, który akurat przechodził. Automat odwrócił się sztywno i podszedł do nich.

– W czym mogę pomóc? – zapytał uprzejmie.

– Szukam kogoś – wyjaśnił Johun. – Młodego mężczyzny.

– Archiwa są odwiedzane przez istoty wszystkich ras i w różnym wieku – odparł android. – Może powiem coś więcej, jeżeli poda mi pan rysopis, Mistrzu Jedi.

– Ten mężczyzna nie ma prawej ręki – dodał Johun.

Kiedy android nawiązywał kontakt z najnowszymi bazami danych w swojej pamięci, rozległ się cichy pomruk.

– Chyba widziałem niedawno mężczyznę, którego pan poszukuje – odezwał się w końcu. – W trzeciej sali. – Odwrócił się, żeby poprowadzić ich w tamtą stronę.

Johun nie zamierzał czekać. W pośpiechu przecisnął się obok androida. Farfalla podążył szybko za nim.

W trzeciej sali zastali wiele osób przy monitorach, ale nie było pośród nich Uzdrawiającego Pustelnika z Ruusana. Johun spojrzął na swojego Mistrza.

– Musimy go odnaleźć! – postanowił. Przebiegł szybko tam i z powrotem głównym przejściem sali. Po drodze zaglądał w boczne przejścia, żeby się upewnić, że Darovit nie błąka się gdzieś między regałami. Zdenerwował przy okazji innych gości Archiwów.

Zanim Johun wbiegł po raz drugi w szerokie przejście, Farfalla złapał go

za łokieć.

– Nie ma go tu, Johunie – zapewnił.

Ktoś przy najbliższym monitorze chrząknął. Obaj się odwrócili i zobaczyli rudowłosą kobietę, wyraźnie wściekłą.

– Mistrzu Valentyne – zaczęła. – Z całym szacunkiem przypominam, że Archiwa są miejscem kontemplacyjnych badań. Pański młody przyjaciel powinien przeprowadzać ćwiczenia w sali gimnastycznej albo w siłowni.

– Przepraszamy, Mistrzynie Qiino, ale to bardzo pilna sprawa – szepnął Farfalla. – Poszukujemy kogoś, kto się tu zgubił.

– Rzeczywiście, nietrudno się zgubić w mądrościach Archiwów – parsknęła Qiina. – Sama często tu znikam na kilka dni z rzędu.

Farfalla uśmiechnął się uprzejmie.

– Tym razem chodzi o coś innego – powiedział.

Analizujący android, który pomógł im niedawno, wreszcie do nich dołączył. Johun spojrział na niego i zaraz przeniósł spojrzenie na Qiinę.

– Szukamy młodego mężczyzny – powiedział. – Brakuje mu prawej ręki.

Qiina uniosła brwi.

– Widziałam go tu jakieś pół godziny temu – oznajmiła. – Był w towarzystwie młodej kobiety.

– Kobiety? – powtórzył zaskoczony Farfalla.

– Chyba się dobrze znali – poinformowała ich sędziwa Jedi. – Zwracając się do siebie, używali zabawnych imion. Tomcat i Rain, o ile dobrze pamiętam.

Johun złapał Farfallę za ramię.

– Rain była jego kuzynką! – wykrzyknął. – To właśnie z nią się spotkał w jaskini na Ruusanie. Musiała przylecieć na Coruscant!

– Czy wiesz, dokąd się udali, Mistrzynie Qiino? – zapytał Farfalla.

Starsza kobieta pokręciła głową.

– Korzystali z tamtego terminalu, żeby coś sprawdzić – wyjaśniła. – A później po prostu wyszli.

Farfalla odwrócił się do androida.

– Czy w jakiś sposób możemy sprawdzić, jakie materiały przeglądali? – zapytał.

– Przykro mi, Mistrzu Jedi – odparł automat. – Dla ochrony prywatności naszych gości utrzymujemy w tajemnicy przedmiot ich badań. Terminale nie przechowują informacji na temat kart danych, z którymi się zapoznają nasi goście.

– Wasi przyjaciele chyba się bardzo spieszyli – podsunęła Qiina. – Zdaje

się, że nawet nie odłożyli oryginalnej karty danych na właściwą półkę. Nie zdziwiłabym się, gdyby ta karta wciąż jeszcze tkwiła w czytniku ich stanowiska.

Johun podbiegł do terminalu i stwierdził, że jest w nim zalogowana Nalia Adollu. Qiina miała rację – w czytniku wciąż jeszcze tkwiła karta danych. Johun polecił wyświetlić jej katalog, a Farfalla, który właśnie podszedł do terminalu, zerknął na ekran nad ramieniem Johuna.

– Chodzi o Tythona – oznajmił Mistrz Jedi, wyłapując wspólny temat z tysięcy wymienionych w katalogu artykułów i referatów. – Miejsce narodzin Jedi.

– Pewnie właśnie tam zamierzają polecieć – zgadł Johun. – Bane musiał się zaszyć w Głębokim Jądrze!

Odwrócił się do Farfalli.

– Musisz przekonać Radę, żeby pozwoliła nam polecieć za nimi – powiedział błagalnym tonem.

Farfalla zmierzył go twardym spojrzeniem.

– Wątpię, żeby członkom Rady się spieszyło... nie sądzę, żeby podjęli jakąkolwiek akcję – powiedział.

– Ale... Mistrzu Valenthyne... – zaczął Johun i przerwał, kiedy Mistrz Jedi machnął ręką.

– Rada ci nie pomoże, Johunie – uświadomił go. – A to znaczy, że sami musimy polecieć na Tythona.

Zaskoczony Johun wytrzeszczył oczy.

– Złożyłem przysięgę generałowi Hothowi – wyjaśnił Farfalla. Mówił jak dowódca, pierwszy raz od czasu rozwiązania Armii Światła. – Obiecałem, że nie spocznę, dopóki nie oczyszczę galaktyki ze wszystkich Sithów. Zamierzam dotrzymać tej przysięgi. Odszukaj Mistrzynie Rasktę i Mistrza Worrora – dodał. – Oni także służyli na Ruusanie pod rozkazami Hotha. Przyłączą się do nas. Powiedz im, że odlatujemy za godzinę.

Kiedy „Loranda” opuściła orbitę Coruscant, Zannah od razu wskoczyła do nadprzestrzeni. Potem poszła do łazienki, żeby zmyć czarną farbę z włosów.

Uruchomiła i zablokowała automatycznego pilota, zanim wróciła do luksusowej kabiny na jednym z rufowych pokładów statku. Tomcat swobodnie krążył po pokładach. Kiedy wyszła z kabiny, susząc ręcznikiem jasne teraz włosy, spokojnie na nią czekał.

Siedział na wyściełanej kanapie w salonie „Lorandy”, rozciągnięty wygodnie na całą długość. Sądząc po szklaneczce w dłoni, znalazł także kolekcję trunków, którą Hetton trzymał na pokładzie. Wciąż jeszcze miał na

sobie obszarpany strój uzdrowiciela, w którym wyglądał dość zabawnie.

– Nawet jako blondynka nie wyglądasz już tak jak dawniej – powiedział.

Zannah, prócz tego, że zmieniła kolor włosów, zdjęła także ponury płaszcz Jedi i ubrała się w wygodniejszy, czarny kombinezon. Była leworęczna, więc przypięła rękojeść świetlnego miecza na lewym biodrze, a cenną kartę danych z artykułem na temat orbalisków wsunęła do bezpiecznej kieszeni, naszytej na prawej nogawce spodni.

– To naprawdę ja – zapewniła Darvoita.

Wyruszając na wyprawę z polecenia Dartha Bane'a, często musiała się przebierać, więc czuła się swobodnie w każdym ubraniu. Teraz z jakiegoś powodu przebranie Nalii wydawało się jej wstrętne, więc była zadowolona, że pozbyła się wszystkich elementów stroju padawanki.

– Czy teraz jestem twoim więźniem? – zapytał Darovit, kiedy Zannah usiadła na fotelu naprzeciwko niego.

– Nie sądzę, żeby więźniom wolno było pić tarula i wylegiwać się na kanapach – odparła młoda kobieta, rzucając ręcznik na leżące obok kuzyna poduszki.

– No to dlaczego mnie zabrałaś? – zagadnął Tomcat. Dla podkreślenia wagi swojego pytania pochylił się do przodu.

– Nie mogłam zostawić cię na Coruscant – odparła Zannah. – Wydałbyś mnie i mojego Mistrza członkom Rady Jedi. Stanowiłeś zagrożenie dla nas, Sithów.

– Naprawdę uważasz, że jesteś Sithem, Rain?

– Nie nazywaj mnie tak – warknęła gniewnie młoda kobieta. – Rain nie żyje. Zginęła na Ruusanie. Nazywam się teraz Zannah.

– Wydaje mi się, że Tomcat także zginął na Ruusanie – zgodził się z nią młody mężczyzna, powoli obracając szklankę w dłoni. – Powinnaś mnie chyba nazywać Darovitem. Nie odpowiedziałaś jednak na moje pytanie. Czy naprawdę uważasz się za Sitha?

– Nazywam się Darth Zannah i jestem uczennicą Dartha Bane'a, Ciemnego Lorda Sithów – odparła młoda kobieta z wyraźną dumą. – Pewnego dnia zabiję mojego Mistrza i wybiorę własnego ucznia. W ten sposób będę kontynuowała dziedzictwo Ciemnej Strony.

– Nie wierzę w to – stwierdził Darovit, obojętnie traktując jej deklarację. – Znam cię, Zannah. Nie jesteś zła.

– Zła? Tego słowa używają ignoranci i słabeusze – odcięła się Zannah. – Ciemna Strona oznacza pragnienie przeżycia. Używanie jej polega na uwalnianiu wewnętrznej potęgi. Ciemna Strona gloryfikuje siłę

indywidualności.

– To też do ciebie nie pasuje – powiedział sceptycznie Darovit. – Wyznawcy Ciemnej Strony muszą być brutalni i bezwzględni. Tymczasem ty zawsze się troszczyłaś o innych, Zannah.

– Nie znasz mnie. – Młoda kobieta uśmiechnęła się z pogardą. – Zabiłam więcej osób, niż potrafisz sobie wyobrazić.

– Ja też zabiłem kilka osób. Z mojego powodu zginął Bug – odparł cicho Darovit, mając na myśli kuzyna, który przyleciał z nim na Ruusana. – Samo zabijanie jeszcze nie oznacza, że ktoś jest Sithem – dodał głośnie.

– Nie pouczaj mnie o sprawach mojego Zakonu – obraziła się Zannah. Wstała i ściągnęła ręcznik ze stosu poduszek. – Co takiego możesz wiedzieć, czego ja jeszcze się nie nauczyłam?

– Możliwe, że nie znam Ciemnej Strony – zgodził się z nią Darovit. – Znam jednak ciebie i wiem, do czego jesteś zdolna.

Zannah gniewnie wrzuciła ręcznik przez otwarte drzwi swojej luksusowej kabiny. Podeszła do Darovita i chwyciła go za prawe przedramię, nie zważając na to, że rozlewa drinka. Wykręciła mu rękę do góry, żeby kikut znalazł się na wysokości twarzy.

– Już zapomniałeś, kto ci to zrobił? – syknęła.

Darovit nie zrobił nic, żeby wyrwać ramię, chociaż młoda kobieta trzymała go tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało.

– Nie jestem głupcem, Zannah – odezwał się spokojnie. – Twój Mistrz zabiłby mnie, w tamtej jaskini. Wiem, że zrobiłaś to tylko po to, żeby ocalić mi życie.

Zannah z odrazą odrzuciła jego rękę. Odwróciła się tyłem i pomaszerowała korytarzem do sterowni. Darovit odstawił opróżnioną szklanę, wstał i ruszył za nią.

– Ryzykowałeś życie, żeby mnie ocalić, Zannah! – zawołał za nią, kiedy młoda kobieta zbliżała się do drzwi sterowni. – Zrobiłaś to, bo troszczyłaś się o mnie!

Zannah spojrzała w jego stronę. Posłużyła się Mocą i przewróciła go na płyty pokładu. Młody mężczyzna stęknął i wylądował twarzą u jej stóp.

– Od tamtego czasu wszystko się zmieniło – oznajmiła gniewnie, wpadła do sterowni i usiadła na fotelu pilota.

Darovit wstał powoli i stanął nad jej prawym ramieniem.

– Jeżeli już o mnie nie dbasz, dlaczego zabrałaś mnie z Coruscant? – zapytał cicho.

– Już ci mówiłam – warknęła Zannah, patrząc prosto przed siebie. –

Wydałbyś nas. Nie mogłam cię zostawić.

– Mogłaś mnie przecież zabić.

– Akurat! – młoda kobieta wybuchnęła śmiechem, odchyliła głowę do tyłu i pogardliwie spojrzała na kuzyna. – Miałam cię zabić potęgą Ciemnej Strony tam, w Świątyni Jedi? – zapytała. – Naprawdę uważasz, że Sithowie to półgłówki?

– Nie jesteśmy w Świątyni Jedi – przypomniał łagodnie Darovit. – Dlaczego teraz mnie nie zabijesz?

Zannah spojrzała przez dziobowy iluminator, chyba tylko dlatego, żeby nie patrzeć na kuzyna.

– Jesteś uzdrowicielem. Możesz się nam jeszcze przydać – powiedziała w końcu.

– W galaktyce jest mnóstwo uzdrowicieli – nie dawał za wygraną Darovit. – I to takich, którzy nie wydadzą cię w ręce Jedi.

– Nie miałam czasu szukać nikogo innego – odparła Zannah. – Znalazłeś się w odpowiednim miejscu we właściwej chwili. Miałeś szczęście.

– To nieprawda, Zannah – powiedział Darovit. – Jak sądzisz, w jaki sposób rozpoznałem cię po tylu latach? Między nami istnieje silna więź. Zawsze istniała, nawet kiedy byliśmy dziećmi.

Zannah nic nie powiedziała, ale pokręciła się na fotelu.

– Pamiętasz jeszcze te czasy, kiedy byliśmy dziećmi? – zapytał młody człowiek. – Wszyscy podejrzewali, że jestem silny Mocą, ale nikt nie wierzył, że ty masz jakąkolwiek potęgę.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale przypominała sobie wszystko. Kiedy byli dziećmi, Darovit potrafił unosić drobne przedmioty i z zawiązanymi oczami odbijać kijem rzucane w powietrze przedmioty. Jej potęga w niczym się nie przejawiała, dopóki Zannah nie znalazła się sama na Ruusanie.

– Nie rozumiałem tego wtedy, Zannah, ale teraz już wiem, że cała moja potęga, wszystkie sztuczki... to nie była moja sprawa. To byłaś ty! Nawet kiedy byliśmy dziećmi, dobrze wiedziałaś, jak bardzo chcę zostać Jedi, i chciałaś mi w tym pomóc, więc kierowałaś przepływem swojej potęgi przeze mnie.

– Wcale tego nie pamiętam. Nie w taki sposób – odparła lodowatym tonem Zannah.

– Nie byłaś tego świadoma – wyjaśnił Darovit. – Łącząca nas więź była tak silna, a ty troszczyłaś się o mnie tak bardzo, że robiłaś to wszystko podświadomie.

– To najgłupsza teoria, jaką kiedykolwiek słyszałam – prychnęła Zannah,

patrzac prosto przed siebie.

– Czyżby? Myślałem trochę o tym, Zannah – powiedział jej kuzyn. – Kiedy zabłądziliśmy na Ruusanie, poczułem, że moja potęga nagle zniknęła. Zawiodłem zarówno jako Jedi, jak i jako Sith. Nie dysponuję silną Mocą. To dlatego przeżyłem eksplozję bomby myśli, kiedy wszyscy Sithowie i Jedi wokół mnie zginęli. Bomba myśli zabiła tylko tych, którzy wykazywali silną więź z Mocą. A co z tobą? Masz naprawdę olbrzymią potęgę. Jak myślisz, dlaczego tyle czasu zajęło ci pokazanie swojej siły? Zawsze ją kierkowałeś przeze mnie. – Urwał na chwilę, żeby się zastanowić. – Nie zostaniesz Ciemną Lady Sithów, Zannah – podjął w końcu. – To wbrew twojej naturze. Wcześniej czy później to zrozumiesz.

– Zamknij się – odparła zimno młoda kobieta, nie odrywając spojrzenia od urządzeń kontrolnych na pulpicie przed sobą. – Jeżeli powiesz jeszcze choćby słowo, odetnę ci drugą rękę.

Darovit nie odpowiedział, ale jego palce instynktownie powędrowały do kikutu prawej ręki.

– Zabrałam cię wyłącznie z jednego powodu – ciągnęła Zannah tonem pozbawionym wszelkich emocji. – Mój Mistrz został zarażony przez pasożyty, które nazywają się orbaliski, a ty go uzdrowisz.

– Przecież nie mam pojęcia, w jaki sposób – sprzeciwił się Darovit, zapominając o jej ostrzeżeniu, żeby się nie odzywał.

Zannah uwolniła potęgę Mocy i sięgnęła do jego gardła. Powoli zaczęła zaciskać obręcz. Darovit osunął się na kolana i podniósł lewą rękę do szyi. Brakło mu powietrza.

– Na rufie znajdziesz terminal – odezwała się Zannah, ignorując jego rozpaczliwe próby złapania tchu. – Wykorzystaj go, żeby się zapoznać z artykułem, który skopiowałam z Archiwów.

Wyciągnęła z kieszeni spodni kartę danych i rzuciła ją na pokład przed duszącym się kuzynem. Darovit, wijąc się po pokładzie, cały czas trzymał się dłonią za gardło. Twarz mu poczerwieniała, a oczy zaczynały wychodzić z orbit.

– Jeżeli nie będziesz potrafił pomóc mojemu Mistrzowi, kiedy przylecimy na Tymona – ostrzegła Zannah – na pewno cię zabije.

Uwolniła gardło Darovita z uścisku Mocy. Młody mężczyzna zakrztusił się i zaczął łapczywie chwytać powietrze. Zannah obserwowała go z okrutnym uśmiechem. Chciała mieć pewność, że kuzyn widzi, jak ona napawa się widokiem jego cierpienia. W końcu Darovit jako tako doszedł do siebie, podniósł z pokładu kartę danych i poszedł do terminalu na rufie.

Kiedy zniknął, Zannah wstała z fotela i zaczęła się przechadzać. Wiedziała, że Darovit nie miał racji. Nie mógł mieć. Była pewna swojej wierności Ciemnej Stronie, niezależnie od tego, co powiedział jej kuzyn. Niektóre jego argumenty kazały się jej jednak zastanowić, co o tym wszystkim pomyśli Bane.

Jeżeli po wylądowaniu na Tymonie jej Mistrz, podobnie jak Darovit, dojdzie do przekonania, że jej akcjom brakuje twardości i że nie dochowuje wierności ideałom Sithów, sprawy mogą się potoczyć bardzo źle.

Belia Darzu była za życia istotą rasy Shi'ido – jedną ze zmiennokształtnych stworzeń, które potrafiły zmieniać wygląd zewnętrzny. Nic więc dziwnego, że jej awatar, służący jako strażnik holocronu także zmieniał kształt. Czasami wyglądał jak Twi'lek, kiedy indziej jako Iridonianin, Cereanin czy nawet istota rasy ludzkiej. Od czasu do czasu zmieniał nawet płeć.

– Procesu konstruowania holocronu nie wolno przyspieszać – wyjaśnił strażnik. – Poprawek matrycy należy dokonywać precyzyjnie i ostrożnie.

Strażnik wyglądał teraz jak osoba, w którą Belia Darzu najczęściej się wcielała: wysoka kobieta o krótkich brązowych włosach, która miała około trzydziestu lat i sprytną, przebiegłą minę. W tej postaci bywała na ogół ubrana w ciemny, dopasowany do figury kombinezon lotniczy, czarne buty i bladożółtą kamizelkę. Nosiła także żółte rękawice, krótkie czarne narekawniki, czerwoną czapkę lotniczą i szeroki pas.

Po pierwszym pobudzeniu potęgi holocronu Bane przeniósł go z wewnętrznego sanktuarium Belii do przestronnej sali na głównym poziomie. Mieściła się tam kiedyś jadalnia żywych zwolenników Belii. To właśnie tam Bane badał holocron z krótkimi przerwami przez ostatnich kilka dni. Robił to ostrożnie, wciąż jeszcze wyczerpany po bitwie z technobestiami. Oszczędzanie sił pozwoliło mu odzyskać energię, konieczną do badania kryształowych archiwów holocronu.

Większość z tego, co odkrył, koncentrowała się wokół rytuałów i doświadczeń z dziedziny alchemii Sithów – chętnie zbada to dokładnie, gdy będzie miał więcej czasu. Niekiedy Lord Sithów natykał się na filozoficzne traktaty Belii na temat Mocy, chociaż – prawdę mówiąc – nie było tam praktycznie nic nowego. Dopiero teraz znalazł coś, czego naprawdę szukał.

– Może potrwać tygodnie, a może nawet miesiące – wyjaśnił awatar Belii – zanim ostateczne etapy konstrukcji dobiegną końca.

Jej postać zamigotała i stopiła się z przekrojem samego holocronu. Włókna i sploty kryształowej matrycy zaczęły się przemieszczać, wskazując

na poprawki, o których opowiadał strażnik holocronu.

Bane nie zwracał na to specjalnej uwagi. Już wiedział, jak dokładnie dostroić wewnętrzne struktury holocronu.

– Powiedziałaś, że poprawki mogą zająć miesiące. Jak to możliwe? – zapytał teraz, kręcąc głową. – Poznawcza matryca zbyt szybko się degeneruje.

Płaszczyny holocronu zamigotały i zmieniły się znów w obraz Belii.

– Zanim rozpoczniesz pracę, musisz uwięzić poznawczą matrycę w kryształ wieńczącym konstrukcję – pouczyła go.

– W kryształ wieńczącym konstrukcję? – powtórzył Bane, drżąc z podniecenia. W swoich dotychczasowych badaniach nigdy nie zetknął się z tą nazwą.

Uaktywnił się znów obraz holocronu, chociaż tym razem nie w przekroju. Niewielki czarny kryształ na czubku piramidy rozbłyskiwał raz po raz.

– Kryształ wieńczący konstrukcję jest kluczem do tego procesu – rozległ się głos Belii. – Bez tego kryształu poznawcza matryca zdegraduje się, zanim ukończysz poprawki, i w rezultacie za każdym razem poniesiesz klęskę.

Bane wpatrywał się z zachwytem w wizerunek. Wiedział, że czarny kryształ odgrywa bardzo ważną rolę w procesie budowy holocronu, zawsze jednak uważał, że jego jedynym zadaniem jest przekazywanie do matrycy potęgi symboli, wyrytych na bocznych ściankach piramidy. Nie przypuszczał, że czarny kryształ pełni także inną rolę.

– Jak mogę uwięzić matrycę poznawczą wewnątrz tego kryształu? – zapytał. Nie mógł się już doczekać, kiedy pozna tajemnicę, która aż do tej pory mu umykała.

– Musisz odwołać się do Obrzędu Początku – wyjaśnił wizerunek Belii.

W holocronie pojawił się obraz przedstawiający szalenie skomplikowany rytuał Sithów; czegoś takiego Bane dotąd nie opanował. Subtelnymi pchnięciami Mocy przeglądał fragment po fragmencie. Rozumiał, że samo zapamiętanie rytuału zajmie mu wiele miesięcy wyteżonej pracy. Ale za to... był bliski poznania tajemnicy!

Zadowolony, wyłączył holocron. Nadszedł czas opuszczenia Tythona i powrotu na Ambrię. Jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, jego uczennica będzie tam już na niego czekała.

Wyszedł na zewnątrz, gdzie zostawił „Mistyka”. Zanim zdążył wejść po rampie na pokład statku, zauważył obcą jednostkę, która leciała szybko w jego stronę. Uwolnił myśli, posłużył się Mocą i wyczuł obecność Zannah na

pokładzie... Zannah i jeszcze kogoś.

„Loranda” wylądowała pięćdziesiąt metrów od „Mistyka”. Bane stał bez ruchu i czekał, aż pojawi się jego uczennica. Kiedy wysiadła, obok niej kroczył młody mężczyzna. Ciemny Lord wyczuwał w nim słabą obecność Mocy. Zobaczył, że nieznajomy nie ma prawej ręki, i wtedy wszystko zrozumiał.

– Mieliśmy się spotkać na Ambrii – rzucił oskarżycielskim tonem pod adresem Zannah. – Dlaczego przyleciałaś tutaj? I dlaczego zabrałaś jego?

– Jestem tu, żeby cię ostrzec – odparła szybko uczennica. – Jedi wiedzą, że przeżyłeś eksplozję bomby myśli.

– To z jego powodu, prawda? – zapytał Bane, wskazując na jej towarzysza.

– Zamierzał porozmawiać z członkami Rady Jedi – wyjaśniła Zannah. – Teraz, kiedy zniknął, może nie uwierzą w jego wersję.

– Dlaczego go po prostu nie zabiłaś? – zainteresował się Bane.

– To uzdrowiciel – powiedziała Zannah. – Wie, jak uwolnić cię od orbalisków.

Odpowiadała za szybko, żeby Bane'owi mogło się to spodobać. Wyglądało, jakby się przygotowała do tej rozmowy, ucząc się odpowiedzi na pamięć.

– Czy to prawda? – zapytał Mistrz Sithów, przenosząc spojrzenie na nieznajomego.

– Nie mogę tego zrobić tutaj – zastrzegł Darovit. – Potrzebuję odpowiednich środków i specjalnego sprzętu. To niebezpieczny zabieg, ale moim zdaniem możliwy.

Bane się zawahał. Nie chodziło o potencjalne niebezpieczeństwo, bo doskonale wiedział, że każda procedura, która mogłaby go pozbawić skorupiaków, musi się wiązać z dużym ryzykiem. Odkąd się jednak dowiedział, że niepowodzenia z konstruowaniem holocronu nie mają nic wspólnego z orbaliskami, wolałby się jeszcze raz zastanowić, czy je usunąć.

Spojrzał w niebo – i zobaczył jeszcze jeden statek. Na razie znajdował się zbyt daleko, żeby rozpoznać model czy właściciela, ale to wystarczyło, żeby Bane przestał się wahać. Tym bardziej, że wyczuł nieomylnie potęgę Jasnej Strony wśród pasażerów.

Zannah musiała ją także wyczuć, bo odwróciła się i zerknęła w tamtą stronę. Potem spojrzała na Bane'a i skrzywiła się wyraźnie zaniepokojona.

– Czy coś się stało? – zapytał młody uzdrowiciel, który zwrócił uwagę na tę wymianę spojrzeń. – Co to takiego?

– Byliśmy śledzeni – mruknęła Zannah.

Nieznana jednostka nadlatywała szybko, zbyt szybko, żeby zdążyli się dostać na pokład swoich statków i wznieść się w niebo. Operatorzy systemów obronnych obcego statku zestrzeliliby ich, zanim by zdążyli odlecieć.

– Do fortecy! – rozkazał Bane. – Znaleźli nas Jedi.

ROZDZIAŁ 21

Statek Mistrzynie Raskty „Krzyżowiec Sprawiedliwości” był najszybszą jednostką, jaką Johun kiedykolwiek leciał. Był to niewielki osobisty krążownik szturmowy, który wymagał tylko czteroosobowej załogi. Na szczęście dla Johuna razem z nim były na pokładzie właśnie cztery osoby. Wszystkie miały na sobie proste brązowe szaty, które oznaczały, że są członkami Zakonu Jedi.

Za sterami statku siedziała Echanka, Mistrzynie Raskta Lsu. Miała alabastrową skórę, śnieżnobiałe włosy i charakterystyczne dla wszystkich istot jej rasy srebrzyste oczy. Była prawie tego wzrostu co Johun, doskonale umięśniona, co nie dziwiło u istoty rasy, która ceniła walkę wręcz jako najwyższą formę sztuki. Nazwana na cześć legendarnej echańskiej wojowniczkii Raskty Fenni, uznawanej przez wielu za najlepszą fechtmistrzynie swoich czasów, Raskta całe życie szlifowała swoje umiejętności, żeby któregoś dnia mogła dorównać, a nawet przewyższyć swoją imienniczkę.

Osiągnęła rzadki i prestiżowy stopień Mistrzynie Broni Jedi. Rezygnując ze wszystkich innych dziedzin wiedzy i zaniedbując nawet talenty władania Mocą, żeby skupić się wyłącznie na świetlnym mieczu i sztuce walki, sama stała się żywą bronią.

Kiedy przypadało jej zadanie szkolenia uczniów w różnych formach walki świetlnym mieczem, brała akurat udział w kampanii na Ruusanie. Trzymając w każdej dłoni miecz świetlny o błękitnej klindze, rezygnując z pancerza, wyglądała przerażająco na polu każdej bitwy. Johun doskonale pamiętał, jak przedzierając się przez szeregi nieprzyjaciół, zostawiała za sobą szerokie przejście, usiane zwłokami przeciwników. Pod koniec wojny powiadano, że od ciosów jej kling zginęło tyle samo Lordów Sithów, co po eksplozji bomby myśli.

Na fotelu artylerzysty po drugiej stronie pilota siedział Sarro Xaj – mężczyzna, który służył na Ruusanie jako padawan Raskty. O rok starszy od Johuna, Sarro miał oliwkową karnację i kitę czarnych włosów, związanych na czubku głowy. Był największą istotą ludzką, z jaką Johun się

kiedykolwiek zetknął. Wysoki na ponad dwa metry, ważył sto pięćdziesiąt kilogramów i składał się z samych mięśni. Często brano go za bezwłosego Wookiego. Mimo swojej masy był tak szybki, że mógł schwytać lecącą w powietrzu muchę zess.

Pasowany na Rycerza Jedi przed siedmiu laty, Sarro zdecydował się podążać śladami swojej Mistrzyni. Osiągnął mistrzostwo w posługiwaniu się dwuklingowym świetlnym mieczem o długości co najmniej trzech metrów. Johun nie sądził, żeby w galaktyce żyło wiele istot, które wytrzymałyby ostry atak obiema takimi klingami.

Nawigacją statku zajmował się Ithorianin, Mistrz Worrora, który siedział w przedziale rufowym statku. Jego długa, płaska szyja wyginała się do przodu, podtrzymując głowę w kształcie litery T z wielkim, wyłupiastym okiem na każdym końcu poprzeczki. Ten dziwny wygląd sprawiał, że ignoranci i osoby niewrażliwe nazywały Ithorian Obuchogłowymi.

Nazwisko Mistrza Worrora można było prawidłowo wypowiedzieć tylko wówczas, kiedy miało się – jak Ithorianie – dwoje ust i trzy gardła. Johun słyszał o ithoriańskich Jedi, którzy potrafili tak ukierunkowywać Moc, że mogli używać swoich głosów jako niszczycielskiej broni sonicznej. Mistrz Worrora był jednak wyszkolonym uzdrowicielem i właśnie w tej dziedzinie wykazywał największy talent.

Służył na Ruusanie jako jeden z doradców generała Hotha i przyczynił się do zwycięstw w wielu bitwach, chociaż nawet nie nosił świetlnego miecza. Jego zadanie nie polegało na walce z nieprzyjacielem, ale na wspieraniu własnych wojsk dzięki umiejętności uzdrawiania i rzadkiej sztuce bitewnej medytacji. Jego talent nie wystarczał, żeby mógł osobiście zmienić wynik dużej bitwy, ale na niewielką odległość potrafił czerpać energię Mocy, żeby przekazywać ją ciałom, umysłom i duchom otaczających go osób. W ten sposób wzmacniał umiejętności i możliwości swoich sojuszników.

Obok nawigatora w przedziale rufowym siedział czwarty członek załogi, Mistrz Farfalla, który pomagał pilotowi, artylerzyście i nawigatorowi. Przywoływał na ekran astronawigacyjne mapy, odczyty czujników monitorujących pracę jednostek napędowych, stanu uzbrojenia, wyniki skanowania okolicy i wszystko, czego potrzebowali pozostali do wykonywania swojej pracy.

Johun siedział na dziobie w sterowni w towarzystwie Raskty i Sarra. Zajął fotel pasażera za plecami pilota. Wiedział, że dopóki nie dotrą na Tythona, jego jedynym zadaniem jest nieprzeszkadzanie pozostałym

członkom załogi.

Wykorzystując od dawna zapomniany szlak nadprzestrzenny – jego współrzędne znaleźli na karcie danych, którą Rain zostawiła w czytniku terminala Archiwów Jedi – „Krzyżowiec Sprawiedliwości” dotarł w końcu do Głębokiego Jądra. Mistrzynie Raskta od początku podróży twierdziła, że jest zaniepokojona. Z ostatnich danych na temat nadprzestrzennych szlaków, którymi mieli lecieć, wynikało, że potrafią one zmieniać swoje właściwości bez ostrzeżenia. A w takim wypadku statek lecący korytarzem, mógł po prostu przepaść. W połączeniu z innymi niebezpieczeństwami Głębokiego Jądra – choćby z czarnymi dziurami, które nawet w nadprzestrzeni mogły unicestwić statek – niestabilność trasy spowodowała, że dawno przestano jej używać. Od ponad tysiąca lat o niej zapomniano.

Worrora oceniał prawdopodobieństwo kłopotów z nadprzestrzennym szlakiem podczas ich podróży na Tythona na ponad dwa procent – wystarczająco dużo, żeby Johun westchnął z ulgą, kiedy wyłonili się bez przeszkód kilka tysięcy kilometrów przed celem podróży.

– Systemy ogniowe uzbrojone i gotowe do użycia – zameldował Sarro przez interkom. – Czy spotkamy tam kogoś niemiłego?

– Niczego nie widzę na orbicie – odparł Farfalla. – Wygląda na to, że jesteśmy sami.

– Podchodzę do lądowania – uprzedziła wszystkich Raskta. – Czuwajcie, żeby nie przeoczyć czegoś ważnego.

– Czujniki wykrywają ślad jonów – oznajmił Farfalla, kiedy zbliżyli się do górnej granicy atmosfery planety. – Wygląda na to, że jesteśmy tuż za nimi.

– Namierzam szlak jonów... blokuję namiar. – Basowy głos Worrora rozszedł się echem po wszystkich pomieszczeniach statku, słyszalny mimo trzasków z głośnika interkomu.

– Włączam automatycznego pilota – oznajmiła Raskta. – Przekonajmy się, dokąd nas to doprowadzi. Sarro, trzymaj palec na spuście.

Na automatycznym pilocie weszli w atmosferę Tymona i Johun widział teraz za iluminatorem sterowni tylko szare chmury. Kiedy się z nich wyłonili, cel ich podróży stał się od razu oczywisty.

– Chyba wiem, dokąd się kierowali – wymamrotał Sarro.

W dole widać było płaskie, puste, całkowicie pozbawione roślinności pole. Na horyzoncie majaczyła mroczna twierdza. Oprócz niej nie było dostrzegli niczego ciekawego.

– Widzę na powierzchni dwa niewielkie statki – zameldował Farfalla, kiedy zbliżyli się do gmachu fortecy. – Nikogo przy nich nie ma.

W końcu znaleźli się tak blisko, że Johun zauważył stopione wieże, po jednej z każdej strony frontowego muru.

– Wykrywam dwie formy życia w środku budowli – powiedział Farfalla.
– Wygląda na to, że... nie, są trzy.

– Tylko trzy? – mruknął Sarro, wyraźnie rozczarowany. – To może się okazać zbyt łatwe.

– Nie licz na to – ostrzegł Farfalla, a Raskta sprowadziła „Krzyżowca Sprawiedliwości” na powierzchnię gruntu.

Zannah starała się skoncentrować, gromadząc umysłową energię na nadciągającą walkę. Jej uwagę rozpraszały jednak przygotowania Mistrza Sithów.

Darth Bane krążył tam i z powrotem jak rozwścieczony rankor. Odpiął świetlny miecz i wysunął energetyczną klingę. Zannah wyczuwała, że wzbiera w nim potęga Ciemnej Strony, podsycana przez wściekłość i nienawiść do Jedi, pogardę dla Darovita za to, że ich zdradził, a także gniew na nią, że ściągnęła Jedi na Tymona. Bała się, że Bane w każdej chwili może ulec podsycanej przez orbaliski żądzy krwi, ale na razie Mistrz trzymał wściekłość na wodzy... będzie jej potrzebował podczas zbliżającej się bitwy.

Darth Bane zaprowadził ich do fortecy i kazał zająć przestronną salę z drzwiami w przeciwległych ścianach. Jedne drzwi byłyby łatwiejsze do obrony, ale Bane się bał, że Jedi schwytają ich w pułapkę. Gdyby do tego doszło, ich przeciwnicy mogliby prowadzić długie oblężenie, czekając na pojawienie się posiłków. Zannah i jej Mistrz byli ostatnimi żyjącymi Sithami, nie mogli więc liczyć na podobny luksus. Musieli mieć wolną drogę ucieczki.

Pomieszczenie było puste, zupełnie pozbawione mebli. Sądząc po jego rozmiarach – czterdzieści na trzydzieści metrów – Zannah odgadła, że w przeszłości służyło jako sala ćwiczeń i doskonalenia umiejętności w posługiwaniu się różnymi rodzajami broni. Oprócz drzwi po obu stronach sali w bocznej ścianie widniało niskie wejście do małego, pozbawionego wyjścia składziku. Prawdopodobnie kiedyś przechowywano w nim broń, tarcze i inne przedmioty, wykorzystywane podczas ćwiczeń.

Na polecenie Bane'a Zannah schowała tam kartę danych z Archiwów Jedi, a Mistrz umieścił tam holocron Belii Darzu. Młoda kobieta zaproponowała, żeby Darovit też ukrył się w komórce. W końcu i tak nie miał broni, więc nie mógł się nikomu przydać.

– Nie wychodź stamtąd, dopóki walka nie dobiegnie końca – ostrzegła go Zannah, a Mistrz obrzucił ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Kiedy Darovit zamknął się w schowku, dodała: – Tylko by nam przeszkadzał.

W końcu pozostało im już tylko czekać na pojawienie się przeciwników. Na szczęście – albo na nieszczęście – nie musieli czekać długo.

Drzwi po obu stronach sali otworzyły się równocześnie z głośnym trzaskiem, a przez każde z nich wpadła dwójka Jedi. Pierwsza grupa – Echanka z błękitnym mieczem świetlnym w każdej dłoni i Mistrz Jedi w jaskrawym ubraniu, trzymający miecz o złocistej klindze – rzuciła się do ataku na Bane'a. Pozostali dwaj – szczupły i zwinny Jedi z zielonym mieczem i olbrzym, kręcący młynka długą podwójną klingą – ruszyli do niej.

Zannah wysunęła obie klingi swojej broni i zakręciła nimi młynka. Stworzyła w ten sposób obronny mur, chociaż jej broń wyglądała niepozornie w porównaniu z błękitnym potworem, którym machał wyższy z jej dwóch przeciwników. Zanim zdążyli nawiązać z nią bezpośredni kontakt, Zannah wycofała się do rogu. Miała teraz ścianę z każdej strony i nie musiała uważać na ciosy z boków, a jednocześnie starczało jej miejsca, żeby wykonywać zwody, przysiady czy podskoki.

Kątem oka dostrzegła, że Bane obrał zupełnie inną taktykę. Chroniony przez pancierz z orbalisków, rzucił się do ataku na Mistrza i Mistrzynie Jedi, którzy na niego natarli.

Na razie ona musiała się bronić. Bardzo szybko uświadomiła sobie, że wyższy mężczyzna jest o wiele bardziej niebezpieczny. Nacierał trzykrotnie częściej niż jego niższy towarzysz. Zauważyła także istotną różnicę w stylu i w skuteczności ich ciosów. Jedi z zieloną klingą miał za sobą tylko pobieżne, podstawowe szkolenie. Zadając cios, liczył albo na jego siłę, albo na szybkość – nigdy na obie te rzeczy naraz. Zadawał ciosy tylko z góry albo z dołu i ani razu nie zmienił płaszczyzny ataku. W przeciwieństwie do niego wysoki mężczyzna atakował pod niespodziewanymi kątami, a jego długie błękitne klingi zmieniały kierunek nawet w połowie drogi ciosu. Każdy atak był wzorem śmiertelnej skuteczności – szybkie i potężne ciosy oraz doskonała obrona. Zmuszało to jego przeciwniczkę do ciągłego zastanawiania się, co dalej.

Na razie, dopóki Zannah kręciła w powietrzu młynka klingami świetlnego miecza, bez trudu odpierała ataki obu przeciwników. Miała szczęście, bo ten niższy Jedi bardziej przeszkadzał, niż pomagał swojemu partnerowi. Atakował, nie patrząc, co robi ten drugi; prawdopodobnie przypuszczał, że jeżeli będą nacierać na zmianę, zawsze któryś zmusi Zannah do obrony. Ogromny zasięg ostrzy wyższego Jedi utrudniał mu atakowanie; olbrzym wyraźnie się bał, że zamiast Zannah może zranić albo nawet zabić swojego towarzysza. W rezultacie ten wyższy nieustannie

musiał się cofać, uważać na partnera i odwlekać swoje wypady. W ten sposób o momentach ataków i o całej strategii walki decydowała bardziej Zannah niż jego partner.

Młoda kobieta odnotowała to wszystko, obserwując obu Jedi zza nieprzeniknionego muru wirujących w powietrzu kling jej świetlnego miecza. Była zadowolona, że na razie może trwać w defensywie. Gdyby nie błyskotliwe ataki wyższego Jedi, szybko przeszłaby do agresywnych sekwencji i bez trudu pozbyłaby się drugiego przeciwnika. Z drugiej strony jednak, gdyby nie jego nieporadność, umiejętności Zannah zostałyby poddane przez wyższego Jedi surowej próbie. Teraz mogła wykorzystywać jednego przeciwnika przeciwko drugiemu. Wystarczyło odpierać ich ataki, aż Bane, chroniony przez nieprzenikliwy pancerz ze skorup orbalisków, zabije oboje swoich przeciwników i pospieszy jej na pomoc.

Zaczekała, aż niższy Jedi znów zaatakuje, by oszacować jego nadlatujący cios. Potrafiła dokładnie przewidzieć, w które miejsce spadnie, mogła więc poświęcić chwilę uwagi poczynaniom swojego Mistrza.

O dziwo, oboje jego przeciwnicy jeszcze walczyli, co dowodziło, że są wyjątkowo dobrze wyszkoleni. Zannah zauważyła przy okazji, że do sali wszedł piąty Jedi – Ithorianin. Nie zamierzał brać udziału w walce; zamknął oczy, jakby pograżył się w medytacji. Ten moment odwrócenia uwagi mógł ją drogo kosztować. Może nawet życie.

Wyższy Jedi podskoczył ku niej i wymierzył cios jedną z kling swojego miecza, prosto jakby atakował włócznią. W ostatniej sekundzie Zannah odsunęła głowę. Usłyszała syk, a klinga przeciwnika odcięła jej pasmo włosów. Nagłość tego ataku pozbawiła ją poczucia równowagi; kiedy odbiła na bok przewidywalny cios niższego Jedi, młoda kobieta nagle się zachwiała.

Przez ułamek sekundy, zanim nie zaczęła znów kręcić młynka swoim mieczem, była praktycznie bezbronna. Rosły Jedi zadał cios z góry, mierząc w głowę. Zmusił ją do kucnięcia, po czym machnął poziomo bronią, na wysokości jej kolan. Zannah musiała podskoczyć, chociaż nie była do tego przygotowana. Uniknęła ciosu, ale wylądowała niezgrabnie na jednej stopie. Ułamek sekundy później z góry spadł na nią następny cios. Nie zdążyła przyjąć właściwej postawy i musiała go zablokować, zamiast odbić na bok. Siła ciosu była tak wielka, że Zannah zatoczyła się i runęła na posadzkę.

Ocalił ją ten mały z zielonym mieczem. Podskoczył, żeby ją wykończyć, uniemożliwiając zrobienie tego wyższemu koledze. Dzięki przewidywalnemu atakowi niższego przeciwnika Zannah wstała, odzyskała równowagę i

wróciła do sekwencji ruchów, które były podstawą jej całkowicie nieprzeniknionego stylu walki.

Zauważyła nadarżającą się okazję zabicia niższego Jedi, pozwoliła mu jednak żyć, przekonana, że przeciwnik będzie większą przeszkodą dla swoich sojuszników niż dla niej.

Jeden z Jedi po drugiej stronie sali krzyknął głośno:

– Johunie! Sarro! Musimy wezwać posiłki!

– Idź sam – odkrzyknął wysoki mężczyzna. – Dam sobie z nią sam radę!

I nagle Jedi z mieczem o zielonej klindze zniknął.

Ciemnoskóry olbrzym wyprostował się na całą wysokość. Zannah zauważyła, że jest wyższy i potężniej zbudowany niż Bane. Powietrze zaskwierczało, kiedy długie klingi jego miecza kreśliły skomplikowane zygzaki. Mężczyzna uśmiechnął się. Był bardzo pewny siebie.

A potem doskoczył do niej i zaczęła się prawdziwa walka.

Upłynęło wiele lat, odkąd Farfalla walczył wspomagany przez bitewną medytację Worrora. Zdążył zapomnieć, o ile silniejszy i szybszy staje się dzięki zdumiewającemu talentowi Ithorianina. Moc przepływała przez niego z większą potęgą i wypełniała go swoją siłą. Mimo tych nowych możliwości zastanawiał się, czy przeżyje ten pojedynek.

Kiedy Jedi wpadli do sali, w ich stronę skoczył potężny mężczyzna – mógł to być tylko Darth Bane. Raskta wyprzedziła Farfallę, zamierzając posiekać Sitha na plasterki.

Błękitna klinga jej świetlnego miecza przecinała powietrze tak szybko, że oko nie mogło za nią nadążyć. Mistrzynie Jedi zneutralizowała początkowy dziki atak przeciwnika, zadając mu co najmniej sześć potencjalnie śmiertelnych ciosów. Zamiast jednak runąć na posadzkę, rosły Sith atakował dalej, ani na sekundę nie zmieniając rytmu kroków. Zabiłby Rasktę, gdyby w ostatniej możliwej chwili Mistrzynie nie wykonała figury akrobatycznej, zwanej młynkiem, i nie znalazła się pod przeciwległą ścianą.

Bane, nawet nie przyspieszając, ruszył w stronę Farfalli. Mistrz Jedi zauważył, że przeciwnik ma pod ubraniem dziwny pancerz z twardych, błyszczących skorup. Już po chwili Farfalla też musiał odskoczyć na bok, żeby nie zostać zmiażdżonym. Przeżył tylko dlatego, że wspomagała go potęga Worrora.

Tymczasem Raskta zdążyła wstać i pofrunęła w powietrzu w stronę Sitha. Bane odwrócił się i smagnął ją falą niewidocznej potęgi Ciemnej Strony. Mistrzynie Broni nie miała wprawy w odpieraniu ataków Mocą. Zderzenie z tą falą niewątpliwie by ją zmiażdżyło, gdyby w obronie Echanki

Farfalla nie utworzył ochronnego pola. I tak jednak Mistrzynie pofrunęła do tyłu, ale na szczęście zdołała wylądować na stopach.

Farfalla zauważył, że Mistrz Sithów zwraca się ku niemu. Musiał wyczuć jego interwencję, która ocaliła życie Raskty, bo posłał ku Farfalli serię błyskawic Sithów. Gromadził i uwalniał swoją potęgę raz po raz. Jedi postawił wokół siebie barierę Mocy, ale ładunek błyskawic Ciemnej Strony przedarł się przez przeszkodę i poszybował łukiem ku niemu. W tej chwili podbiegła Raskta. W sama porę, żeby w rewanżu ocalić mu życie. Stała przed Farfallą i stawiała czoło groźnemu przeciwnikowi. Wspierana przez bitewną medytację Worrora, nieustannie zmieniała style walki. Swoimi klingami kreśliła w powietrzu ósemki, żeby przechwycić i pochłonąć energię błyskawic Ciemnej Strony.

Przeciwnik rzucił się na nich, podsycając swoją agresją energię błyskawic. Raskta zasłoniła Farfallę, przyjmując na siebie drugą porcję ładunku. W półprzysiadzie zadawała kąśliwe ciosy w uda i łydki przeciwnika, żeby pozbawić go nóg. Przecinała skórę butów i szatkowała spodnie, ale pod rozcięciami pojawiała się nieodmiennie chitynowa skorupa.

Bane spuścił klingę świetlnego miecza na Echanę. Mistrzynie skrzyżowała swoje klingi, żeby zablokować i unieruchomić broń przeciwnika w punkcie, w którym oba miecze się krzyżowały. Okazało się, że ruch Sitha był tylko manewrem dla odwrócenia jej uwagi. W ostatniej chwili Darth Bane cofnął broń i zadał jej cios w zębra. Siła uderzenia zwała z nóg Echanę. Mistrz Sithów ominął ją i natarł na Farfallę.

Jedi przyjął postawę obronną.

– Uważaj na rękojeść! – wychrypiała Raskta, zrywając się z posadzki.

Dopiero teraz Farfalla zauważył zakrzywioną jak hak rękojeść świetlnego miecza swojego przeciwnika, co pozwalało używać niezwykłych chwytów i wymierzać ciosy pod nieprzewidywalnymi kątami. W zdyscyplinowanym i precyzyjnym świecie pojedynków na świetlne miecze między Jedi a Sithami taki szczegół zmieniał styl walki w sposób zaskakujący.

Mistrz Valentyne rozpoznał, przyswoił i wykorzystał tę informację w mgnieniu oka. Zmienił kierunek ruchu swojego miecza, żeby zablokować cios, który w przeciwnym razie prześlizgnąłby się po jego klindze i odciął mu rękę w łokciu. Mistrz Sithów włożył jednak w swój cios tyle siły, że zakończona złocistą klingą rękojeść Farfalli wypadła mu z dłoni i potoczyła się z brzękiem po posadzce. Niezdolny chwilowo do walki, Farfalla został jeszcze raz ocalony przez Rasktę.

Wiedząc już, że jej świetlne miecze nie przebiją pancerza Bane'a,

Mistrzynie Jedi zaszła go cicho od tyłu i wymierzyła kopniaka na wysokości kolan. Bane'owi ugięły się nogi i runął jak długi, ale błyskawicznie wstał. Ta sekunda jednak wystarczyła, żeby Farfalla, posługując się Mocą, przywołał rękojeść miecza do dłoni.

Odwrócił się i zauważył, że echańska Mistrzynie Broni rzuca się do ataku. Szybkimi ruchami błękitnych kling zaatakowała twarz Bane'a – chyba jedyne miejsce na jego ciele, którego nie chroniły twarde skorupy. O dziwo, Sith zaczął się cofać.

– Trzymaj się z daleka! – krzyknęła Raskta do Farfalli. – Będziesz mi tylko przeszkadzał!

Farfalla usłuchał i zaczął gromadzić energię Jasnej Strony, żeby wznieść wokół niej następną ochronną barierę, na wypadek, gdyby Bane spróbował smagnąć Echankę energią Ciemnej Strony.

Raskta była wszędzie – przed Bane'em, obok niego i za nim. Na przemian kuciała i wyskakiwała wysoko w powietrze; odbijała ciosy jego klingi jedną ze swoich, by zadawać trzy szybkie ciosy wymierzone w oczy przeciwnika. Sith związał się i wykręcał, żeby uniknąć klingi jej miecza, a jednocześnie starał się przejść do kontrataku.

Chociaż Raskta władała klingami po mistrzowsku, a jej talenty wspomagała bitewna medytacja Worrora, nie potrafiła zadać decydującego ciosu ani nawet przełamać obrony przeciwnika. Na szczęście dzięki zawziętości Mistrzynie szala zwycięstwa zaczynała się przechylać na jej stronę... tak przynajmniej uważał Farfalla.

Bane cały czas się cofał i wykonywał uniki przed klingami Echantki. W pewnej chwili niespodziewanie się odwrócił i skoczył w stronę bezbronniego Ithorianina, który stał za progiem sali.

Bitewna medytacja wymagała od Mistrza Worrora całkowitego skupienia, więc nawet nie pomyślał o obronie. Gdyby Bane go zabił, pozostali straciliby jedyną przewagę, jaka dawała im szansę przeżycia tej bitwy.

W pojedynczym pchnięciu Farfalla uwolnił gromadzoną przez cały czas potęgę i Bane został nagle otoczony przez statyczne pole energii Jasnej Strony. Momentalnie stanął jak wryty. Jego władza nad Ciemną Stroną była jednak tak wielka, że stał nieruchomo nie dłużej niż ułamek sekundy. Roziskrzony pole eksplodowało i rozpadło się, uwalniając Ciemnego Lorda. Chwila opóźnienia pozwoliła jednak Echance zająć pozycję między Lordem Sithów a bezbronnym Ithorianinem.

Klingi Raskty zasyczały, kiedy Echantka rzuciła się do ataku, za wszelką cenę próbując powstrzymać Sitha, przed atakiem na Mistrza Worrora.

On jest zbyt silny, pomyślał Farfalla, biegnąc w tamtą stronę, żeby pomóc Echance. Nie tylko silny fizycznie, także potęgą Ciemnej Strony. Walka z nim to jak próba stawienia czoła żywiołowi.

– Johunie! Sarro! – krzyknął Mistrz Jedi. – Musimy wezwać posiłki!

Słyszając głos swojego Mistrza, Johun odwrócił głowę.

– Idź! – rozkazał Sarro. – Dam sobie z nią radę!

Młody Jedi spojrział w odległy kąt sali i od razu zrozumiał, co się dzieje.

Mistrzowi Worrorowi groziło niebezpieczeństwo. Trzeba go chronić, bo bez jego bitewnej medytacji nie będzie nadziei na zwycięstwo.

Posługując się Mocą, przeskoczył przez całą salę. Wylądował tylko kilka metrów od miejsca, w którym Raskta i Darth Bane toczyli pojedynek na śmierć i życie. Echanka rozpaczliwie usiłowała odpierać ataki Sitha, żeby nie dopuścić go do miejsca, gdzie – najwyżej dwa metry za jej plecami – stał Mistrz Worror. Młody Jedi zawahał się chwilę, zanim rzucił się do ataku, bo zauważył, że skórę Lorda Sithów pokrywają dziwne, twarde narośle.

– Tnij w twarz! – krzyknął Farfalla, przyłączając się do walki i zachęcając Johuna, żeby zrobił to samo.

Całej trójce udało się powstrzymać atak Sitha. Farfalla walczył po lewej stronie, Johun po prawej, a Raskta w środku. Blokując i parując ataki Bane'a, próbowali trafić go w twarz. Łącząc siły, zmusili przeciwnika do przyjęcia postawy obronnej.

Młody Jedi zachwycił się szybkością dzikich ataków Raskty. Wiedział, że jego nieporadne wysiłki przeszkadzały Sarrowi, kiedy walczyli obok siebie. Jednak Raskta chyba odnosiła korzyść z jego działań. Kiedy Johun atakował z góry, zadawała cios z dołu, a kiedy on rozpoczynał atak z lewej strony, ona atakowała z prawej. Zyskiwała wyjątkową precyzję dzięki swojej ulubionej broni; każdy jej miecz świetlny z osobna był bardziej dokładny niż dwie olbrzymie klingi Mistrza Sarra. Jednak nie chodziło tylko o broń. Reakcje Echanki były tak szybkie, a jej instynkt bojowy tak bezbłędny, że potrafiła przewidywać posunięcia Lorda Sithów i wyprzedzać je.

Walczący po jej drugiej stronie Farfalla zadawał czyste, eleganckie ciosy. Stosował najlepszą formę walki, atakując prawy bok przeciwnika. Niestety, mimo swoich wysiłków Jedi nie potrafili zmusić Bane'a do odwrotu ani tym bardziej go pokonać.

Żaden z ich ataków nie docierał do jedyne go wrażliwego na ciosy miejsca na ciele Mistrza Sithów. W pewnej chwili Johun zauważył błysk nagiej skóry w szczelinie między opancerzonymi rękawicami Sitha a dziwną skorupą na jego przedramieniu. Szczelina była wystarczająco szeroka, żeby

przebił ją dobrze wymierzony cios klingi świetlnego miecza.

Młody Jedi zadał cios w upatrzone miejsce. Wzmocniony dzięki potędze Worrora, poczuł, że Moc przepływa przez niego i kieruje jego klingę prosto do celu. Cięcie nie było idealne i klinga odbiła się od krawędzi superwytrzymałej skorupy, zadając tylko płytką ranę. Zamiast odciąć dłoń, przecięła jedynie nerwy i ścięgna.

Bane ryknął z wściekłości, a broń wyslizgnęła mu się z palców, nagle bezwładnych i pozbawionych siły. Zanim jednak Johun czy inny Jedi zdołali zadać ostateczny cios, zostali odrzuceni do tyłu przez eksplozję energii Ciemnej Strony. Potęgę ich przeciwnika podsycił nagły ból w zranionej ręce.

Rozciągnięty na posadzce dziesięć metrów dalej, Johun obserwował z bezradnym przerażeniem, jak rękojeść świetlnego miecza Lorda Sithów podrywa się z posadzki, leci w powietrzu i wpada do jego dłoni. Ze zdumieniem zauważył, że przeciwnik zaciska palce rannej ręki na rękojeści i wysuwa szkarłatną klingę. Czyżby jego rany goiły się w mgnieniu oka?

Teraz już nikt nie stał między Sithem a Ithorianinem. Farfalla i Raskta, tak samo jak Johun, leżeli na posadzce. Darth Bane już uniósł klingę, żeby zakończyć życie Worrora, kiedy Johun pchnął przed siebie falę energii Mocy.

Jego celem nie był olbrzymi Sith. Rycerz Jedi wiedział, że nie ma dość siły, żeby przełamać obronę Dartha Bane'a. Zamiast tego pchnął Worrora w kąt sali i cios świetlnego miecza, który mógł rozplatać go na pół, tylko ze świstem przeciął powietrze.

Johun poczuł, że opada w nim poziom energii. Ogarnęło go nagłe zmęczenie, kiedy dobroczynny wpływ bitewnej medytacji Ithorianina zanikł. Najważniejsze jednak, że wciąż żył, a Farfalla i Raskta zdążyli się zerwać na nogi. Gdyby potrafili powstrzymać Bane'a choćby na kilka sekund, Worrora mógłby rozpocząć medytację na nowo, żeby zapewnić im przewagę.



Zannah uskoczyła w bok, a wirujące klingi jej broni zmieniły kierunek ciosu jej przeciwnika. Dzięki temu jego miecz nie trafił jej w gardło, tylko nieszkodliwie śmignął nad ramieniem. Druga klinga Jedi szybko zaatakowała z drugiej strony, celując w biodro, ale dziewczyna wykonała

błyskawiczne salto w tył i wylądowała zwinnie na stopach. Przemknęło jej przez myśl, że nigdy dotąd nie rozumiała prawdziwego znaczenia określenia „sztuka walki”. Aż do tej pory.

Atakujący ją wojownik podniósł tę sztukę do najczystszej i najwyższej formy. Poruszał się z wdziękiem tancerza, a jego monstrualna klinga zawodziła śmiercionośną pieśń bitwy. Wykonywał ruchy z idealną precyzją, zrodzoną z obsesji. Zannah wiedziała, że dzięki temu może być wrażliwy na inne formy ataku, ale przeciwnik atakował tak zawzięcie, że nie miała okazji skutecznie skoncentrować swojej potęgi.

Gdyby Jedi dysponował podobną przewagą, jaką zapewniał Bane'owi pancerz z orbalisków, pojedynki Zannah z tym olbrzymem zakończyłyby się już dawno. Bane mógł lekceważyć potencjalnie śmiertelne ciosy, nie dbając o osobiste bezpieczeństwo, bo dzięki temu przełamywał obronę przeciwników. Stojący przed Zannah mężczyzna, chociaż równie wysoki i silny jak Bane, mógłby zginąć, gdyby zadała mu śmiertelny cios. Musiał się mieć na baczności przed jej kontratakami. Nie mógł zastosować najbardziej agresywnej formy walki, żeby się nie narażać na jej ciosy. I chociaż jego technika była bardziej wyrafinowana niż technika Mistrza Bane'a, młoda kobieta wytrzymywała jego ataki... na razie.

W tej samej chwili olbrzymi Jedi rzucił się do następnej szarży. Jego klingi zmieniały kierunek tak szybko, że wyglądały jak wykrzywione. Ciężko oddychając, Zannah odparła atak gradem wściekłych ciosów obronnych. Zamierzała przedłużyć walkę, aby wyczerpać przeciwnika, który musiał najpierw przełamać jej obronę. Za każdym razem jednak, kiedy ścierała się z ciemnoskórym olbrzymem, to ona traciła ceną energię. Olbrzym działał powoli, ale skutecznie, a ona czuła się coraz bardziej zmęczona. Chodziło nie tylko o jego siłę i wyszkolenie. Zannah wyczuwała, że wchodzi tutaj w grę jakaś nieznana potęga. Moc przepływała przez niego, jakby posyłana przez kogoś, kto chce mu dodać sił.

Po kolejnej wymianie ciosów musiała się cofnąć. Najwyraźniej Jedi usiłował ograniczyć jej pole manewru, zapędzając ją skutecznie do rogu. Wiedział, że kiedy osłabi jej swobodę ruchów, dziewczyna nie dorówna mu siłą. A Zannah nie mogła nic zrobić, żeby temu zapobiec. Cofnęła się jeszcze o krok, aż wyczuła, że zderza się ze ścianą. Nie miała już dokąd się cofać; jej koniec był bliski.

Nagle usłyszała dochodzący z drugiego końca sali wściekły ryk Bane'a i przygotowała się na ostateczny cios, którego na pewno nie potrafiłaby odeprzeć. Jej przeciwnik obrócił się na pięcie, chcąc nadać następnemu

ciosowi większy impet. Niespodziewanie jego potęga – energia Mocy, która przychodziła z zewnątrz – nagle zniknęła. Zannah czuła, jak gaśnie niczym płomyk świecy, zdmuchnięty przez podmuch wiatru.

Olbrzym zawahał się i rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę pozostałych Jedi, żeby zobaczyć, co się stało. Korzystając z okazji, Zannah wykonała palcami rytualne ruchy, żeby posłać potęgę czarów Sithów na swojego przeciwnika.

Rosły Jedi otworzył szeroko oczy, cofnął się i zachwiał. Klingi jego miecza chyba odmówiły posłuszeństwa, jakby ze wszystkich stron opadły go niewidzialne demony. Wymachując mieczem w panicznym przerażeniu, przeoczył manewr Zannah, która doskoczyła blisko i zakończyła jego życie jednym cięciem na ukos przez potężną pierś.

Kiedy jej przeciwnik runął na posadzkę, Zannah spojrzała na Bane'a. W drugim końcu sali jej Mistrz toczył walkę z trojgiem Jedi. Powoli spychał ich w stronę narożnika, gdzie leżał skulony Ithorianin.

Zannah zgromadziła wokół siebie energię Ciemnej Strony i utworzyła z niej kamuflującą warstwę, podobną do tej, która skrywała jej prawdziwą tożsamość w Świątyni Jedi. Zajęta tą czynnością, za późno zauważyła, że Ithorianin powoli wstaje, zamyka oczy i zaczyna się koncentrować. Wyczuła, że przez salę przetoczyła się fala energii Jasnej Strony. Niewątpliwie odebrali ją także przeciwnicy Bane'a. Niespodziewanie ożywni, przyparli Mistrza Sithów do ściany i skoncentrowali ataki na twarzy oraz na nadgarstkach, czyli tam, gdzie orbaliski pozostawiły luki w jego nieprzenikliwym pancerzu.

Zannah postanowiła pomóc Mistrzowi i ustawiła się za plecami Jedi. Jej obecność maskowało zaklęcie kamuflażu, więc Jedi niczego nie wyczuli. Zannah zadała pierwszy cios Echance, przebijając ją od tyłu na wylot, aż koniec klingi wyszedł przez piersi.

Echanka krzyknęła i padła na twarz u stóp Zannah. Obaj mężczyźni po jej bokach odwrócili się w stronę nowego wroga i na chwilę zapomnieli o przeciwniku, z którym dotąd walczyli. Bane wykorzystał okazję, żeby odciąć rękę mężczyźnie z zielonym świetlnym mieczem. Jedi wrzasnął i osunął się na kolana, zdrową ręką przytrzymując kikut. Zannah przypomniała sobie jaskinię na Ruusanie, gdzie tak samo obcięła rękę kuzynowi.

Pokręciła głową, żeby usunąć to wspomnienie. Ten moment nieuwagi jednak wystarczył, żeby młody Jedi zdołał się odtoczyć z miejsca walki. Zannah się zawahała, niepewna, czy lepiej z nim skończyć, czy też może pospieszyć na pomoc Mistrzowi, który wciąż jeszcze toczył walkę z drugim

Jedi. Wkrótce jednak jej decyzja przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie, bo Bane odbił na bok złocistą klingę broni przeciwnika pancerzem z orbalisków na lewym przedramieniu i jednym ciosem odciął głowę Mistrza Jedi.

Stojący w kącie sali Ithorianin przerwał medytacyjny trans; najwyraźniej wyczuł klęskę swoich towarzyszy. Zanim jednak zdążył coś zrobić, Bane przefrunął w powietrzu, wylądował tuż przed nim i rozplątał mu wszystkie cztery gardła naraz. Ithorianin runął na posadzkę, a Bane odwrócił się, żeby wykończyć jednorękiego Jedi.

Zannah wyczuła, że Mistrz gromadzi energię Ciemnej Strony, ale zanim uwolnił burzę śmiercionośnych, purpurowych błyskawic, leżący na posadzce Ithorianin chwycił go za kostkę. Kiedy umierający Jedi uwalniał całą swoją potęgę w ostatecznym, przedśmiertnym spazmie, obu otoczyła roziskrzona błękitna sfera.

Błyskawice, które wystrzeliły z palców Mistrza Sithów, żeby zabić jednorękiego Jedi, odbijały się teraz od wewnętrznej powierzchni tej błękitnej kuli. Wykonywały dziki taniec, tworząc nawałnicę energii tak intensywnej, że Zannah musiała odwrócić głowę. Przez trzaski elektrostatycznych wyładowań przebił się krzyk Bane'a. Kiedy Zannah spojrzała na niego, sfery już nie było, a jej Mistrz leżał na posadzce jak zwęglona, dymiąca szmata.

Ruszyła do niego biegiem, ale zauważyła, że jedyny pozostały przy życiu Jedi czołga się w stronę miejsca, gdzie leżał jego świetlny miecz. Mimo utraty ręki był zdecydowany walczyć do końca.

Z twarzą wykrzywioną wściekłością Zannah podeszła do niego i zakręciła nad głową młynka klingami świetlnego miecza. Okaleczony Jedi posłał jej błagalne spojrzenie, ale Zannah jednym pionowym cięciem zakończyła jego życie.

ROZDZIAŁ 22

Zannah uknęła obok Bane'a. Była pewna, że Mistrz nie żyje. Błyskawice zmieniły jego ubranie w popiół, stopiły rękawice i buty. Ciało na twarzy i dłoniach miał spalone, pokryte pęcherzami, z których wyciekała rzadka żółta ropa. Niektóre orbaliski na jego piersi i brzuchu nie przeżyły. Ładunki elektryczne błyskawic zmieniły ich pancerze w czarne, łamliwe skorupy, spod których wciąż jeszcze sączył się dym, a wraz z nim przyprawiający o mdłości odór. Kiedy Zannah go poczuła, zrobiło jej się niedobrze.

Dopiero po chwili młoda kobieta zauważyła, że pierś Bane'a rytmicznie unosi się i opada. Mistrz Sithów miał tak słaby oddech, że byłaby go przeoczyła. Kiedy jego organizm doznał wstrząsu z powodu nieznośnego bólu, Sith stracił przytomność, zapadając w rodzaj śpiączki. Zannah liczyła trochę na to, że jego zwęglona skóra i mięśnie zaczną się same regenerować, ale obrażenia były tak rozległe, że orbaliski nie potrafiły go uleczyć. Na skrzyp otwieranych drzwi odwróciła głowę i spojrzała w tamtą stronę. Ze składziku na sprzęt wyszedł Darovit. Młody mężczyzna rozejrzał się po sali, w której doszło do masakry Jedi. Dopiero po chwili zobaczył Zannah, klęczącą u boku swojego Mistrza.

– Czy on... – zaczął, nie kończąc pytania.

– Żyje – odparła gniewnie młoda kobieta i wstała.

Darovit podszedł do niej powoli, przyciskając zdrową ręką do piersi holocron Belii i kartę danych. Kiedy był już blisko, Zannah wyciągnęła rękę i wyrwała oba przedmioty z jego palców. Darovit nawet tego nie zauważył; cały czas wpatrywał się w zwęglone szczątki, które jakimś cudem nadal żyły.

– Pozbieraj ich świetlne miecze – poleciła kuzynka. – Niedługo odlatujemy.

Darovit miał dość zdrowego rozsądku, żeby nie kwestionować jej rozkazu. Zaczął zbierać broń poległych Jedi – dowody triumfu Sithów na Tythonie.

Zannah wsunęła holocron i kartę danych do kieszeni swojego ubrania i głęboko odetchnęła, koncentrując się. Posłużyła się Mocą i wysłała myśli, żeby unieść w powietrze ciało Bane'a; zatrzymała je na wysokości metra.

Popychając go lekko Mocą, przetransportowała swojego Mistrza poza fortecę. Darovit szedł cały czas tuż za nią. Zastanowiła się, którym statkiem odlecieć z Tythona, i w końcu zdecydowała się na „Lorandę”. Krążownik był nie tylko większy niż statek Hettona, ale miał także na pokładzie kompletnie wyposażony mały szpital.

– Otwórz klapę wjazdu ładowni – poleciła kuzynowi.

Darovit podbiegł do „Lorandy” i otworzył klapę, a Zannah powoli uniosła ciało Dartha Bane'a i przesunęła je do ładowni statku.

Kiedy już wszyscy znaleźli się na pokładzie, podłączyła Bane'a do pompy z bactą. Jego obrażenia były tak rozległe, że powinna go zanurzyć na kilka dni w zbiorniku, ale nie miała dostępu do tak zaawansowanego urządzenia. Pompa z bactą była na razie najlepszym rozwiązaniem. Wstrzykiwała płyn bezpośrednio do żył Mistrza; bacta krążyła w jego ciele, a kiedy wypływała, Zannah filtrowała płyn i ponownie wstrzykiwała do krwiobiegu.

– Jego stan jest stabilny, ale to nie potrwa długo – uprzedził Darovit. – Kiedy orbalisk ginie, zatruwa organizm nosiciela.

– Zapoznałeś się z informacjami na karcie danych – domyśliła się Zannah. – Usuń z niego tę toksynę.

– Nawet gdybym mógł to tutaj zrobić, nic by mu nie pomogło – zastrzegł młody mężczyzna. – Jest za późno. Orbaliski uwalniają truciznę prosto do tkanek delikwenta, niszcząc po kolei komórki. W ciągu kilku dni twój Sith i tak umrze.

– Co z ciebie za uzdrowiciel! – wybuchnęła Zannah. – Pomóż mu!

– Nie dam rady, Zannah – odparł Darovit. – Nie tutaj. Nie mamy odpowiedniego sprzętu ani lekarstw. A nawet gdybyśmy to wszystko mieli, nie mógłbym nic zrobić. Kiedy toksyna orbalisków przenika do ciała nosiciela, nie ma sposobu na powstrzymanie tego procesu.

Zannah spojrzała na Mistrza.

Nie możesz umrzeć, pomyślała z goryczą, przygryzając wargę. Musisz mnie jeszcze tak wiele nauczyć! Potęga Mistrza była wciąż o wiele większa niż jej umiejętności. Zannah miała wprawdzie potencjał, żeby go prześcignąć – Bane sam jej to kiedyś powiedział – ale na razie to Mistrz miał siłę; ona mogła się tylko spodziewać, że ją osiągnie. Istniało wiele tajemnic, których Bane jej nie wyjawiał; to on był w posiadaniu kluczy do źródeł większej potęgi. Gdyby umarł, razem z nim przepadłaby cała ta wiedza. Któregoś dnia Zannah mogła wprawdzie odkryć to wszystko sama, ale dopóki Bane pozostawał jej Mistrzem, byłoby o wiele łatwiej. I szybciej.

Nie potrafiła na razie umiejętnie gromadzić energii Ciemnej Strony.

Przez ostatnich dziesięć lat uczyła się głównie tego, jak zapanować nad swoją potęgą. Przez ten czas jej Mistrz zaczął składać w całość kawałki łamigłówek, która miała w przyszłości pozwolić Sithom powstać i zapanować nad galaktyką.

Stworzył ogromną sieć informatorów i szpiegów, ale nawet Zannah nie miała pojęcia o jej prawdziwych rozmiarach. Nie wiedziała także, jak się z członkami sieci kontaktować. Darth Bane wcielał w życie setki dalekosiężnych planów, które miały powoli odbudowywać potęgę Sithów i osłabiać Republikę. Zannah dopiero niedawno zaczęła rozumieć zakres i stopień komplikacji jego politycznych działań.

Bane był wizjonerem i potrafił wybiegać myślami daleko w przyszłość. Rozumiał, jak wykorzystywać słabości i wrażliwe punkty Republiki. Wiedział, jak odciągać uwagę Jedi od Ciemnej Strony, a zarazem prowadzić ich w dół drogą, która miała się zakończyć ich całkowitym wyniszczeniem. Potrafił manipulować ludźmi, organizacjami i rządami. Sadził nasiona, które miały leżeć bezczynnie wiele lat – a nawet dekad – zanim wydadzą owoce.

Gdyby teraz umarł, razem z nim zginęłoby wszystko, co w ciągu ostatnich dziesięciu lat osiągnął. Zannah musiałaby zaczynać od początku, a przede wszystkim znaleźć i wyszkolić ucznia, chociaż wciąż jeszcze nie poznała pełnego zakresu swoich umiejętności. Musiałaby dążyć naprzód po omacku, otoczona ze wszystkich stron wrogami. Trudno sobie wyobrazić, żeby nie popełniła kiedyś błędu, który by doprowadził ją do upadku – i unicestwienia wszystkich Sithów.

Nie mogła do tego dopuścić. Dla dobra Zakonu musiała utrzymać Bane'a przy życiu. Darovit mógł wprawdzie nie mieć dostatecznej wiedzy ani potęgi, żeby uzdrowić jej Mistrza, ale Zannah słyszała o kimś, kto to potrafi. O kimś, kto już raz ocalił życie Dartha Bane'a.

– Postaraj się utrzymać go przy życiu – nakazała Darovitowi z lekko zawołaną groźbą w głosie.

Wyszła z pokładowego szpitala, udała się do sterowni i zasiadła za pulpitem kontrolnym. Wpisała współrzędne kursu na Ambrię, chociaż nie zamierzała wracać do obozu. Chciała się zobaczyć z mężczyzną o imieniu Caleb.

Obóz Caleba znajdował się wprawdzie mniej niż sto kilometrów od ich bazy na Ambrii, ale Zannah nigdy dotąd go nie spotkała. Znała go tylko z opowiadań Mistrza. Bane powiedział jej, że uzdrowiciel jest silny Mocą, ale nie korzysta z niej w ten sam sposób co Sithowie albo Jedi. Jasna i Ciemna Strona nic dla niego nie znaczyły, bo jego potęga była energią samej

przyrody.

Słowa Mistrza wydały jej się wtedy pozbawione sensu, ale kiedy już wylądowała obok niewielkiego, wałącego się szałas, który Caleb nazywał domem, zaczęła rozumieć. W tym miejscu kryła się jakaś potęga. Przyzywała Zannah w dziwnej i nieznannej mowie.

Wyczuła to w powietrzu, kiedy otworzyła klapę wjazdu. Wyczuła to także pod stopami, kiedy dotknęła nimi powierzchni gruntu. Przy każdym kroku ziemia pod nią leciutko drżała i wydawała niesłyszalny pomruk.

Darovit szedł obok niej, manipulując mechanizmem medycznych noszy z pokładu „Lorandy”. Nosze płynęły w powietrzu obok niego, a na nich leżał wciąż jeszcze nieprzytomny Darth Bane, transportowany bezceremonialnie jak towar metr nad gruntem. Tym razem jednak korzystał z pomocy repulsorów, nie Mocy.

– To miejsce jest... zdumiewające – westchnął Darovit. – Jeszcze nigdy tak się nie czułem. Tu jest coś... surowego, pierwotnego.

Zannah przypomniała sobie, że kuzyn, chociaż nie ma potęgi Jedi ani Sithów, jest do pewnego stopnia wrażliwy na oddziaływanie Mocy. Przelotnie się zastanowiła, czy Darovit nie ma podobnego talentu jak Caleb, ale doszła do wniosku, że teraz to i tak nie ma najmniejszego znaczenia. Od odlotu z Tythona minęły cztery dni, w ciągu których stan zdrowia Bane'a stopniowo się pogarszał. Zannah rozumiała, że gdyby Caleb nie chciał albo nie mógł mu pomóc, jej Mistrz na pewno umrze.

Patrząc teraz na niego, prawie straciła nadzieję na ratunek. Otaczało ich typowe dla Ambrii jałowe pustkowia, ciągnące się jak okiem sięgnąć, aż po horyzont. Jeżeli nie liczyć kilku wyniosłych skał, jedynymi punktami orientacyjnymi w okolicy był szałas Caleba i okolony kamieniami krąg, w którym pustelnik rozpałał ognisko. Na razie wszystko wskazywało, że jego obóz jest opuszczony.

Szałas był mały; jego ściany nachylały się pod kątem czterdziestu pięciu stopni i schodziły u wierzchołka, dzięki czemu konstrukcja przypominała prymitywną piramidę. Nie wiadomo, w jaki sposób i gdzie Caleb zdobył drewno na budowę, ale wszystko dowodziło, że od dawna niczego nie naprawiał. Deski spłwiałały, od lat wystawione na blask słońca, i chociaż nie mogły przegnić w suchym klimacie Ambrii, spękały w setki pionowych szczelin, oddając resztki wilgoci. W zwróconej w stronę paleniska ścianie widniał niewielki otwór drzwiowy – prawdopodobnie jedyne wejście do chaty. Był przesłonięty postrzępionym kocem, który lekko łopotał w podmuchach pustynnego wiatru.

Krąg do rozpalania ogniska tworzyły okrągłe kamienie, szerniałe i miejscami zwęglone. Nad dołem stał metalowy rozeń, z którego poprzeczki zwisał duży, żelazny, osmalony sagan. Służył pustelnikowi do gotowania, chociaż w tej chwili był pusty, a ogień dawno zgasł.

Zannah pamiętała opowiadanie Bane'a, jak Caleb zanurzył dłoń w saganie z gotującą się zupą. Oparzył się specjalnie, aby udowodnić jej Mistrzowi, że nie obawia się bólu ani nie da się zastraszyć.

Dziesięć lat wcześniej uzdrowiciel najpierw nie chciał uleczyć Mistrza, ale w końcu Bane go do tego zmusił groźbą zabicia jego córki. Zannah była ciekawa, czy jeżeli w ogóle znajdą Caleba, pustelnik ponownie odmówi udzielenia pomocy Bane'owi.

– Jest tu kto? – zawołał Darovit, a jego głos zabrzmiał dziwnie w otaczającej ich pustce. – Jest tu kto?

Zannah podeszła powoli do zrujnowanej chaty i odchyliła na bok koc w otworze drzwiowym. W środku, w jednym z kątów, zobaczyła tylko niewielką matę do spania. Cofnęła się i rozejrzała za Calebem. Darovit zrobił to samo i wyciągnął jedyny logiczny wniosek:

– Nikogo tu nie ma.

Zannah zauważyła, że nie ma nie tylko Caleba. Gdzie się podziały lekarstwa i zioła, których uzdrowiciel powinien używać, aby pomagać tym, którzy zwracali się do niego z prośbą o pomoc? Gdzie podstawowe zapasy żywności, wody i opału do ogniska, których potrzebował, żeby przeżyć?

Przypomniała sobie, że Caleb przyleciał na Ambrię, aby uciec przed wojną między Jedi a Sithami. Na nieszczęście dla niego wojna dotarła za nim nawet na tę odległą planetę. Mimo to uzdrowiciel zachował w tym konflikcie nieugiętą neutralność i odmawiał udzielania pomocy zarówno sługom Ciemnej Strony, jak i światłości. Bane był jedyną osobą, której udało się zmusić go do odstąpienia od tych zasad. Może teraz, kiedy wojna dobiegła końca, Caleb wyrzekł się samotności i powrócił na rodzinną planetę, żeby dołączyć do społeczności galaktyki? To była tylko jedna z kilku możliwości, które by wyjaśniały jego zniknięcie.

Mógł przecież umrzeć. Odkąd Bane odwiedził jego samotnię, upłynęło dziesięć lat, i chociaż Caleb raczej nie był bardzo stary, możliwe, że w ciągu tej dekady coś mu się przydarzyło. Ambria potrafiła być surową i niebezpieczną planetą, a uzdrowiciel mógł zostać zabity i pożarty przez hssissy – budzące postrach mięsożerne jaszczury, które niekiedy wyłaniały się z głębin jeziora Natth w poszukiwaniu żeru.

Planeta miała także swoich inteligentnych drapieżców. Garstka ludzi,

którzy wciąż jeszcze tu mieszkali, przeżyła, przeszukując pola bitew, które kiedyś toczyły się na powierzchni Ambrii i w jej atmosferze. Od czasu do czasu znajdowali uszkodzone wytwory dawnej techniki, które naprawiali i sprzedawali przybyszom z innych planet. Ci zbieracze złomu, jak ich nazywano, byli przeważnie zwykłymi, prostymi ludźmi, którzy próbowali tylko jakoś przeżyć. Zdarzali się jednak wśród nich bezwzględni przestępcy; mogli bez litości zabić każdego za cokolwiek, co mogło mieć dla nich jakąś wartość – jak na przykład leki i zapasy żywności Caleba.

A może uzdrowiciel padł ofiarą choroby, której nawet on nie potrafił dać rady? Jeżeli zmarł z przyczyn naturalnych, jego szczątki mogłyby zostać rozwłócone przez pustynne ścierwojady. Wtedy nie pozostałby najmniejszy ślad tego, co się wydarzyło.

W końcu Zannah zrozumiała, że nie może tu liczyć na jakąkolwiek pomoc, ale z drugiej strony nie było sensu lecieć gdzie indziej. Minie najwyżej dzień, zanim toksyna orbalisków w tkankach Bane'a osiągnie śmiertelny poziom. Jego uczennica stała się niezdolna nawet do myślenia, co dalej robić. A potem przypomniała sobie jeszcze jeden szczegół z opowiadania swojego Mistrza.

Caleb próbował ukryć swoją córkę przed Bane'em, Mistrz jednak bez trudu ją znalazł, skuloną w chacie. Po prostu nigdzie w okolicy nie było miejsca, gdzie mogłaby się ukryć... a przynajmniej nie było go dziesięć lat wcześniej. Spojrzała na Darovita.

– Zaczekaj tu – powiedziała, powierzając mu opiekę nad leżącym na noszach Bane'em.

Wróciła do szałas, kopnęła na bok matę do spania i zobaczyła pod nią klapę prowadzącą do spiżarni czy może piwnicy. Posłużyła się Mocą, żeby ją otworzyć, i od razu zobaczyła patrzącego na nią z dołu mężczyznę.

W jego oczach nie było strachu ani nawet gniewu. Nic z tych rzeczy. Mężczyzna wyglądał raczej na zrezygnowanego... jakby wiedział, że czeka go długa, bezowocna rozmowa.

– Wyłaź! – rozkazała Zannah, cofając się i kładąc dłoń na rękojeści świetlnego miecza.

Mężczyzna bez słowa wspiął się po małej drabince i stanął na środku chaty. Wyglądał na czterdzieści kilka lat, był szczupły i niewysoki. Miał długie do ramion, proste, czarne włosy, a skórę brązową i wysuszoną przez palące słońce Ambrii. Nie wydawał się zbyt silny ani świadom własnej ważności, ale Zannah wyczuwała jego spokojną wewnętrzną siłę.

– Czy wiesz, kim jestem? – zapytała.

– Wiedziałem to od chwili, kiedy ty i twój Mistrz rozbiliście obóz na tej planecie – odparł cicho nieznajomy.

– A zatem wiesz, po co tu przyleciałam?

– Wyczułem, że nadlatujesz. Właśnie dlatego się ukryłem.

Zannah zerknęła do piwniczki i zauważyła kilka półek zastawionych butlami, skórzanymi woreczkami, słojami i torbami ze środkami leczniczymi, których pustelnik potrzebował do wykonywania swojego zawodu. W kącie zobaczyła także pięć czy sześć niewielkich pojemników z zapasami żywności.

– Kiedy to wykopałeś? – zapytała, nie potrafiąc ukryć ciekawości.

– Krótco po moim poprzednim spotkaniu z twoim Mistrzem – odparł pustelnik. – Obawiałem się, że któregoś dnia wróci, i chciałem mieć miejsce, w którym mogłaby się ukryć moja córka.

Mężczyzna niespodziewanie uśmiechnął się do niej, chociaż w jego oczach nie było radości.

– Teraz moja córka jest już dorosła – dodał po chwili. – Odleciała z tej planety i nigdy już tu nie wróci. To oznacza, że nie masz nade mną żadnej władzy.

– Chcesz powiedzieć, że nie pomożesz mojemu Mistrzowi? – zapytała Zannah spokojnie, bez śladu groźby w głosie.

– Tym razem nie masz czym mnie do tego zmusić – odparł pustelnik. Zannah wyczuła w jego tonie głęboką satysfakcję. Podejrzewała, że Caleb przygotowywał się na tę chwilę przez całe dziesięć lat.

– Wojna między Jedi a Sithami dobiegła końca – poinformowała pustelnika. – Mój Mistrz nie jest już żołnierzem. Jest zwykłym człowiekiem, który potrzebuje twojej pomocy.

Caleb znów się uśmiechnął, ale tym razem bardziej drapieźnie.

– Twój Mistrz nie będzie nigdy zwykłym człowiekiem – powiedział. – A zresztą i tak niedługo umrze.

Jeden rzut oka na dłoń mężczyzny, na zawsze zeszpeconą przez blizny, które pozostały po pamiętnym kontakcie z gotującą się zupą, wystarczył, żeby Zannah porzuciła myśl o użyciu tortur, aby nakłonić go do zmiany zdania. Wiedziała także, że nie ma sensu próba opanowania jego umysłu przez Moc; Caleb miał zbyt silną wolę, żeby Zannah potrafiła ją nagiąć do swoich potrzeb.

– Dam ci kredyty – zaproponowała. – Będziesz bogatszy niż sobie wyobrażasz.

Pustelnik rozłożył ramiona, demonstrując surowe wnętrze małej chaty..

– A co miałyby z nimi zrobić ktoś taki jak ja? – zapytał.

– A twoja córka? – przypomniała uczennica Bane'a. – Pomyśl tylko, o ile łatwiejsze mogłaby mieć życie.

– Nawet gdybym chciał, aby moja córka przyjęła twoją zapłatę krwi, nie potrafiłbym jej odnaleźć – odparł Caleb. – Kiedy odlatywała z tej planety, dla bezpieczeństwa nalegałem, żeby zmieniła nazwisko. Nie mam pojęcia, jak się w tej chwili nazywa ani gdzie się osiedliła.

Zannah przygryzła wargę. Pozostała jeszcze jedna rozpaczliwa próba.

– Jeżeli nie pomożesz mojemu Mistrzowi, rozpocznę polowanie na twoją córkę – zagroziła. – Znajdę ją, poddam torturom i w końcu zabiję – obiecała, dla większego efektu mocno akcentując każde słowo. – A ciebie zmuszę, żebyś na to patrzył.

Caleb tylko się uśmiechnął, rozbawiony jej czczymi pogroźkami.

– No to na co czekasz? – zapytał. – Ruszaj jej szukać i daj mi spokój. Oboje dobrze wiemy, że nigdy jej nie znajdziesz.

Oczywiście miał rację. Nie dysponując aktualnym nazwiskiem ani nawet rysopisem, Zannah nigdy nie odnajdzie jednej kobiety, która mogła przebywać na którymkolwiek spośród milionów światów Republiki.

Obrzuciła złym spojrzeniem pustelnika i popatrzyła na jego poznaczoną bliznami dłoń – niemy dowód, że nie ma sensu używać tortur. Postanowiła mimo wszystko spróbować.

Posłużyła się Mocą i uwolniła myśli, żeby unieść Caleba w powietrze. Jego stopy kołysały się zaledwie kilka centymetrów nad podłogą, a głowa sięgała już ukośnego dachu szafasu. Zannah znów użyła Mocy i zaczęła powoli miażdżyć wnętrzności Caleba, zadając mu agonalny ból, którego niewielu doświadczyło. Była jednak ostrożna i oszczędzała płuca – mężczyzna musiał mieć dość powietrza, aby oddychać i mówić.

– Wiesz, co zrobić, żeby to przerwać – oznajmiła lodowatym tonem. – Powiedz, że ulecysz mojego Mistrza.

Caleb stęknął i spazmatycznie chwycił powietrze, ale pokręcił głową.

– Zannah, co ty wyprawiasz?

Do szafasu wszedł Darovit, ciekaw, dlaczego przekonanie pustelnika zajmuje kuzynce tyle czasu. Wpatrywał się z przerażeniem w scenę rozgrywającą się przed jego oczami.

– Przestań! – wrzasnął na nią. – Zabijasz go!

Wściekła Zannah jednak go posłuchała; uwolniła Caleba i opuściła go na podłogę. Darovit podbiegł do pustelnika, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało, ale starszy mężczyzna pokręcił głową i gestem kazał mu się cofnąć.

Przykucnął, oparł dłonie na udach i zaczął powoli, głęboko oddychać.

Darovit odwrócił się do kuzynki.

– Dlaczego to zrobiłaś? – wybuchnął gniewnie.

– Odmówił nam pomocy – odparła młoda kobieta obronnym tonem.

– Drugi raz nie uwolnię tego potwora – powiedział Caleb przez zaciśnięte zęby. Wciąż jeszcze zmagał się ze skutkami tortur Zannah. – Nie możecie nic zrobić, żeby mnie zmusić do udzielenia mu pomocy.

Zannah uklękła obok niego.

– Potrafię dzięki mojej potędze powołać do życia twoje najgorsze koszmary i napuścić je na ciebie – szepnęła. – Potrafię doprowadzić cię do obłędu ze strachu. Potrafię zrobić z ciebie na resztę życia błakającego się szaleńca.

Darovit wpatrywał się w nią, wyraźnie wstrząśnięty, ale Caleb tylko zaprezentował swój doprowadzający ją do szału uśmiech.

– Jeżeli to zrobisz, twój Mistrz i tak wkrótce umrze – powiedział.

Zannah spiorunowała go spojrzeniem, wstała i wybiegła z chaty, pozostawiając Caleba w towarzystwie Darovita.

ROZDZIAŁ 23

Niesiona furią Zannah brnęła przez piasek między chatą Caleba a skrajem obozu, gdzie jej Mistrz leżał na repulsorowych noszach.

Sprawdziła wskazania monitora przypiętego do noszy i odczytała wartości parametrów funkcji życiowych Sitha. Bane żył, ale szybko słabł. Niebawem umrze, zabierając ze sobą całą wiedzę i wszystkie tajemnice.

Stała jeszcze nad noszami, kiedy z szałasów wyłonił się Darovit. Przeszedł przez obóz, stanął obok niej i spojrzał na Mistrza Sithów.

– Nie martw się – spróbował pocieszyć kuzynkę – przynajmniej odejdziesz w spokoju.

– Spokój to iluzja – warknęła Zannah. – Nie ma znaczenia, czy umiera się we śnie, czy też ginie na polu bitwy. Śmierć to śmierć.

– Przynajmniej nie odczuwa bólu – odparł Darovit, wygłaszając kolejny banał, który i tak nie miał żadnego znaczenia.

– Dopóki czuje się ból – oznajmiła Zannah – to znak, że wciąż się żyje. Zawsze wolę odczuwać ból niż spokój.

– Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę z twoich ust takie słowa, Zannah. – Darovit ze smutkiem pokręcił głową. – Czy ty nie rozumiesz, kim dzięki niemu się stałaś?

Stałam się Sithem, pomyślała młoda kobieta.

– Dał mi prawdziwą siłę. Dał mi potęgę – powiedziała głośno.

– Czy tylko na tym ci zależy, Zannah? Na potędze?

– Dzięki potędze osiągam zwycięstwo – wyrecytowała uczennica Dartha Bane'a. – A dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy.

– Potęga nie zawsze oznacza zwycięstwo – sprzeciwił się Darovit. – Mimo całej twojej potęgi nie dałaś rady zmusić Caleba, by mu pomógł.

Bane znalazłby jakiś sposób, pomyślała z goryczą Zannah, ale zachowała milczenie.

– Rozumiem, co on z tobą zrobił – ciągnął kuzyn, kładąc łagodnie dłoń na jej ramieniu. – Byłaś jeszcze dzieckiem. Samotnym, przerażonym dzieckiem. Bane znalazł cię i zaopiekował się tobą. Rozumiem powód twojej lojalności i to, że troszczysz się o niego.

Zannah pokręciła głową odwróciła się i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Jestem Sithem – oznajmiła. – Nie troszczę się o nikogo oprócz siebie.

– Troszczysz się o mnie.

Zannah nie odpowiedziała. Nie chciała znów się wdawać w tę samą kłótnię, którą prowadzili od czasu lotu na Tythona.

– Nie chcesz się do tego przyznać, ale wiem, że zależy ci na mnie – nie dawał za wygraną Darovit. – Troszczysz się także o swojego Mistrza. Obojętne, co powiesz, dowodzi tego twoje zachowanie. Ale wiesz co, Caleb ma rację. Bane jest potworem. Nie możemy go uwolnić, co wcale nie oznacza, że musi umrzeć – dodał po chwili.

– Co masz na myśli? – zainteresowała się Zannah, nagle czujna. Obawiała się najgorszego.

– Rozmawiałem z Calebem – zaczął kuzyn. – On także ciebie uważa za potwora, ale nie zna cię tak dobrze jak ja. Nie jesteś potworem, Zannah... ale staniesz się nim, jeżeli pozwolisz, aby twoim życiem rządziły gniew i nienawiść.

– Teraz mówisz jak Jedi – odparła ostrożnie młoda kobieta. Darovit wyraźnie do czegoś zmierzał, a ona nie potrafiła odgadnąć, do czego.

– Zaczynam rozumieć, że oni są lepsi niż Sithowie – przyznał się jej kuzyn. – Wiem, co się stanie, Zannah, jeżeli Bane umrze. Zabijesz Caleba.

Kuzynka się zawahała, a w końcu skinęła głową.

– Prawdopodobnie to zrobię – powiedziała, bo nie było sensu kłamać.

– Balansujesz nad przepaścią – ostrzegł ją kuzyn ostrym tonem. – Wciąż jeszcze możesz zrezygnować z takiego życia, Zannah. Wiem, że jeżeli Bane umrze, twoje pragnienie zemsty nakaze ci zamordować Caleba. Obawiam się także, że śmierć twojego Mistrza popchnie cię poza krawędź. Staniesz się taka jak on. A ja tego nie chcę – dodał łagodniej, wskazując głową leżącego na noszach nieruchomego Sitha. – Muszę ocalić cię przed sobą samą. Musiałem coś wymyślić, żeby cię powstrzymać od zabicia Caleba, więc nakłoniłem go, żeby jednak uleczył Bane'a. To jedyny sposób, żebyś zawróciła ze złej drogi i przestała postępować jak Sith.

– To... to nie ma sensu – szepnęła Zannah, usiłując zrozumieć jego logikę. – Jeżeli Bane przeżyje, nigdy mi nie pozwoli na porzucenie drogi Sithów. Dlaczego zresztą miałabym chcieć z niej zrezygnować? – dodała w myśli.

– Zanim Caleb udzieli pomocy twojemu Mistrzowi – wyjaśnił Darovit – wysłesz jednego z robotów-pośłańców „Lorandy”, żeby powiadomił Jedi, gdzie się obecnie znajdujemy. Wtedy przylecą i aresztują Bane'a.

– Co takiego?! – wykrzyknęła Zannah, cofając się o krok. – To szaleństwo!

– Wcale nie – odparł kuzyn, chwytając ją za łokieć i przyciągając do siebie. – Proszę, Zannah, posłuchaj mnie. Jeżeli wyślesz do Jedi wiadomość i przekażesz im Bane'a, to będzie dowodziło, że odwracasz się tyłem do nauk Sithów. Udowodnisz, że chcesz zadośćuczynić za ból i cierpienia, które spowodowałaś. A zresztą to jedyny warunek, żeby Caleb go uzdrowił – dodał po sekundzie, puszcżając jej rękę.

– Widziałeś na własne oczy, do czego jest zdolny mój Mistrz – odparła Zannah. – Co go powstrzyma przed zabiciem Jedi, którzy tu przylecą?

– Toksyna orbalisków zatruwa ciało Bane'a od środka – odparł młody mężczyzna. – Mimo pomocy Caleba upłyną tygodnie, a może nawet miesiące, zanim zdoła choćby tylko stać o własnych siłach.

– A co mnie powstrzyma przed zabraniem stąd Bane'a, kiedy tylko zostanie uzdrowiony?

– Waszą najlepszą bronią jest tajemnica – stwierdził Darovit. – Jedi uważają, że wasz Zakon został unicestwiony. Nie zamierzają tracić czasu na ściganie cieni za każdym razem, kiedy ktoś szepnie słowo „Sith”. To jedyny powód, dla którego do tej pory przeżyliście. Kiedy jednak wyślesz tego robota, wszystko ulegnie zmianie. Jedi dowiedzą się, że Sithowie wciąż istnieją. Będą mieć dobry powód, żeby przystąpić do działania. Wszyscy Rycerze i Mistrzowie Jedi na milionach planet wyruszą na poszukiwania i nie spoczną, dopóki was nie znajdą. Sithowie nie będą mogli dłużej się ukrywać.

Zannah wiedziała, że kuzyn ma rację. To właśnie dlatego Bane starał się tak usilnie podtrzymać wrażenie, że informacje o ich istnieniu są tylko bezzasadnymi plotkami.

– A poza tym – dodał Darovit – Caleb nie kiwnie nawet palcem, dopóki nie uszkodzimy najpierw twojego statku, żebyście nie mogli nim odlecieć. Jeżeli podejmiesz próbę ucieczki, będziesz musiała sama dźwigać Bane'a przez pustynię. Nawet gdybyś przeżyła taką wyprawę, nie odejdziesz z nim daleko przed przybyciem Jedi.

– Wygląda na to, że uzdrowiciel mi nie ufa – mruknęła ponuro Zannah.

– O mało go nie zabiłaś – przypomniał kuzyn.

– Co stanie się ze mną, jeżeli przekażę Bane'a w ręce Jedi? – zapytała młoda kobieta.

– Nie mam pojęcia – przyznał Darovit. – Jedi mogą cię także aresztować, ale możliwe, że uznają twój postępek za punkt zwrotny w twoim życiu.

Może nawet dostrzegą w tym próbę naprawienia wszystkiego, co dotąd nabroić. A może nawet przyjmą cię do swojego Zakonu – zasugerował po chwili. – Słyszałem, że Jedi wierzą w potęgę odkupienia. I, jak powiedziałem, to lepsze, niż gdybyś naprawdę miała zostać Sithem.

– A co z tobą? – zainteresowała się kuzynka. – Co zrobisz?

– Jeżeli zdecydujesz się zabić Caleba i pozwolisz Bane'owi umrzeć, nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego – wycedził Darovit. – Nie sądzę jednak, żebyś się na to zdecydowała.

– Dlaczego jesteś taki pewny?

– Już ci mówiłem, Zannah... łączy nas więź – odparł kuzyn. – Wiem, co czujesz i co myślisz. Obawiasz się zostać sama... ale nie jesteś sama. Już nie. Dokonasz słusznego wyboru, a kiedy to zrobisz, zostanę z tobą.

Zannah umilkła i zastanowiła się nad jego propozycją. Przygryzła wargę aż do krwi. Gdyby odmówiła, Bane by zginął, a ona musiałaby sama doprowadzić do odrodzenia się Zakonu Sithów, zabić Caleba, znaleźć ucznia... no i prawdopodobnie także zabić Darovita. Gdyby zaś się zgodziła, musiałaby wydać swojego Mistrza w ręce Jedi, co oznaczałoby koniec Sithów i postawienie pierwszego kroku na długiej drodze do odkupienia i pokuty.

– Czas Bane'a dobiega końca – przynaglił ją Darovit. – Musisz coś postanowić.

Zannah widziała wyraźnie przed sobą dwie drogi. Jedna wiodła ku ciemności, a druga ku światłości – w towarzystwie Darovita. Zastanawiała się nad tym problemem kilka minut, aż w końcu znalazła rozwiązanie.

– Powiedz Calebowi, że zgadzam się na jego warunki – oznajmiła.

Bane otworzył powoli oczy. Powieki miał ciężkie, jakby powleczone ółowiem. Czuł, jak ocierają mu tęczołki niczym papier ścierny. Zamrugał, żeby osłonić źrenice przed padającymi na niego promieniami słońca, a potem spróbował usiąść.

Ciało go jednak nie posłuchało. Nogi, ręce i cała reszta zignorowały impulsy z mózgu i pozostały nieruchome. Nie mógł nawet pokręcić głową. Czuł dziwne mrowienie w kończynach. Widział, że leży na wznak, i czuł, jak szorstka tkanina – lniane prześcieradło albo samodziałowy koc – ociera się o jego skórę. Był jak sparaliżowany, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu.

Zamrugał i ponownie otworzył oczy. Tym razem źrenice stopniowo się skurczyły i jaskrawe światło już nie sprawiło mu tyle bólu. Wpatrywał się w niski, pochyły sufit z prostych drewnianych desek. Przez wąską szczelinę w

jednej z nich padał na niego promień światła, i to właśnie on raził go w oczy.

Zdołał w końcu odwrócić głowę w bok, żeby światło go nie oślepiało. Zmiana kąta widzenia pozwoliła mu lepiej zobaczyć pomieszczenie, w którym się znajdował. Było niewielkie, proste i dziwnie znajome. Zanim jednak zdążył porównać jego wygląd ze swoimi wspomnieniami, na linii jego wzroku ktoś stanął.

Mając przed oczami parę znoszonych, skórzanych butów, Mistrz Sithów wynioskował, że leży na podłodze. Właściciel butów stał nad nim chwilę, a potem przykucnął, żeby spojrzeć mu w oczy.

Dopiero widok tej twarzy – dziesięć lat starszej, ale niewątpliwie znajomej, niemożliwej do pomylenia z jakąkolwiek inną twarzą – przypomniał mu, gdzie już kiedyś widział tego człowieka. Leżał na tej samej podłodze ponad dziesięć lat wcześniej – podobnie jak w tej chwili, na granicy między życiem a śmiercią.

„Caleb”, spróbował powiedzieć, ale spomiędzy jego warg wydobył się tylko cichy jęk. Podobnie jak reszta ciała, wargi i język zupełnie go nie słuchały. Bane spróbował wezwać na pomoc potęgę Ciemnej Strony, żeby dała mu siłę, ale jego woła była równie słaba i bezradna, jak ciało.

– Oprzytomniał! – zawołał głośno Caleb, nie odrywając spojrzenia od twarzy pacjenta.

Bane usłyszał gdzieś na zewnątrz czyjeś kroki. Ze wszystkich sił starał się wyartykułować to jedno słowo:

– Caleb.

Wyszeptał to cicho, ale tym razem wyraźnie. Mimo to uzdrowiciel nie odpowiedział. Wstał i Bane znów widział tylko jego buty. Usłyszał skrzypienie piasku pod nogami biegnącej osoby, a po chwili głośny stukot obcasów na drewnianej podłodze chaty.

– Chcę go zobaczyć!

Rozpoznał głos swojej uczennicy, a jego umysł zaczął powoli składać w całość fragmenty wydarzeń. Przypomniał sobie bitwę z Jedi na Tymonie. Pamiętał, że posłał na swojego ostatniego przeciwnika burzę błyskawic Ciemnej Strony. Przypomniał sobie także parszywe pole siłowe, którym otoczył go ithoriański Mistrz Jedi. Z tego, co wydarzyło się później, pamiętał tylko nieznośny ból.

Jakimś cudem kula siłowego pola Jedi uwięziła go w środku burzy błyskawic Ciemnej Strony. Otoczyły go wyładowania; przez jego ciało przepłynęły miliony woltów, które ugotowały go od środka i wprawiły

mięśnie w taki dygot, że o mało go nie rozerwały.

Energia przepłynęła także przez przyczepione do ciała orbaliski. Pasożyty pochłaniały energię elektryczną tak łapczywie, że spuchły do podwójnej objętości. Nie mieszcząc się w chitynowej skorupie, zaczęły się zagłębiać w ciało nosiciela. Bane przypominał sobie, jak krzyczał, kiedy tysiące maleńkich ząbków szarpało jego mięśnie i ścięgna, a nawet kości.

Nawet w głębi jego ciała stworzenia nadal żywiły się elektrycznością, która cały czas przepływała przez Bane'a. Orbaliski puchły coraz bardziej, aż zaczęły eksplodować niczym napompowane powyżej granic wytrzymałości balony.

Bane zachował przytomność, torturowany przez elektryczność, która dosłownie smażyła go żywcem. Pozostał przytomny, także cierpiąc niewyobrażalny ból wgrzyzających się w jego ciało orbalisków. W końcu jednak, zatruty przez trucizny uwalniane do jego organizmu przez eksplodujące orbaliski, stracił przytomność... i odzyskał ją dopiero tutaj.

Obok butów Caleba pojawiła się para mniejszych pantofli, niewątpliwie kobiecych, najprawdopodobniej należących do Zannah.

– Stara się coś powiedzieć – odezwał się Caleb, którego twarz znajdowała się poza zasięgiem wzroku Mistrza Sithów.

Bane spróbował unieść głowę i tym razem zdołał zobaczyć, kto nad nim stoi. Zannah to zauważyła i kucnęła. Podsunęła mu pod szyję prowizoryczną poduszkę ze zwiniętego płaszcza. Kiedy podnosiła mu głowę, Bane poczuł na plecach dotyk jej długich, cienkich palców. Dopiero to uświadomiło mu, że orbaliski zniknęły. To dlatego już przedtem czuł szorstki materiał na obnażonej skórze.

– Orba... liski? – zapytał i o mało się przy tym nie zachłysnął.

– Musieliśmy je usunąć – poinformowała go Zannah. – Zabijały cię.

Bane stwierdził, że otaczający go świat znów mętnieje i gdzieś odpływa. Tak bardzo wyczerpały go dwa słowa, które udało mu się wypowiedzieć. Kiedy znów zapadł w omdlenie, czuł ból z powodu tego, co utracił.

Dla niedoświadczonego oka Zannah jej Mistrz dwa dni później, kiedy ponownie otworzył oczy, wyglądał o wiele lepiej. Mógł już odwracać powoli głowę z boku na bok, żeby oglądać wnętrze chaty Caleba i patrzeć na swoją uczennicę.

– Co się stało? – zapytał.

Mówił chrapliwie i cicho, ale wyraźnie.

– Caleb cię uleczył – odparła Zannah, poprawiając poduszkę, którą przyniosła z pokładu „Lorandy”. Umieściła ją pod głową Bane'a, żeby nie

leżał zupełnie płasko. – Ocalił ci życie.

Cztery dni wcześniej takie jej oświadczenie byłoby nie do pomyślenia. Caleb przyglądał się, jak Zannah programuje bezzałogowego robota-posłańca i wysyła go do Jedi. Ostrzegł ją, że nadal istnieje niebezpieczeństwo, iż Bane nie przeżyje jego kuracji.

Z początku Zannah pomyślała, że to po prostu wymówka, że Caleb postanowił uprzedzić fakty, bo od początku wiedział, że pozwoli jej Mistrzowi umrzeć... albo sam go zabije. Podczas leczenia Bane'a nie spuszczała więc oka z uzdrowiciela. Wiedziała wprawdzie, że Caleb zna setki sposobów, jak zakończyć życie Sitha bez zwrócenia jej uwagi, ale miała nadzieję, że może jej obecność zniechęci Caleba do zrobienia jakiegoś głupstwa.

Szybko zrozumiała, jak bezsensowne były jej obawy. Caleb był człowiekiem uczciwym, hołdującym różnym głupim cnotom w rodzaju honoru. Obiecał pomóc Bane'owi pod warunkiem, że Zannah zaalarmuje Jedi, a skoro ona dotrzymała swojej części umowy, czuł się w obowiązku dotrzymać swojej.

Zannah początkowo chciała przetransportować Bane'a z powrotem do pokładowego szpitala „Lorandy”, ale Caleb się na to nie zgodził. Stwierdził, że potężna energia przenikająca okolicę wokół jego samotni przydaje jego lekom siły. Darovit poparł pomysł pustelnika, a Zannah, wyczuwając wszędzie tutaj potęgę, także dała się przekonać.

Uzdrowiciel zaczął leczenie Bane'a, zmuszając go do wypicia paskudnie cuchnącej cieczy, którą sam upichcił w garze nad ogniskiem, żeby zniwelować wpływ toksyny orbalisków. Darovit ostrzegł Zannah, że trucizna zabijająca Bane'a zżera jego ciało. Dopiero jednak, kiedy Caleb zaczął odrywać orbaliski, zaczynając od szerniałych skorup tych, które zginęły, Zannah zrozumiała, jak wielki ból musiał wycierpieć jej Mistrz.

Tego, co kryło się pod orbaliskami, nie można było nazwać skórą ani nawet ciałem. Zannah zobaczyła papkowatą masę zielonej i czarnej posoki pasożytów, zmieszanej z sączącą się ropą oraz krwawą, czerwoną tkanką mięśni Bane'a. Widząc to, zrozumiała, chociaż nie miała medycznego doświadczenia, że Bane'a utrzymuje przy życiu tylko potęga Mocy. Jego rany wydzielały gangrenowaty smród zepsutego mięsa i Zannah z trudem powstrzymywała wymioty.

Następny etap leczenia polegał na usunięciu żywych orbalisków. Kluczem do rozwiązania tego problemu była – tak jak Zannah się spodziewała – elektryczność. Caleb przyrządził nad ogniskiem lepłą, dobrze

przewodzącą substancję i pokrył nią zewnętrzną powierzchnię skorup orbalisków. Następnie zastosował długą, cienką igłę, dołączoną do ogniwa energetycznego z pokładu „Lorandy”. Wsuwał ją do niewielkiego otworu na czubku opancerzonej głowy pasożyta, przebijał miękkie ciało orbaliska i uwalniał potężny impuls elektryczny, który ogłuszał stworzenie.

Przy okazji pasożyt wydzieliał rozpuszczalnik, który osłabiał więź łączącą go z nosicielem. Kiedy już ta więź osłabła, można było oderwać stworzenie od ciała Bane'a. Potem wciąż jeszcze ogłuszone pasożyty wrzucano do napełnionego wodą dużego pojemnika, dołączonego do jednego z ogniw energetycznych „Lorandy”, i zabijano dużą dawką ładunku elektrycznego. Proces trzeba było powtarzać dla każdego osobnika w kolonii, która opanowała ciało Bane'a, i chociaż Calebowi pomagał Darovit, procedura usuwania pasożytów zajęła kilka godzin.

Ciało Mistrza Sithów pod żywymi orbaliskami było blade i poszarpane, pokryte głębokimi, ciekącymi ranami w miejscach, gdzie nieustannie pracowały ostre zęby pasożytów. Rany wyglądały jednak niegroźnie w porównaniu z przerażającym stanem ciała pod zwęglonymi skorupami martwych pasożytów.

Kiedy Bane został oczyszczony z orbalisków, Caleb natarł go całego kojącym balsamem i owinął od stóp do głów bandażami. Przez pierwsze dwa dni zmieniał opatrunki co cztery godziny i za każdym razem aplikował nową porcję balsamu.

Zannah była zaskoczona umiejętnościami Caleba. Kiedy uzdrowiciel zaczął leczyć Mistrza, Bane składał się prawie wyłącznie z martwej i zarażonej tkanki, a kiedy w końcu na dobre usunięto bandaże, ciało Sitha wyglądało jak nowo narodzone. Jego skóra przybrała różową barwę, stała się niezwykle miękka i wyjątkowo wrażliwa. Caleb zapewnił, że w ciągu kilku tygodni skóra odzyska naturalny kolor i konsystencję.

– Caleb mnie ocalił? – mruknął Bane. – Jak go do tego przekonałaś?

Zannah zawahała się, niepewna, co powiedzieć. Darovit i Caleb stali tuż za drzwiami chaty i lada chwila mogli wejść do środka. Cóż, gdyby nawet odkryli, że opowiada Bane'owi o wysłanym do Jedi robocie-posłańcu, dlaczego mieliby się tym przejść? Co się stało, to się nie odstanie. Jej Mistrz był wciąż jeszcze zbyt słaby, żeby wstać, a Jedi prawdopodobnie znajdowali się już w odległości dnia lotu od Ambrii.

– Musieliśmy powiedzieć Jedi, że tu jesteś – wyznała w końcu. – Wysłałam im robota z informacją, że Lord Sithów zabił pięcioro Jedi na Tythonie. Zawiadomiłam, że przebywasz u Caleba na Ambrii, ranny i

bezradny. Lecą tu po ciebie.

W oczach Bane'a zapaliły się iskry gniewu. Mistrz Sithów spróbował usiąść, ale zdołał tylko unieść głowę kilka centymetrów nad poduszkę. Świadomy własnej bezradności, posłał uczennicy oskarżycielskie spojrzenie.

– Wydałaś mnie – powiedział. – Zdradziłaś.

– Tylko tak mogłam utrzymać cię przy życiu – wyjaśniła młoda kobieta, przywołując ten sam argument, który dopomógł jej w podjęciu decyzji. – Musisz mnie jeszcze dużo nauczyć.

– Jak sobie to teraz wyobrażasz?! – wybuchnął gniewnie Bane. – Jedi ci na to nie pozwolą!

Zannah nie miała na to odpowiedzi. Bane zamknął oczy; dziewczyna nie była pewna, czy pogodził się z poniesioną klęską, czy namyśla się, co dalej. Darovit i Caleb rozmawiali cicho przy ognisku.

Po chwili Bane otworzył oczy, w których płonęła dzika siła.

– Darth Zannah, jesteś moją uczennicą – zaczął. – Jesteś dziedziczką mojej spuścizny. Nadał możesz upomnieć się o swoje przeznaczenie, które należy ci się z mocy prawa Sithów. Nadal możesz dostąpić zaszczytu uzyskania tytułu Mistrzyni Sithów.

Mówił już trochę głośniej, bo powoli odzyskiwał siły. Zannah zastanowiła się, czy słyszą go dwaj mężczyźni na dworze.

– Weź świetlny miecz i zadaj mi ostateczny cios, a zdobędziesz mój tytuł. Zabij pozostałych i uciekaj stąd, zanim przyłecą Jedi. Wyszukaj sobie nowego ucznia. Dzięki tobie nasz Zakon przeżyje.

Zannah pokręciła głową. Caleb przewidział możliwość takiego rozwoju sytuacji i skutecznie ją wyeliminował.

– Nasz statek nie jest zdolny do lotu, a Jedi będą tu za kilka godzin – oznajmiła. – Nawet gdybym uciekła na pustynię, odnajdą mnie, zanim zdołam odlecieć z tej planety.

– Nigdy nie przypuszczałem, że sprawisz mi taki zawód – jęknął Bane, z niesmakiem odwracając głowę. – Nie sądziłem, że właśnie ty unicestwisz Sithów.

Zannah nie znalazła argumentu na swoją obronę. Po chwili Bane znów spojrzał na nią, po czym przeniósł spojrzenie na rękojeść świetlnego miecza u jej pasa.

– Nie chcę żyć jako więzień Jedi – powiedział cicho, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że inni mogą go usłyszeć. – Możesz to zakończyć, zanim tu przyłecą.

Zannah pokręciła głową. Nie po to zadała sobie tyle trudu i ocalała

Mistrza, żeby go teraz zabijać.

– Dopóki życia, dopóty nadziei, Bane – odparła cicho. Bała się, co Darovit albo Caleb pomyślą, jeżeli ją usłyszą. Musiała jednak coś powiedzieć, żeby uspokoić swojego Mistrza. – Sithowie może jeszcze znów powstaną.

Bane pokręcił głową, chociaż kosztowało go to mnóstwo wysiłku.

– Jedi nigdy mi nie pozwolą uciec – stwierdził ponuro. – Wyczują moją potęgę i będą mnie trzymać pod strażą dziesiątków Rycerzy Jedi, dopóki Senat nie wyda na mnie wyroku śmierci. Jeżeli mnie teraz zabijesz, przynajmniej nie będą mogli się chlępić, że wymierzili mi sprawiedliwość.

Zannah nie odstępowała go od dwóch dni, czekając, aż się znów obudzi. Domyślała się, że Mistrz przeżyje, ale chciała z nim porozmawiać, aby się upewnić, czy wciąż jeszcze ma sprawny umysł. Chciała mieć dowód, że wszystkie jego dary – wiedza i inteligencja – pozostały nietknięte po ciężkiej próbie, jakiej został poddany. I oto dostała ten dowód – jak na ironię wyrażony w pragnieniu śmierci.

– Sith nigdy się nie poddaje, Mistrzu – przypomniała mu.

– Ale tylko głupiec podejmuje walkę, której w żadnym razie nie może wygrać – odparł ostro Darth Bane. – Jedi wkrótce tu będą. Zrób to! Zadaj mi śmiertelny cios!

Zannah pokręciła głową. Mistrz spróbował wstać, bo wściekłość dodała mu sił, ale udało mu się tylko usiąść. Po chwili padł na wznak, całkowicie wyczerpany.

Kiedy znowu stracił przytomność, Zannah zrozumiała, że jej Mistrz miał rację. Jedi już nadlatywali, więc jeśli ona natychmiast nie przystąpi do działania, wkrótce będzie za późno. Wstała i wysunęła klingę świetlnego miecza. Dobrze wiedziała, że jej pomruk usłyszą obaj stojący na zewnątrz mężczyźni, ale nic jej to nie obchodziło. Kiedy sobie uświadomią, co ona chce zrobić, będzie za późno.

ROZDZIAŁ 24

„Światło Prawdy”, jeden z wielu krążowników Jedi, które wcielono do floty Republiki po uchwaleniu Reformacji Ruusańskiej, wylądował z cichym stukiem na spustoszonej powierzchni Ambrii.

– Musicie być gotowi na wszystko – ostrzegł członków swojej grupy Mistrz Tho'natu, kiedy przygotowywali się do zeskoczenia na grunt planety.

Zanim otrzymał tytuł Mistrza, Twi'lek służył jako Rycerz Jedi w Armii Światła na Ruusanie. Został przydzielony na okręt Farfalli, dzięki czemu zdołał uniknąć śmiertelnościowego wpływu eksplozji bomby myśli. Na Ruusanie wiele razy oglądał na własne oczy okrucieństwa, do jakich zdolni byli Sithowie, więc teraz nie zamierzał ryzykować.

Grupę wysłano w reakcji na informację robota-posłańca, który wylądował kilka dni wcześniej na Coruscant. Anonimowa wiadomość była krótka i trochę niepokojąca z powodu braku szczegółów. Zawierała tylko zestaw współrzędnych i cztery krótkie zdania:

„Lord Sithów nadal żyje. Zabił pięcioro Jedi na Tymonie. Przebywa teraz na Ambrii pod opieką uzdrowiciela Caleba. Jest ciężko ranny i bezradny”.

Niespełna dwa tygodnie wcześniej Mistrz Farfalla z czwórką towarzyszy odlecieli w pośpiechu z Coruscant, zostawiając wiadomość, że lecą na Tythona, schwytać Ciemnego Lorda Sithów. Od tamtej pory nikt nie miał o nich żadnych wiadomości. Robot-posłaniec przyniósł ponure wyjaśnienie ich losu, co wywołało natychmiastową odpowiedź Rady Jedi.

Jej członkowie szybko zorganizowali grupę czternaściora Jedi, sześciu Mistrzów i ośmiu Rycerzy, i wysłali ich na Ambrię pod rozkazami Tho'natu, żeby schwytać Sitha odpowiedzialnego za śmierć Mistrza Farfalli i jego towarzyszy. Przygotowania do podróży prowadzono w pośpiechu, ale teraz Jedi zamierzali poczynać sobie ostrożnie, żeby nie wpaść w pułapkę.

Zgodnie z współrzędnymi punktu lądowania osiedli kilkaset metrów od niewielkiego drewnianego szałas, przed którym płonęło małe ognisko. W pobliżu stał zaparkowany krążownik o wypisanej na burcie nazwie „Loranda”.

Kiedy kłapa wjazdu się otworzyła, Tho'natu i jego grupa zeskoczyli na

grunt Ambrii, gotowi do wysunięcia kling świetlnych mieczy na pierwszą oznakę kłopotów. Powietrze wokół nich drżało; odnosili dziwne, nieznanym wrażenie Mocy, podszytej nieomylną skazą Ciemnej Strony.

– Pierwszy i drugi oddział, sprawdźcie tamten statek – rozkazał Tho'natu.
– Trzeci oddział ze mną zbada ten obóz.

Dziwiciu Jedi pospieszyło w stronę „Lorandy”, a Tho'natu i pozostali ruszyli w głąb obozu. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli widok, który napełnił ich odrazą.

Grunt wokół ogniska zaśmiecały posiekane ludzkie szczątki. Ręce, odcięte przy ramionach, przecięto także w łokciach i nadgarstkach. Podobny los spotkał dolne kończyny, podzielone na stopy, łydki i uda. Nawet tułów mężczyzny został poćwiartowany. Wygląd ran nie pozostawiał cienia wątpliwości, że bronią rzeźnika był świetlny miecz.

W całości była tylko głowa, którą ustawiono jak trofeum na odwróconym saganie do gotowania zupy. Głowa należała do mężczyzny o długich czarnych włosach. Ofiara mogła mieć od czterdziestu do pięćdziesięciu lat, a jej twarz wyglądała jak ponura maska przerażenia i bólu. Tho'natu zastanowił się, ile ran zadano ofierze, kiedy jeszcze żyła.

– Jaki szalencie mógł się poważyć na coś takiego? – zapytał jeden z Rycerzy Jedi, ale Mistrz Tho'natu nie miał na to odpowiedzi.

Na znak dowódcy wszyscy Jedi zapalili klingi mieczy i zaczęli się za nim czołgać w stronę chaty. Kiedy usłyszeli dobiegające z wnętrza dźwięki, zamarli w bezruchu. Ktoś w środku chrapliwie szlochał i skomlał, jakby ze strachu.

W otworze drzwiowym wisiał poszarpany koc, który zasłaniał wnętrze chaty. Twi'lek posłużył się Mocą, żeby wyczuć, kto się tam ukrywa, ale coś – prawdopodobnie przenikająca wszystko dziwna potęga tego miejsca – stępiła wrażliwość jego zmysłów.

– Jestem Mistrzem Jedi i nazywam się Tho'natu! – krzyknął dowódca, wyłączając klingę świetlnego miecza. – Przybyliśmy tu, żeby ci pomóc!

W szalencie rozległ się przeraźliwy krzyk. Zza koca wyskoczył młody mężczyzna, trzymając nad głową świetlny miecz o złocistej klindze. Z prawej ręki pozostał tylko kikut, ale z oczu strzelały szalone błyski.

– Nie! – zaskrzeczał nieznanym i rzucił się na nich, wymachując na oślep złocistym ostrzem. – Nigdy mnie nie dostaniecie! Nie! Nie! Nie!

Mistrz Tho'natu zapalił klingę, bo mężczyzna skoczył ku niemu z furią w oczach. Jego krzyki zmieniły się w dzikie wycie. Pozostali członkowie oddziału Jedi, reagując instynktownie, skoczyli na pomoc dowódcy. Bitwa

trwała niespełna trzy sekundy; młody szaleniec został pocięty na kawałki przez świetlne miecze Jedi.

Kiedy walka dobiegła końca, Jedi zajęli pozycje przed chatą. Wyciągnęli przed siebie klingi świetlnych mieczy, gotowi do odparcia następnego ataku. Na razie nic się nie działo, a w środku panowała cisza. Dając znak pozostałym, żeby zostali na zewnątrz, Tho'natu podszedł do otworu drzwiowego i odsunął na bok zakrywający wejście koc.

Pomieszczenie było puste, a obok drzwi leżało pięć rękojeści świetlnych mieczy. Mistrz Tho'natu wszedł do chaty, a jego przenikliwy umysł szybko odgadł, co musiało się tu wydarzyć.

Pamiętał, że Farfalla posługiwał się mieczem o złocistej klindze, podobnym do tego, którym zaatakował ich młody mężczyzna. Świetlne miecze to były trofea i z pewnością zabrał je ten, kto zamordował Jedi na Tythonie. Mężczyzna, który wyskoczył z chaty był wprawdzie młody, ale Jedi wiedzieli, że Ciemna Strona potrafi każdemu zapewnić potęgę... wystarczającą do zabicia Farfalli i pozostałych, zwłaszcza jeżeli Jedi zostali zwabieni w pułapkę. Sith zabił Jedi i zabrał ich broń, ale podczas walki odniósł ciężkie rany, między innymi stracił prawą rękę.

Prawdopodobnie próbował wezwać na pomoc potęgę Ciemnej Strony, żeby go uleczyła. Mistrz Jedi wiedział jednak, że Ciemna Strona nie uzdrawia. Potrafi tylko szkodzić. To właśnie ta zwodnicza myśl najprawdopodobniej uszkodziła umysł młodego napastnika. Ciężko ranny i na wpół oszalały, przyleciał na Ambrię w nadziei, że pomoże mu uzdrowiciel. Lecąc tutaj, musiał być jednak bliski śmierci i zupełnie bezradny.

To wtedy Caleb musiał wysłać robota, żeby ostrzec Jedi:

„Lord Sithów nadal żyje. Zabił pięcioro Jedi na Tythonie. Przebywa teraz na Ambrii pod opieką uzdrowiciela Caleba. Jest ciężko ranny i bezradny”.

Z pewnością wyczuł, kim jest ten młody mężczyzna, kiedy leczył jego straszliwe obrażenia. Nie docenił jednak potęgi Lorda Sithów i zgubnego wpływu jego szaleństwa na organizm. Zanim Jedi zdążyli przylecieć, Sith odzyskał dość sił, aby w okrutny sposób zabić Caleba za to, że uzdrowiciel wydał go w ich ręce. Długa i okrutna śmierć uzdrowiciela musiała jeszcze bardziej podsycić szaleństwo młodego Sitha; w rezultacie zmienił się w oszalałą bestię, która wyskoczyła na nich z chaty.

Wszystkie kawałki łamigłówek układały się w logiczną całość. To naprawdę miało sens.

– Mistrzu – powiedział jeden z Jedi, zaglądając przez otwór do chaty –

reszta obozu jest pusta.

– A co ze statkiem? Z „Lorandą”? – zainteresował się Tho'natu.

– Nikogo na pokładzie – zameldował Jedi. – Wygląda na to, że przed naszym przybyciem ktoś go umyślnie zniszczył.

Prawdopodobnie Caleb, domyślił się Tho'natu. Chciał się upewnić, że Sith mu nie ucieknie. Młody mężczyzna się o tym dowiedział i dlatego tak brutalnie zamordował uzdrowiciela.

– Naprawy zajmą jakieś dwa albo trzy dni – poinformował Jedi.

– Zostawcie go dla zbieraczy złomu – zdecydował Twi'lek. Z tego przeklętego miejsca chciał zabrać na Coruscant tylko dwie rzeczy. – Pozbierajcie szczątki Caleba. Na Coruscant wyprawimy mu przyzwoity pogrzeb.

Mężczyzna kiwnął głową i odbiegł, żeby przekazać rozkazy.

Mistrz Tho'natu schylił się i podniósł świetlne miecze poległych na Tymonie towarzyszy. Trzeba będzie umieścić je na honorowym miejscu w Świątyni Jedi. Strata Farfalii i jego towarzyszy była straszliwą tragedią, podobnie zresztą jak wszystko, co wydarzyło się na Ambrii. Twi'lek mógł jednak przynajmniej przekazać członkom Rady Jedi, że na Ambrii na pewno zginął ostatni żyjący Lord Sithów.

Wyszedł z chaty i ruszył w kierunku swojego krążownika. Dobrze wiedział, że wspomnienia straszliwej masakry na Ambrii będą go prześladować do końca życia. Nie zadał sobie trudu zbadania leżącej w kącie chaty niewielkiej maty do spania. Nie zauważył ukrytej pod nią małej kłapy prowadzącej do podziemnej kryjówki. Nie wyczuł także uczennicy i jej nieprzytomnego Mistrza, osłoniętych czarami Sithów i siedzących cicho w spizarni tuż pod jego stopami.

EPILOG

Naprawa „Lorandy” zajęła Zannah trzy dni. Młoda kobieta przeniosła Bane'a na pokład statku i podłączyła go znów do pompy z bactą, żeby Mistrz Sithów odzyskał siły. Zajęta pracą, znieczuliła go, żeby przyspieszyć proces powrotu do zdrowia. Dopiero kiedy ich statek był gotów do odlotu z Ambrii, poszła do pokładowego szpitala sprawdzić stan zdrowia Mistrza.

Bane leżał nieprzytomny na noszach, tak jak go zostawiła. Kiedy podeszła, żeby odczytać parametry jego funkcji życiowych, Mistrz Sithów niespodziewanie otworzył płonące wściekłością oczy. Wyciągnął rękę, chwycił ją za przegub i ścisnął z dziką siłą.

– Gdzie są Jedi? – zapytał wściekłym szeptem. Wsparł się na łokciu i zmierzył ją spojrzeniem pełnym nienawiści. Zaciskał palce na jej nadgarstku tak mocno, że młoda kobieta aż się skrzywiła.

– Odlecieli – oznajmiła, usiłując zachować spokój. – Wrócili na Coruscant.

Wiedziała, że krążąca w żyłach Bane'a potęga osiągnęła poprzedni poziom. Wyczuwała jego żal i gniew i była pewna, że jedno niewłaściwe słowo, a jej Mistrz posłuży się Mocą, aby skrócić jej kark.

– Dlaczego? – warknął.

– Wydaje im się, że na Ambrii zabili Ciemnego Lorda – odparła jego uczennica. – Uważają, że teraz skończyli z Sithami na dobre.

Zaintrygowany Bane przechylił głowę na bok.

– A Caleb? – zapytał.

– Zabiłam go.

– A twój kuzyn?

– Zginął z rąk Jedi.

Przez myśl przemknęła jej nieproszona wizja: zobaczyła żalodne stworzenie, w które przemieniła Darovita. Pamiętała, jak kuzyn kulił się w kącie i drżał z przerażenia. Tulił do piersi rękojeść świetlnego miecza, który miał stanowić jedyną obronę przed koszmarami, jakie rzekomo pełzły do niego z każdego kąta. Pragnąc usunąć to wspomnienie, Zannah pokręciła głową.

Bane uwolnił jej rękę, uspokoił się i położył na noszach.

– Spisałaś się doskonale, Zannah – powiedział, bo jego przyzwyczajony do knucia umysł domyślił się reszty tego, co zrobiła. Młoda kobieta uśmiechnęła się, słysząc ten komplement.

– Nie doceniłem cię – dodał Mistrz Sithów. – Gdybym znał twoje plany, nie prosiłbym cię, żebyś mnie zabiła.

– Musisz mnie jeszcze dużo nauczyć – przypomniała mu Zannah. – Będę siedzieć u twoich stóp, Mistrzu, chłonąc twoją mądrość. Odkryję twoje tajemnice, jedną po drugiej, dopóki wszystko, co wiesz – cała twoja wiedza i twoja potęga – nie staną się moje. A kiedy przestaniesz przedstawiać dla mnie jakąkolwiek wartość, zabiję cię.

Słyszając jej słowa, Bane uniósł brew, a Zannah zorientowała się, że jest z niej zadowolony. Ambicja nie była niczym złym, skoro miała jej zapewnić potęgę. Będzie rozwijać swoje talenty i umiejętności, a kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, Zannah rzuci wyzwanie swojemu Mistrzowi o prawo do sprawowania władzy. Przeżyje silniejszy spośród nich dwojga. To było nieuniknione. To była metoda Sithów.

– Kiedyś wreszcie cię prześcignę – ostrzegła go uczennica. – Tego dnia cię zabiję, Lordzie Bane, ale jeszcze nie dzisiaj.

PODZIĘKOWANIA

Niniejsza powieść powstała w ciągu zaledwie sześciu miesięcy – a to niewiarygodnie krótki okres, żeby przekształcić pomysł w ukończone dzieło, które mogłoby trafić na półki księgarń. Dziękuję wszystkim z Lucas Licensing Ltd. i Del Rey Books, którzy uczestniczyli w tym niesamowitym przedsięwzięciu.

Szczególne podziękowania składam mojej żonie Jennifer. Bez jej pomocy i zrozumienia chyba nie byłbym w stanie ukończyć pracy w wyznaczonym terminie.

Przede wszystkim jednak chciałbym podziękować wszystkim fanom, którzy kupili moją poprzednią powieść *Darth Bane: Droga zagłady*. Bez waszego poparcia ciąg dalszy nigdy by nie powstał. Jestem wam szczerze zobowiązany.

Spis Treści

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

EPILOG

PODZIĘKOWANIA